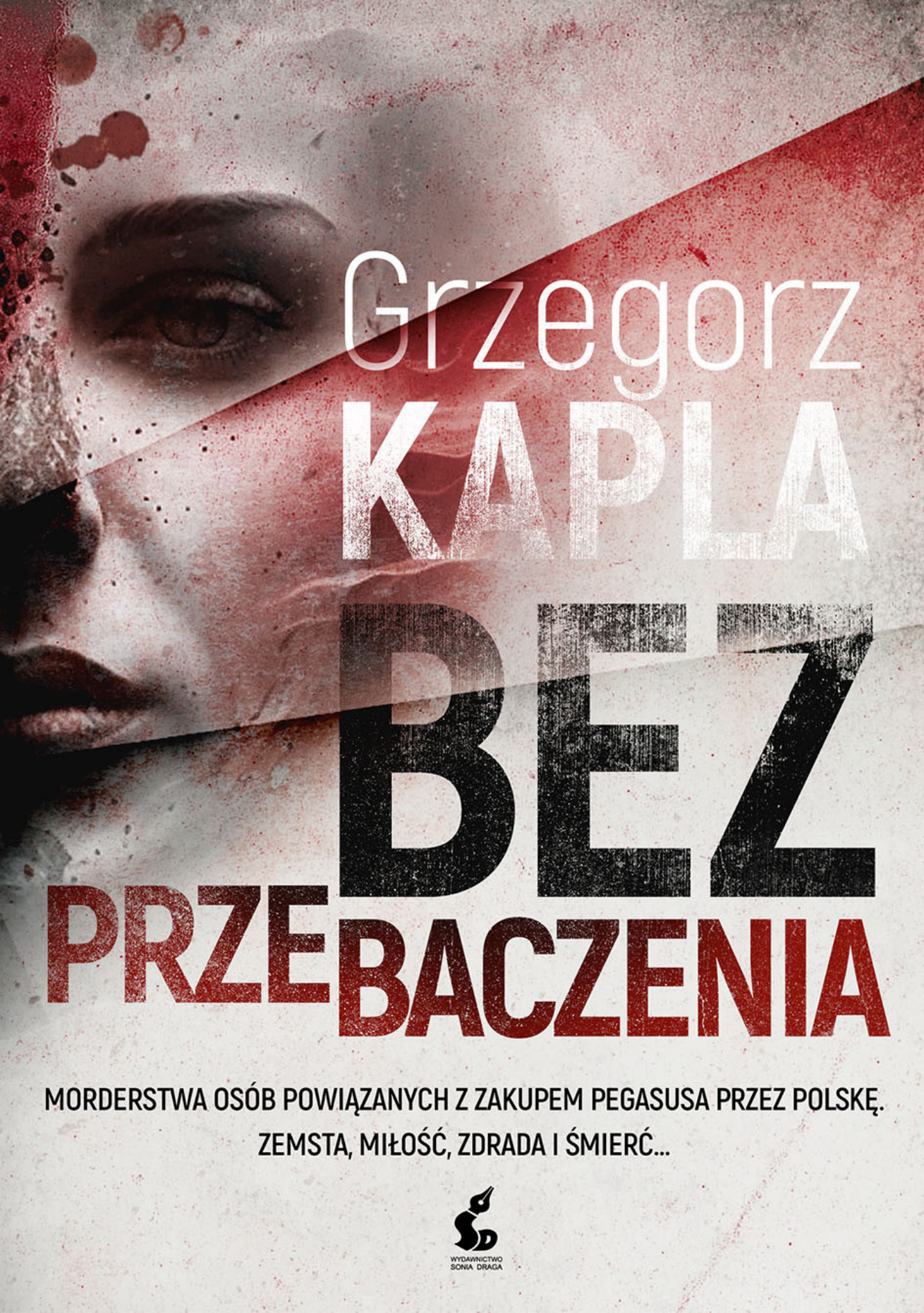

Grzegorz KAPLA

BEZ PRZEBACZENIA

MORDERSTWA OSÓB POWIĄZANYCH Z ZAKUPEM PEGASUSA PRZEZ POLSKĘ.
ZEMSTA, MIŁOŚĆ, ZDRADA I ŚMIERĆ...

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

Grzegorz **KAPLA**

BEZ PRZEBACZENIA

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Bez przebaczenia
Copyright © 2023 by Grzegorz Kapla
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Katarzyna Łopaciuk
Korekta: Joanna Habiera, Iwona Wyrwisz, Izabela Sieranc

ISBN: 978-83-8230-587-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2023

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Epilog

Podziękowania

Prolog

Prezydent Stanów Zjednoczonych wszedł na mównicę i powitał go aplauz. Ochroniarze przy bramkach wyciągnęli szyje, ale nie, nie spojrzeli za siebie. Byli dobrze wyszkoleni.

– Proszę wyłożyć wszystko, co ma pan w kieszeniach – usłyszał.

Uśmiechnął się i skinął głową.

Uśmiech to skuteczna broń. Przynosi ulgę ludziom narażonym na niechętne prychnięcia przedstawicieli elit, nienawykłych do tego, żeby wykonywać cudze polecenia. Czasem potrafi zamienić obojętność w pożądanie. Odwrócić czas. Ukryć akcent, który mógłby cię zdradzić.

Znał swój uśmiech. Trenował go przed lustrem godzinami.

Włożył do wiklinowego koszyczka klucze, portfel, telefon, notatnik i długopis. Rano myślał, że weźmie pióro. Lubił pióra. Pióro jest narzędziem artysty, a długopis to jednak tylko plastik. Jest tandetny, banalny i tani. Ale za to anonimowy, a czasami to właśnie przesądza o jego wartości.

Agent ochrony – czarny garnitur, słuchawka w uchu, w klapie znaczek w kształcie skrzyżowanych sztandarów Ameryki i Polski, niebieskie lateksowe rękawiczki – spojrzał do koszyczka i, co było do przewidzenia, podniósł telefon. Obrócił go w dłoni. Nic szczególnego, zwyczajny smartfon. Ani najnowszy, ani z poprzedniej epoki.

– *Thank you, thank you, thank you. Please, if you have a seat, be seated* – zażartował Biden, a pięćset gardeł starannie wybranych gości, którzy mogą wysłuchać przemówienia prezydenta USA na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie, wybuchło śmiechem.

– Czy mogę jeszcze raz zobaczyć zaproszenie?

Mężczyzna przewrócił oczami i westchnął.

– Wiem, że pokazywał je pan już przed bramą, ale takie są procedury.

Zrozumiał słowo „procedury". Słowo „zaproszenie" też, choć nie potrafiłby ich wypowiedzieć po polsku bez akcentu. Pokazał niebieski kartonik z imieniem i nazwiskiem, których nawet nie próbował się nauczyć.

Agent pokiwał głową. Nie poprosił o dokument tożsamości.

Uśmiech wystarczył.

– Zapraszam. – Wskazał dłonią miejsce, w którym trzeba się zatrzymać po przejściu bramki. Gość rozłożył ramiona, jeszcze zanim tamten poprosił.

– *Be not afraid.* – Prezydent Biden rozpoczął od cytatu z Jana Pawła II, a gość pochwalił w myślach kogoś, kto pisał to przemówienie. Musiał sporo wiedzieć o Polakach.

– Proszę. – Ochroniarz odsunął się na bok.

Zakończył swoją robotę. Mężczyzna pochylił się nad koszykiem i włożył do kieszeni jego zawartość. Ruszył w prawo. Gdzieś tam powinien być ten, którego spodziewał się tu znaleźć.

– *John Paul brought the message here to Warsaw in his first trip back home as Pope* – powiedział Biden, a mężczyzna pomyślał, że to prawie tak jak on. Też przybył do Polski pierwszy raz od dawna i też miał wiadomość dla świata.

Lustrował otoczenie spod półprzymkniętych powiek. Wysoki, elegancki, mógłby uchodzić za ambasadora swojego kraju. Ale nie. Ambasador siedział przecież w sektorze dla gości specjalnych. Choć właściwie wszyscy tutaj byli specjalnymi gośćmi.

Spoglądał ponad głowami. Tak, zatrzymał wzrok, to musi być on.

Tymczasem prezydent Biden zbliżał się do wielkiego finału.

To było dobre przemówienie: demokracja i wolność zwyciężą. Może nie od razu, bo to długa wojna, ale wojny z Ukrainą na pewno nie wygra Rosja.

– *For God's sake, this man cannot remain in power!* – Biden zakończył z mocą, jakiej nikt nie spodziewałby się po starszym panu.

Na dziedzińcu wybuchła euforia. Jedni klaskali w przekonaniu, że oto zadziała się historia, inni musieli się pochwalić przed światem, że należą do elitarnej grupy pięciuset osób, którym PiS podarował zaproszenia, więc wykorzystali zamieszanie, żeby wysyłać do wirtualnej chmury selfie z Joe Bidenem w tle.

Pawłowski kątem oka uchwycił ruch ramienia, na którym były zawieszone kamery telewizyjne, i odruchowo schylił głowę.

– Co pan sądzi, mecenasie? – Nachylił się ku Ritterowi i podniósł głos, żeby przekrzyczeć wrzawę.

– Rzucił wyzwanie Putinowi. – Ritter poprawił okulary. – Pewnie cały Biały Dom gotuje się teraz, jak wytłumaczyć światu, że prezydent wcale nie miał tego na myśli.

– He, he. – Pawłowski pokiwał głową. – Mnie się też tak wydaje. Ale i tak nieźle mu poszło. Dobrze zaczął. Od tego, że słowa papieża odnowiły oblicze tej ziemi…

– Pisowcy pewnie są w euforii. – Ritter położył Pawłowskiemu rękę na ramieniu. – Będę szedł na Marienszstat, tam stoi mój samochód, jeśli masz ochotę, to zejdź ze mną, jeszcze pogadamy.

Pawłowski spojrzał za siebie. Przez całą uroczystość zdawało mu się, że ktoś mu się przygląda. Dwukrotnie, niby to przypadkiem, rzucił okiem za siebie, raz w lewo, drugi raz w prawo, błyskawicznie zlustrował otoczenie, ale nie, wszyscy gapili się na Bidena. Amerykański prezydent wykonał dłonią ostatni pożegnalny gest i zniknął za plecami swojej ochrony.

– Coś cię niepokoi? – zapytał Ritter.

– Mam to mrowienie w karku. – Pawłowski uśmiechnął się lekko.

– Jak przed robotą?

– Jak przed robotą. Jak wtedy, gdy coś miało się wydarzyć.

– Fantomowe bóle po czasach dawno i niesłusznie minionych – zażartował mecenas.

– Pewnie masz rację. A może to przez Agatę? Powiedziała, że karty nakazały jej dzisiaj ostrożność.

– Dość oczywista konstatacja w sytuacji, kiedy do Kaczogrodu przybywa Air Force One, nie sądzisz? Zawsze mnie dziwiło, że taka zdeklarowana liberałka, co nie wierzy w życie pozagrobowe ani w żadnego Boga, stawia sobie karty.

– Sobie jak sobie. Ona je stawia mnie. Pewnie wciąż myśli, że kiedy znikam, to musi być romans.

Obaj się uśmiechnęli.

Ewakuacja szła dużo sprawniej niż zajmowanie miejsc kilka godzin temu, kiedy zmuszony do poniżającego oczekiwania w kolejce do bramek bezpieczeństwa Pawłowski zastanawiał się, czy warto w ogóle tam iść. Nie miał złudzeń co do przemówienia. Nadzieje Ukrainy, że Biden pośle do nich natowskie myśliwce, były mrzonką. Przyszedł, bo się umówił z Ritterem, a każda okazja, żeby się spotkać oko w oko, jest dobra. Po tej całej pandemii tęsknił do ludzi, on – z upodobania samotnik, jak panda, której wystarczają w roku trzy dni rui, a przez kolejne trzysta sześćdziesiąt dwa może żyć tylko sama ze sobą. Pod warunkiem że ma telefon, komputer, książki i jakąś pustą przestrzeń, żeby sobie postrzelać. I że żona da mu spokój.

– Nasi przyjaciele progresywiści będą rozczarowani – westchnął mecenas, kiedy ruszyli do bramy po niebieskim dywanie, rozwiniętym rano dla prezydenta Ameryki, a teraz ogólnodostępnym, bo nikt go nie pilnował.

– Papieżem?

– Nie tylko. Tymi „ukraińskimi mężczyznami i kobietami", przecież lewicowy prezydent powinien był wiedzieć, że trzeba mówić o „osobach ukraińskich".

– Nie bądź złośliwy. – Pawłowski chrząknął zadowolony. – Wystarczy im, że przywołał papieża, który nie reagował na pedofilię.

– Swoją drogą, musisz przyznać, Piotrze, że z papieżem to była znakomita operacja.

– Montaż. – Pawłowski się uśmiechnął.

– Tak – potwierdził Ritter. – Rzeczywiście. Montaż przełomu wieków. Gdyby ktoś piętnaście lat temu… czy ile już ten papież gryzie ziemię?

– Siedemnaście.

– Co ty powiesz? – Ritter postawił kołnierz. W tunelu bramy zamkowej poczuli przeciąg.

– No… siedemnaście, siedemnaście. Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem.

– Mów za siebie, moje studentki nie narzekają.

– Mówiłeś o papieżu.

Skręcili w lewo, w stronę kościoła Świętej Anny.

– A tak, tak, więc gdyby wtedy, jak zde… jak opuścił już ten padół łez, ktoś ci powiedział, że za kilkanaście lat będzie się ludziom kojarzył przede wszystkim z pedofilią, memami i z żałosnymi pomnikami, to nawet ty byś nie uwierzył.

Pawłowski milczał.

– Wiesz co, wiedziałem, że to trzeba będzie zrobić, ale, owszem, zwątpiłem, chociaż tylko na chwilę.

– Jak wiatr zamknął księgę, co?

– Dokładnie. Kiedy wiatr zamknął mu na trumnie księgę, pomyślałem, że czarni dostali od losu taki prezent, że się ich już nie zatrzyma. Zresztą dobrze zaczęli. To pokolenie JPII, Dni Młodzieży, ktoś to dobrze wymyślił.

– Widać nie dość dobrze. – Ritter ujął Pawłowskiego pod rękę. Skręcili w lewo na schody przed kościołem Świętej Anny. Były strome, a Ritter tego nie lubił.

– Nie docenili przeciwnika.

– Pycha kroczy przed upadkiem. Powinni lepiej odrabiać własne lekcje. Budowali sobie Lichenie, kupowali rozgłośnie, gazety i czasopisma, a teraz ilu Polaków uważa papieża za autorytet?

Szli przez park. W powietrzu na skarpie, w dawnych ogrodach pałacu Kazanowskich, czuć już było wiosnę, ale pąki na drzewach jeszcze pozamykane. Pawłowski pomyślał, że zima nie powiedziała ostatniego słowa, a drzewa jakby się bały mroźnego oddechu syberyjskiego niedźwiedzia.

Ritter zapytał go o interesy.

– Świetnie – odparł. – Nigdy nie szło nam lepiej.

– Pan prezydent wolnego świata powiedział, że wojna potrwa, więc pewnie umrzemy jako nieprzyzwoicie bogaci ludzie.

– Pewnie tak. Gdzie zaparkowałeś?

– Dojdziemy na róg Bednarskiej i tej, jak się ona nazywa… no tu, na dole, i przyjedzie po mnie pan Kazimierz.

– Wciąż jest u ciebie kierowcą?

– To dla niego doskonały kamuflaż.

Ritter sięgnął po telefon, żeby zadzwonić po samochód, a Pawłowski znowu poczuł ten impuls, który w dawnych czasach był dla niego dowodem na istnienie we wszechświecie jakiejś tajemnej siły, może nawet absolutu, czegoś pozazmysłowego, ale jednak będącego, w sensie epistemologicznym, rozumnym bytem wysyłającym mu sygnał ostrzegawczy. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć, ale nauczył się z niego korzystać.

Na rogu Bednarskiej i Sowiej zapalili jeszcze papierosy.

Pawłowski wyjął elegancką, ale podniszczoną zapalniczkę.

– Nadal tego używasz? – Mecenas się uśmiechnął. – Sentymentalny jesteś, a to się mści w naszej robocie.

Zaciągnęli się obaj i chwilę palili w milczeniu.

– Podwieźć cię? – Ritter zdeptał niedopałek.

– Dziękuję, ale spacer dobrze mi zrobi. Samochód mam pod pomnikiem Piłsudskiego.

– Kawał drogi pod górę.

– Nie spieszy mi się do telewizora. – Pawłowski machnął ręką. – Zadzwoń we wtorek, umówimy się, przejrzymy papiery.

Pan Kazimierz wyhamował idealnie. Miał niezwykłe wyczucie czasu.

Pawłowski odwrócił się na pięcie i poszedł Bednarską w górę, przyglądając się odrapanym murom. Zadziwiające, pomyślał, że w życiu ulic tak samo jak w ludzkim życiu przychodzi moment, kiedy telefon dzwoni jedynie we wtorki i nie musisz już nic robić, żeby trwać. Może tylko jakaś kosmetyka, ale bez przesady. Jedyne, co sobie zoperował, to powieki, bo nie lubił tych ciężkich worów, które nadawały twarzy pozór uśpienia. Co innego żona. Ona mogłaby nie wychodzić od doktora Mirackiego. Była zupełnie jak ta ulica. Wystarczy odpicować fasadę i znowu wyglądasz jak w czasach młodości.

Kiedyś się tędy jechało do mostu. Czytał gdzieś, że pradziadek tego pisarza Kalinowskiego miał na Bednarskiej przed wojną knajpę. Jak mu było na imię? Nagle znowu poczuł ten impuls, odwrócił się i zrozumiał, że już jest za późno.

Mężczyzna był szybki jak kot. Pawłowski nawet nie zauważył, kiedy wbił mu coś w podgardle.

Nóż! To musiał być nóż. Pawłowski zesztywniał. Ból był potworny, ale w ułamku sekundy adrenalina stłumiła lęk. Cofnął prawy bark, żeby wziąć zamach do ciosu w splot, ale tamten musiał to odczytać. Wciąż zaciskając lewą dłoń na tym, co wbił w podgardle swojej ofiary, pchnął Pawłowskiego w podcień kamienicy.

– Abu Daoud nie może się doczekać – powiedział z dziwacznym akcentem i przekrzywił głowę jak szczeniak, kiedy przygląda się zabawce.

Pawłowski zmrużył oczy. Szarpnął się jeszcze raz, ale zrozumiał, że to na nic. Jasna cholera, pomyślał, bałem się, że to będzie w łóżku, a to jednak na Bednarskiej… Napastnik wnętrzem prawej dłoni uderzył w końcówkę zwyczajnego, plastikowego długopisu, który tkwił do połowy w gardle Pawłowskiego. Usłyszał, jak plastik przebija kości czaszki.

Pawłowski osunął mu się w ramiona, a on przyjął ten nagły ciężar z szacunkiem należnym ludzkiemu ciału i delikatnie ułożył je pod oknem sklepu optycznego. Wyszeptał kilkanaście słów, wyjmując z kieszeni staromodną, płócienną chusteczkę, w którą dokładnie wytarł dłonie z krwi. Nie było jej dużo. Pomyślał, że może powinien wyjąć długopis. Nie lubił wypisywać autografów byle czym, ale przecież nie każdy autograf zasługiwał na pióro.

Rozdział 1

Nie każdy autograf zasługuje na pióro, pomyślała i odłożyła Pokorę na stosik książek, których nie odda, choć pewnie drugi raz nie przeczyta. Książek o tym, że tylko ktoś, kogo kochasz, może cię tak do spodu skrzywdzić, miała na razie dość.

Pewnego dnia to wszystko spowszednieje, myślała. Pewnego dnia zdjęcia zabitych dzieci przestaną budzić silne emocje i świat powróci do zachwytów nad tym, kto i za ile kupił sobie torebkę na galę Oscarów. Kiedyś tak się stanie. Poważni ludzie na to pracują. Najtęższe umysły świata zaprzęgnięte do kołowrotu nieustannej sprzedaży. Kiedyś znowu będą królować komedie romantyczne, ale to nie dziś. Zresztą teraz, gdy wojna, to czy w ogóle wypada się śmiać? Rozmawiać o dziecku, o zwyczajnych chorobach w rodzinie, o pracy, o kinie, teatrze czy książce? Czy jeszcze wypada oglądać filmy, czy tylko śledzić wiadomości?

Nie miała pewności, co myśleć. Nie każdy może być korespondentem wojennym, a inne zajęcia wydawały jej się zwyczajnie nieadekwatne.

Widziała, jak powoli mijał zapał jej rodaków z pierwszych dni wojny. Matka powtarzała, że goście są jak ryby – po trzech dniach masz ich dość. Wiedziała, że przyjdzie moment zmęczenia i pewnego dnia wszyscy będą mieli po dziurki w nosie wieści z Ukrainy, wydań specjalnych, że przestaną oglądać, co się dzieje w Charkowie czy Mariupolu, i wrócą do plotek, seriali, telewizji śniadaniowych. Potem zacznie ludziom przeszkadzać, że samochód na ukraińskich blachach może parkować za darmo, a oni muszą płacić, jeśli w ogóle znajdą miejsce.

A jednak nie wahała się i kiedy Nastia, dziewczyna, która przychodziła zajmować się jej dwuletnią córką, powiedziała, że siostra przywozi matkę do Polski, Olga od razu zaproponowała, że odda im jeden pokój i że sama będzie mieszkać z małą. Wyrzuciła z szafy wszystkie ubrania i te, co się jeszcze nadawały, wyprane i wyprasowane zawiozła na Zachodni, do punktu pomocy dla uchodźców. I butki dla dzieci. Dziecięce buty stają się za małe już po kilku tygodniach. A teraz pakowała książki. W pokoju dziecka, kiedy przeniosły tam szafę, nie było już miejsca na półki. Trzeba się pozbyć książek i płyt. To, co najbardziej kochasz, wyrzucasz jako pierwsze.

Zabrzęczał domofon. Dopiero kiedy się podniosła, poczuła, jak bolą ją plecy. Wyminęła stosy książek. W korytarzu porozrzucane zabawki. Nie miała sił, żeby nad tym zapanować. Podniosła słuchawkę i wcisnęła kluczyk. To musiały być dziewczyny.

Weszła do kuchni i korzystając z ostatniej wolnej chwili, nalała sobie setkę żubrówki. Nie miała wyrzutów sumienia.

W południe była na Narodowym, żeby pomóc w ochronie wizyty Bidena. Widziała, jak brał na ręce dzieci, które chciały sobie zrobić z nim selfie, jak słuchał opowieści tych, którym udało się uciec. Z daleka, ale przecież znała te opowieści. Nastia każdego dnia opowiadała, co tam u matki…

Kiedy prezydent USA powiedział, że Putin to rzeźnik, musiał naprawdę tak myśleć. Ale czy to coś zmieni?

Gardło paliło ją od wódki. Pomyślała, że zasługuje na kolejną setkę, ale usłyszała już dzwonek i stukanie do drzwi. Nastia by nie stukała, więc to albo Szymon, albo Bielski. Z jednym miała córkę, ale choć ewidentnie lgnęli do siebie, to nie potrafili zaryzykować wspólnego domu. Drugi czasami żartował, że gdyby już miał mieć z kimś dom, to właśnie z Olgą. Dwa razy ocalił jej życie. Był cierpliwy, dobry i o nic nie pytał.

Dzwonek odezwał się po raz drugi.

Olga poczuła ukłucie w sercu. Szkoda, że serca nie da się sformatować jak twardy dysk.

Przygładziła włosy, a potem spojrzała przez judasz. To był Kosiński. Jej partner z roboty.

– Kurwa, wolne przecież mam. – Powitała go miną, która miała mówić „Sam sobie wybierz karę", ale Kosiński był już do tego przyzwyczajony.

– Wciągaj spodnie. – Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. – Robi się chłodno.

Dopiero teraz się zorientowała, że jest w samych majtkach.

– Ledwo wróciłam. – Stropiła się. – Z godzinę temu. Muszę dziecku kolację naszykować.

– A co, twoja Ukrainka pojechała walczyć o Kijów?

– O Charków, Nastia jest z Charkowa.

Przymknęła drzwi do pokoju, który jutro nie będzie już do niej należał, i otworzyła komodę. Pusto. No tak, przecież prosiła Nastię, żeby przeniosła wszystkie jej ubrania do pokoju dziecka. No nie, nie będzie teraz szukać rzeczy, wyciągnęła z pralki spodnie, które wrzuciła tam przed godziną.

– Mów, co jest?

– Trupa mamy.

– Kurwa, nie może się za to wziąć ktoś inny? Przecież dopiero co obstawialiśmy Bidena.

– Wiem, ale decyzja jest taka, że my się mamy wziąć. Co tu się u ciebie dzieje, wyjeżdżasz? – Kosiński nie bardzo wiedział, gdzie się podziać w tym bałaganie.

– Remont robię. Czemu my?

– Nie wiem, ale pewnie jest jakiś powód.

– Co mu się stało?

– Leśmian wywołał mnie trzy kwadranse temu, nie znam szczegółów. Ale zabity na amen.

– Trzy kwadranse?

– Randkę miałem.

Pokiwała głową. Zabrzęczał domofon. Zanim Nastia wniosła na górę Kasię, Olga zdążyła wciągnąć kurtkę. Minęły się w drzwiach. Całus dla małej i wyrzuty sumienia, że nie dała jej ani taty, ani nie daje jej czasu, ani nie umie jej chronić przed wojną. Pewnego dnia dziewczynka powie „mamo" do Nastii i Olga nie będzie mogła nic z tym zrobić.

Nic.

Jechali w milczeniu. Warszawa w ciężkim zmierzchu, ruch niewielki, nikt nie chciał ryzykować korków, a w dniu wizyty prezydenta USA to przecież nie do uniknięcia.

Plac Wilsona pusty. Minęli dom, w którym mieszkał Kuroń, potem podziemnego weterynarza na Inwalidów, szkołę Lindy, potem w lewo, pomnik Poległym, Sąd Najwyższy…

– Dobrze, że nie ma tych od Tulei. – Kosiński odezwał się pierwszy.

– Co mówisz?

– No, że nie zaczęli tego swojego protestu. Że łamanie demokracji, wiesz, na pewno chcieliby, żeby ich CNN pokazało. A my, co byśmy wtedy zrobili? Pokazaliby nas, jak rozpędzamy demonstrację.

– Co to za randka? – zmieniła temat.

– E tam, tak tylko ci powiedziałem. Kolega wyjeżdża z misją humanitarną, więc go żegnaliśmy.

– A… my, to znaczy kto?

– No on i ja. Ale zdążyliśmy wypić tylko po piwie i Leśmian zadzwonił.

– To ty mnie pijany wieziesz? – Uśmiechnęła się do niego i poczuła, że opuszcza ją wreszcie stres.

– Zaraz pijany. Jedno piwko, to nie pijany.

Minęli kościół Bazylianów, teraz to ukraińskie centrum życia społecznego w Warszawie, a dalej już tylko ostatnie światła. Pojechali prosto w kierunku kościoła Świętej Anny i Serbia uświadomiła sobie, że nie zapytała nawet, dokąd jadą. Tymczasem podjechali do bariery zagradzającej przejazd. Ciekawe, czy Biden jest jeszcze na zamku?

Kosiński otworzył okno.

– My z fabryki. – Pokazał blachę.

– Do zamku? – zapytał funkcjonariusz.

– Do sztywnego – odparł Kosiński. – Na Bednarską.

– A, no tak… – Chłopak odsunął wreszcie właściwą barierę i udało mu się ich przepuścić.

Zasalutował.

– Ciekawe, skąd ich nawieźli? – Kosiński zasunął szybę. – Pewnie ze Szczecina.

Bednarska była stromym grzebieniem bruku z przedwojennego łamanego kamienia. Koła dudniły w wąwozie ulicy niczym czołg. Zatrzymali się nieco powyżej policyjnego kordonu.

– Zostaw na biegu – powiedziała Kosińskiemu, kiedy zgasił silnik.

Na dworze było chłodno. Ludzie palili papierosy. Rozejrzała się. Nikogo znajomego. Tylko w podcieniu budynku rudowłosa asystentka Grzegorczyka opierała się o parapet sklepu z okularami. Ze starym poczciwym doktorem, specjalistą od badania przyczyn zgonu, podkomisarz Olga Suszczyńska przyjaźniła się od lat i miała do niego stuprocentowe zaufanie. Ale ta dziewczyna? Nie mogła pojąć, co takiego ją pchnęło do tego, żeby się zajmować trupami.

Ruda podniosła wzrok, a Olga skinęła jej głową.

– O, Serbia przyjechała. – Mundurowi się rozsunęli, jeden rzucił niedopałek. Suszczyńska mruknęła coś w podziękowaniu. Zasłużyła na to, żeby każdy w mieście wiedział, kim jest, i nie zamierzała się z tego tłumaczyć. W fabryce rzadko kto mówił o niej inaczej niż Serbia.

– Dobry wieczór, pani Olgo. – Ruda strzepnęła popiół do papierowego kubeczka.

– Nie dla każdego dobry.

– Ano nie dla każdego – przyznała tamta.

– Dawno przyjechałaś?

– Z pół godziny. Zdążyłam zmarznąć.

– Mam cię przepraszać?

– Tak. Mogłam mieć dobry wieczór, wino, makaron z sosem truflowym, a potem seks… No nie, co pani. – Roześmiała się. – Żartowałam.

Odgarnęła włosy z czoła. Miała duże oczy. Powinna pisać wiersze, a nie sprawdzać, czy denat cierpiał na marskość wątroby.

– Przepraszam, byliśmy w obstawie wizyty Bidena, nie sądziłam, że jeszcze nas ktoś będzie potrzebował.

Pochyliła się nad ciałem.

Mężczyzna wyglądał, jakby spał. Przystojny. Nie umiała powiedzieć, ile miał lat. Może pięćdziesiąt pięć, ale może z dziesięć więcej. Ogolone policzki, szpakowaty, ale przystojny. Mogłaby się za takim obejrzeć na ulicy. Szczupły, dobrze ubrany. Powiedziałaby, że… pokornie. Żadnych ostentacyjnych logotypów, ale wszystko pasowało tak, jakby było na niego uszyte. Leżał w tym swoim płaszczu, pewnie z wełny, skulony jak dziecko, jakby ktoś go ułożył do spania, a nie zabił. Olga wiedziała doskonale, jak wygląda człowiek, którego układasz do snu.

– Co myślisz? – Spojrzała na rudą dziewczynę.

– Zawodowiec. – Ruda wygrzebała z kieszeni gumę do żucia i zaczęła odwijać papierek, ale szło jej opornie. Guma musiała leżeć w kieszeni dość długo, aż wszystko się polepiło.

– W jakim sensie?

– Nie jest łatwo wbić dorosłemu, sprawnemu człowiekowi długopis w gardło. – Odwinęła wreszcie. – Chce pani?

Olga pokręciła głową.

Ruda wzruszyła ramionami i wsadziła sobie gumę do ust.

– Nie lubię smaku nikotyny – powiedziała. – Nie umiem się powstrzymać, ale nie lubię.

– Dobrze, dobrze, mów, co myślisz.

– Zawodowiec. W zeszłym roku był taki przypadek w białoruskim sądzie. Jeden z ich dysydentów próbował się wtedy zabić długopisem, ale nie był w stanie przebić gardła. To może nie jest najlepszy przykład, bo samobójstwo za pomocą długopisu to wyższa szkoła jazdy, ale on był zdesperowany. Uszkodził krtań, to wszystko. A tu ma pani precyzyjną robotę. Ktoś doskonale wiedział, co robi. Gdzie przyłożyć, jeśli pani wie, co mam na myśli.

Olga pomyślała, że dziewczyna ma rację. Wbić komuś, kto stawia opór, nóż w gardło, byłoby problemem, a tu… Pochyliła się, ale było za ciemno. Uruchomiła latarkę w smartfonie. To był zwyczajny kawałek plastiku. Tkwił bardzo głęboko. Precyzyjna robota. To nie był przypadek i nie zrobił tego byle kto.

– Myślisz, że się bronił? – zapytała.

– Nie ma śladów. Więcej pani powiem. Nie wiem, jak to możliwe, żeby ciało się samo tak ułożyło. Niech pani popatrzy, to jest dość dziwne, co nie?

– Pomyślałam o tym samym.

– Że go podtrzymał, nie? Zabił, a potem położył na ziemi?

– Mogło tak być. Ale po co?

– Nie chciał, żeby ktoś usłyszał, że ciało pada na chodnik?

– Nie wiem. Kto by to mógł usłyszeć? Trzeba popytać tych, co tu mieszkają. Może ktoś coś jednak słyszał…

– Kosa! – Olga zawołała swojego towarzysza. – Wiesz, kto zawiadomił o trupie? No, i trzeba tu rozpytać ludzi, może ktoś coś widział, monitoringi posprawdzać… A! Skąd wiadomo, że on był na tym przemówieniu Bidena?

– Zaraz się dowiem. – Sięgnął po telefon.

– Jeden z tych po cywilnemu, on tu był pierwszy. Jak przyjechałam, to nasi już przeszukali kieszenie. – Ruda wskazała brodą trzech gości.

– Kurwa. – Olga wyprostowała się i podeszła do policjantów. Rozumiała, dlaczego patrzą na nią z niechęcią.

– Kto tu dowodzi? – zapytała.

– No, skoro cię wezwali, to znaczy, że ty – powiedział niski gość w czerwonej czapce z pomponem. – Znamy się z odpraw, ale pewnie nie pamiętasz.

Rzeczywiście nie pamiętała. Ale pomyślała, że nic w tym złego, wręcz przeciwnie. Jeśli ona nie pamiętała, inni też nie będą, więc taki ktoś świetnie nadaje się na operacyjnego. Nie rzucać się w oczy w takiej czapce to naprawdę coś.

– Rozumiem, że sprawa jest twoja?

– Miała być moja, ale ściągnęli ciebie, więc już nie jest.

– Przepraszam, nie prosiłam się.

Lipiński strzyknął śliną.

– Naprawdę się nie pchałam – powiedziała łagodniej.

Pokiwał głową, jak to czynią Hindusi.

Milczała.

– Tak, wiem, Serbia, wiem… jesteś pupilką naszego szefa. Co chcesz wiedzieć?

– Co mi zechcesz przekazać.

Lipiński sięgnął po komórkę. Kliknął kilka razy i zaczął czytać notatki.

– O dziewiętnastej dwanaście dyżurny odebrał zawiadomienie od Ludwiki Skrzyńskiej, zamieszkałej niedaleko, przy Karowej, przyszła tu z psem na spacer, długi, bo wcześniej obawiała się, że wszędzie będzie

pozagradzane. O dziewiętnastej dwadzieścia byliśmy na miejscu, jak wiesz, obstawiamy wizytę, byliśmy tuż obok, przy Pałacu Prezydenckim w nieoznakowanej skodzie, stoi niżej, możesz sama sprawdzić ten czerwony brzydki samochód, który udaje Ubera…

Olga chrząknęła.

– No, wygłupiam się, przepraszam. Przyjechaliśmy. Kobieta z psem powiedziała nam, co już wiesz, nikogo nie widziała, nic nie słyszała, ta ulica zawsze taka pusta chyba… No i co… Wezwaliśmy prokuratora i trupiarę. – Spojrzał na Rudą i mrugnął do niej.

Serbia kątem oka pochwyciła cień uśmiechu. Musieli być zaznajomieni.

– No i trzeba było podjąć czynności.

– Nie czekałeś na lekarza?

– Przecież widać, że trup. Z tym czymś w gardle? Zajrzałem mu do kieszeni. I należało dzwonić do szefa.

– Co znalazłeś?

– Najważniejsze wydaje się to. – Lipiński założył lateksową rękawiczkę, a potem sięgnął do kieszeni i wyjął spory foliowy woreczek na dowody. W środku znajdowała się biała koperta.

Serbia nie lubiła tych rękawiczek, ale co zrobić…

Na sztywnej kopercie wykaligrafowano: „Szanowny Pan Piotr Pawłowski”.

Otworzyła.

Wewnątrz zobaczyła niebieski, elegancki kartonik. Zaproszenie na przemówienie prezydenta Bidena.

Rozdział 2

– Zaproszenie na przemówienie Bidena? – Kosiński aż podszedł bliżej.

– Zadzwoniłeś z tym do Leśmiana? – Olga spojrzała na Lipińskiego.

– A co miałem zrobić. Płaszcz z drogiej wełny, portfel w kieszeni, zegarek na ręce. Jakieś drobiazgi, klucze. Nie chodziło o rabunek. Od razu wiadomo, że gościu to jakaś szycha.

– Wyguglowałeś go?

– Właśnie, czekałem na Rudą i coś musiałem robić. Ale nie za bardzo jest co. – Wywiadowca podrapał się za uchem. – W sumie Piotrów Pawłowskich w internecie od metra. Aktorów to nawet kilku. I ten świętej pamięci założyciel fundacji Integracja, jacyś naukowcy i przedsiębiorcy. Siedziałbym w tym kilka dni. Ale przejrzałem zdjęcia i elegancki pan trup wyświetlił mi się na kilku zdjęciach. Na jednym z Tuskiem, na innym z Morawieckim. Nawet z Macierewiczem.

– Polityk?

– A nie… w podpisie było, że członek zarządu. – Zerknął do notatek w telefonie. – Em Fields Investments.

– Co to za firma? Sprawdziłeś?

– Nie zdążyłem, bo Ruda przyjechała stwierdzić zgon.

– Ale Leśmianowi powiedziałeś, z kim jest na zdjęciach?

Lipiński przytaknął głową.

– A Gruby pomyślał, że sprawa polityczna, i kazał wołać nas – powiedział Kosiński zadowolony, że przynajmniej jedna kwestia się wyjaśniła.

– Czyli co? Mogę jechać, czy mam czekać na prokuratora? Ja też od rana na nogach.

– Tak, jedź. Dobrze się spisałeś. Naprawdę mi przykro, że to nie będzie twoja sprawa.

– Chuj tam. Jakbyś co potrzebowała, to wiesz, mam biurko w przedostatnich drzwiach. Ten sam korytarz co wy.

Lipiński podał Kosińskiemu woreczki dowodowe z tym, co denat miał w kieszeniach. Niezbyt gruby, brązowy, skórzany portfel, smartfon, klucze do mieszkania, drugie do samochodu i stara, kiedyś pewnie elegancka, metalowa zapalniczka z grawerunkiem. Kosiński nie potrafił odczytać przez folię, a wyjmować nie było już czasu, bo przyjechała pani prokurator i należało zająć się czynnościami, które pozwolą im wszystkim wrócić do domu.

Olga wróciła przed północą. Kasia spała. Nastia siedziała w kuchni. Oglądała telewizję na starym tablecie. Oczy miała zaczerwienione.

– Dziękuję, że zostałaś, naprawdę, zapłacę ci za nadgodziny.

– No cóż, pani. Herbaty się pani napije najpierw. – Nastia odłożyła tablet i nastawiła czajnik.

Olga pomyślała, że to raczej ona powinna zrobić herbaty Nastii. Uśmiechnęła się i opadła na krzesło. Zaczęła sobie rozmasowywać kark bez ściągania kurtki.

– Ciężki wieczór?

– Znowu zabity człowiek…

– U mnie też. Dużo, dużo zabitych ludzi. Na filmikach z Charkowa, z Mariupola, oglądam je raz po raz…

– Po co?

– Czy nie zobaczę znajomych twarzy. Pani wie, pani Olgo, mi jest bardzo niezręcznie ze wszystkim teraz. Że mama będzie mogła u pani zamieszkać. Wiem, powinnam wziąć do siebie na Solidarności…

Nastia wynajmowała pokój w sublokatorskim mieszkaniu na Woli.

– Do tego pokoju trzy na trzy metry? Nie wygłupiaj się, wypowiedzieliby ci umowę.

– Może nie? Teraz w Polsce wszyscy pomagają.

– Może nie, ale tak będzie lepiej. Ale stracisz u mnie robotę, bo teraz twoja mama będzie się zajmowała dzieckiem. – Olga puściła do dziewczyny oko.

– No, ona umie. – Nastia wcale się nie stropiła.

Poznały się rok temu, kiedy dziewczyna odpowiedziała na ogłoszenie o pracy w charakterze opiekunki do dziecka. Wtedy była wesołą studentką psychologii, kalecząca polski w dziwaczny, twardy sposób. Uczyła się bardzo sumiennie i dzisiaj mówiła doskonale, ale odkąd wybuchła wojna, już się nie śmiała. Nawet się nie uśmiechała.

Olga zdjęła wreszcie kurtkę.

Herbata była bez cukru. W kubku z napisem Wroclove. Dotknęła napisu opuszkiem. Trochę parzył, ale nie cofnęła palca. Szymon przywiózł kiedyś ten kubek. W tekturowym kartoniku. Nie pomyślał o wstążeczce. Przytulił ją wtedy, ale nie poszli do łóżka. Chciała, ale nie przeszło jej przez gardło. Nie będzie prosić. Nigdy nie będzie już o nic prosić żadnego faceta, który sam niczego nie rozumie.

Szymon przez pierwsze pół roku po covidzie nie był sobą. Wydolność organizmu jak u staruszka. Nie wracał do służby. Rehabilitacja się przeciągała. Wiedziała, że rozmowy telefoniczne niewiele dają, ale nie pojechała do Wrocławia. W firmie potrzebne były na pokładzie wszystkie ręce, pracowała, dopóki nie zaczęła się bać o dziecko.

Spotkali się, kiedy Kasia miała trzy miesiące. Przywiózł ten kubek, trzy róże i wielkiego pluszowego Puchatka.

Wyglądał źle. Skórzana kurtka wisiała na nim jak na wieszaku. Miał zapadnięte policzki, przekrwione oczy i ogoloną czaszkę. Pachniał tak, jak pachniały pociągi, kiedy była nastolatką.

– Cześć – powiedział.

Kiedy wzięła kwiaty, zobaczyła, że drżą mu ręce.

Pokazała mu dziecko. Spało. Milczał. Nie uśmiechał się, nie powiedział ani słowa. Nie wyciągnął ręki. Po prostu patrzył. Dziesięć minut. Jedenaście. Ścierpła od tego stania w jednej pozycji. Chciała, żeby ją przytulił, żeby objął, chciała usłyszeć, że jest z niej dumny i że wszystko będzie dobrze, że zostanie i że nie musi już donikąd wracać. Chciała, żeby się nachylił nad kojcem i wziął Kasię na ręce. Żeby powiedział, że przyjadą jego rodzice i żeby może ochrzcili ją w tym kościele obok, w tym, gdzie Popiełuszko… Tam, gdzie na ścianach wiszą zdjęcia z czasów, gdy ksiądz Jerzy był w wojsku, albo jak był na Helu na wakacjach. Angielski podpis brzmi „Popiełuszko in Hel…”.

Przecież wiedział, nad czym pracowała. Wiedział, że odkąd rozwikłała sprawę zmumifikowanych zwłok narzeczonej lidera antypisowskiej opozycji, Olga mogła załatwić z ministrem spraw wewnętrznych wszystko, nie tylko przeniesienie swojego mężczyzny z Wrocławia do stolicy. Mieliby tutaj razem dom. Wystarczyłoby, żeby teraz powiedział: „Chodźmy się kochać”. Albo żeby wziął Kasię na ręce. Ale on wciąż tylko patrzył. Szkliły mu się oczy.

– Jeśli nie chcesz, nie musi być twoja – powiedziała wreszcie.

– Co? – Nagle się obudził.

– Jeśli nie chcesz, nie musi być twoja. – Olga mówiła powoli, ale pewnie. – Sama ją urodziłam i sama mogę wychować.

Nie podniósł wzroku. Zdawało jej się, że kręci głową, ale może to tylko złudzenie.

– Rozumiem – powiedział i zawrócił do drzwi. Nie obejrzał się i nie trzasnął. Alimenty przysyłał pierwszego każdego miesiąca, ale częściej niż on dzwoniła jego matka.

Olga nie naciskała. Pierwszy rok był trudny. Najczęściej po prostu czekała, czy zadzwoni telefon. Szymon dzwonił czasami. Pytał o Kasię, ale nie miała pewności, czy jej słucha, kiedy mu opowiadała o beknięciach i wzdęciach. Nigdy nie komentował. Czasami mówił jej, że musi kończyć, bo znowu pracuje i trzeba to czy tamto, że zadzwoni za godzinę, ale mijały dni i częściej dzwonił jednak Bielski. Bielski wpadał bez zapowiedzi, nigdy nie podała mu kodu do domofonu, ale widać nie potrzebował. Walił w drzwi, a potem wyjmował z plecaka kaszki dla dziecka, pampersy i czekoladę. Czekoladę dla niej. Zawsze taką z orzechami. Wiedziała, że się spieszył, ale nigdy tego nie mówił, nie patrzył na zegarek, słuchał jej, kiedy mówiła, milczał, kiedy milczała, patrzył, jak się bawi z dzieckiem. Jak Kasia uczy się chodzić podtrzymywana za palce. Nie opowiadała mu o Szymonie, a Bielski nie pytał o nic. Czasem, kiedy się już zbierał, przytulał ją tylko mocniej, niż powinien. Dłużej, niż trzeba. Ale może tylko jej się zdawało.

Nie miała czasu, żeby się martwić. Było jej dobrze z Kasią.

A potem Leśmian jej powiedział, że trzeba wracać. I Kosiński dzwonił każdego dnia: kurwa, robota jest, epidemia, nie epidemia, zbóje się panoszą, wracaj, Serbia, przepraszam, niech szefowa wróci.

I tak w domu pojawiła się dziewczyna z Ukrainy.

Szuranie krzesła po podłodze obudziło Olgę z zamyślenia.

– Zmęczona pani? – Nastia usiadła teraz naprzeciwko ze swoim kubkiem i sięgnęła po cukier prosto z torebki. Oldze nie przyszło do głowy, żeby mieć w domu cukiernicę. Dziewczyna posłodziła dużo, ale kiedy masz dwadzieścia lat, nic nie może sprawić, że przestaniesz być piękna.

– Mama wszystko umie, zobaczy pani, pani Olgo, wszystko. No i ja nie będę już potrzebna – uśmiechnęła się – ale dużo jest teraz pracy, pójdę na Wschodni, przydam się, język znam, wiem, co te kobiety teraz myślą, wiem, czemu płaczą. Tam straszny chaos, straszny, tyle ludzie nawieźli wszystkiego, ale jak pociąg przyjeżdża, to dla tych z Ukrainy szok. Szok. A jak przyjeżdża pociąg z rannymi, to dla Polaków szok. Przydam się.

Mówiła coraz szybciej.

Olga dotknęła jej dłoni.

– Przecież jesteś Kasi potrzebna.

– No, ja rozumiem to. Ale mama nie będzie umiała nie robić nic. Nie będzie przecież siedziała cały czas. Jeśli będzie mogła pomóc, to się poczuje lżej. Ona wszystko potrafi. Wypierze, ugotuje, posprząta, wszystko. Sama wychowała nas troje. Całkiem sama.

– Troje? To musimy materac kupić – powiedziała Olga.

– Czemu?

– Nie mówiłaś, że troje, tylko że przyjadą dwie, mama i siostra…

– Brat nie przyjedzie. On na wojnie.

Nastii zaszkliły się oczy, ale nie zapłakała. Olga chciała wyciągnąć rękę, ale wyczuła, że nie trzeba. Nie teraz. Czasem wystarczy z kimś po prostu milczeć.

Nastia siorbnęła herbaty, jakby była dzieckiem.

Olga czekała.

– Tata zginął osiem lat temu – powiedziała dziewczyna. – On muzyk. Miał takie skrzypce po swoim dziadku. To były zaczarowane skrzypce. Dziadek opowiadał. Było w nich coś niezwykłego. Może mieszkał tam duch? Ale nie zły duch, tylko taki dobry. Jak się grało na nich, to człowiek zapominał wszystko. Były u nas długo, ale były o wiele starsze od taty… z innych czasów. Kiedyś, w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej, jak przyszli Niemcy, to od razu Żydów zagonili do zamku w Łucku i zabili jednego dnia trzy tysiące mężczyzn, pani wie, pani Olgo? I oni nie uciekali. Nie uciekali. To i teraz mama z Charkowa też nie chciała uciekać, no bo jak? Zostawić wszystko? Ale jak Rosjanie zaczęli zabijać zwykłych ludzi, to się dała namówić. Jak nie masz życia, to już niczego nie zmienisz, nie odbudujesz, a Żydzi nie uciekali. Jakby naprawdę uwierzyli, że jak Niemiec zabił tych mężczyzn, to reszcie pozwolą żyć… Dziadek mówił, że dopiero jak się listopad zaczął, zrozumieli, że nie będzie życia, że do obozów ich wywiozą. Śnieg już się zaczął, ludzie po lasach szli, wzdłuż rzek, przejść nie przejdziesz, bo jeszcze lodem nie skute, w lesie się nie schowasz, bo nie ma liści. Wyłapywali ich, chociaż nie mieli dronów, min nie stawiali, nie były potrzebne bombowce ani satelity. Psa puścisz i głodnego człowieka w lesie zaraz znajdzie. Ale niektórym się udawało. Dziadek był jeszcze dzieckiem, jak przyszli.

Olga nie była pewna, czy chce słuchać opowieści o Żydach w środku nocy, zmęczona i śpiąca, ale Nastia miała ochotę do mówienia po raz pierwszy, odkąd się poznały.

– Dziadek myślał, że diabli przyszli, ale to ludzie byli. Czarni, brudni, opowiadał, że oczy mieli takie wielkie, jakby same oczy szły na nogach w tych brudnych płaszczach. Stary i chłopiec. Prababcia nalała im zupy, to nie mogli jeść, jakby ich brzuchy zapomniały. Potem stary poprosił, żeby chłopca zabrali, że jak wróci, to go odbierze. A jak się zgodzili, wyjął z worka, co go miał na plecach, skrzypce zawinięte w szmatę. Powiedział, że są zaklęte. Że jak się na nich gra, to się nie umiera. Ale on nie ma siły grać. Je też odbierze, jak wróci. Nie wrócił. Chłopca nazwali Dmytro, po wojnie szukał go Czerwony Krzyż. Pojechał do kogoś, kto mu ocalał z rodziny. Jak przyjechał po niego gazik z urzędu, to skrzypiec nie chcieli. No i zostały. Tata się na nich nauczył grać. Chce pani posłuchać, Olgo?

Nie czekała na odpowiedź. Znalazła na YouTubie filmik. Orkiestra. Ze sto osób. Na przedzie solista, frak, długie jasne włosy…

– Tata – uśmiechnęła się Nastia. – Gra koncert e-moll Mendelssohna, widzi pani? To właśnie tamte skrzypce, co były kiedyś warte miskę zupy. Kto wiedział, że to prawdziwy Glass? Pewnie warte były więcej niż całe gospodarstwo pradziadków. Zaczarowane. Kto na nich gra, ma szczęście. Ale na wojnę tata ich nie zabrał. Przecież nie są jego, powiedział, kiedyś ktoś o nie może zapytać, pani wie…

Olga usłyszała piknięcie esemesa. O tej porze? Było już po pierwszej. Nie, to nie Szymon.

„Nie mogłem spać – napisał Kosiński – i znalazłem, że ta firma Pawłowskiego to była zamieszana w sprawę Pegasusa”.

Rozdział 3

– Skoro ta firma Pawłowskiego jest zamieszana w sprawę Pegasusa… – Kazimierz Leśmian, szef Olgi i Kosińskiego, miał nietęgą minę. – To niech się za to weźmie Agencja Wywiadu.

– Niech pan nie przesadza. – Prokurator Bałucka wydęła usta, okazując znudzenie. – Ja wiem, że policja chciałby odsunąć od siebie wszystkie kłopotliwe sprawy, ale dobro państwa wymaga od nas szczególnego zaangażowania. Zwłaszcza w czasie brutalnej napaści Putina na sąsiedni kraj, i to w sytuacji, kiedy organy Unii Europejskiej nie rozumieją polskiej specyfiki i chcą nas karać za ideologiczne urojenia kilku sędziów nieprzyjmujących do wiadomości sensu demokracji.

Poprawiła apaszkę.

– Co mają do tego sędziowie? – zdziwił się Leśmian.

– Pan chyba sobie nie zdaje sprawy, jak rozdmuchałyby to tak zwane wolne media, gdyby się dowiedziały, że polska policja nie chce badać sprawy zamordowania legalnie działającego przedsiębiorcy, bo boi się powiązania ze sprawą rzekomego wykorzystania programów szpiegujących przeciwko liderom opozycji. To byłaby dopiero woda na polityczny młyn!

Leśmian wcisnął się w oparcie fotela, jakby w nadziei, że tam jej słowa będą mniej dotkliwe.

– To by zaszkodziło Polsce! – dodała zaczepnie. Leśmian patrzył na jej rozcapierzone palce. Każdy paznokieć w innym odcieniu żółci i błękitu.

Chrząknęła znacząco, więc podniósł na nią wzrok.

– Teraz, kiedy Putin u bram, panie młodszy inspektorze, nie pora na kopanie się pod stołem z jakimś…

– Inspektorze – bąknął Leśmian.

– Słucham?

– Inspektorze. – Leśmian wyprostował się odrobinę. – Za sprawę tej narzeczonej pana Roberta Kowalskiego otrzymałem awans, powinna pani o tym wiedzieć.

– Ach, to pan… – Rysy jej twarzy złagodniały.

– No. – Leśmian poprawił się w fotelu. – W zasadzie to moi ludzie. Ja im tylko zapewniam właściwe warunki pracy.

To była delikatna robota. Robert Kowalski, legenda walki o wolną Polskę, kandydował z poparciem opozycji w wyborach prezydenckich, gdy w zapomnianym bunkrze przypadkiem odnaleziono zmumifikowane ciało jego dawnej narzeczonej z młodości. Sprawę rozwikłali Serbia z Kosińskim, ale tak to już jest w mundurowej służbie, że awans dostają w pierwszej kolejności najbardziej potrzebni władzy, a w policji panował niedobór oficerów wysokiej szarży. Wysocy stopniem, doświadczeni policjanci odeszli ze służby kilka lat wcześniej, kiedy PiS wziął się za obniżanie emerytur funkcjonariuszom, którzy rozpoczęli służbę w słusznie minionych czasach reżimu Jaruzelskiego albo jeszcze wcześniej.

Awans Leśmiana, nowego w stolicy, nieobrosłego polipem prywatnych powiązań przybysza z Dolnego Śląska, bardzo poprawił Excela z wykazami promocji w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

– Nie będę ukrywał, że poczułbym się dużo lepiej, gdyby policja mogła od siebie odsunąć tę sprawę. – Leśmian wykorzystał chwilę, kiedy Bałucka opuściła gardę. – Skoro pojawia się w tle Pegasus, to są przesłanki, żeby zajęły się tym służby o innych niż nasze prerogatywach.

– Niech pan nie przesadza. – Bałucka zabębniła paznokciami w blat stołu. – Na razie mamy co? Jednego trupa w ubraniu szytym na miarę. Nie znamy motywu. Może to był zwykły napad rabunkowy?

– No, niech pani nie przesadza, przecież miał portfel, telefon, zegarek, kluczyki do samochodu. Zresztą byle obszczymur nie zabija człowieka długopisem, bo nie wie jak.

– Oj tam, oj tam, nie ma żadnych przesłanek, żeby sądzić, że zabójstwo ma związek z Pegasusem. To, że nazwa firmy pojawia się w jakichś artykułach prasowych w związku z zakupem oprogramowania przez uprawnione do tego organy Rzeczpospolitej, może nie mieć ze sprawą żadnego związku. Najpewniej nie ma.

– Skąd taka pewność?

– Bo cała ta sprawa z Pegasusem, przekona się pan, jest dęta. To polityczna zagrywka opozycji i ich ulubionego mecenasa, na którym zresztą ciążą poważne zarzuty.

Leśmian poczuł, że traci cierpliwość. Zaczął nerwowo pocierać czoło rękami.

– Ale ja mam złe przeczucia.

– A od kiedy to policja kieruje się przeczuciami?

– Od zawsze, nie czyta pani kryminałów? Netflixa nie ogląda? Nie wie pani, że dla psa najważniejszy jest nos?

– Ha, ha, ha – zaśmiała się nieszczerze. – No i co on panu mówi?

– Żeby go w tę sprawę nie wtykać. Co!? Premiera mam wzywać na świadka? – Rozłożył teatralnie ręce w geście bezradności. – Prezesa Kaczyńskiego?

– Jeżeli sądzi pan, że któryś z nich potrafiłby zabić dorosłego mężczyznę przy pomocy plastikowego długopisu, to chyba rzeczywiście powinien pan ich przesłuchać – zażartowała. – To ciekawa koncepcja. Naprawdę ciekawa. A poważnie, to niech pan pomyśli… Naprawdę pan sądzi, że możliwe jest w najjaśniejszej Rzeczpospolitej, żeby władza likwidowała opozycję przy pomocy wyszkolonego zabójcy? Bo tu się na pewno zgadzamy, że byle kto by tak człowieka nie urządził, prawda? Zresztą, jak słyszę, to pańscy ludzie mają doświadczenie w sprawach, w których nasz świat spotyka się ze światem polityki. Kim są ci pańscy ludzie? Czy to nie ta… Suszczyńska?

– Tak, to Serbia robiła tę sprawę.

– Serbia? Co za dziwne przezwisko. – Bałucka westchnęła z rozczarowaniem. – Że taka uciśniona jak kobiety w więzieniu na Pawiaku?

– A nie. Powiem pani, że nie. W przestępczej gwarze oznacza to po prostu kogoś, kto nie jest z miasta. Po cywilnemu to by było „słoik".

– Aaaa… – Prokurator się uśmiechnęła. – Kolejna ambitna dziewczyna z prowincji, bez męża, bez dzieci, z psem i kubkiem latte na sojowym?

– Nie. Ona akurat ma dziecko. I pije chyba ze zwykłym mlekiem.

Bałucka wzruszyła ramionami.

– Ważne, że ma dobrą rękę do polityków. – Była zadowolona, że dobili targu i Leśmian nie będzie się już próbował wymigać od roboty. – I że potrafi rozmawiać ich językiem.

– To akurat prawda. Pyskuje tylko do swoich.

– No, widzi pan. I dyskretna jest, nie lata do telewizji, prawda?

Pokiwał głową po raz kolejny.

– I opozycja ma do niej zaufanie, bo sprawa tej narzeczonej Kowalskiego nie wypłynęła. Jest idealna.

Bałucka spojrzała na zegarek.

– Niech pan zamówi cztery kawy, dla mnie bez cukru, z mlekiem sojowym, zanim oni przyjdą, a zostało pięć minut, akurat tyle, żebym w spokoju wypaliła papierosa.

Bałucka zapaliła i ostentacyjnie sięgnęła po smartfon, żeby przejrzeć Instagrama. Leśmian poczłapał ciężko do sekretariatu, żeby zaordynować kawę i znaleźć jakąś popielniczkę. Był zły. Nie pozwalał nikomu palić w swoim gabinecie. Jeszcze bardziej zły, bo wygadał się Bałuckiej, że ma dzisiaj wysłuchać, co Kosiński ustalił w sprawie udziału firmy Pawłowskiego w rządowym kontrakcie na zakup Pegasusa.

A najbardziej zły był na siebie, że okazał się mało asertywny. Ale właściwie co miał powiedzieć? Wiedział, że gdzieś tam grzeją się już telefony i ani Agencja Wywiadu, ani żadna inna nie da sobie podrzucić tego trupa.

Szlag by to trafił.

Piętnaście minut później Leśmian słuchał prezentacji, którą przygotował Kosiński, i tęsknił za czasami, kiedy szef po prostu mówił ludziom, co jest do zrobienia, a oni mu raportowali, co się udało ogarnąć, i nie trzeba było siedzieć na prezentacjach jak w jakimś banku. Mieli już za sobą część teoretyczną. Kosiński przypomniał, że Pegasus to opracowany przez izraelskiego producenta NSO Group Technologies system szpiegujący niemal wszystkie aplikacje na smartfonach, na których jest zainstalowany. Że potrafi wykraść lokalizację, rejestr połączeń, wszelkie hasła dostępu, podsłuchiwać dźwięk i rejestrować obraz z kamerki. No i że pozwala na czytanie mejli, korzystanie z komunikatorów i przeglądanie wszystkich zapisanych w pamięci dokumentów, także zdjęć.

Potem było kilka kwestii technologicznych. Leśmian usłyszał, że aby program zainstalował się na telefonie, nie trzeba klikać żadnego linku, wystarczy wyświetlić komunikat w Messengerze czy WhatsAppie lub odebrać połączenie telefoniczne z sygnałem inicjującym jego działanie.

Osobny slajd o zapewnieniach, że system jest niewykrywalny wraz z informacją, że w styczniu 2022 roku prezes NSO Asher Lewi zrezygnował ze stanowiska po tym, jak interdyscyplinarne laboratorium z Uniwersytetu w Toronto, Citizen Lab, oświadczyło, że rządy i służby kilkudziesięciu krajów miały używać tego oprogramowania w celu inwigilacji działaczy NGO, dziennikarzy, prawników i, na przykład w Polsce, polityków opozycji.

Kosiński zrelacjonował, co Citizen Lab odkrył na temat Pegasusa. Pierwsze poważne ostrzeżenia dotyczyły śladów, że marokańskie służby podsłuchiwały prezydenta Francji, co spowodowało ochłodzenie stosunków bilateralnych pomiędzy tymi państwami. Potem pojawiły się podejrzenia, że ktoś podsłuchuje w Europie niezależnych dziennikarzy – Ursula von der Leyen wypowiedziała się oficjalnie na ten temat, ale sprawa szybko ucichła. Potem Kosiński wyświetlił slajdy z byłym ministrem Nowakiem, mecenasem Giertychem, prokurator Wrzosek i opozycyjnym posłem Brejzą, którzy także mieli być, zdaniem Citizen Lab, poddani inwigilacji za pomocą Pegasusa. Najpoważniejsze doniesienia dotyczyły posła Brejzy, bo w czasie, kiedy go podsłuchiwano, był szefem sztabu wyborczego największej opozycyjnej partii w parlamencie. Gdyby podejrzenia się potwierdziły, byłby to dla opozycji poważny argument do unieważnienia wyborów.

Kiedy Kosiński pokazał slajd ze składem senackiej komisji do zbadania afery Pegasusa, Leśmian musiał rozluźnić krawat. Znowu poczuł się źle. Było jasne, że sprawa przycichła tylko dlatego, że wybuchła wojna, ale przed wyborami opozycja do tego wróci. Następny slajd sprawił, że zabolał go brzuch. Dotyczył informacji o przygotowaniach do powołania komisji europejskiej do spraw Pegasusa. Kolejny slajd dotyczył źródeł finansowania Citizen Lab.

– Organizacja, która w błyskawiczny sposób doprowadziła do destabilizacji i tak napiętej wewnętrznej sytuacji w Polsce, jest finansowana z dotacji kilku funduszy i wpłat prywatnych osób. Nie można ustalić wszystkich źródeł finasowania, bo struktura Citizen Lab pozwala im na użycie formuły *and others donators* – referował Kosiński – ale jak wynika ze sprawozdań finansowych, jednymi z większych donatorów są Open Society Foundations George'a Sorosa i Ford Foundation.

Ostatni slajd był poświęcony Piotrowi Pawłowskiemu. Kosiński wyświetlił fotografie trzech członków zarządu Em Fields Investments. Prezes profesor Joachim Ziegler, członek zarządu Piotr Pawłowski i sekretarz zarządu mecenas Jakub Ritter.

– Po wybuchu afery Pegasusa dziennikarze prześcigali się w próbach rozszyfrowania szczegółów transakcji pomiędzy ABW a NSO – kontynuował Kosiński. – Przodowała w tym „Gazeta Wyborcza", rzucając podejrzenia na spółkę Matic zaangażowaną w kwestie cyberbezpieczeństwa służb i armii. Chodziło o to, żeby przystosować system do działania w polskim środowisku językowym i zająć się kwestiami eksploatacyjnymi. W doniesieniach prasowych pojawia się także Em Fields Investments jako domniemamy pośrednik pomiędzy polskimi nabywcami a izraelskim operatorem Pegasusa.

No i to było wszystko.

– Bardzo dobrze się pan spisał. – Zanim Leśmian pozbierał słowa, Bałucka wzięła na siebie rolę prowadzącej: – Znakomicie. Jak widzimy, sprawa z rzekomym użyciem Pegasusa nie jest oczywista. Nie ma jednoznacznych dowodów na jego użycie, są za to niejasne źródła finansowania Citizen Lab. To podejrzana instytucja. Sądzicie, że mogłaby działać bezkarnie pod bokiem CIA?

Popatrzyli po sobie, nie bardzo wiedząc, o co chodzi pani prokurator.

– No sami widzicie, że to dziwne, na szczęście nas nie dotyczy. Nas interesuje, kto zabił Pawłowskiego. I co możecie mi na ten temat powiedzieć. Serbia?

Olga drgnęła, jakby ktoś ją znienacka wywołał do tablicy.

– Rozpoczęliśmy rutynowe czynności. – Skrzywiła się, widząc, jak Bałucka gromi ją wzrokiem. – Nie w sensie, że rutyna, że się nie przykładamy, ale że wdrożyliśmy… pełen wachlarz działań, które przybliżą nas do rozwiązania sprawy.

– Proszę, proszę. – Leśmian wykorzystał chwilę, żeby włączyć się do rozmowy. – Powiedz nam, co już ustaliście.

Serbia spojrzała na zegarek.

– No co, co…? Czynności podjęliśmy. Kosiński zrobił nam wykład o Pegasusie, dzielnicowy stuka od drzwi do drzwi na Bednarskiej, tam niewielu ludzi mieszka, zadziwiająco cicha uliczka jak na Śródmieście, chłopaki przeglądają zapisy z kamer w Zamku, to pewnie potrwa, bo dużo mamy materiału…

– Podejrzewacie, że zabójca też był na spotkaniu z prezydentem Bidenem? – zapytała Bałucka.

– Na razie nie wykluczamy żadnej możliwości. – Serbia znowu spojrzała na zegarek, tym razem bardziej ostentacyjnie. – Za jakąś godzinę spotykam się z Ritterem w jego kancelarii na Saskiej Kępie. Kosiński pojedzie do żony Pawłowskiego. Za pierwszym razem była w szoku, ale może już jest trochę lepiej. I co? Czekamy na wyniki badań. Laboratorium. Narzędzie zbrodni…

– Ożeż! – Leśmian drgnął, kiedy jego telefon zaczął nagle podskakiwać po blacie biurka. Odebrał.

– Tak, a co z monitoringiem z Bednarskiej? – Bałucka kontynuowała kierowanie posiedzeniem z wyraźną satysfakcją.

– Akurat tam nikt nie miał powodu, żeby zainstalować monitoring. Na ulicy prawie nie ma ruchu, nie ma czynnych lokali, nic.

– Cholera, czyli niewiele mamy.

Serbia pokiwała głową.

– Ja pierdolę – westchnął Leśmian.

Wszystkie oczy skierowały się na niego.

Kiwał głową w milczeniu, słuchając kogoś po drugiej stronie, i coraz bardziej pocił się na czole.

Czekali.

– Mamy drugiego trupa z długopisem w gardle – powiedział, kiedy skończył. – Sam w to nie wierzę. To mecenas Ritter.

Rozdział 4

– No nie wierzę. Przecież mecenas Ritter to nie jest byle kto, proszę pani prokurator, to jest bardzo porządny, wykształcony człowiek, człowiek wielkich zasług dla demokracji, wolności, dla praworządności, proszę pani. – Kazimierz Kijewski, osobisty, jak podkreślał, szofer, a nie kierowca pana mecenasa, wpadł w słowotok, którego Bałucka nawet nie próbowała przerwać.

Kiedy przyjechały, siedział przy kuchennym stole nad kubkiem kawy. Kosztowny, ale nienachalny ekspres stał na długim blacie obok kilku innych kulinarnych urządzeń, których przeznaczenia Olga mogła się tylko domyślać. W szafki wbudowane były kuchenka mikrofalowa i piekarnik. Wszystko sprawiało wrażenie kosztownej dekoracji, ale kuchnia musiała być używana, zmywarka pracowała.

– Nie wyobraża sobie pani, czym byłby ten kraj, gdyby nie ludzie tacy jak mecenas Ritter, nie wyobraża sobie pani nawet, do jakich podłości zdolni są ci pozbawieni godności i instynktu samozachowawczego ludzie, którzy dokonali zamachu na naszą wolność. – Kijewski sięgnął po porcelanową filiżankę i zanurzył usta w puszystej piance.

Serbia dostrzegła, że na szyi Bałuckiej pulsuje czerwona żyłka. Wolałaby być tutaj sama, bez tej wypindrzonej, zadzierającej nosa wiedźmy, ale co było robić? Prokurator uparła się jechać z Olgą i Kosińskim na Saską Kępę i nie było rady. Kosa musiał wcisnąć swoje długie, chude ciało na tylną kanapę. Na szczęście Bałucka nie pouczała Olgi, kiedy skręcać, a kiedy zwalniać.

Na miejscu była już ekipa techniczna, była trupiarnia i nawet jakiś młodzian z prokuratury, któremu Bałucka kazała „spierdalać w podskokach". Kijewski od razu dostrzegł, kto tu ma prawdziwą władzę, i od tej pory wszystko, co mówił, kierował do Bałuckiej.

– A więc to pan znalazł ciało? – weszła mu w słowo, kiedy tylko zanurzył usta w kawie.

– Oczywiście, a któż inny mógłby je znaleźć? Mecenas mieszkał sam, czasami odwiedzały go przyjaciółki, owszem, ale wszystkim tutaj zajmuję się ja.

– O której pan znalazł ciało? – Serbia nie mogła oddać pani prokurator kolejnej piłki.

– O dziewiątej piętnaście – powiedział Kijewski, nawet nie patrząc w kierunku Serbii. – Miałem być na dziewiątą, więc byłem na dziewiątą. Zebrałem rzeczy do zmywarki, nastawiłem kawę, dałem jeść Melchiorowi i zastukałem do sypialnego.

– Kim jest Melchior? – Prokurator Bałucka podjęła rękawicę. Nie może być dwóch kapitanów w ich nagle powstałym zespole.

– Melchior, proszę pani, jest wyjątkową żywą istotą, to proszę pani jest peterbald.

Kijewski znacząco zawiesił głos.

– Kto?

– Kot – powiedziała Serbia. – To taki wstrętny kot, który nie ma sierści.

Bałucka spojrzała na Olgę.

– Mam dziecko. Kiedy byłam w ciąży, dużo czytałam o alergiach. Jeśli dziecko ma alergię na koty, peterbald nadaje się idealnie.

– No i?

– No i co? – Olga nie zrozumiała.

– Ma alergię? Dziecko?

– Nie, nie ma, wszystko w porządku. – Serbia poczuła do Bałuckiej odrobinę sympatii. Odwróciła się do Kijewskiego.

– A kiedy wkładał pan naczynia do zmywarki, to jakie to były naczynia?

– Normalne, jak po kolacji. – Zrobił w kierunku Olgi teatralny gest zniecierpliwienia. – Gotowanie to pasja mecenasa. Wczoraj wieczorem przygotowywał karczochy. Przygotowanie karczochów to nie jest zabawa. – Wpatrzył się w Bałucką. – Trzeba górną część wycinać pod kątem, a potem otwierać, jakby to był kwiat, i dopiero wtedy wyjąć ze środka tę włochatą część. Niewielu to potrafi. Ignorancja nowobogackich jest powszechna. Ludzie mają się za elitę, ale wszystko potrafią spospolitować, powiem pani. Wszystko. Myślą, że kupią karczochy w jakimś markecie, przetną na pół, obgotują i…

– Ile było nakryć? – przerwała mu Serbia. – Pamięta pan?

– Dwa. – Kijewski załamał nad nią ręce.

– Miał gościa – mruknęła Bałucka. – Ciekawe, czy to była kobieta, czy mężczyzna.

– Moim zdaniem, a radziłbym wziąć pod uwagę opinię doświadczonego człowieka – wtrącił Kijewski – gościem był mężczyzna.

– Wie pan kto? – Bałucka przekrzywiła głowę jak dziecko na widok czegoś, co widzi po raz pierwszy.

– Niestety, nie zostałem o tym powiadomiony. Ale nie mam o to pretensji. Pan mecenas ma swoje sprawy, a ja mam swoje.

– Co pan robił wczoraj wieczorem? – Serbia traciła cierpliwość.

– W dniu wczorajszym o godzinie szesnastej przywiozłem panu mecenasowi karczochy, świeżą bazylię i czosnek, po czym otrzymałem polecenie, żebym był dzisiaj rano o dziewiątej, jak zwykle.

– Skąd pan wie, że to był mężczyzna? – Bałucka oglądała swoje paznokcie.

– Kobiety, proszę pani, pozostawiają na brzegu pucharu ślad szminki. Mężczyźni zaś tego nie czynią.

– Czyli śladów szminki nie było… – podsumowała Bałucka.

– Odcisków palców też nie będzie, skoro wszystko wsadził pan do zmywarki – syknęła Olga.

– I tak nie byłoby tam żadnych odcisków palców. – Wzruszył ramionami Kijewski.

– Jak to?

– Czy sądzi pani, że ktoś, kto potrafi za pomocą długopisu wbitego w gardło pozbawić życia dojrzałego, ale nad wyraz dbającego o siebie mężczyznę, pozostawia po sobie jakiekolwiek ślady?

– Ciekawe spostrzeżenie jak na… – mruknęła Serbia.

– Kieruje się pani stereotypami. – Kijewski spojrzał na nią kpiąco. – To typowe dla waszej kategorii. Patrzy pani na mnie i myśli sobie „szofer". Ha!

– To kim pan jest w takim razie?

– Szoferem. Tak. Poza tym jestem emerytem.

Zacisnął usta.

– Więc znalazł pan ciało o dziewiątej piętnaście? – Bałucka podjęła temat.

– Może kilka minut później. O dziewiątej piętnaście zapukałem po raz pierwszy. Potem zapukałem drugi raz i trzeci. Nie jest w dobrym tonie wchodzić, zanim się usłyszy „proszę".

– No tak, zwłaszcza że jak pan wspomniał, mecenasa odwiedzały czasem kobiety – zauważyła Serbia.

– Rzeczywiście mogłem to powiedzieć. – Kijewski uniósł brew i Olga pomyślała, że oto ma pierwszy punkt.

– A potem co?

– Potem wszedłem. To wszystko. Niczego nie dotykałem. Zadzwoniłem na dziewięć dziewięć siedem.

– Nie na sto dwanaście?

– Ano nie.

– Siła przyzwyczajenia. – Olga uśmiechnęła się pod nosem, widząc, jak przez twarz Kijewskiego przebiegł cień. Zdaje się, że zdobyła drugi punkt.

– No dobrze. – Bałucka poczuła zniecierpliwienie. – Chodźmy popatrzeć na trupa. Pan zostaje. Proszę się rozkoszować kawą.

Kijewski z dezaprobatą pokręcił głową.

Sypialnia była olbrzymia. Trzej technicy mieli dość miejsca na wszystkie swoje zabawki. Ściany zajmowały półki z książkami i wnęka na wieżę hi-fi w stylu lat dziewięćdziesiątych z gramofonem. Na dolnym piętrze półek stały płyty winylowe. Nie było telewizora. Na szerokim, dość wysokim łóżku leżał na wznak, z ramionami wzdłuż ciała, mecenas Ritter. Całkowicie ubrany. Biała koszula, wełniane spodnie, miękkie trzewiki, na idealnie czystej podeszwie.

Przy łóżku stała tylko jedna nocna szafka. Olga pomyślała, że mecenas nie zamierzał z żadną z odwiedzających go kobiet tworzyć trwalszej relacji.

– Popatrz, Serbia. – Bałucka kiwnęła na policjantkę. – Perfekcyjne pchnięcie.

Olga zignorowała to „Serbia". Pochyliła się nad łóżkiem.

Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby nie miała wątpliwości. To musiał być ten sam sprawca. Idealne pchnięcie.

– Co macie? – zwróciła się do techników. – Są jakieś ślady walki, włamania, cokolwiek?

– Nic nie ma. – Ten wyższy wzruszył ramionami. – Przy zamku do bramy na posesję nikt nie manipulował, przy drzwiach wejściowych też nikt. Alarm się nie uruchomił, śladów walki brak, odcisków palców brak.

– Jest tu jakiś monitoring?

– Jest. – Technik wskazał palcem na mały obiektyw ukryty w cieniu regału z książkami. – Ale wygląda na to, że kamera nie działa.

– Skąd to przypuszczenie? – Serbia wspięła się na palce, żeby się przyjrzeć urządzeniu.

– Nie świeci się żadna dioda. A alarm, jak wiadomo, ma funkcję odstraszania i dioda powinna zwracać na siebie uwagę.

– No chyba że pan mecenas nie chciał płoszyć swojego gościa – wtrącił Kosiński. – Może nagrywał te kobiety?

– Przy pomocy monitoringu, do którego dostęp mają ci ochroniarze z… No właśnie, jak się nazywa ta firma?

– Al Amin. – Niższy technik wskazał nalepkę na szybie. Potrafił czytać w lustrzanym odbiciu. – Kurwa, co za nazwa, co nie? Już ciapatym nie wystarcza Uber Eats.

Bałucka spojrzała na Olgę ze zdziwieniem, ale obie zignorowały tę uwagę.

– Telefon jest?

– Jest – powiedział technik.

– Kosa, zadzwoń do nich i sprawdź, dlaczego kamera nie nagrywa, okej? I przepytaj… – Urwała, bo właśnie w tej chwili poczuła wibrowanie w kieszeni. Wyjęła telefon. To był Szymon. Jak nie dzwoni, to nie dzwoni, a jak dzwoni, to zawsze nie w porę. Przeklęła w duchu. Nie mogła teraz po prostu wyjść z miejsca zbrodni i rozmawiać o… No właśnie? O czym? Odrzuciła połączenie.

– Czyli co? – zapytał Kosiński.

– Sąsiadów popytaj. To rzadko uczęszczana ulica, może ktoś coś widział. Może z psem szedł, nie wiem. Cokolwiek dziwnego. Co ci będę tłumaczyła.

– W porządku. Zaraz idę.

– Jest jedna dziwna sprawa – powiedział drugi z techników.

Znowu wibrowanie telefonu.

– Taaak? – Była już zirytowana. Szymon powinien rozumieć, kiedy „nie" znaczy „nie".

– To ułożenie ciała, niech pani spojrzy, pani podkomisarz.

– Co z nim nie tak? – Olga nie mogła się skupić. Czego Szymon mógł chcieć? Akurat teraz? Może przyjechał? Może się wreszcie ogarnął, może…

– Mnie się zdaje, pewności nie mam, że on nie tu umarł. – Młodszy technik wskazał na łóżko. – Ten gość, zabójca, musiał go ułożyć albo przynajmniej musiał tu wszystko poprawić, no nie wiem, jak to powiedzieć? – Pokazał ręką na łóżko.

Rzeczywiście, że też od razu tego nie dostrzegła. Łóżko było idealnie zaścielone. Nie było żadnych fałd, narzuta miała idealną, nieporuszoną powierzchnię. Zabójca ułożył ciało Rittera, a potem wygładził wszystkie zagniecenia.

– Dziwne, co nie? – Olga spojrzała na Bałucką. – Zabił go w innym miejscu, przeniósł i ułożył? Czy raczej leżeli razem na łóżku?

– No proszę cię. Oczywiście, że go przeniósł. Myślisz, że to wariat?

– Obsesja porządku to jeszcze nie szaleństwo. Doktor Kulczyk nie robił interesów z ludźmi, którzy mieli bałagan na biurku. Uważał, że jeśli ktoś nie potrafi mieć porządku wokół siebie, to nie umie mieć go w głowie.

– Znałaś go?

– Nie, po prostu sporo czytam.

– Więc nie wariat?

– Czy mecenas Ritter sprawia wrażenie człowieka, który wpuszcza do domu wariata i na wszelki wypadek, żeby ukryć ślady jego pobytu, wyłącza monitoring?

– Nie mamy pewności co do tego, że wyłączył.

– Raczej on, no bo kto? Moim zdaniem nie wpuściłby wariata.

– Kogo by wpuścił? Zakładając, że wyłączył kamerę?

– A kto wymaga od prawnika dyskrecji?

– Przyjaciel? – Bałucka się uśmiechnęła.

– Ja bym powiedziała, że klient.

– A… Trzeba więc sprawdzić billingi pana mecenasa. Od tego bym zaczęła. No i… – Bałucka spojrzała na Olgę.

– No i trzeba dać ochronę temu trzeciemu. – Olga pojęła w lot. – Kosa, jak mu tam było, temu profesorowi?

Telefon zawibrował po raz trzeci. A więc to było ważne.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Olga wyszła do kuchni.

Kazimierz Kijewski zakrzątnął się koło ekspresu do kawy, ale Olga nie miała wielkich nadziei, że pomyśli i o niej.

– Co się stało? – Nie umiała ukryć zniecierpliwienia i od razu tego pożałowała.

– Przephaszam, że dzwonię, pewnie pomyślałaś, że to coś ważnego…

– Tak. Tak właśnie pomyślałam. – Głos jej zmiękł. – Nie odebrałam, bo jestem w pracy.

– Przephaszam. Nie chciałem cię odhywać, ale… no więc, to jakoś tam jest ważne, jestem… – Urwał.

– No powiedz wreszcie. – Nie wiedziała, czy ma go denerwować, czy jednak uspokajać. Nie wiedziała, jak rozmawiać z facetem, który kiedyś był jej najbliższy na świecie. A teraz? Teraz nie wiedziała już nic. Teraz chciała po prostu usłyszeć, że przyjechał.

– Gdzie jesteś? – zapytała. – Możesz zadzwonić domofonem, Nastia cię wpuści…

– Nie, nie przyjechałem, przephaszam, jestem we Whocławiu, bo właśnie mam tu tyle sphaw…

– Serio?! – Przerwała mu wściekła. – Nie odzywasz się tygodniami, a kiedy dzwonisz, to tylko po to, żeby mi powiedzieć, kurwa jego mać, że masz tyle spraw?

Wyłączyła telefon.

– Z mlekiem czy bez mleka? – zapytał pan Kazimierz.

Rozdział 5

– Z mlekiem czy bez? – zapytała Olga, a Nastia nie umiała ukryć, że jej przykro. Po roku znajomości Polka powinna zapamiętać przynajmniej tyle. Nastia myślała, że trochę są już przyjaciółkami. Widać była w błędzie.

– Cy bes – powtórzyła Kasia.

– Ty jeszcze kawy nie pijesz, ty pijesz mleko. – Nastia trzymała dziewczynkę na kolanach, żeby sięgała ponad stół tyle, ile trzeba, by dosięgnąć bez trudu wszystkich kredek. Bazgroły Kasi nie przypominały niczego konkretnego, ale miały sporo barw, a to ponoć dobrze.

– Och, przepraszam. – Olga otrząsnęła się z zamyślenia na tyle szybko, żeby jeszcze pochwycić cień w oczach Nastii. – Przecież wiem, jaką pijesz kawę. Przepraszam. Jestem wytrącona z równowagi.

Podeszła i wyciągnęła rękę, jakby chciała pogłaskać dziewczynę po włosach.

– To przez pracę, pani Olgo? – Nastia była twarda. Umiała szybko schować urazę, a teraz wydała się szczerze zatroskana, a to Olgę zwyczajnie wzruszyło.

Odkąd urodziła Kasię, nie była już taka twarda jak kiedyś. Jakby przestawała być Serbią. Może to starość idzie?

Nastia czekała na odpowiedź. Kasia też przestała rysować.

– Nie. To nie przez pracę.

– Znowu nie dzwonił? Wie pani, Olgo, ja to nie rozumiem, dlaczego ludzie nie dzwonią do siebie, chociaż mają prąd, mają zasięg, nie siedzą w piwnicy albo w jakimś bunkrze. Mój brat…

– Zadzwonił. Właśnie że zadzwonił… – Olga się zorientowała, że właśnie po raz drugi nie okazała Nastii szacunku.

Obie zamilkły.

– Nie kcem mlecka – powiedziała Kasia.

Przez chwilę było słychać tylko szuranie kredki po szorstkim papierze.

– Zaczniemy jeszcze raz? – poprosiła Olga.

Czajnik właśnie pstryknął na znak, że jest pełen wrzątku.

– Pani pierwsza, pani Olgo. – W głosie Nastii pobrzmiewała rezygnacja.

– Nie, ja naprawdę przepraszam. – Olga zalała jej czarną kawę.

– Nie kcem mlecka. – Kasia rzuciła wszystkie trzy kredki, które mieściły się w jej dłoni.

– Kochanie, mleko jest najlepsze. – Nastia pogłaskała dziewczynkę po włosach. – Niech pani mówi, Olgo.

– Zadzwonił. Nie zapytał o dziecko. Nie zapytał, co u nas. Nie zapytał, czy jesteśmy zdrowe. Nie powiedział, że przyjeżdża ani że wszystko przemyślał, że się już nie będzie bał.

Nastia milczała.

– Powiedział tylko, że ma mnóstwo spraw. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Nastia pokiwała głową.

Kasia próbowała dosięgnąć kubka Nastii, ale dziewczyna udawała, że lata nim, jakby to był śmigłowiec.

Wszystkie trzy zaczęły się uśmiechać.

– Włączę radio, może będzie jakaś muzyka?

– …ezydent Zełenski wygłosił przemówienie przed parlamentem Norwegii, apelował o zamknięcie europejskich portów dla rosyjskich statków. Szef ukraińskiej dyplomacji Dmytro Kułeba podziękował Polsce za jej międzynarodowe inicjatywy w sprawie Ukrainy i podkreślił, że Ukraina chce wyprzeć Rosjan z całego swojego terytorium. Mer Prymorska, Ołeksandr Koszalewycz oddał się w rosyjską niewolę w zamian za uwolnienie swojego ojca poinfor…

Pstryk.

To Nastia wyłączyła wiadomości.

Kasia siedziała jej na biodrze.

– Teraz ja.

Olga skinęła głową.

– Do mamy nie idzie dodzwonić się. „Abonent tymczasowo niedostupnyj”. Dzwoniłam pięćdziesiąt razy. Aż się wyczerpała bateria. Nie wiem, co tam… Słuchałam wiadomości, że Rosjanie bombardują cywilne samochody. Do brata nie idzie dodzwonić się. Wiadomości mówią, że Mariupol bombardują najgorzej – mówiła spokojnym głosem, kołysząc Kasię. – A Oksana, koleżanka z liceum, pisze, że teraz siedzą w schronie i wiążą na takiej siatce skrawki materiałów. Każdy w innym kolorze. Drą ubrania i przywiązują. To będą takie siatki maskujące, żeby się snajper mógł schować w trawie albo w lesie. I napełniają butelki naftą. Można tym podpalić czołg. I mówi, że jak Ruskie przychodzą, to gwałcą na śmierć.

– Na śmielć? – powtórzyła Kasia.

Wtedy Nastia się rozpłakała, a telefon w kieszeni Serbii zaczął dzwonić. Obie przez chwilę nie bardzo wiedziały, co począć.

– Niech pani odbierze, pani Olgo. – Nastia pociągnęła nosem. – A my wypijemy to mleko.

Telefon terkotał.

– Może ubierzesz Kasię i odprowadzimy cię do metra, co? Znowu zapracowałaś na nadgodziny. – Olga uśmiechnęła się przepraszająco i wyszła z kuchni.

Nie, to nie był Szymon. To Kosiński.

– Co tam, jak tam? – Wysiliła się, by brzmieć beztrosko.

– Co ty, szefowo, płaczesz?

Pomyślała, że on musi widzieć przez ściany.

– Tak – przyznała i w tej chwili przeszło jej przez myśl, że staje się za miękka do tej roboty. – Ale mam satysfakcję, że to słyszysz, to znak, że cię dobrze wychowałam. I że czas rzucić wszystko w cholerę i zostać instruktorką w Szczytnie. No, melduj.

– Odwiedziłem tego Al Amina, dowiedziałem się, co to znaczy.

Milczała.

– Co znaczy to słowo? – dodał lekko zniecierpliwiony.

– Czekam. I tak mi powiesz.

– Bezpieczny. Al Amin to po arabsku „bezpieczny". Jak się zapytałem, po co im arabska nazwa, to powiedzieli, że dzięki temu mają zlecenia tylko od wtajemniczonych. To droga usługa. Poza tym dziwne towarzystwo, trochę gangsterka, trochę starych ubeków.

– Co cię dziwi? Standard.

– Ale ci są w dużo, dużo lepszych garniturach niż konkurencja. I wszystko tam, jak to mówiła moja babcia, hifi.

– Czyli jak?

– No hajfaj. *High fidelity*. Mają taką operacyjną dyżurkę, jakby to oni tego Pegasusa obsługiwali osobiście.

– Ale czegoś się dowiedziałeś?

– Że rzeczywiście monitoring u Rittera jest bardzo nowoczesny, ale nic się nie nagrało.

– Dlaczego?

– Ktoś, kto znał hasła dostępu, wyłączył monitoring wczoraj około siedemnastej. Nie mógł tego zrobić nikt obcy, bo wtedy uruchomiłby się cichy alarm w firmie. To bardzo czuły sprzęt. Kilkupoziomowe, zaawansowane zabezpieczenia. Ritter musiał to sam wyłączyć.

– Skąd to przypuszczenie?

– Bo widzieliśmy zwłoki i nie wyglądało na to, żeby ktoś mecenasa torturował, żeby wycisnąć z niego kody. Zresztą wtedy byłoby coś tam jednak nagrane. A nie ma nic.

– Może go zaszantażował? Wiesz, że zabije rodzinę albo co.

– Tego nie wiemy. Na razie wiemy, że sam wyłączył. I że to mu się czasami zdarzało, operator nie był zaskoczony, pomyślał, że pan mecenas potrzebuje prywatności, bo odwiedza go jakaś kobieta.

Nagle Serbia poczuła, że jest jeszcze coś. Jeszcze jedna możliwość.

– A jeśli miał telefon na Pegasusie? – zapytała.

– To co?

– To mogli odczytać te wszystkie jego kody. Mógł je gdzieś tam przecież mieć zapisane.

– Kurwa. To by akurat mogli.

– Nie nagrałoby się, jak zabójca wchodzi do domu.

– No nie. Cały system jest obsługiwany z poziomu smartfona. Możesz być na innej półkuli i wpuszczać do domu, kogo chcesz. Smartfon mecenasa jest kluczem. Ale jeśli ma założonego Pegasusa, to może to zrobić każdy, kto ma dostęp.

– To się Leśmian nie ucieszy – westchnęła Olga. – Ani ta prokuratorzyca.

– Myślałem, że się lubicie – zaśmiał się Kosiński.

– A ty co taki wesoły?

– Bo ja z wanny dzwonię. Wiesz, co to wanna? Wiesz. Taka z hydromasażem.

– Z jakiej wanny? Pogięło cię?

– No, w takim hotelu na Okęciu jestem. Czasami tu przyjeżdżam dla odprężenia w ramach nagrody dla samego siebie, kiedy coś mi się w życiu uda.

– A co ci się udało tym razem? – zapytała z przekąsem.

– Znalazłem świadka, który widział gościa Rittera wczoraj wieczorem około dziewiętnastej. I mnie się zdaje, że to może być jakiś trop.

– O, szlag! Czekaj… Muszę zapalić chyba. Ale przecież nie palę, bo dziecko mam. – Była podekscytowana. Tak. Kosiński zasłużył na hydromasaż.

– Też się ucieszyłem.

– Wiarygodny ten świadek?

– Tak. Można powiedzieć, że resortowy.

Usiadła na parapecie, otworzyła okno. Już wiedziała, że nie wytrzyma. Poszła do łazienki i otworzyła skrzynkę z wodomierzem. Wsunęła dłoń do środka. Nic!

– Nie pytasz, co to znaczy? – Kosiński zdawał się odrobinę niecierpliwić.

– Pytam, pytam – wysapała. – Papierosów szukam.

Wreszcie wymacała paczkę. W środku były wysuszone na pieprz trzy sztuki i zapalniczka.

– Po powrocie z tego biura ochrony obszedłem sąsiadów. Tam jest tylko z dziesięć domów. W pierwszym nic, w drugim nic, ale w czwartym mi kobitka mówi, że widziała, jak od mecenasa Rittera wychodził o dziewiętnastej dziesięć pewien wysoki mężczyzna w dobrze skrojonym płaszczu, sylwetka ciała lekko pochylona, więc mógł być w zaawansowanym wieku, koloru włosów pani Ania nie jest w stanie określić, ponieważ był w kapeluszu. Zwróciła jednak uwagę, że utykał, a mimo to poruszał się z dziwną lekkością. Powiedziała, że kiedyś mógł być z niego niezły tancerz.

– Kurwa, jak dobrze. – Olga zaciągnęła się po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy.

– No, nieźle się spisała pani Ania, co?

– No, bardzo dobrze.

– Też ją pochwaliłem, a ona się uśmiecha i powiada, że zawodowo. No to ją pytam: „Oj, co ma pani na myśli?", a ona, że była w milicji. I dodaje, że na tej ulicy wszyscy są zawodowcami. Ciekawe, co nie?

Olga westchnęła. A potem pomyślała, że to jednak wstyd, że pali, a przecież Kasia… Na pewno to wyczują z Nastią. Rozejrzała się gorączkowo. Szlag, co teraz?

– Dobra, jesteś zuch. Czyli szukamy gościa, który kuleje, ale idzie, jakby tańczył. To może być coś, oczywiście jeśli ona nie zmyśla – pochwaliła Kosińskiego. – Tylko dupy sobie nie odmocz.

Potem wyszły z Kasią odprowadzić Nastię na plac Wilsona. Kiedy pożegnały ją przy wejściu do metra, Serbia pomyślała, że właśnie mijają dwa lata, a ona wciąż czuła się nieswojo, popychając wózek. Jakby kradła coś Ance, swojej córce, której nie uratowała.

Wciąż powracał ten sen. Ciężarówka uderza, samochód, którym jadą, przewraca się, obie wiszą w pasach głową w dół, z czoła Anki powolutku spływają kropelki krwi, mieszają się z białym proszkiem z rozerwanych poduszek. Wszystko jest oślepiająco białe, tylko ta krew czerwona, potem narasta blask i ciężarówka uderza w nie jeszcze raz. A potem widzi Ankę w białym świetle w korytarzu bez końca i wie, że dziewczynka mogłaby iść tam, gdzie pewnie istnieje jakiś rodzaj szczęścia, ale stoi w miejscu i patrzy, patrzy. Olga nie umie odczytać tego spojrzenia. Teraz Anka spogląda na swoje stopy. Olga idzie za tym wzrokiem i widzi, że jej dziecko nie ma butów. Nie może przecież bez butów iść całkiem sama.

Wtedy dzwoni telefon.

Olga rozgląda się nagle, to nie jest sen, stoi na światłach na palcu Wilsona, Kasia gada coś do siebie w wózku, nie ma tu żadnego białego światła, nie ma Anki, to było tylko wspomnienie. Ale telefon dzwoni naprawdę.

Olga sięga do kieszeni, to Szymon.

– Szymon – mówi do swojego byłego chłopaka. – Szymon, ona nie może iść przecież bez butków.

– Co mówisz, dziewczyno? – Nawet jeśli Szymon chciał zacząć beznamiętnie, twardo, jak to on, to jednak mówi teraz powoli, łagodnie, żeby nie spłoszyć Olgi, jakby znowu chciał ją przytulić.

– Tak. Zamyśliłam się. Wciąż mi się śni ten sen…

– Przephaszam… Nie wiem, co powiedzieć. Nie jesteś w domu? – Musiał usłyszeć hałas, bo sto szesnaście zazgrzytał sprzęgłem, nie wszystkie autobusy Warszawy są elektryczne.

– Wyszłyśmy na spacer, Kasia będzie lepiej spać, a mi potrzebne powietrze, mam w robocie zapierdol.

– Zapieldol – powtórzyła Kasia, a może Oldze tylko się zdawało.

– Hmm – odchrząknął. – Bo właśnie, nie denehwuj się, phoszę, wiem, że powinienem zapytać o Kasię, jak u was. Ja to wszystko wiem. – Zamilkł.

Poczuła, że jest mu trudno. Zawsze tak było. Z ich dwojga to ona nosiła spodnie. A on przywoził kwiaty. Kiedyś. Bo teraz nie przyjeżdża.

– No właśnie. Wiesz, ale nie dzwonisz. Nie interesujesz się, co u nas. Zapytałeś mnie kiedyś, czy Kasia zdrowa? Czy wszystko ma?

– No przecież… – zaczął.

– Kurwa, nie chodzi o pieniądze. Dlaczego wy, faceci, ciągle myślicie, że chodzi o pieniądze?

Szymon milczał. Słyszała, że oddycha chrapliwie, jakby po tym całym covidzie nie odzyskał normalnego oddechu.

Zaświeciło się zielone i ruszyła. Wózek szedł krzywo. Wciąż się nie nauczyła popychać go jedną ręką, Kasia chyba wyczuła jej zdenerwowanie, bo zaczęła się wiercić. Z naprzeciwka szedł facet z wielkim psem, który nerwowo ciągnął w stronę wózka, jakby chciał chapnąć dziecko. Olga poczuła, że traci cierpliwość.

– No mów – powiedziała z przekąsem – skoro zadałeś sobie już tyle pracy, żeby do mnie zadzwonić. To mów.

Milczał.

– Tylko na tyle cię stać, co? Dlaczego… – Na końcu języka miała pytanie, którego nigdy nie potrafiła mu zadać, ale właśnie wtedy nagle zrobiło jej się żal. I Kasi, że nie ma taty, i jej samej, że nie ma przy niej mężczyzny, którego przecież ciągle pragnęła. I jego, bo przecież rozumiała, że czasami sprawy same z siebie idą nie tak. Nikt nie planuje, że skrzywdzi kogoś, kogo kochał. Nawet jeśli kochał tylko przez chwilę.

– No mów, Szymon, mów. – Spróbowała cicho, najciszej, jak potrafiła. Tak, żeby tej rozmowy, jedynej nitki, jaka jeszcze między nimi istniała, nie zerwać.

Westchnął. A więc wciąż był po drugiej stronie.

– Ojciec nie żyje – powiedział wreszcie.

Zamurowało ją. Jak to? Człowiek, który wszystko mógł, mógł mieć każdą informację z archiwów, które zdaniem rządu nie istniały, bo spłonęły, kiedy upadała komuna, każdy numer telefonu nie tylko w Polsce, ale i w świecie, który, zdawało się, wszystkich znał, i nawet w czasie kwarantanny mógł wejść do zakaźnego szpitala na ściśle zamknięty oddział… nie żyje?

Cisza w słuchawce ciągnęła się zbyt długo.

– Zachorował? – spytała wreszcie. – Przecież nic nie mówiłeś, że choruje, ani ty, ani twoja mama, nic…

– Nie żyje – powiedział w końcu. – Tylko to jest teraz ważne.

Rozdział 6

– Nie żyje! – krzyknęła. – Tylko to jest teraz ważne. I nie ma żadnego znaczenia, że się nie znaliśmy. Jest, to znaczy… był ojcem mojego chłopaka. Mojego byłego chłopaka.

– O, co ja słyszę, to ty jednak miałaś chłopaka!? To nie była partenogeneza? – Leśmian naprawdę się zdenerwował. – Już nie jesteś samotną wilczycą?

– Waderą. – Poczerwieniała. Zaczynała już nawet lubić tego pisowca, ale teraz dopiekł jej do żywego.

– Jaką, kurwa, waderą?

Zrobiła głęboki wdech. Uczyli ich w Szczytnie, jak sobie radzić ze stresem.

– Nie mówi się wilczyca, tylko wadera – powiedziała powoli i spokojnie, jakby mówiła do pijanego chuligana z rozbitą butelką w dłoni. – Nie ma sensu ciągnąć tej kłótni. Należy mi się okolicznościowy urlop zapewne…

– Na pogrzeb kogoś z rodziny by się należał. – Leśmian stygł, ale testosteron jeszcze w nim buzował. – A nie tego ubeka, kurwa.

Serbia westchnęła teatralnie. Chciała odpuścić, ale nie wytrzymała.

– To był dziadek mojej córki – wycedziła.

Nie chciała, żeby ktokolwiek o tym wiedział. A już z pewnością nie jej przełożony. Powiesz mu coś i nie masz pewności, czy tego nie powtórzy na odprawie. Nie było jej potrzebne rozgrzebywanie przeszłości starego Felińskiego. Wiedziała, że ojciec Szymona miał za sobą ciekawe życie, że pracował z agenturą obcych krajów, kiedyś bliskich Peerelowi, że angażował się w operację Most, tajny przerzut kilkudziesięciu tysięcy Żydów z terenów byłego ZSRR do Izraela przez Polskę, ale też, że w każdej chwili mógł zadzwonić do Moskwy, żeby jakiś emerytowany członek generał załatwił mu zaproszenie na premierę w Teatrze Bolszoj. I że czterdzieści lat temu nie stał po tej samej stronie co Wałęsa, Michnik czy Mazowiecki. Ale co to zmieniało?

Leśmian perorował, że ma dwa trupy w kostnicy i seryjnego zabójcę na ulicach miasta oraz podejrzenia, że to ma jakiś związek ze sprawą Pegasusa.

– Był, kim był, nie wnikam. Nie żyje i już ojczyźnie ani nie pomoże, ani nie zaszkodzi. Demokracji też nie. Jutro pogrzeb. Muszę pojechać – przerwała mu.

– Kurwa, dziewczyno, gdzie twoja odpowiedzialność? – Leśmian poczuł, że poci się pod pachami. – Ja rozumiem, że pogrzeb, ale przecież pogrzeb trupowi życia nie przywróci.

– Dokładnie – potaknęła. – Tym dwóm trupom w kostnicy też już nic nie pomoże.

– Ty udajesz czy naprawdę nie rozumiesz? – Podszedł do swojego biurka, wziął stamtąd gazetę i podsunął jej pod oczy. To była „Rzeczpospolita".

– Co mam rozumieć?

– Tu! – Zaczął się szarpać z płachtą. Po chwili znalazł. – Czytaj.

Podsunął jej przed oczy i pokazał palcem.

Tytuł brzmiał: „Wysocy urzędnicy UE stanowili cel izraelskiego oprogramowania szpiegującego". Czytała, że „wyżsi urzędnicy w Komisji Europejskiej byli w zeszłym roku inwigilowani za pomocą izraelskiego oprogramowania szpiegowskiego – informuje Reuters, powołując się na dwóch anonimowych przedstawicieli KE…"

– No i? – Podniosła wzrok na szefa.

– No i to, że ten rzekomo podsłuchiwany Didier Reynders to właśnie komisarz sprawiedliwości! A kto toczy wojnę z naszym ministrem sprawiedliwości? No, właśnie on! Rozumiesz? Wiesz, co się będzie działo, jak opozycja to wyczuje i rozdmucha, że to Polska, Ziobro, ABW i policja podsłuchiwały unijnych komisarzy? Jesteś mi potrzebna na miejscu!

– Jestem potrzebna człowiekowi, którego… którego kochałam. – Pokręciła głową.

– Dlaczego jesteś tak uparta? – Zrezygnowany opuścił ramiona.

Czekała. Znała Leśmiana i wiedziała, że potrzebuje chwili, żeby sobie poukładać w głowie kolejne scenariusze.

– Spierda… – Machnął ręką. – Jedź, zanim się rozmyślę. A ty – podniósł palec i wymierzył go w Kosińskiego – siadaj! Melduj, co macie o tych trupach.

Serbia zamknęła za sobą cichutko drzwi.

Kosiński przełknął ślinę.

– Mamy niewiele – powiedział. – Obaj zginęli od ciosu zwyczajnym, tanim długopisem BiC, żółtym z niebieską skuwką. Skuwek nie znaleźliśmy, może je gościu kolekcjonuje…

– Co to za przypuszczenie? – Leśmian oddarł spory fragment papierowego ręcznika z rolki, którą trzymał koło ekspresu do kawy, i wytarł sobie czoło. – Ale mnie wkurwiła – westchnął. – Co tam mówiłeś

z tymi skuwkami? Ta prokuratorka wydzwania, zaraz pewnie znowu tu przylezie, muszę coś mieć…

– Nie… ze skuwkami to żart…

– Nie mamy czasu na żarty!

– Ale seryjni mordercy mają czasami dziwne obyczaje.

– Ten tutaj wydaje ci się seryjnym mordercą?

– Nie. – Kosiński opuścił wzrok.

– A dlaczegóż to nie? – Leśmian był wkurzony i postanowił zrobić Kosińskiemu egzamin. Czuł, że to słabe, ale musiał odreagować.

– Bo ofiary powiązane są na kilka sposobów. Znali się, być może byli zaprzyjaźnieni, od lat prowadzili wspólne interesy. Zginęli w krótkim odstępie czasu.

– Przesłuchaliście rodziny?

– Tak, ale niewiele wiedzą. Ritter nie miał rodziny. Tylko tego Kazimierza. Kierowcę i sekretarza. Wszechwiedzący typ. Dziwny układ.

– Jak Wałęsa i Wachowski? – spytał Leśmian.

– Chyba tak. Słabo znam sprawę Wałęsy.

– A trzeci? Jak mu tam?

– Ziegler. Profesor Ziegler…

– Przesłuchaliście go?

Kosiński spojrzał na zegarek w telefonie.

– Będzie tu za godzinę.

– No masz! Nieprzesłuchany, a ona wyjeżdża! Ale zadbaliście o niego? Ochronę dostał?

– Od razu. Pod domem stoi nieoznakowany wóz, a jego ostrzegliśmy, żeby nie wychodził, zresztą dostał też prywatną ochronę od takiej firmy Al Amin, bo on również jest jej klientem.

– Też?

– Jak Ritter i Pawłowski.

– No to świetną mieli ochronę, skoro nie żyją. Uważasz, że zginęli z powodu Pegasusa?

– Nic na to bezpośrednio nie wskazuje, smartfony Pawłowskiego i Rittera są badane. Billingi było łatwo sprawdzić, ale w telefonach mają różne zabezpieczenia, hasła, chuje muje, to nie są zwyczajne smartfony, tylko całe komputery. Technicy próbują się w tym rozeznać, ale nie wiem, jak im pójdzie. No i wysłaliśmy też wniosek do tego Citizen Lab… Nie wiem, czy chodzi o Pegasusa, ale nie możemy tego w żadnym razie wykluczyć. Co jeszcze… No, Serbia napisała wniosek, żeby przejąć ich osobiste komputery, żeby przejrzeć ich mejle, może im ktoś groził, może się w tej sprawie kontaktowali, ale to się nie udało.

– Jak to?

– Bałucka odmówiła.

– Co napisała?

– Nic. Ale powiedziała, że po mejlach Dworczyka lepiej nie grzebać w tych komputerach. Smartfony to inna sprawa, są już w dokumentacji, mamy je, bo zostały znalezione na miejscu zbrodni.

– No właśnie, ta Bałucka… – Leśmian usiadł w fotelu i jego wzrok znowu padł na „Rzeczpospolitą”. – Żyć mi nie dają ci z ministerstwa, a Olga spierdala, zamiast przesłuchać tego profesora. No kur…! Zaraz przyjdzie Bałucka i co ja jej powiem?

– Może żeby wzięła na siebie przesłuchanie? – podsunął Kosiński. – Będzie mniej roboty z papierami, a ona mocno się zaangażowała, ucieszy się, jeśli ją pan poprosi.

Leśmian westchnął. Chłopak miał rację. Przynajmniej będzie miał Bałucką z głowy.

Godzinę później spokojny i zrelaksowany Leśmian patrzył przez lustro weneckie, jak Bałucka próbuje przyszpilić profesora, ale staruszek wił się niczym piskorz i jak dotąd jej wysiłki nie dawały żadnego rezultatu.

– Profesorze, ja wiem, że chodzi o obronność państwa i obowiązuje pana tajemnica, ale mamy do czynienia z morderstwem.

– Sądziłem, że nawet z dwoma morderstwami – mruknął.

Bałucka poczekała sekundę.

– Z dwoma morderstwami, więc sam pan rozumie, z tajemnicy zawodowej w obliczu zbrodni sąd pana zwolni i tak.

– A może jestem podejrzany? – Ziegler cmoknął z zadowolenia. – Uważa pani, pani prokurator, że człowiek w moim wieku zdolny jest do tego, żeby zadać sprawniejszemu od siebie śmierć za pomocą kawałka plastiku, który przebija czaszkę? Ritter może nie był atletą, pijak i amator cygar, ale Pawłowski bardzo dbał o kondycję…

Ziegler poprawił się na krześle. Długie palce zacisnął na rączce laski. Skóra dłoni była żółta jak pergamin i pokryta starczymi plamami.

– Nie upubliczniliśmy szczegółów tej zbrodni – zauważyła Bałucka. – Skąd pan wie, że kawałkiem plastiku?

– Skorzystałem z Pegasusa – powiedział starszy pan i delikatnie przekrzywił głowę w lewo.

– Mówi pan do protokołu i został pouczony o konsekwencjach. – Wytrzymała jego spojrzenie. – Konsekwencje mogą być bolesne.

– W moim wieku bolesne konsekwencje mam za każdym razem, kiedy jem surowe mięso – parsknął. – A ja bardzo lubię tatar pod setkę wódki.

– Czyli nie zależy panu na tym, żebyśmy wykryli, kto zabił pańskich przyjaciół?

– Czyli nie jestem podejrzany?

– Nie – przyznała z niechęcią.

– Błąd!

Podniosła na niego wzrok. Jej oczy, zazwyczaj bladoniebieskie, były teraz szare jak brzuch wieloryba.

– Błąd. – Profesor potarł sobie dłonią podbródek. – Wyklucza mnie pani na podstawie stereotypów. Uważa pani, że skoro ktoś ma osiemdziesiąt siedem lat i chodzi o lasce, to znaczy, że nie jest zdolny do użycia siły. Błąd. Proszę nigdy nie lekceważyć starszych panów. Zwłaszcza że po śmierci moich partnerów to ja przejmuję ich udziały w firmie, oczywiście po zabezpieczeniu interesów materialnych rodziny Piotra Pawłowskiego. Jakkolwiek by patrzeć, mam motyw, żeby się ich pozbyć.

Bałucka stłumiła gniew. Jak mogła o tym nie pomyśleć?

– Dlaczego pan mi o tym mówi?

– Powiedzmy, że to wyraz mojej dobrej woli. Lubiłem ich. Nie żebyśmy się jakoś szczególnie przyjaźnili, ale lubiłem ich. Chcę pomóc.

Pomyślała, że z nią pogrywa. I że musi dokładnie przejrzeć papiery tej ich firmy.

– Macie wrogów? – zapytała.

– Wyłącznie. W naszej branży nie chodzi o sympatie, ale o skuteczność. – Spojrzał na nią drwiącym wzrokiem. – Może pani kląć, jeśli to pani pomoże.

Przełknęła to. Nie z takimi cwaniakami miała już do czynienia.

– Nie boi się pan, że będzie następny?

– Jeśli to ja kazałem ich zabić, to czego mam się bać?

– A jeśli ktoś inny?

– Na przykład pani pryncypał?

Zdawało się jej, że profesor mrugnął. Nie, tak bezczelny chyba jednak by nie był.

– Czyli kto?

– Szanowny pan minister.

– Niech pan nie żartuje.

– A jeśli nie żartuję?

– Twierdzi pan, że członek rządu RP nastaje na życie Bogu ducha winnych obywateli najjaśniejszej Rzeczpospolitej, nasyłając na nich jakiegoś mordercę?

– Nie da się tego wykluczyć, prawda? – Profesor wzruszył ramionami. – Jak to szło? Nawet najbardziej nieprawdopodobna hipoteza może być prawdziwa, dopóki się jej jednoznacznie nie wykluczy… Jeśli te bzdury z TVN wziąć na poważnie, to okaże się, że pan minister też ma motyw, prawda? Poza tym żaden z moich kolegów nie był taki niewinny.

– Czyli nie pomoże mi pan?

– Tego nie powiedziałem. Wszystko zależy od tego, czy sobie zaufamy i czy zna pani właściwe pytania.

Bałucka musiała zapalić. Rozejrzała się nerwowo. Jej wzrok tylko na ułamek sekundy spoczął na zawieszonym pod sufitem czujniku dymu, ale Zieglerowi to wystarczyło.

– Ja też chętnie zapalę – powiedział. – A ten, kto obserwuje nas zza lustra, się zgodzi, jeśli powiem z ręką na sercu, że to będzie nasza fajka pokoju.

Obrócił się w stronę lustra i położył dłoń na piersi.

– Co za chuj – mruknął Leśmian.

Kosiński parsknął cichutko. Ziegler mu się podobał. Miał styl. Miał klasę. Dobrze byłoby kiedyś być jak on, mając osiem dych na karku. Z dużym hakiem.

Bałucka wyłączyła magnetofon.

– Ma pan jakiś pomysł? – Wskazała czujnik dymu.

– A pani ma te lateksowe rękawiczki, których wymaga procedura w czasie badania miejsca przestępstwa? – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął metalową, poczerniałą od starości zapalniczkę oraz tubus kryjący cygaro.

Bałucka się uśmiechnęła. Wyjęła rękawiczkę z torebki, wspięła się na krzesło, nie zdejmując przy tym szpilek, i naciągnęła lateks na czujnik.

Pomachała w kierunku lustra, a Leśmian zaklął, bo co miał teraz zrobić? Wyłączył kamerę.

– Lepiej, żebyśmy nie widzieli, jak palą, kurwa, co za dzień, co za dzień, najpierw Olga, a teraz to.

Kosiński czuje, że właśnie w tym momencie dzieje się coś, na co powinien zwrócić uwagę, ale to tylko moment, bo Leśmian popycha go w kierunku wyjścia. Spogląda w szkło weneckie i widzi, jak Bałucka pochyla się nad profesorem, a on podaje jej ogień. Instynkt mówi mu, że właśnie teraz powinien się zatrzymać, zrozumieć, ale są już na korytarzu i słyszy trzaśnięcie drzwi.

Rozdział 7

Trzaśnięcie drzwiami auta jest jak skok do wody. Olga czuje się wystraszona. W każdym razie przejęta. Przywykła, że Nastia pomaga jej we wszystkim, a tu nagle zostaje sama z dzieckiem, i to w chwili kiedy Kasia pierwszy raz wyjeżdża poza miasto. Pierwszy raz w pociągu.

– Samochód zaparkuję jak najbliżej domu i klucze będą na szafce w przedpokoju. – Nastia wrzuca luz i pochyla się, żeby widzieć Olgę przez okno po stronie pasażera. – Niech się pani, pani Olgo, o nic nie martwi.

– No co ty mówisz!? – Olga orientuje się, że nie powiedziała jej najważniejszego. – Przecież weź samochód, czym ty pojedziesz?

Matka i siostra Nastii od dwóch tygodni jadą przez Ukrainę po tym, jak udało im się wydostać z Charkowa. A myślały, że wystarczą dwa dni. Kiedy usłyszała o tym od Nastii, nie mogła jej po prostu powiedzieć „Będziesz mi we Wrocławiu potrzebna".

– No, ale jak?

Olga przechodzi do tylnych drzwi i pochyla się nad Kasią.

– Weź auto, kanapek zrób jak najwięcej, zabierz termosy z herbatą… – mówi do Nastii, szarpiąc się z szelkami fotelika.

Z tyłu nadjeżdża autobus. Trąbi. Kierowca nie ma litości, chociaż widzi, że dziecko, wie, że nie ma gdzie zaparkować przed Centralnym. Szelki nie puszczają, autobus trąbi, Olga zaczyna się denerwować, Nastia otwiera okno od swojej strony i pokazuje kierowcy autobusu gest, który ludzie na całym świecie rozpoznają bez trudności.

– Weź jeszcze czekoladę. – Olga stara się mówić spokojnie. – Przecież nie wiadomo, czego im potrzeba. Nie wiadomo, jak długo na granicy trzeba stać. Uff…

Pas puszcza, Kasia wyciąga łapki do mamy. Olga nie wie, czy najpierw brać dziecko, czy torbę z bagażnika. Kiedy trzeba biec za jakimś bandytą, wie, co robić, a teraz nie wie. Oddałaby wszystko, żeby ten autobus przestał trąbić.

Pociąg na szczęście okazał się czysty i chłodny. Kasi spodobało się okno. Olga miała nadzieję, że dziewczynka zaśnie, a wtedy ona będzie mogła przestać myśleć. Nie, zasnąć nie zaśnie, ale będzie po prostu patrzeć, jak świat przesuwa się za oknem. Zawsze lubiła ten trans, który pozwala oderwać się od życia, od świata, od zasięgu w telefonie, od potrzeb innych. Pociąg pozwala nie być w żadnym z miejsc, w których powinna być. Kiedy tylko ruszyli, pomyślała, że w mieszkaniu wszystko gotowe. Wysprzątane. Lodówka pełna jak nigdy. Będzie tam Ukrainkom dobrze. Ona sama już od tygodnia śpi w dziecięcym pokoju. No, właściwie nie śpi. Leży przytulona do Kasi i słucha jej oddechu.

Trudno zasnąć, kiedy pochłania ją praca. Bez końca ślęczy nad raportami, szuka jakiegoś punktu zaczepienia, przegląda z Kosińskim monitoringi w nadziei, że wypatrzą człowieka, który choć utyka, porusza się sprężyście jak tancerz. Przepatrzyli nagrania z wizyty Bidena, potem z okolic Bednarskiej, mieszkania Rittera i nic. Niepokoi ją też, że życiorysy obu ofiar są dziwnie lakoniczne, jakby zjawili się na świecie w 1990 roku już w zaawansowanym wieku, dysponując kapitałem i znajomościami po obu stronach walącej się na oczach świata żelaznej kurtyny.

Pawłowski pojawił się jako konsultant w negocjacjach dotyczących samolotu Tu-154M numer boczny 101 o numerze seryjnym 085837 (90A–837), który Rzeczpospolita kupiła w zakładach lotniczych w Kujbyszewie. Samolot kiedyś, po dwudziestu latach, rozbije się pod Smoleńskiem. Potem Ritter i Pawłowski – jakim cudem Kosiński znalazł takie zdjęcie – pozują do wspólnej fotografii z generałem Aleksandrem Lebiediem w jakichś magazynach broni. Wszyscy trzej mają w rękach kałasznikowy. Zdaniem Kosińskiego to mogło być gdzieś w Mołdawii. Lebied' jako dowódca 14. Armii stłumił tamtejsze powstanie i ustanowił nieformalną Republikę Naddniestrza. Olga potem czyta wszystko, co potrafi znaleźć o tym kraju, i wie, że to był największy magazyn rosyjskiej broni i uzbrojenia zaopatrujący strony konfliktów zbrojnych na całym świecie. Kupowali tam Chorwaci i Serbowie, Ormianie i Azerowie, Algierczycy, Etiopczycy, obie strony walczące w Liberii. No i oczywiście Hamas.

W połowie lat dziewięćdziesiątych firma Zieglera, Pawłowskiego i Rittera, wówczas nosząca nazwę ZPR Logistics, stała się naprawdę bogata…

Dużo wiedzy, ale czy to ich przybliża do rozwikłania zagadki śmierci tych ludzi? Kiedy pracujesz w takim fachu, masz wielu wrogów. Bardzo wielu. Ale jeśli potrafisz utrzymać się na powierzchni trzydzieści lat, to znaczy, że pływasz w tym bagnie naprawdę dobrze.

A może to Rosjanie ich zabili? – myśli Olga. – Może wpakowali się w jakąś dostawę broni dla Ukrainy? To teraz najważniejsza wojna na świecie. Powinna to sprawdzić, ale w głębi serca czuje, że ta śmierć ma jednak związek z Pegasusem, i boi się tego.

W dodatku za każdym razem, kiedy wracała do domu, oglądały z Nastią telewizję. Trupy w Buczy. Płonący Charków. Rzeź w Mariupolu. W Buzowej zbiorowe mogiły. Powiązane ręce. Kule w głowę, w plecy. Rosjanie rozstrzeliwali psy i odcinali krowom głowy. W Buczy, Irpieniu i Hostomlu gwałcili nawet staruszki i dzieci. Profesor Starowicz tłumaczy, że w przypadku gwałtu nie chodzi o seks, ale o okazanie pogardy, a gwałt jest w tej wojnie bronią, tak jak pociski i rakiety.

Olga myśli o tym. Nocami nie zasypia. Ale teraz, w pociągu, wreszcie jest spokój. Liczy czas. Dwie godziny do Wrocławia, półtorej. Już pora.

Sięga po komórkę. Waha się jeszcze moment, ale przecież już nie ma odwołania. Pociągu nie zawrócisz.

Dzwoni.

– Czy ty nawet teraz potrzebujesz pretekstu, żeby do mnie zadzwonić? – pyta spokojnie.

Ale Szymon nie potrafi rozpoznać, czy to smutek, czy złość.

– Tak, masz hację – mówi. – Przephaszam.

– Za co przepraszasz?

Szymon nie odpowiada. Nie wie, co powiedzieć, ale boi się, że jeśli będzie teraz milczał, to ona zaraz się rozłączy i że więcej nie spróbuje.

Żadne nie ma odwagi, by wypowiedzieć kolejne zdanie. Czasami jest tak, że rzucasz słuchawką i ten, na którym zależy ci najbardziej w świecie, już nigdy jej nie podniesie.

– Szymon? – zaczyna Olga cicho. Kiedy idziesz po kruchym lodzie, nie tupiesz jak dzieciaki, które biegną po schodach. – Szymon, jesteś tam?

– Uhm – chrząknął. – Tak, jestem. Przephaszam. Może jeszcze nie poha, jutho ten pogrzeb. Jeśli zadzwonię jutho, odbierzesz?

– Ja będę za godzinę na dworcu – mówi.

– Jakim dwohcu?

– A ile jest dworców we Wrocławiu? Mam Kasię. Odbierzesz nas?

– Tak – mówi Szymon. – Będę czekał.

I rozłącza się natychmiast, żeby czegoś znowu nie zepsuć. Nie wie, czy się cieszy, że muszą się spotkać, czy może jednak to tylko lęk. Kłopot? Matka się ucieszy. Matka chce zobaczyć Kasię. Chce być babcią na dotyk, a nie tylko na filmiki z telefonu. Szymon wie, że Olga czasami wysyła jego matce filmiki.

Ma żal do matki, że dzwoni i o to prosi. Wykorzystuje Olgę. Wie, że kobiety nie potrafią odmawiać takim prośbom.

– Mamo, muszę jechać. – Patrzy w jej oczy czerwone od łez i niewyspania.

– Nie zostawiaj mnie teraz, nie dzisiaj, proszę.

– Olga przyjeżdża, muszę na dwohcu być. – Zanim się odwróci, zobaczy, że matka zaczyna płakać, ale wie, że teraz to nie ze smutku, tylko z nadziei. Tylko wtedy, kiedy ktoś płacze z nadziei, łzy są ciężkie jak grad.

– Przywieź je… – Wybiegła za nim na schody, ale już trzasnął drzwiami auta i nie była pewna, czy usłyszał.

Szymon myśli, jak się wziąć w garść. Wie, że bardzo źle wygląda. Długo trwała rehabilitacja po covidzie – mijał drugi rok, a on wciąż miał obawy przed nagłymi oznakami słabości, lekarze twierdzili, że tak właśnie żyją ludzie z nadciśnieniem. Nie mógł szybko wrócić do służby, a robota w policji była dla niego jedną z najważniejszych spraw w życiu. Po tym, jak potoczyły się sprawy z Olgą, to już najważniejszą.

Miał do niej żal, że nie powiedziała mu o Kasi od razu. Kto wie, jak by się potoczyło. Ale ona wolała milczeć. A kiedy wybudzili go ze śpiączki, było za późno. Wstydził się dzwonić zniedołężniały, otumaniony, w depresji. Pełen winy, że nie było go blisko, kiedy był Oldze najbardziej potrzebny. I żalu do samego siebie, że się nie sprawdził, że zawiódł. Skupiony na odpieraniu ataków matki i milczenia ojca. I własnego gniewu, bo nie umiał znieść bezradności.

Nie dzwonił, bo co miał powiedzieć?

Nie znał słów.

Matka nie dawała mu spokoju. Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że nie zobaczy wnuczki. Znalazła ukojenie w tym, że mogła dbać o Szymona i że go ma na miejscu. Ale covidowa lekcja wiele ją kosztowała.

Wysyłała Oldze te błagania o filmiki, ale żeby zaprosić Olgę z małą do siebie, nie przychodziło matce do głowy, bo po chorobie syna jej dbałość o dystans społeczny przekroczyła granice zdrowego rozsądku. Prosto ze szpitala ojciec i matka przewieźli go do swojej willi, odtąd stał się praktycznie ich więźniem. Nikomu nie było wolno go odwiedzać. Matka nie akceptowała nawet kolegów z aktualnym testem, a przecież policjanci testowali się naprawdę często. Nie wpuszczała ani listonosza, ani kominiarza, ani kuriera. Nie pozwalała Szymonowi zamawiać jedzenia, tuczyła go rosołem i gotowaną rybą. Jedzenie przywoził ojciec tylko w szczelnie zapakowanych pojemnikach, które pieczołowicie dezynfekowała. Chleb

piekła sama, a po wszystko inne ojciec wyjeżdżał do miasta raz na dwa tygodnie. Kiedy wracał, mimo że zaszczepiony, musiał się poddawać czterodniowej kwarantannie w swoim pokoju na piętrze, a potem testować, zanim pozwalała mu zejść do kuchni.

Z ojcem Szymon nie miał większych problemów.

Stary znikał w swoim gabinecie otoczony dokumentami z czasów, kiedy wiele znaczył, i bez ustanku gadał przez telefon z takimi jak on, weteranami przegranej sprawy. Innej Polski. Na pewno nie tej, jak powtarzał, na pewno nie pisowskiej.

Z tych wszystkich powodów Szymon nie mógł zadzwonić do Olgi. Spaliłby się ze wstydu. Musiałby się jej poskarżyć. A to nie byłoby uczciwe.

Potem było lepiej. Łatwiej. Zadzwonił i o nic nie zapytał. Tylko o wysokość alimentów. Wytyczyli sobie, nie mówiąc o tym na głos, nieprzekraczalne granice. Mijały miesiące i cała ta prowizorka jego życia zdawała się jakoś trzymać. Kiedy rozmawiał z Olgą, pytał o zdrowie dziecka i chyba o nic więcej.

Potem nie potrafił zasnąć, oglądając nocami seriale, ten sam odcinek po kilka razy, bo nie potrafił skupić uwagi.

Myślał, że już po nim. Że tamten Szymon nie wróci.

Po roku lekarz pozwolił mu wrócić do służby. Matka uznała, że to samobójstwo i że ona nie będzie tego akceptować. Podejrzewał, że jego powrót to sprawka ojca. Stary musiał wiedzieć, co się z nim działo. Był mu wdzięczny. Ale matka całkiem zdziwaczała. Żyła w przekonaniu, że Szymon znowu zachoruje i że się już z tego nie wygrzebie. Postawiła mu takie warunki, jakie mógłby usłyszeć, gdyby stał się narkomanem: jeśli wyjdzie za próg, to nie wolno mu wrócić.

Od tej pory ich kontakty ograniczyły się do zdawkowych telefonicznych życzeń z okazji różnych świąt.

W fabryce dali mu robotę z dala od innych. W archiwum. Podobno zdecydował psycholog, ale podejrzewał, że to znów sprawka ojca. Małe pomieszczenie i komputer. Rzadko kto tam zaglądał. W sumie nie miał do niego żalu. Pewnie matka go zmusiła.

Wracał do domu, kupował pół litra, pił i oglądał filmy.

Czasami próbował czytać, ale bezsenność kosztuje. Trudno się skupić. Trudno patrzeć. Wreszcie psycholog stwierdził, że może wrócić do zabójstw.

Przed dworzec zajechał od Piłsudskiego, wszystkie miejsca parkingowe zajęte, więc wystawił koguta pod szybę i zaparkował na postoju taksówek. Kto teraz w epoce Ubera czeka na taksówkę na postoju? Wbiegł na peron, kiedy intercity stygł. W tłumie ludzi płynących po peronie Olga stała jak posąg, nie zwracała uwagi na nikogo, nieważne, czy ją ktoś trącił walizką na kółkach, czy torbą. Stała nieporuszona, trzymając za rękę Kasię, która chciała wszystko zobaczyć, połknąć, pochłonąć, wessać w siebie dźwięki, barwy, ruch, chaos. Nigdy nie widziała tylu ludzi naraz.

Zauważył, że Olga wychudła. Miała dłuższe włosy, zapadnięte policzki, nieumalowane usta, szarą skórę, sińce pod oczami z braku snu i oczy w nagłej, rozmazanej szarości dworca tak niebieskie, jakby patrzyły z zupełnie innej strony słońca.

Poczuł wzruszenie i nagły wzwód.

– Dzień dobhy. – Uklęknął przed Kasią. – Jak się masz?

Dziewczynka włożyła palec do buzi i cofnęła się o krok, chowając za nogą matki. Przełknęli to oboje bez westchnienia.

Jechali w milczeniu. On z przodu, Olga z tyłu z Kasią na kolanach. Szymon nie wpadł na to, żeby zabrać fotelik. Zresztą jak miałby załadować fotelik do służbowego pojazdu? Kurwa, myślał, wszystko źle. A potem patrzył w lusterko i widział tam jej oczy. Nieprzeniknione. Niebieskie. Znał kiedyś wszystkie ich odcienie. Znał ich łzy i śmiech, a teraz nic nie wiedział. Nie umiał nic z nich odczytać.

Matka stała w drzwiach. Pomyślał, że tkwiła tu cały czas. Ze dwie godziny, nie był pewien, ile czasu zabrała mu ta podróż. Epokę. Wieczność. Na pewno tak było, bo wyglądała na przemarzniętą. Nie płakała. Zbiegła ze schodów i wyciągnęła ręce do Kasi, a dziewczynka wtulona w matkę nie bardzo wiedziała, co począć, ale chyba się nie bała.

Kiedy Szymon zamykał auto, czekały u stóp schodów we trzy, dziewczynka trzymała za ręce jedną i drugą.

Wziął torbę Olgi. W drzwiach zrobił się nagły tłok i Szymon musnął ustami jej włosy. Nic się nie dzieje, jeśli ukradkiem dotkniesz włosów kogoś, kogo kiedyś kochałeś, świat nie przestaje się obracać, a grawitacja trzyma wszystko blisko, przy ziemi.

Nie wiedział, czy to poczuła. Chyba nie.

Zdjęła kurtkę Kasi, a babcia natychmiast zaczęła gadać, co by tu razem mogły zrobić. Olga zdjęła swoją. Wziął od niej, wciąż nie spojrzała mu w oczy. Patrzyła gdzieś na ścianę korytarza. Wisiały tam rodzinne zdjęcia. Cała historia ojca i matki.

– Kurwa – powiedziała Olga i było to pierwsze słowo, które od niej usłyszał, odkąd wysiadła z pociągu.

Podeszła do ściany.

– Ja go znam! – Wskazała palcem.

Na fotografii siedmiu roześmianych chłopaków w samych szortach stało na jakiejś plaży. Ósmy kucał.

– Znam go. – Stuknęła palcem w ostatnią postać. – To Pawłowski, prawda?
– Nie mam pojęcia… Wiem, że jesteś zmęczona – powiedział – ale może…
– Wiesz, kim oni są? – zapytała.
– To ojciec. – Pokazał palcem pierwszego z lewej. – A to jego koledzy ze studiów.
– A ten? – Wskazała ostatniego.
– Nie wiem.
– Twoja matka wie? Zapytaj.
Miała w głosie taką zaciętość, że nie próbował oponować.
Zawołał ją. Przyszła z wnuczką na ręku.
– Mamo, znasz tych ludzi?
– Och, to stare zdjęcie, zrobione jeszcze zanim się urodziłeś. To ojciec, to zagraniczny chłopak, nie umiałam zapamiętać, jak się nazywał. Tego młodego obok nie znam, a to Ritter, jest teraz adwokatem, chciałam go zawiadomić o pogrzebie, ale nie odbiera. Ten to Ziegler, został potem profesorem. Ten to redaktor Śledziński, przecież wiesz, każdy go zna, może jutro tu będzie. A to ten Malinowski, został burmistrzem. Ostatni to Piotrek… Piotr Pawłowski. Dlaczego pytasz?

Rozdział 8

– No i oczywiście Piotr Pawłowski, gdyby kto pytał. – Ziegler opowiedział Bałuckiej, jak w połowie lat dziewięćdziesiątych założyli we trzech firmę ZPR Logistics, a potem po serii doinwestowań i fuzji, których szczegółów ujawnić nie chciał, przekształcili ją w Em Fields Investments.

– Bardzo interesujące, ale co to wnosi, skoro nie chce mi pan powiedzieć wszystkiego… – Bałucka zrobiła sobie jakieś notatki.

– Rynek inwestycyjny w naszej branży to sieć subtelnych powiązań, w których dyskrecja jest wartością bardziej istotną niż zysk. Co komu po zysku, którego nie można zachować w sekrecie? Udziałowcami naszych przedsięwzięć nie są osoby prywatne, lecz instytucje zahartowane w specyficznych działaniach i posiadające struktury, które, powiedzmy, ułatwiają rozmycie odpowiedzialności.

– Mafie? – Prokurator popatrzyła w oczy staremu człowiekowi.

– Rządy. – Ziegler się uśmiechnął. – Rządy i różne ponadpaństwowe, pozarządowe organizacje i stowarzyszenia. Także charytatywne.

Bałucka znów zrobiła notatki.

– I w tym wszystkim pan, szanowany profesor filozofii?

– I matematyki – zaśmiał się. – Nie zapominajmy o matematyce. Ona była w czasach Peerelu najważniejsza, bo właśnie dzięki matematyce nie musiałem czuć się gorszy od innych naukowców na tej szalonej planecie.

– Dlaczego?

– Matematyka jako nauka ścisła nie podlegała decyzjom plenum partii. Niezależnie od tego, co o tym myśleli przywódcy NATO czy Układu Warszawskiego, dwa plus dwa zawsze dawało cztery. A ja chciałem być równy kolegom naukowcom na całym świecie.

Bałucka zrezygnowała. Miała dość. Są lepsze sprawy na świecie niż próby przegadania szatana.

– No dobrze. Czy podejrzewa pan kogoś, kto mógłby odnieść korzyść ze śmierci Rittera i Pawłowskiego?

– Och – westchnął. – Z pewnością jest takich ludzi mnóstwo, my przecież nie sprzedajemy ryżu ani waty cukrowej, tylko amunicję i drony. No i oczywiście oprogramowanie. Pewnie cała masa ludzi ma uzasadnione powody, żeby nas nie lubić. Na szczęście są i tacy, którzy nie mają interesu, żeby nas uśmiercać.

– Kto taki?

– Na pewno nasi akcjonariusze. Ostatnie lata były pod względem zysku bajeczne, powiem pani.

Bałucka pokręciła głową.

– To ślepy zaułek, nigdy tego nie rozwikłamy – powiedziała. – Zacznijmy inaczej. Czy robiliście interesy z polskim rządem?

– Oczywiście. Z każdym polskim rządem.

– To znaczy?

– Jedni chcą budować tarczę antyrakietową, inni kupować caracale, my jesteśmy elastyczni…

– A Pegasus?

– Pegasus jest po prostu towarem, jeśli nie my pomożemy bezpiecznie skojarzyć kupców i oferentów, zrobi to ktoś inny. Przecież to oczywiste. Chyba lepiej, że to my niż na przykład jakieś rosyjskie przedstawicielstwo pomalowane w kolory holenderskiej flagi z siedzibą w prestiżowej brukselskiej lokalizacji.

– Ma pan na myśli konkretną firmę?

– Mam, ale przecież nie zabijaliby nas z zemsty, że zdjęliśmy im ze stołu kontrakt. Biznes, proszę pani prokurator, to jest gra. Gdybyśmy się nawzajem zabijali, nie mielibyśmy z kim usiąść do kolejnego robra. A my lubimy grać. Bardziej nawet, niż zarabiać pieniądze.

– Wróćmy do Pegasusa. Czy to mógł być dla kogoś powód do zlecenia zabójstwa?

– O… z pewnością. Ale dlaczego zabijać akurat któregoś z nas? Przecież my nie grzebiemy się w niczyich brudach. My tylko pośredniczymy w zakupie narzędzi, które to umożliwiają. Nikt nie napada na sprzedawcę w Lidlu dlatego, że skaleczył się nożem, który tam kupił.

– Ale politycy mieliby motyw, prawda? – Bałucka miała nadzieję, że kamery wciąż są wyłączone i że nikt nie obserwuje ich zza lustra weneckiego.

– Może by i mieli, ale ja w to nie wierzę.

– Dlaczego?

– Bo w tym kraju jeszcze żaden polityk nie odpowiedział za swoje czyny.

– Co pan ma na myśli?

– No ten ich cały Trybunał Stanu. Kogo już tam nie mieli stawiać! Jaruzelskiego, Kiszczaka, Tuska, Kaczyńskiego, Ziobrę i co? Stanął któryś? Albo sądy. Nawet jak kogoś tam doprowadzają, to go prezydent ułaskawia, zanim jeszcze sędziowie skażą. Sama pani rozumie, że politycy w tym kraju nie ponoszą odpowiedzialności za czyny inne niż kryminalne, a w związku z tym nie mają powodu, żeby ponosić tak wielkie ryzyko jak zlecenie zabójstwa.

– No, ale gdyby powstała komisja śledcza…

– Taka komisja, powiem pani, nie jest nikomu na rękę.

– Opozycja aż się pali do tego…

– Coś pani powiem. Pegasus to potężna broń. Straszna. Jeśli jej przeciw komuś użyć. Ja nie wierzę w istnienie żadnych bogów, ale gdyby taki bóg istniał, to nie wiedziałby o człowieku tyle, ile wie Pegasus.

– Co z tego?

– Załóżmy, że powstaje taka komisja. Sądzi pani, że ktoś się odważy przed nią stanąć? Są gorsze sprawy niż śmierć, droga pani.

– Jakie?

– Prawda. – Profesor zawiesił głos. – Prawda jest straszniejsza niż śmierć. Ja pani ręczę, że nikt, komu Pegasus zajrzał w najbardziej osobiste sekrety, nie stanie przed taką komisją za żadne skarby świata.

– A czy mógłby zabić, żeby sekrety się nie wydały? – powiedziała Bałucka ciszej, jakby tylko do siebie.

– O! Z pewnością, ale dlaczego miałby zabijać kogoś, kto Pegasusa sprzedaje, zamiast tego, kto go używa?

Bałucka zamknęła notes. Trwała chwilę w milczeniu. Poczuła się zmęczona.

– Pozostała nam jeszcze jedna kwestia – uśmiechnął się profesor. – Zapytała mnie pani, czy to ja zabiłem, ale zapomniała zapytać, czy tego komuś nie zleciłem. Prawda?

Pokiwała głową.

– A powinna pani sprawdzić, czy miałem motyw. Może przypadkiem to ja po nich dziedziczę?

Bałucka poczuła się zbita z tropu. Chciała zdjąć szpilki, położyć się na kanapie z kotem i z winem, z całą butelką wina, i oglądać seriale.

Profesor tymczasem sięgnął do kieszeni.

– Proszę, to są wypisy z umowy spółki regulujące kwestie finansowe na wypadek zgonu któregoś z nas. Są potwierdzone przez notariusza, może im pani zaufać, może też osobiście sprawdzić dokumenty…

– Przeczytałam dokumentację waszej spółki. – Bałucka sięgnęła do swojej torby i wyjęła dokumenty. – Wiem, że nie miał pan motywu. Po Pawłowskim dziedziczy żona, po Ritterze stowarzyszenie opieki nad rodzinami policjantów. Bardzo szlachetnie.

Ziegler pokiwał głową z uznaniem.

– Gdybym był z dziesięć lat młodszy, wybrałbym się z panią na curaçao – powiedział, a ona się uśmiechnęła.

Godzinę później Ziegler tkwił w korku na wylotówce w stronę Konstancina. Rzadko się ruszał z domu, więc nie miał własnego samochodu, ale zawsze jeśli potrzebował limuzyny, mógł skorzystać z samochodu Rittera. Lubił to, znał Kazimierza Kijewskiego od wielu lat. Tak wielu, że gdyby to pan Kazimierz używał Pegasusa, żeby przejrzeć zawartość komputerów Zieglera, to profesor i tak nie musiałby się niczego obawiać.

Rozmawiali o śmierci Rittera i Pawłowskiego, ale na razie ani jeden, ani drugi nie miał jasnej koncepcji dochodzenia.

– Czyli jedyne, co mają, to ten rysopis od starej Kwiatkowskiej – westchnął Kijewski.

– Tak… – Profesor pokiwał głową. – Co oni tam mają zapisane w protokole? Przypomni mi pan?

Kijewski nie odrywając wzroku od jezdni, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął telefon. Spojrzał w lusterko. Korek pełznął na południe w tempie ślimaka. Otworzył notatki i niecierpliwie przesunął kilka razy kciukiem po ekranie.

– W zaawansowanym wieku, w szarym płaszczu, w kapeluszu. Utykał, a mimo to poruszał się z lekkością – odczytał. – Być może tancerz.

Ruszyli.

– No i jak, panie Kazimierzu? Coś to panu mówi?

– Nic a nic, profesorze. Ale major Anna Kwiatkowska, sprawdziłem ją, była dobrym oficerem. Jeśli mówi, że to ważne, to znaczy, że to ważne. Gdyby dostrzegła więcej szczegółów, toby je mieli.

– Cholera jasna, jeśli my nie znajdziemy punktu zaczepienia, ta pisowska prokurator nigdy się w tym nie połapie. A co pan wie o tych policjantach?

– Popytałem i wiem, że robią dobrze. Sprawdzają billingi, sprawdzają zapisy z kamer. Normalna robota. Żmudna, ale jeśli coś tam jest, to znajdą.

– A pan, panie Kazimierzu, jak myśli? Kto nam, kurwa, kropnął przyjaciół? – Profesor pochylił się w stronę kierowcy.

Kijewski rzucił okiem we wsteczne lusterko.

– „W zaawansowanym wieku" – podkreślił szofer – to mi się wydaje istotne. Ale co to oznacza? Że to ktoś z przeszłości, czy może po prostu jakiś ekspert wynajęty do mokrej roboty. No i ta metoda… Kto posługuje się długopisem, żeby zabić człowieka?

– Dziennikarz – zażartował profesor.

– Chodzi mi o to – wyjaśnił Kijewski – że to może być raczej szpieg niż gangster.

Profesor westchnął. To nie była dobra wiadomość. Kiedy się okazało, że Pegasus zostawia ślady użycia, wiedział, że wcześniej czy później rozpęta się piekło. Kilka rządów miało w tej sprawie brudne ręce, ale, na Boga, przecież nie na tyle, żeby zabijać pośredników. Jasna cholera, co to za gość ten morderca?

Sześć aut za nimi brnęła w tym samym korku niepozorna, bordowa kia z lotniskowej wypożyczalni. Kierowca spojrzał na mapę na wyświetlaczu. Miał już pewność, że jadą do Konstancina. Był tam wczoraj. Przejechał obok wysokiego ogrodzenia pałacyku profesora, mijając zaparkowanego przy chodniku samotnego szarego forda. Dwóch pasażerów. Z daleka śmierdziało psami. Na całym świecie pachną tak samo. Adrenaliną, testosteronem i kortyzolem. Nie stanowili problemu. Interesowało go bardziej, czy stary ma jakąś osobistą ochronę. Na bramie do posiadłości zauważył naklejkę firmy ochroniarskiej. Al Amin… Znał to słowo. Sprawdził ich w sieci. Oferowali najnowocześniejsze systemy alarmowe, kamery, podczerwień, czujniki ruchu, wszystko, co sztuczna inteligencja oferowała w zarządzaniu bezpieczeństwem w budynkach. Ale nie oferowali ochrony imprez masowych czy obstawy transportowej, a to znaczyło, że nie mają wielu pracowników w zmotoryzowanych patrolach. To był dobry znak. Nawet gdyby nie ominął jakiejś pułapki, będzie miał czas, zanim przyjedzie patrol. A on nie potrzebował wiele czasu. Nauczył się cierpliwie czekać i działać błyskawicznie. Jak wąż.

Wczoraj, kiedy przejechał obok posesji profesora, zauważył kamery nad ogrodzeniem, ale nie mógł stwierdzić, jakiej są jakości. Trzeba założyć najgorsze i być gotowym na wszystko.

W tym czasie Kosiński, choć oczy bolały go od wpatrywania się w piksele, przeglądał zapis z kolejnej kamery. W filmach to zawsze zajmuje sekundę. Tam śledczy przewija na podglądzie i pach! Jest! Podejrzany wsiada do samochodu, a technicy wyostrzają numery blach. W życiu jest inaczej. Tracisz wzrok, wpatrując się w ekran, na którym mało co widać, walczysz, żeby jak najdłużej utrzymać uwagę, i nigdy nie masz pewności, że nie przegapiłeś tego, czego szukasz.

Kiedy Bałucka wychodziła, zamienili kilka zdań. On powiedział, że nic nie mają, ona, że przesłuchanie Zieglera nic nie dało.

Patrzył na jej plecy na schodach i nagle powrócił niepokój.

Wszedł do pokoju techników i wrzucił nagranie z przesłuchania. Przewinął do miejsca na trzydzieści sekund przed końcem, tuż zanim Leśmian wyłączył zapis. Widzi, jak Bałucka sięga do torby, żeby wyjąć rękawiczki, a Ziegler wyjmuje cygaro i zapalniczkę. Zastopował obraz. Nie jest wyraźny, ale można go przecież sztucznie wyostrzyć. Wciąż był rozmazany, ale Kosiński poczuł, jak mu rośnie puls. Wrócił do siebie, wyciągnął z szafy pudło z materiałem dowodowym. Są tam rzeczy Pawłowskiego.

Wrócił przed ekran. Jeszcze troszkę powiększył obraz.

Zapalniczki Pawłowskiego i Zieglera są identyczne. To nie musi nic znaczyć, ale Kosiński nauczył się ufać przeczuciom. Może to prawda, że psem jesteś wtedy, kiedy zaczynasz mieć nosa do szczegółów. Ucieszyła go ta myśl, ale potem ogarnęły wątpliwości. Może dostali zapalniczki na pamiątkę jakiegoś kontraktu? Co dziwnego w tym, że wspólnicy mają takie same zapalniczki? Machnąć na to odkrycie ręką czy jednak zadzwonić do Zieglera i zapytać o tę inskrypcję?

Sięgnął po telefon i wybrał numer profesora. Ale telefon milczał.

Zadzwonił po pięciu minutach.

– Słucham. – Głos profesora jest pełen rezerwy.

– Aspirant Kosiński, widzieliśmy się dziś w Pałacu Mostowskich… Może pan pamięta…

– Tak, młodzieniec z wypielęgnowaną brodą, w żółtych butach, jak mógłbym je przeoczyć…

Kosiński czuje, że się czerwieni.

– Niech pan mówi, czego pan chce.

– Na nagraniu z przesłuchania… – Czerwieni się jeszcze bardziej.

– No niech pan mówi. Wiem, że podglądaliście.

– Ma pan taką… zapalniczkę. Pawłowski miał identyczną. Jest na niej napis. Na pańskiej też?

Ziegler milczy.

– Owszem – mówi w końcu – na mojej też.

– Co on znaczy?

– Jeśli chce pan wiedzieć, musi pan przyjechać.

– Jak to: przyjechać? – Kosiński myśli, że się przesłyszał.

– Nie pożałuje pan. – Ziegler zawiesza głos.

– No to może jutro?

– Nie ma pan daleko, więc może teraz? Ja słabo sypiam. Naprawdę pan nie pożałuje.

Kosiński wzdycha. Po chwili dzwoni do Olgi. Ta natychmiast odbiera.

– Mam ślad – mówi Olga. – Nie chciałam dzwonić od razu, ale tu jest zdjęcie, na którym są ojciec Szymona z Ritterem i Pawłowskim! Znali się w młodości.

– Ja pierdolę, skąd się znali?

– Matka Szymona mówi, że z pracy.

– Czyli co? Agentura?

– No tak. – Kosiński słyszy, że Olga ścisza głos. – A ty znalazłeś coś?

– W zasadzie nie, ale Ziegler ma taką samą zapalniczkę jak Pawłowski. Pomyślałem, że powie mi, co jest tam napisane, a on, żebym do niego jechał od razu, że nie pożałuję.

– Jak od razu?

– No tak, on mówi, że słabo sypia.

– To co ci powiem? Jedź.

W cichej konstancińskiej uliczce szary ford stoi ze zgaszonym silnikiem i uchylonymi szybami. Operacyjnym jest zimno, deszcz wpada do środka, ale przecież muszą przynajmniej palić, żeby nie zwariować. Odkąd trzy godziny temu Ziegler wrócił do domu, nic, ale to zupełnie nic się nie dzieje. Nikt nie wyjechał, nikt nie przyjeżdżał, prawie nie było ruchu, to boczna uliczka, same pałace i eleganckie wille, w pobliżu mieszka nawet ten Walter, założyciel TVN, ale przecież nie zapytają dyżurnego, w którym domu. Nudzą się. Obejrzeli już cały internet, a zmianę kończą dopiero o dwudziestej trzydzieści.

– Napiłbym się kawy – wzdycha ten młodszy. Jego smartfon wyładował już baterię, a kiedy silnik samochodu nie działa, to nie ma jak naładować.

– Tu chyba jest niedaleko McDonald – mówi Lipiński. Jego telefon jeszcze działa, więc wysyła wiadomości do córki. Dziewczyna nie wie, do jakiego miałaby iść liceum. Odkąd wyprowadził się z domu, ma z dzieckiem właściwie tylko taki kontakt, ale piszą codziennie.

– Nie znam tej wiochy. – Młody nie wie, co ze sobą zrobić. – Zresztą regulamin zabrania opuszczania posterunku.

– A kto się o tym dowie? Tu się, kurwa, przecież nic nie dzieje. – Lipiński gasi komunikator i sprawdza kawiarnie w pobliżu. – McDonald daleko, kurwa, dopiero na wylotówce do Warszawy, ale w parku jest kawiarnia, to skocz i mi też weź. Idziesz do końca i w prawo, potem prosto i jesteś.

– A jeśli nie znajdę? – Młody nagle nie chce już kawy.

– Idź, kurwa, na pewno coś znajdziesz, tu bogaci ludzie mieszkają, oni lubią siedzieć po kawiarniach.

– A jeśli nie mają papierowych kubków?

– To weź do butelki.

– Do jakiej, kurwa, butelki?

Lipiński spogląda na niego kpiąco i młody wie, że nie ma co przeciągać struny. Zapala papierosa i wysiada. Zapina kurtkę, bo naprawdę zimno się zrobiło i siąpi deszcz. Idzie w kierunku głównej ulicy. Kiedy skręca w nią jakiś mały samochód, klnie cicho, bo oślepiają go reflektory. Dochodzi do skrzyżowania i skręca w prawo. Nie widzi żadnych świateł, które mogłyby przypominać restaurację.

Tymczasem niepozorna kia parkuje tuż za szarym fordem.

Lipiński widzi to w lusterku. Odkłada telefon i sięga pod pachę po broń. Wyciąga ją i kładzie prawą rękę wzdłuż uda. W zachlapanym deszczem lusterku widzi gościa w płaszczu i kapeluszu. To jakiś starszy mężczyzna. Lipiński oddycha z ulgą, ale szyby nie opuszcza. Gość podchodzi do forda z mapą w ręku. Moknie. Pochyla się, Lipiński widzi szeroki uśmiech.

– *I am sorry* – mówi tamten. – *I lost my way and I can not use my GPS.*

– Co, kurwa? – Lipiński mówi cicho. Nie jest orłem z angielskiego, ale wychwycił słówko GPS.

– Nie ma GPS – duka tamten po polsku. – Nie znam droga.

Deszcz zaczyna padać coraz mocniej.

– Ja pierdolę. – Lipiński decyduje się zostawić pistolet pod udem i otwiera okno.

Mężczyzna puszcza mapę. W drugiej ręce ma niewielką butelkę. Naciska spust i gaz w jednej chwili wypełnia ciasną kabinę forda. Napastnik otwiera drzwi, wciska guzik zamykający szyby i zatrzaskuje drzwi. Dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza, ale lepiej, żeby się za szybko nie ulotnił.

– *Good night* – mówi i odchodzi.

Rozdział 9

– Dobrej nocy. – Kijewski podnosi się z fotela. – Film był ciekawy, profesorze, ale na mnie już pora.

Odruchowo śledzi nazwiska na ekranie. Lubi, kiedy pojawiają się jakieś polskie.

– A dokąd się pan spieszy, Kazimierzu? Może pan zostanie? Nalegam.

Kijewski splótł dłonie, wyciągnął je przed siebie i strzelił palcami.

– Chyba nie boi się pan śmierci, profesorze?

– W moim wieku? – Ziegler się uśmiechnął. – Nie. Ale boję się bólu i nie lubię brzydoty. Chciałbym umrzeć w łóżku po dobrym winie i porządnym cygarze. Ma pan ochotę?

– A czemuż by nie? – Kijewski zasadniczo nie pali, ale cygar nie odmawia.

– Bo mam tu coś na specjalną okazję. – Profesor podnosi się z fotela. – Cohiba Esplendidos, wciąż robią je ręcznie, ale nie dlatego że tak dbają o tradycję, po prostu nie mają paliwa do traktorów ani elektryczności do napędzania maszynerii. Król Hiszpanii dostaje skrzyneczkę każdego roku, i to już od setek lat. Takie symboliczne podziękowanie za przywilej uprawy tytoniu.

Profesor wyjmuje jedno cygaro z drewnianego pudełka i odcina końcówkę.

– Nawet Fidel nie zmienił tego obyczaju.

Podaje gościowi, a potem ogień.

– No, a ja to jednak do tego koniak, panie Kazimierzu. Lampka za naszych nieżyjących przyjaciół.

– Ech… – Kijewski zaciąga się cygarem, jakby to był papieros. Odczuwa przyjemność, kiedy dym wypełnia płuca do tego stopnia, że można stracić przytomność.

Profesor odstawia trunek i podchodzi do okna. Lubił cygara, ale kiedy powietrze stawało się zbyt gęste od dymu, dopadał go kaszel. Otwiera okno i odsuwa story. Szum deszczu jest głęboki i kojący.

Po zacienionej stronie ulicy kulawy idzie szybkim krokiem. Mija wjazd na posesję Zieglera i przechodzi przez jezdnię poza zasięgiem kamer obserwujących bramę i furtkę. Sąsiednia nieruchomość też ma monitoring, ale bramy pilnuje tylko jedna kamera, wycelowana na wprost i przeznaczona do tego, żeby gospodarz mógł rozpoznać, kto do niego dzwoni. Kulawy podchodzi do długiego ogrodzenia z żeliwnych, fantazyjnie wygiętych prętów pomalowanych na zielono, podskakuje, żeby sięgnąć górnej, poprzecznej żerdzi. Podciąga się sprawnie, choć nie bez zadyszki, ale potem jest znacznie trudniej. Stopy ślizgają się po żeliwie, a musiał przynajmniej jedną postawić na wysokości uda. Dwadzieścia lat temu zajęłoby mu to tyle, co mgnienie oka, nawet sam by tego nie zauważył, rok temu – może pół sekundy. Ale teraz czuł się już tylko więźniem we własnym słabnącym ciele, które leżeć lubiło bardziej, niż biegać. Skupił się i szarpnął w górę prawą nogę. Rana wygoiła się ćwierć wieku temu, ale noga nigdy już nie była całkiem sprawna.

Staje prawą stopą na żeliwnej poprzeczce i ostrożnie przesuwa ciało ponad ostro zakończonymi szpikulcami prętów ogrodzenia. Skacze, modląc się w duchu, żeby po drugiej stronie nie czaił się pies.

Ziemia jest miękka i śliska.

Kosińskiemu nie chce się jechać w deszczu i po ciemku. Nie chce mu się słuchać radia, bo wszędzie tylko o tym, że w raporcie podkomisji smoleńskiej opublikowanym w internecie zamieszczono drastyczne zdjęcia, albo o tym, że Robert Lewandowski ma dość gry w Monachium. Przerzuca stacje, a tu jakieś disco polo albo muzyka klasyczna, albo gadanie o polityce. Nikt już nie gra rock'n'rolla? Miał inne plany, mógłby wpaść do Krakena z asystentem podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, z którym znali się już dwa lata, i gdyby nie pandemia, gdyby nie pozamykali wtedy wszystkiego, może by się zaprzyjaźnili. Wczoraj wpadł na niego na schodach w Pałacu Mostowskich i postanowił, że może doda go do znajomych? No i była szansa na jakiegoś drinka i hummus, ale trzeba jechać do Konstancina, do tego Wersalu warszawki. Kto przyjeżdżał do miasta i zaczynał pracować w korporacjach, myślał, że szczytem marzeń jest Miasteczko Wilanów, ale tak naprawdę elita mieszka w Konstancinie, Sękocinie i Magdalence. Kosińskiemu nie kojarzyły się dobrze te rejony, wolał beztroskę placu Zbawiciela albo artystowski klimacik Pragi. Wycieraczki były stare i nie czyściły szyby, rozmazywały tylko wszystko tak, że ledwo widział przed sobą czerwone światła samochodów.

Po lewej stronie majaczy McDonald, więc musi być już blisko.

Mężczyzna idzie szybkim krokiem wzdłuż płotu w kierunku posesji Zieglera. Nie ma tu żadnych psów albo siedzą w domu. Deszcz tłumi wszelkie dźwięki, na mokrej trawie szklą się pomarańczowe smugi świateł

z wielkich okien na parterze. Przed domem rośnie kilka wielkich, starych drzew. To dobrze, cienia nigdy za wiele. Jedno z nich, rozłożyste, ciężkie, rozpycha się tuż przy samym ogrodzeniu, konary przewalają się ponad płotem i mężczyzna wie, że to właśnie tędy wiedzie szlak na sąsiednią posesję. Dotyka drzewa, kora jest mokra i krucha, a pień zbyt gruby, żeby dał radę go objąć. Próbuje się wspiąć, chwytając porów kory, ale odłamują się i mężczyzna zsuwa się, zanim dosięgnie pierwszej gałęzi. Czas ucieka. Wyciąga pasek ze spodni, oplata nim drzewo, końce owija sobie wokół dłoni, przesuwa pasek w górę, a kiedy czuje, że zaczepił się o zgrubienie pnia, odchyla się do tyłu, zapiera o pień stopami i wyciąga tułów w górę.

Ćwiczył to nie tylko na drzewach, ale nawet na gładkich, śliskich i obłych słupach telegraficznych. Wspinaczka po szorstkim pniu to przy tamtym betka, ale przecież wtedy był młody, wtedy wszystko było inaczej. Teraz czuje przykurcz w udach, silniejszy w prawej, mniej sprawnej nodze, stopa ześlizguje mu się na chwilę, ale to wystarcza, żeby stracił przyczepność i zsunął się po pniu.

Z palców lewej dłoni płynie krew.

– *Khara* – klnie. Czy ma dość czasu, żeby zetrzeć krew z kory drzewa?

Wątpi, by jego DNA znajdowało się w jakiejkolwiek bazie dostępnej w tym kraju. Zresztą deszcz zmyje wszystko w kilka minut. Ociera twarz z deszczu, znów owija pasek wokół drzewa i próbuje ponownie.

Tym razem odchyla się mocniej i stopy mają lepsze oparcie. Pół metra nad ziemią zwija ciało i szybkim ruchem przeciąga pasek w górę o kilkadziesiąt centymetrów, po czym prostuje się i zapiera, zanim straci równowagę. Poszło mu nieźle. Jeszcze sześć, siedem takich prób i sięga głową gałęzi. Teraz najtrudniejsze. Trzeba lewą ręką puścić pasek i chwycić konar.

Podciąga się znowu o kilka centymetrów i klinuje ciało pomiędzy konarem, ramieniem i brodą. Niewygodna pozycja, ale musi wytrzymać. Gdyby był młodszy, nie sprawiałoby mu to problemu. Liczy do trzech i puszcza pasek, przerzucając prawą rękę ponad konar. Jest dobrze. Nie puszczając paska, lewą ręką obejmuje gałąź i pełznąc niczym gąsienica, gramoli się na górę. Konar jest gruby, mokry i czarny. Siedząc na nim okrakiem, mężczyzna posuwa się tak daleko, że jest już nad trawnikiem posesji Zieglera.

Nie widzi niczego niepokojącego. Być może były tu czujniki ruchu, ale teraz to już wszystko jedno. Skacze.

Ziemia jest miękka, stara trawa, badyle, poprzerastane krzaki, profesor nie dbał o swój trawnik i pozwalał mu zarastać.

Mężczyzna kuli się i biegnie w cieniu krzewów w kierunku domu. Widzi światło nad gankiem i po prawej stronie od niego na wysokości piętra.

Balkon ciągnie się nad portykiem. Okno otwarte na oścież.

Światła nad wejściem padają na podjazd, na którym moknie czarna, lśniąca limuzyna. Zna ją. Wie, że goryl Rittera jest w środku. To komplikuje sprawę. Dopada narożnika i znika w cieniu ryzalitu. Architektura fasady jest teraz jego sprzymierzeńcem. Wciąga pasek w szlufki, a potem staje na parapecie okna na parterze i wyciąga ciało. Nie sięgnie. Podskakuje lekko i chwyta górną krawędź nadproża. Podciąga się, zapierając stopami o przeciwległe ramy otworu okiennego, i jest już dość wysoko, żeby sięgnąć tarasu. Z otwartego okna dochodzi cichy szmer rozmowy.

– Uzbroił pan alarm, profesorze? – Kijewski starannie rozgniótł resztki cygara w ciężkiej popielniczce.

– W zasadzie nie, bo wciąż nie wiem, czy pan zostaje, czy wyjeżdża, no i ma mnie odwiedzić ten młody śledczy, więc nie uzbrajałem. – Profesor nalał sobie kolejną lampkę koniaku. – Poza tym widział pan ten szary samochód przed bramą. Policjanci nikogo tu nie wpuszczą.

– Ma pan więc policyjną ochronę i gościa, a ja mam rano jeszcze jakieś zlecenia w Warszawie, więc pojadę.

– No cóż… Nikomu nie chce się porozmawiać ze starym człowiekiem cierpiącym na bezsenność – westchnął profesor. – Zostaje ten bezduszny internet.

– Rozumiem, ale, jak to mawiał mecenas Ritter, wszyscy ponosimy konsekwencje naszych wcześniejszych wyborów.

– On przecież na samotność nie narzekał…

– Kobiety za pieniądze potrafią dać człowiekowi rozkosz, ale nie umieją zatrzasnąć wrót otchłani.

– To też Ritter? – Profesor uniósł brew.

– Nie, w zasadzie chyba ja. – Kijewski lekko się uśmiechnął.

– Ma pan wiele talentów, panie Kazimierzu.

– Żeby pan wiedział.

Kijewski wstał.

– To co, odprowadzi mnie pan?

– Tylko zamknę okno. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Zaciągnął story. Balkon, na którym stał mężczyzna, spowił mrok. Nieproszony gość podszedł do okna. Nikt nie słyszał, kiedy wybił szybkę tuż ponad klamką.

Profesor odczekał, aż Kijewski wytoczy mercedesa na ulicę i automatyczna brama zamknie się za nim powoli, po czym uzbroił alarm.

Zdjął marynarkę i powiesił ją w szafie na dole. Koszulę wrzucił do kosza na pranie w dolnej łazience. Pani Joasia zabierze ją w piątek. Założył szlafrok i pomyślał, że jeszcze nie zaśnie, pewnie coś poogląda. Albo poczyta.

– Jasna cholera – przypomniał sobie nagle, że zaprosił tego policjanta. Wrócił do szafy i sięgnął do kieszeni marynarki po telefon.

Kosiński odebrał po drugim sygnale.

– Jedzie pan do mnie? – zapytał.

– No, przecież mnie pan zaprosił.

– Tak, tak – ucieszył się starszy pan. – Ja oczywiście czekam. Jeśli jest pan głodny, mogę nawet zamówić coś na wynos.

– Nie, chyba nie będę miał tyle czasu. – Kosiński wyczuł, że jeśli powie tak, będzie musiał wracać do Warszawy nad ranem. Był na to zbyt zmęczony.

– No to zamówię dla siebie, a razem napijemy się koniaku – zawyrokował profesor. – Daleko pan jest?

Kosiński spojrzał na nawigację.

– GPS pokazuje, że będę za pięć minut.

– Wspaniale, więc nie uzbrajam alarmu, kiedy będzie pan przy bramie, proszę zadzwonić.

Zaczął gmerać przy alarmie. Uzbroić łatwo, ale nie potrafił sobie przypomnieć nowego kodu. Procedura wymagała, żeby co dziesięć dni go zmieniać. Z Al Amin przychodziła zaszyfrowana wiadomość. Profesor sięgnął po telefon i przeglądał wiadomości. Wpisał kod, ale kiedy lampka zamigotała na zielono, coś usłyszał.

Znieruchomiał.

Może mu się wydawało? A może tylko to wyczuł? Czy to możliwe, że ktoś jest na górze?

Nasłuchiwał krótko.

Nic. Musiało mu się tylko wydawać. A może jednak nie? Otworzył szafę i z kieszeni płaszcza wyjął małą, płaską berettę. Wspaniała broń na krótki dystans. Włożył ją do kieszeni szlafroka i ruszył na górę.

Kiedy wszedł do salonu, zobaczył nieznajomego, który właśnie popijał jego koniak, trzymając lampkę w dłoni ukrytej w lateksowej rękawiczce.

Pod fotelem wokół jego stóp zbierała się mokra plama. Deszcz spływał z jego mokrych spodni.

– A więc to jednak dzisiaj? – Nie wiadomo, zapytał czy może stwierdził profesor.

Tamten uniósł brwi. Spojrzał na zapalniczkę leżącą na stole obok dymiącego jeszcze cygara.

– Piękna rzecz – powiedział twardo. – Bardzo piękna.

Rozdział 10

– Piękna – powiedział Szymon. – Bahdzo piękna.

Kasia w jego wielkim łóżku wydawała się taka maleńka. Wycięta z mroku strużką światła z jednej palącej się lampy. Bezbronna w czarnej pustce kosmosu.

Olga pogłaskała ją po włosach.

– Ja też mogę? – zapytał.

– Bez obaw. – Wzruszyła ramionami. – Jest twoja.

Poczuła, jak spłynął z niego chłód. Otchłań między nimi pulsowała niczym rtęć. Nie wyciągnął ręki.

– Oj, nie to miałam na myśli – powiedziała. – Naprawdę, możesz.

Nie drgnął.

– Nigdy nie dotykałem śpiącego dziecka – wyznał. – Może nikogo nie dotykałem tak przez sen… tak naphawdę, tylko ciebie.

Olga poczuła, że wzbiera w niej fala wzruszenia, słona i ciężka, i że jeśli się nie opanuje, to skruszy ten mur, który budowała dzień po dniu od kilkunastu miesięcy. A ona przecież nie chce powodzi, nie chce nadziei, nie chce niczego budować na tej samej łasze piasku co wtedy. Z budowaniem na piasku zawsze jest tak samo. Będzie potem bolało. Nic, tylko bolało.

Stłumiła westchnięcie. Nie taki ból umiała przełknąć.

Szymon nie drgnął. Nie zauważył, co się w niej dzieje. Kiedyś by wiedział. Kiedyś umiał ją czytać, jakby przeglądał Instagram. Ale teraz już nie. Za dużo czasu minęło.

Ale zaraz pomyślała, że nie powinna odbierać tego Kasi. No i Szymonowi.

– Nie bój się, nie obudzisz jej. – Chwyciła go za przegub dłoni i pociągnęła w kierunku łóżka. Puściła jego ramię, kiedy dłoń Szymona była tuż nad główką dziecka.

Dotknął włosów dziewczynki, jakby to była mgła. A może jakby palił go płomień?

– Dlaczego nam się nie udało? – zapytał i w tej samej chwili pomyślał, że w języku powinien istnieć tylko jeden czas, teraźniejszy.

– Nie wiem – powiedziała. – Pewnie to jednak nie była miłość.

– Masz kogoś?

– Nie rób tego – poprosiła.

– Nie hób czego? – Cofnął rękę. Jakby się zawstydził. – Nie hób czego?

Mówił szeptem, bo chciał się za nim schować. Kiedy mówisz szeptem, nie wiadomo, czy to naprawdę ty.

– Nie każ mi tam zaglądać.

– Gdzie zaglądać?

– Do tego miejsca, w którym trzymam wszystko, co jest i co nie jest. Nie każ mi, proszę.

– Czasami najważniejsze sphawy thacimy tylko dlatego, że przez moment patrzymy nie w to miejsce, w któhe trzeba było patrzeć. – Odwrócił się.

– Czego ty chcesz? – zapytała łagodnie.

Wzruszył ramionami.

– A ty, Sehbia? Czego ty chcesz?

Nie spodziewała się, że to ją dotknie. Nie pamiętała, czy odkąd po raz pierwszy poczuła go w sobie, powiedział do niej Serbia. Pamiętała, że kiedyś mówił „Olu". Tylko jemu na to pozwalała.

Uklęknęła przy łóżku i zaczęła głaskać Kasię po włosach. Właściwie to poczuła się zmęczona. Chciała się koło niej położyć i zasnąć. Nie myśleć o pogrzebie. O rozstaniach. O tym, że nawet między ludźmi trzeba wybierać, kogo kochać, a kogo wymazywać z wirtualnej chmury.

– Chciałabym, żeby ktoś na mnie nie tylko patrzył, ale żeby mnie widział. Żeby ktoś pozwolił mi się opiekować, ale też żeby się zajmował moimi sprawami. – Nie wiedziała, czy mówi do Szymona, czy do Kasi, czy do siebie samej. – Chciałabym w tłumie ludzi czuć na sobie wzrok kogoś, komu na mnie zależy. I żebym wiedziała, że nawet jeśli dzieli nas tysiąc kilometrów i wyślę esemes, to ten ktoś zostawi wszystko i przyjedzie mnie ocalić.

– On zawsze przyjeżdżał, phawda?

Pokiwała głową w milczeniu. Tak, pomyślała, Bielski zawsze przyjeżdżał. Zawsze ją ratował. Od pierwszego razu, kiedy zobaczyła te jego niebieskie oczy w tłumie pod Pałacem Prezydenckim. Wtedy pierwszy raz uratował jej życie.

– Ale oprócz tego bym chciała, żeby ktoś z tęsknoty za mną nie mógł jeść, pić ani spać.

– Ja jem kompulsywnie. – Szymon się uśmiechnął.

– Co mówisz? – Nagle jakby obudziła się z zamyślenia.

– Ja z tęsknoty jem – powiedział. – Kompulsywne łaknienie, alkohol, papiehosy…

– Co ty mówisz, Szymon, co ty mówisz?

– Nie wiem. Może phóbuję powiedzieć ci, że cię kocham? Kuhwa mać.

Wyszedł.

Nie trzasnął drzwiami, a Olga pomyślała, że to ciekawe. Dlaczego nie trzasnął? Bał się obudzić dziewczynkę czy rozgniewać ojca? Ojciec nie żyje, to prawda, ale lęk przed tym, jak cię traktują, pozostaje na zawsze. Pamiętała jego opowieści o czasach dzieciństwa, kiedy ojciec wracał, niosąc ze sobą zapach śmierci, upijał się i wrzeszczał na matkę. I jak ją uderzył jeden jedyny raz. Potem każdego dnia przynosił jej kwiaty. Nie odeszła. Olga nie wiedziała, czy to dlatego, że go kochała, czy może jednak dlatego, że nie miała dokąd. Od dnia, kiedy Szymon zapadł na covid i matka Szymona dzwoniła do Olgi każdego dnia, stały się sobie bliskie, ale nigdy nie odważyłaby się pytać ją o męża.

A teraz będzie musiała.

Pogłaskała Kasię jeszcze raz.

Dziewczynka spała twardo. To był długi dzień.

Zadzwoniła do Kosińskiego.

– No i jak tam staruszek? Powiedział coś ciekawego?

– Szefowo, właśnie dojeżdżam, GPS pokazuje mi pięć minut. Wolno jadę, bo deszcz, kurwa, a wycieraczki stare i tylko mi się maże wszystko.

– No to ci nie zwracam głowy. Jak będziesz coś wiedział, to melduj. Ja teraz też muszę odwalić robotę.

– Czyli jeszcze nie pogadałaś?

– Nie, dziecko nie chciało usnąć w nowym miejscu, pierwszy raz poza domem…

– No to jak już będziesz coś wiedziała, to melduj. – Usłyszała, że Kosiński się uśmiecha, i sama też poczuła się lepiej.

Ziegler też się uśmiechał. Beretta bardzo poprawiała mu nastrój. Porządna, stara broń, trzymał ją w domu, nie pamiętał już jak długo, ale była w doskonałym stanie. Czyszczenie broni było dla profesora jak modlitwa. Jak pacierz dla katolików. Gardził ludźmi, którzy swoje sprawy powierzali Bogu albo tarotowi, gardził tymi, którzy nie umieli ponosić odpowiedzialności za własne życie, ale szanował rytuały. Rytuały pozwalają nadać życiu właściwy sens. Porządkują sprawy. Czyszczenie broni było jego rytuałem. Poza tym zdawał sobie sprawę, że broń powinna być niezawodna. Zawsze gotowa.

Wiedział, że wcześniej czy później ktoś się zjawi. Może ktoś z byłego KGB, bo Ruscy nigdy nie zapominają swojej krzywdy, zwłaszcza zdrady. Albo może ktoś z Niemiec Zachodnich, bo Niemcy, jak wszyscy tchórze, potrafią być mściwi, zwłaszcza jak się ich okpi przed całym światem. Mogli to też być Żydzi, bo nigdy nie wiadomo, czy to, co zrobiliście wspólnie, jest ważniejsze od tego, co zrobiliście przeciwko sobie. Albo Arabowie… Sam ich przecież nauczył, że najgorszy wróg to ten, który przekona cię, że możesz mu zaufać jak samemu sobie. Mógł też to być ktoś, komu niechcący nadepnął na odcisk. Ziegler nie miał wątpliwości, że jeśli zło spotkało Pawłowskiego i Rittera, to on jest w tym upieprzony po same uszy.

Ściskał berettę w kieszeni szlafroka i czekał. Powinien sięgnąć po broń i strzelić teraz, póki tamten ma w ręce alkohol, ale jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że gdyby to był zabójca, to profesor już by nie żył. A jeśli żyje, może to nie jest wróg? Może to nie on zabił Pawłowskiego i Rittera? A w takim razie kim jest?

Chciał chwycić się tej myśli, ale przecież był matematykiem. Wiedział, że dwa i dwa to cztery. Jeśli ktoś wchodzi przez okno, to szanse, że obaj przeżyją, są jak mnożenie przez zero.

– Piękna rzecz – powtórzył obcy. Spod kaptura spływały mu na policzki włosy zlepione deszczem. Może siwe, ale teraz szare. Długi nos. Szare oczy. Ziegler nie poznawał tej twarzy. Pomyślał, że coś jest nie tak z tą jego polszczyzną…

Tamten odchylił głowę do tyłu i westchnął, jakby był śmiertelnie znużony.

Ziegler zacisnął dłoń na beretcie i wymacał kciukiem zamek. Gdyby miał go na zewnątrz, to nie nastręczałoby żadnych kłopotów, ale kieszeń była dość ciasna. Nie wiedział więc: kliknęło czy nie kliknęło.

– Wie pan, kim jestem? – zapytał obcy.

– Złodziejem? Czy przyszedł mi pan zaproponować ubezpieczenie na życie? – Ziegler wciąż nie był pewien, czy zamek przeskoczył, czy nie. Postanowił grać na czas.

Zaraz powinien być tu ten policjant.

– Kiedyś już się spotkaliśmy – powiedział obcy. – To było pierwszego sierpnia, w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego.

Ziegler zmarszczył brew. Co to, kurwa, ma znaczyć?, pomyślał.

Kosiński zaparkował samochód przed bramą domu Zieglera. Zaniepokoił go bezruch w policyjnym samochodzie, więc wysiadł i podbiegł do drzwi kierowcy. Szarpnął klamkę.

Kabinę zalało wątłe, pomarańczowe światełko.

Lipiński leżał bezwładny na fotelu kierowcy. Drugiego policjanta nie było.

Ręka kierowcy zsunęła się bezładnie z kolana. Kosiński chwycił za przegub i poczuł słaby puls.

– Kurwa! – Wyjął komórkę i uruchomił latarkę.

Obejrzał ciało Lipińskiego. Ani śladu przemocy.

– Obudź się, kurwa! – Spoliczkował tamtego lewą dłonią. Nie pomogło.

Pochylił się, chwycił kierowcę za poły kurtki i wyciągnął z wozu. Lipiński jęknął. Kosiński pozwolił, żeby ciało osunęło się na chodnik. Oparł je o burtę wozu.

Spoliczkował nieprzytomnego jeszcze raz. Nic. Ułożył go na mokrym chodniku, obszedł i uniósł mu na chwilę nogi. Zdawało się, że Lipiński jęknął, ale to mogło być tylko złudzenie. Twarz tamtego siniała.

– Ja pierdolę. – Kosiński uklęknął i zaczął masaż serca.

Ziegler pocił się pod szlafrokiem. Policjant powinien już tutaj być. Powinien dzwonić do furty, ale co wtedy? Co wtedy zrobi obcy? Obrócił się lekko w prawą stronę, by tamten nie widział, jak wyciągnie broń.

– Wy Polacy nie szanujecie własnej historii. W dupie macie własną niepodległość. – Nieznajomy wyprostował się nagle.

Najlepszy moment, żeby strzelić, minął.

– Nie przypominam sobie, żeby łączyły nas jakieś interesy. – Ziegler przerzucał w pamięci twarze tych, z którymi połączył go kiedyś los.

– My nie zostawiamy niezałatwionych spraw – ciągnął tamten, obracając w palcach szklankę. – To jak w winnicy. Musisz wycinać niepotrzebne pędy, bo zabiorą światło innym i cały krzew będzie słaby i bezużyteczny.

– Powie mi pan, o co chodzi? Czego nie załatwiliśmy do końca? – Profesor zbladł.

Obcy przechylił spokojnie szklaneczkę i wypił whisky.

– Widzę, że pana przeceniałem. Pan naprawdę nie rozumie? – Odstawił szklankę obok popielniczki.

– To przez tego jebanego Pegasusa? – Ziegler spróbował wyszarpnąć pistolet z kieszeni, ale ręka mu uwięzła.

Ziegler wiedział sporo o ludziach takich jak jego gość. Zawodowcy nie rozmawiają z ofiarami. Nie szukają usprawiedliwień. Nie marnują czasu. A ten gadał i gadał, było w nim coś niespójnego.

– Niczego pan nie rozumie – pokręcił głową, oparł ręce na poręczach fotela.

Lipiński stygł. Wciąż był żywy, jednak stygł. Kosiński nie mógł nic na to poradzić. Dwa oddechy usta-usta, trzydzieści uciśnięć serca. I znowu. I jeszcze raz.

Chciał usłyszeć oddech, ale usłyszał tylko kroki.

Nie musiał podnosić wzroku. Wiedział, że to drugi policjant.

– Co się, kurwa, dzieje? – Tamten stał cały mokry z kartonowym kubkiem kawy w dłoni.

– Wzywaj pomoc i zapierdalaj do starego, ktoś go tam przecież zabija. – Pochylił się nad Lipińskim. Dwa oddechy.

Młody sięgnął po radiotelefon. Kosiński uciskał serce leżącego. Raz, dwa, trzy, cztery…

Ziegler wyszarpnął z kieszeni szlafroka dłoń z pistoletem w tym samym momencie, kiedy obcy zerwał się z fotela. Profesor wciąż nie miał pewności, czy odbezpieczył berettę, ale teraz było już za późno na poprawki. Strzelił, kiedy tamten skoczył. To nie był głośny huk. Jakby coś spadło na podłogę albo jakby komuś, pomyślał Ziegler, właśnie pękło serce.

Nie trafił.

Zanim ponownie uniósł rękę, tamten zdążył już pokonać dwa metry, jakie ich dzieliły, i uderzył profesora w splot słoneczny.

Staruszek zwinął się jak rogalik. Upadł na kolana.

Z dołu dobiegało walenie do drzwi.

– Mamy gości, więc będę szedł – powiedział obcy.

– Ale my tylko umówiliśmy kupców. – Ziegler z trudem łapał oddech. – Jesteśmy tylko pośrednikami.

– Jak pan nic nie rozumie. – Tamten chwycił go za głowę. – Nic a nic.

Profesor wybałuszył oczy.

– Pozdrowienia od Abu Daouda – szepnął zabójca.

I kiedy nie miał już czasu na ani jeden oddech więcej, Ziegler sobie przypomniał.

Rozdział 11

– Przypominam sobie – powiedziała matka Szymona. – Przypominam, ale jakby przez mgłę. To już tak dużo czasu minęło…

Siedzieli we troje przy stole w kuchni. Serbia nie widziała nigdy tak sterylnie wysprzątanego domu. Kuchnia wyglądała na nieużywaną. Jak z filmowej dekoracji.

Kiedy karmiła Kasię, dziewczynka uparła się jeść samodzielnie i rozchlapała zupę po całym stole, a serce Olgi zamarło. O dziwo, babcia nie zareagowała.

Drugi raz serce jej zamarło, kiedy starsza pani nalała wszystkim herbaty do kubków z bolesławieckiej ceramiki.

Potem poszli z Szymonem położyć dziecko do łóżka.

Olga była spięta. Wciąż jeszcze nie porozmawiali ze sobą. Przy innych wymieniali tylko komunikaty, ale nie rozmawiali. Nie w cztery oczy. Szymon kilka razy wysyłał sygnały, ale najpierw Olga robiła uniki w przekonaniu, że wymuszałaby jakieś deklaracje, na które ona wcale nie miała ochoty, a od chwili kiedy zobaczyła zdjęcie, na którym Ritter i Pawłowski uśmiechali się w towarzystwie ojca Szymona i jakichś innych facetów, chciała rozmawiać tylko o tym zdjęciu.

Starsza pani trzymała w dłoniach oprawioną fotografię.

– Andrzej był taki młody, taki przystojny. – Dotykała palcem jego twarzy na zdjęciu. – A teraz nie żyje. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje, wiesz? No jak to tak? Wychodzisz z domu, a potem nie żyjesz?

Dopiero teraz Olga uświadomiła sobie, że nie wie, jak umarł ojciec Szymona. Wydawało jej się, że po prostu umarł. Że nadszedł jego czas, a teraz słyszy, że to musiało być coś zupełnie innego. Może wypadek, może zawał, domyśla się, ale milczy. Milczy, bo wie, że starsza pani ma potrzebę, żeby się wygadać.

Herbata już wystygła. Kobieta wpatruje się w zdjęcie jeszcze chwilę, jakby nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Szymon siedzi cichy, szary, wycofany. Nie pomoże jej teraz. Musi sama zapytać.

– Właściwie nie zapytałam, co się stało – mówi cicho Olga.

Starsza pani odkleja wreszcie oczy od zdjęcia swojego nieżyjącego męża.

– Tacy byliśmy młodzi wtedy. On był taki piękny. Nie przystojny, rozumiesz, ale właśnie piękny. Jak jakiś egzotyczny kwiat. Jakby niepolski, nie wiem, jak ci to wyjaśnić… nie wiem. Zakochałam się bez pamięci. Gdyby wtedy chciał, gdyby chciał, nie wiem, nawet gdyby chciał mieć kochanki, inne kobiety, wszystko bym wybaczyła… A teraz co? Teraz co?

Nie płakała.

Jej suche oczy były po prostu bezdennie smutne. Ani światła, ani nadziei.

Olga znów przypomniała sobie opowieści Szymona o tym, jak stary Feliński potrafił być groźny, jak przynosił do domu strach, choć nie własny. To był strach innych ludzi, nieznanych, nienazywanych, obcych ludzi, którzy jednak musieli istnieć gdzieś tam, w innym świecie, do którego ani żona, ani syn nie mieli dostępu.

– Pytałaś o coś? – Starsza pani wpatrzyła się w Olgę jak wybudzona ze snu. – Pytałaś o coś, Olgo?

– Wciąż nie wiem, co się dokładnie stało.

Tamta nie zrozumiała.

– Z pani mężem. Z tatą Szymona…

– Ach.

Wypuściła powietrze z taką siłą, jakby coś w środku się rozkleiło, rozpruło. Nie umiała powiedzieć niczego więcej.

– Ojciec wpadł pod samochód – powiedział Szymon.

Starsza pani pokiwała głową. Olga nie wiedziała, co powiedzieć. Obracała w dłoniach zimną szklankę.

– Może ja zhobię świeżej hehbaty, co? – Szymon odsunął krzesło i rozbił bańkę ciszy, w której zaczynało im wszystkim brakować powietrza.

– Tak, tak. – Matka pokiwała głową. – Zrób. No, a ty… dlaczego pytasz o to zdjęcie?

– Ci dwaj – Olga wskazała brodą w stronę zdjęcia – Ritter i Pawłowski nie żyją. Prowadzę dochodzenie w sprawie ich śmierci.

– Jak to nie żyją? – zapytała matka Szymona. – Przecież do mecenasa dzwoniłam, nagrałam mu się na pocztę głosową, żeby przyjechał na pogrzeb…

– Nie mogę o tym wiele mówić. – Olga była zakłopotana. – Ale obaj nie żyją, a teraz dowiaduję się, że znali pani męża. To trochę dziwne. Nie wiem, co powiedzieć… Nie wierzę w przypadki. Nie wierzę też w cuda. Nie wiem, co zrobić. Czułam, że muszę o to zapytać. Przepraszam.

– Nie przepraszaj, dziecko… No, znali się. Kolegowali. Ja też ich poznałam. Kiedyś, w tamtych czasach, kiedy zrobili to zdjęcie, ludzie jakoś bardziej trzymali się razem. Dzwonili do siebie, wpadali, kiedy byli

w mieście. Teraz wiem, dlaczego Ritter nie odbierał. Dziwiłam się. Bo on odbierał zawsze albo oddzwaniał… Andrzej ciągle miał z nim kontakt, radził się, czy kupować akcje, obligacje czy dolary… Wiesz, Olgo, teraz to taka inflacja, ale wcześniej Ritter radził, że obligacje, że sam kupił. No, ale mówił też, że najlepiej to inwestować w firmy zbrojeniowe, że to teraz będzie rosło. Tak zrobiliśmy… Ritter dobrze się znał na takich sprawach.

– Wiedział, że wybuchnie wojna?

– Pewności nie miał, ale tak… tak. Uważał, że wojna jest nieunikniona. A jak wojna, mówił, to inflacja. Ale zbrojeniówka będzie rosła. Najlepiej w proste rzeczy – amunicja, IT, systemy antyrakietowe. Tak jak za pierwszym razem, kiedy weszli na Krym. Wtedy też mówił, że Rosjanie wejdą, bo przecież inaczej musieliby Ukrainie płacić za ten port wojenny ich floty… No i zainwestowaliśmy, a oni weszli.

– Ciekawe – mruknęła Olga. – Bardzo ciekawe.

Szymon podał świeżą herbatę. Dla matki w bolesławieckim kubku w kropki. Dla Olgi w białym z niebieskim napisem w jakimś nieczytelnym alfabecie i z konturem nieznanego miasta.

– Ghuzja – powiedział. – Nalałem ci w moim kubku z Ghuzji.

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się pierwszy raz.

Kosiński ucisnął piersi Lipińskiego setny raz chyba i wreszcie poczuł, że ciało zemdlonego się napina, że reaguje.

– Kurwa, Lipa! – Uderzył leżącego kilka razy po twarzy. – Lipa, obudź się, wracaj, kurwa, wracaj tu.

Nacisnął mu piersi jeszcze dwa razy. I trzeci.

Lipiński otworzył oczy, a potem zaczął wymiotować. Kosiński przekręcił go na bok, ale i tak chłopak zdążył obrzygać i siebie, i jego. W świetle latarni, w deszczu, rzygowiny rozmywały się w dziwne, pomarańczowe kręgi.

Kosińskiemu natychmiast zrobiło się niedobrze od tego smrodu, ale pozbierał się, przełknął. Zaczął wycierać Lipińskiemu rękawem usta.

– Będzie dobrze, wyrzygasz, przeżyjesz – powiedział. – Co wy, kurwa, odwalacie?

Lipiński nie odpowiedział. Oczy miał wciąż nieprzytomne. Kosiński myślał gorączkowo. Co robić? Trzymać go tutaj, kiedy ten młody właśnie pakuje się w jakąś kabałę? Kurwa, przecież skoro ktoś uśpił Lipę, to tylko po to, żeby się dobrać do Zieglera.

Przestraszył się tej myśli. A potem zaczął krzyczeć.

– Młody! Kurwa, wracaj tu. Wracaj.

Ale młody nie słyszał. Walił w drzwi domu Zieglera lewą ręką. W prawej trzymał broń. Cały napięty. Usłyszał strzał. Wiedział, że to nie są żarty. Ale co zrobić? Czekać na pomoc? Co mówi regulamin? Kurwa, nie pamiętał nic a nic. Adrenalina buzowała mu w żyłach, aż bolała głowa. Uciekać, czekać? Przecież nie po to idziesz do policji, żeby uciekać.

Serce wali jak wściekłe, a broń jest coraz cięższa w dłoni śliskiej od potu.

Wali jeszcze raz. Może powinien przestrzelić zamek?

Kurwa mać, drzwi wyglądają na solidne.

Robi dwa kroki w tył i strzela.

Kiedy światło w oczach profesora zgasło wreszcie, napastnik puścił głowę Zieglera i pozwolił, żeby ciało osunęło się na podłogę.

Z dołu dochodziło walenie do drzwi. Rozumiał to. Policjanci musieli usłyszeć strzał. Rozejrzał się po pokoju. Westchnął i pochylił się nad ciałem Zieglera. Zerwał z niego szlafrok. Obszerny, biały, nada się, pomyślał. Cofnął się jeszcze do stołu, zabrał stamtąd zapalniczkę i zaczął zbiegać schodami na parter.

Był w połowie schodów, kiedy usłyszał strzał.

Daleko stamtąd Olga siorbnęła herbaty.

– Bardzo dobra. – Uśmiechnęła się jeszcze raz. – Strasznie gorąca.

– To co mam ci powiedzieć? – Starsza pani sprawiała wrażenie, że wzięła się już w garść.

– Wie pani, gdzie zrobiono to zdjęcie?

– Dokładnie nie wiem, ale to był jakiś obóz szkoleniowy. Oni wtedy, młodzi bardzo, chcieli przecież być kimś.

Zamilkła.

– Kim?

– Chcieli jechać w świat. Wtedy się świat otwierał dla odważnych ludzi. Chcieli… chcieli go zmieniać. Chcieli uczynić lepszym. Żeby nie było wojen. Żeby dzieci nie musiały być więcej sierotami. Pani nie pamięta, Olgo, ale wtedy przecież nie było wcale takie pewne, że nie zaatakują. Że na przykład Niemcy nie przyjdą i nie zechcą odebrać nam Śląska. Tu, we Wrocławiu, naprawdę ludzie się tego bali. A przecież to

już nie były niemieckie ziemie. Bali się bomby atomowej. Bali się, że jeśli Zachód ruszy na Związek Radziecki, to kto na pierwszej linii? No my. Oni to przecież dla Polski chcieli. – Znowu dotknęła palcem fotografii za szkłem. – W ogień by mogli za sobą iść. A potem…

Znowu zamilkła.

Olga podniosła wzrok na Szymona.

Pokazał jej oczami, żeby pytała.

– A potem co?

– A potem okazało się, że Polska wcale nie jest taka, jak myśleli… Że się wszystko… No i jak wprowadzono stan wojenny, to każdego rzuciło w inną stronę. Andrzej mi już nie mówił. Ale jak nastała demokracja, to znowu się zaczęli spotykać. Dlatego wiem, że Ziegler to na uczelni, najlepszy w tej matematyce, ale nigdy nie został rektorem, chociaż mu się należało od lat. No, a redaktor Śledziński to w telewizji zęby zjadł.

– W jakiej telewizji?

– No wtedy to była tylko jedna telewizja, nie to co teraz. Ale jak się zaczęły tworzyć nowe redakcje, to poszedł do tych komercyjnych. Dobrych ludzi trudno znaleźć, a on naprawdę dobry. Jutro pewnie przyjadą.

– A ten? – Olga zapomniała, jak się nazywał ten wysoki; na zdjęciu przykucał, żeby zmieścić się w kadrze. W ogóle, pomyślała, ciasny ten kadr. Zdjęcie na wolnym powietrzu, a stoją ściśnięci jak w małym pomieszczeniu. Jakby autor zdjęcia nie chciał pokazać żadnych szczegółów, po których można byłoby odgadnąć, gdzie było zrobione.

– To Wiesiek Malinowski. On, to jak się zaczęła demokracja, poszedł w samorząd. Zawsze się z niego śmiali, że gadane to ma za trzech.

– Kiedy się śmiali? – zapytała Olga. – W tamtych czasach?

– Nie, no ja przecież w tamtych czasach ich nie spotykałam. Ale jakoś tak od osiemdziesiątego dziewiątego czy od dziewięćdziesiątego to się zawsze raz do roku spotykali u nas. W domu. Przyjeżdżali wódkę pić. Na pierwszego sierpnia.

– Na rocznicę powstania? – zdziwiła się Olga.

– No, właśnie tak. Tak właśnie zawsze mówili.

– A ten ostatni?

Olga pochyliła się, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy. Smagły, przystojny, szczupły, też w samych szortach, więc można było zobaczyć, jak jest wyżyłowany, ani śladu krągłości, brzucha czy coś. No, ale wtedy wszyscy zdrowo jadali i dużo się ruszali. Nie było komputerów.

– Tego nie znam. To jakiś zagraniczny facet. No i tego młodego też nie znam. On do nas nie przyjeżdżał.

– A ten obóz to gdzie był?

– Tego nigdy mi mąż nie powiedział.

– A jak tu bywali, nie słyszała pani?

– Kiedy tu przyjeżdżali, to oni mieli swój świat, a ja swój.

– To znaczy?

– No, oni tam. – Pokazała brodą w stronę salonu. – A ja tutaj. W kuchni.

Młody policjant, który strzelił w zamek w domu profesora Zieglera, zrozumiał, że to bezskuteczne. Pocisk zrykoszetował, pozostawiając na powierzchni niewielkie wgłębienie. To musiał być naprawdę jakiś pancerny materiał. Pomyślał, że ma cholerne szczęście, bo nie oberwał własną kulą. I że to szczęście będzie mu jeszcze potrzebne. Rozejrzał się w poszukiwaniu innego sposobu wejścia do domu, kiedy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich, z rękami w górze, jakiś bosy facet w szlafroku z mokrą głową.

– Proszę nie strzelać – poprosił wyraźnie przestraszony.

– Policja! – Młody złożył się do strzału. – Kim pan jest?

– Jak to kim? No, ja tu mieszkam. Jestem ogrodnikiem – powiedział tamten, głos mu drżał, ręce też. – Brałem właśnie kąpiel, kiedy usłyszałem strzał na górze w pokoju profesora. Tam ktoś jest!

Opuścił ręce z westchnieniem ulgi. Jakby nie miał siły dłużej ich trzymać w górze.

– Nie ruszaj się pan stąd. – Policjant odsunął go i wbiegł do budynku.

Nieznajomy zrzucił szlafrok i zniknął.

Rozdział 12

– No i wtedy zrzucił ten szlafrok i zniknął. – Kosiński nie klął, był śmiertelnie spokojny.

Zanim zadzwonił do Serbii, zdążył się pozbierać. Wiedział, że wszystko, co dzieje się w człowieku, to w dużej mierze chemia, że nasz gadzi mózg musi sobie poradzić z adrenaliną, kortyzolem i co się tam jeszcze w żyłach przewala i miesza w chwili zagrożenia. Najpierw wszystko widział jak przez mgłę, jakby ten cholerny deszcz padał mu prosto do głowy. Ale powoli mu się wyklarowało, że mimo wszystko wyszli z tej kabały poharatani dużo mniej, niż mogło się na pierwszy rzut oka wydawać.

Spokój daje równy oddech, ale i równy oddech daje spokój.

Siedział na krawężniku. Niebieskie i czerwone światła ambulansów rozbijały się w kałużach w drobny mak, ale było już cicho.

Kurz opadał.

Rozumiał jednak, że dla jego szefowej to musiał być szok.

– Jak to zniknął? – Serbii chciało się płakać. Najpierw wrzeszczeć, ale szybko przełknęła ten moment. Zerwała się z krzesła tak nagle, że Szymon i jego matka aż drgnęli.

Powstrzymała gestem ich pytania, a potem wyszła.

Dobrze, że ten balkon istniał. Czarne cienie drzew prześwietlane przez sodowe latarnie. Nieznany zapach obcego miasta.

Za dużo miała na głowie. Pożegnanie z Nastią, spotkanie z Szymonem, rozmowa z jego matką. Miała od tego wszystkiego głowę nasiąkniętą jak gąbka.

Wstydziła się bezsilności.

Musiała zrobić wszystko, żeby Kosiński się nie zorientował. Musi być sobą.

– Jak to zniknął? – zapytała ze śmiertelnym spokojem w głosie. – Jak to możliwe? Nie ochroniliśmy tego starca od śmierci, choć było pewne, że go ukatrupią?

Kosiński odczekał chwilę.

Cisza sprawia, że człowiek po drugiej stronie słuchawki powoli odzyskuje spokój.

– Nie, nie było pewne. – Serbia słyszała w głosie Kosińskiego zmęczenie. – Co mieliśmy zrobić? Zamknąć go na czterdzieści osiem godzin? To nie jest amerykański film. Tylko tam wsadzają gościa do śmigłowca i wiozą gdzieś na koniec świata. Pilnowaliśmy go przecież. To byli najlepsi wywiadowcy.

– No, widać nie tacy najlepsi. – Serbia nie była pewna, co powinna teraz zrobić. Pakować Kasię i biec na dworzec czy dzwonić do Leśmiana, może do Bielskiego, czy może zostać na tym jutrzejszym pogrzebie. Czuła się osaczona. Zwierzę w pułapce. Co robi lis, kiedy wpadnie w potrzask? Potrafi odgryźć sobie łapę.

Kosiński zbierał myśli.

– Zgoda. Nie byli najlepsi. Okazało się, że sobie nie poradzili. Ale przynajmniej wszyscy przeżyli.

– Co ty mówisz, Kosa! Przecież nasz świadek nie przeżył! Co ty w ogóle mówisz? To był nasz obowiązek. Twój i mój. Mamy go na sumieniu.

– Nieprawda. To nie był nasz obowiązek. Nie tylko nasz.

– Ale dlaczego pozwoliłeś temu mordercy uciec?

– Lipińskiego ratowałem.

– Jezu, postrzelił go?

– Nie, no nie strzelił, ale czymś otruł. Jakimś gazem, nie wiem, dowiemy się. Na razie odwieźli go do szpitala. Młody pobiegł do Zieglera bez obstawy, bo ja wtedy robiłem Lipińskiemu masaż serca.

– Ja pierdolę. – Olga westchnęła na głos i wreszcie poczuła, że coś się w niej otwiera. – Co na to Leśmian? Co mówi ta z prokuratury?

– Do ciebie pierwszej zadzwoniłem.

– Okej. Czyli jeszcze nie wiedzą?

– Leśmian wie, przecież dyżurny wie, alarm poszedł w eter. Poszkodowany policjant, martwy świadek. Gruby wie. A prokuratorka, nie wiem, czy już ją powiadomili…

Stęknął.

Olga zrozumiała, że czeka ją tej nocy jeszcze kilka poważnych rozmów.

– A poza tym, co u ciebie? – zapytała.

– Rozpadało się. Deszcz zaciera ślady.

– Masz coś? Cokolwiek?

– Nic nie mam.

– Co, nic nie masz, serio?

– No, mam samochód, zdaje się, że nim przyjechał. Jest z wypożyczalni, ale nie dam głowy, czy nie kradziony. Jeszcze się za to nie wziąłem.

– A łuska? Mówiłeś, że padły strzały.

– Łuska jest. Pistolet też jest. Morderca go nie zabrał. Wszystko czeka na techników. Mnie się zdaje, że to Ziegler strzelał, ale nie trafił. Wtedy tamten go po prostu udusił.

– A pocisk?

– Pocisk jest w ścianie. Nie ma śladów krwi. Kurwa… Długa noc przede mną.

Deszcz siąpił, a spodnie Kosińskiego były już całkiem mokre.

Olga skończyła rozmowę i wróciła do kuchni. Starszej pani nie było.

Usiadła przy stole i powiedziała Szymonowi, że musi poczekać, aż zadzwoni Leśmian. I że właśnie stracili świadka w sprawie podwójnego zabójstwa. I że to Ziegler. Ten, co jest na zdjęciu, które wisiało całe lata w jego domu. Szymon zaproponował, że jeśli Olga chce wracać, to Kasia może przecież zostać z babcią.

Tak się wyraził. „Zostać z babcią".

Olga przypomniała sobie, że jest mamą. Przez chwilę nie była pewna, czy bardziej policjantką, czy bardziej mamą.

Denerwowała się. Powinna być gotowa, kiedy zadzwoni Leśmian.

– Phoszę. – Szymon postawił przed nią kubek kawy. – I tak nie zaśniesz, a kawa przynajmniej ładnie pachnie.

Uśmiechnęła się do niego. Wciąż niepewna, jak powinna zareagować na jego słowa o pozostawieniu Kasi samej. Czy wrzasnąć na niego? Kategorycznie powiedzieć „nie" czy może jednak „zastanówmy się, czy to możliwe". Bała się takiej myśli. Dlaczego faceci są wolni od takich dylematów?

Szymon wpatrywał się w nią intensywnie. Widziała, że chce jej coś jeszcze powiedzieć.

Boże, błagam, niech tylko nie mówi o tym, że żałuje, że wszystko mogło być inaczej, błagam, myślała. Nie zniosłaby tego.

– Wiesz… – chrząknął.

– Serio? Musisz teraz?

– Nie mówiłem o tym mamie – powiedział szybko, w obawie, że mu przerwie – że ojciec nie umahł w wypadku.

Odetchnęła.

– Co ty mówisz? Nie wpadł pod samochód?

– Wpadł. Ale to nie był wypadek.

– No więc… co ty mówisz?

– Jest świadek. Widział, że samochód przejechał, a potem cofnął i przejechał znowu… Z oględzin zwłok tego nie odczytasz. Ciało jest zmiażdżone i tyle.

Patrzyła mu w oczy w milczeniu, które wisiało między nimi jak pajęczyna.

– No, ale świadek…

– To jest słaby świadek.

– Pijak?

– Nie, taki niepełnosphawny. Wiesz… zespół Downa. Cały dzień nic, tylko patrzy przez okno. Jego matka zadzwoniła, że widział. Ona jest pewna, że skoho tak mówi, to znaczy, że widział.

– A widział?

– Mógł widzieć. Jego okno wychodzi na tę ulicę. Ale wiesz… z nim jest uthudniony kontakt. Obcym niczego nie chce powiedzieć. Więc wahtość tych zeznań, w phocesowym sensie…

– Ale ty mu wierzysz.

– Ta kobieta, jego matka… ona mu wierzy. Ale ja własnej matce nie mogłem powiedzieć. Nie mogę, dopóki nie wiem na pewno.

– Oni nie kłamią – szepnęła Olga.

– Kto nie kłamie?

– Ludzie z zespołem Downa. Oni nie kłamią. Nie oszukują. Rozumiesz?

Pokręcił głową.

– Czytałam o tym. Jeśli coś im się nie podoba, nie umieją tego ukryć, jeśli kogoś kochają, to muszą mu to powiedzieć od razu. Od razu przytulają. Jeśli on mówi, że widział, to widział. Przesłuchałeś go?

– Nie. Koledzy nie wierzą, ale nie mogli spuścić tej kobiety na drzewo, bo się upahła… no, żeby do photokołu. No i wtedy Bahtek mi powiedział. Że to może nie był wypadek. A ja czułem, że nie był. Ojciec by pod samochód nie wpadł, hozumiesz? To by nie było w jego stylu. On by nohmalnie nie mógł umrzeć. Hozumiesz? Jeśli ktoś zna śmiehć lepiej niż własnego syna, to nie może nohmalnie umrzeć. Ale nie mogę tego powiedzieć matce. Ona nic o nim nie wie. Hozumiesz?

Westchnął i podniósł na nią wzrok.

Miał znowu to spojrzenie, które znała z czasów, kiedy byli razem. Bezbronne. Żadnych pułapek. Żadnego udawania. Kiedyś patrzył tak na nią zawsze, za każdym razem. Gdyby nie to spojrzenie, nie mieliby Kasi.

Wyciągnęła rękę. Jego policzek był chłodny i szorstki. Zdziwiła się, że jest obcy i że tak szybko zapomniała, jak to jest.

Nie odwrócił wzroku. Nie drgnął nawet. Chyba nawet nie oddychał. Przesunęła delikatnie palcami po skórze. Przymknęła powieki i wtedy zadzwoniła jej komórka.

– Olga! Kurwa, co wy wyrabiacie?! – Leśmian był wściekły. Albo przestraszony. W każdym razie nie panował nad sobą. To źle.

– Dobry wieczór – powiedziała.

– Co ty pierdolisz, Olga!? Jaki dobry? Obsraliście sprawę i profesor nie żyje! Ty sobie zdajesz sprawę, co teraz będzie?

Nie odpowiedziała.

– Ale ty wiesz, o czym mówię, nie udawaj. Kosiński się przyznał, że do ciebie dzwonił.

Milczała, ale tylko chwilę.

– Tak, wiem.

– Co masz zamiar zrobić? Wracasz? Powiedz mi, że od kwadransa jedziesz do Warszawy.

Westchnęła.

Jeszcze nie wiedziała, jak powinna postąpić.

– Mam zamiar… Zostaję.

– No, co ty pierdolisz, dziewczyno! Musisz tu być, kurwa, rano. Oni mi jutro urwą jaja!

Odsunęła słuchawkę od ucha. Odezwała się dopiero wtedy, kiedy Leśmian odrobinę ochłonął, w każdym razie zamilkł.

– Szefie, ja tu przyjechałam na pogrzeb, nie na wakacje…

– Ty chyba naprawdę nie pojmujesz swojej roli – zaczął.

– Cicho! – krzyknęła.

To musiało Leśmiana zaskoczyć do tego stopnia, że naprawdę zamilkł.

– Po pierwsze, to policyjny pogrzeb. Nie chodzi tylko o to, że to dziadek mojej córki. To mój psi obowiązek. Na twój pogrzeb też przyjdę. Albo ty na mój.

Słyszała, że jej dowódca głośno oddycha, hamując złość.

– Po drugie, na ścianie w domu mojego niedoszłego teścia wisi zdjęcie, na którym jest on, Ritter, Pawłowski i Ziegler. Feliński ich znał, a teraz nie żyje. I nie wiadomo, czy to był nieszczęśliwy wypadek, czy może nie. Uważam, że powinnam tu powęszyć.

– Co ty mi pieprzysz, jakie zdjęcie? Jakie węszenie? To nie jest twoja jurysdykcja, co ty, netfliksów się naoglądałaś?

– Szymon…

– Pani podkomisarz – Leśmian zmienił nagle ton – co mi pani tu z jakimś Szymonem. Rozumiem, że pani były absztyfikant jest całkiem niezłym śledczym, ale w sprawach śmierci najbliższych nie ma możliwości, żeby angażował się w dochodzenie zarówno on, jak i pani. Rozumiemy się?

Poczuła się bardzo zmęczona.

– Stary Feliński znał Zieglera, Rittera i Pawłowskiego – powiedziała powoli. – Ta fotografia to bardzo poważny ślad.

– Ale ci z ministerstwa rano biorą mnie na dywan. – Opór Leśmiana słabł. – Myślałem, że pójdziemy tam razem.

Westchnął.

– Na ciebie by nie krzyczeli – dodał. – A to nie jest twoja jurysdykcja, nie możesz tam prowadzić żadnych czynności…

– Wiem. Ale to nie jest przypadek, że ginie nagle czterech facetów ze starej fotografii. Powiedz tym z ministerstwa, że to trzeba sprawdzić. Jeśli nie są kompletnymi durniami, zrozumieją.

– Olga, to, kurwa, nie jest bezpieczne. Lipiński mało się nie przekręcił, nie wiadomo, czym go otruli.

– Będę na siebie uważać. Jest już późno, pogrzeb mam o dziesiątej rano. Potem się odezwę.

Usłyszała, jak Leśmian wciąga powietrze, żeby wyrecytować jakąś srogą odpowiedź, ale nie. Pomilczał chwilę, po czym się rozłączył.

Olga sięgnęła po fotografię. Wciąż leżała na brzegu stołu. Jak wyrzut sumienia. Przymierzyła smartfon tak, żeby złapał ostrość na twarzach za szybą, a potem zrobiła zdjęcie.

Pyk. I posłała je Bielskiemu bez słowa wyjaśnienia.

Potem powoli odłożyła telefon na blat. Ostrożnie, jakby obawiała się, że za chwilę ożyje na nowo, a ona nie miała już sił na kolejną walkę. Położyła głowę na łokciu. Chciała zasnąć właśnie tutaj. Na siedząco. Z milczącym telefonem, zapachem kawy i jakichś dziwnych woni, ni to mokrej trawy, ni to skóry czy drewna. Może fajka tak pachnie? Może ojciec Szymona przychodził tu palić fajkę. Zamknęła oczy i nasłuchiwała. Nic. Cisza. Kasi nie słychać. Nie słychać ulicy. Much nie słychać. Ani serca.

Poczuła, że dotknął jej dłoni. Nie odsunęła swojej. Pomyślała, że on zaraz powie, żeby szli do łóżka, a ona zapyta, czy mają iść razem. Czekała.

– Jesteś zmęczona – powiedział. – Przyda ci się thochę snu.

– Thochę snu, thochę snu – mruknęła, przedrzeźniając go.
– Chodź. – Wyciągnął rękę.
Wtedy rozbudził się telefon.
Potarła dłonią kark i spojrzała na wyświetlacz.
Kosiński.
– Co tam, Kosa? – powiedziała powoli.
– Przyjechałem tu, żeby zapytać Zieglera o zapalniczkę. Kiedy był u nas na przesłuchaniu, miał ją przy sobie. W pokoju, w którym zginął, są w popielniczce niedopałki. A zapalniczki nie ma. Czy to nie dziwne?

Rozdział 13

– Czy to nie dziwne? – Parasol zdążył obeschnąć, więc Szymon mógł go już złożyć. Przed chwilą deszcz, a teraz, ledwo ojciec poszedł do ziemi, słońce. Jakby świat odetchnął, że ma go z głowy.

– Nie lubiłeś ojca?

– Szanowałem go. – Podał jej ramię.

Poczuła się z tym dziwnie. Miałaby iść z mężczyzną pod ramię i Kasią drepczącą obok? Dziewczynka jak na złość nie chciała na ręce. Zawsze chce, a teraz akurat woli trzymać się za rękę i skakać po kałużach. Wody niewiele, ale plamy błota już się wgryzają w rajtuzy.

Szymon czeka. Ujęła go pod łokieć i choć od skóry dzieliły ją materie marynarki i koszuli, zdało się jej, że dłoń natychmiast zaczęła ją piec. Palić.

– Nie odpowiedziałeś mi. – Spróbowała jakoś przerwać milczenie. – Bałeś się go?

– Bałem się jako dziecko. Potem, jako nastolatek, byłem mu wdzięczny za kilka sphaw. Może nawet tak bahdzo wdzięczny, że nie chciałem pamiętać o sthachu? Albo po phostu nie chciałem wiedzieć o nim zbyt wiele. Ale dohosłem i zacząłem się bać tego, kim był.

– A kim był?

– Tego wciąż nie wiem.

Wyszli spod drzew na otwartą przestrzeń. Był tam wiatr i wątła tęcza, jakby niepewna tego, czy uda się rozpalić niebo żółcią i czerwienią. Gdyby ją poszczuć psem, rozpadłaby się w pył.

– Wciąż boisz się wiedzieć? – Olga pomyślała, że to całkiem przyjemne, trzymać kogoś za ramię.

– Tak.

Byli już blisko bramy. Dalej, na parkingu, stali znajomi jego ojca.

– Poznaj mnie z tymi ludźmi ze zdjęcia. Jeśli czterech z tej grupy już nie żyje, to musi coś znaczyć.

Zostało im jeszcze siedem, jeszcze sześć kroków. Kasia stropiła się i już nie skakała. A może nie bawiło jej skakanie po chodnikowych płytach, skoro nie było tam kałuż.

Matka Szymona tłumaczyła dwóm mężczyznom w czerni, jak trafić do restauracji, w której wyprawiała stypę. Jeden wpisywał sobie adres do nawigacji, a drugi kręcił głową i spoglądał na zegarek.

– Mamo, na lęce – poprosiła Kasia, kiedy byli metr od nich.

Olga wzięła ją na ręce.

– Ależ, panie redaktorze, niech mi pan tego nie robi, Andrzej tak bardzo pana cenił, zawsze był dumny z pańskich osiągnięć, z pewnością teraz patrzy na nas z góry.

– Proszę mnie nie straszyć. – Redaktor podniósł wzrok na tego drugiego.

– Tomek, nie rób zamieszania, zostań – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu Wiesław Malinowski.

– Okej, to jaki to adres? – Redaktor zrezygnowany sięgnął po smartfon, żeby wpisać dane do nawigacji.

– Nie obawiasz się lokalizacji? – Malinowskiemu zapaliły się w oczach złośliwe ogniki.

Tamten tylko ściągnął brew.

– A, to moja sy… mama mojej wnusi. – Wdowa uśmiechnęła się do mężczyzn w czerni. Podnieśli głowy i skinęli Oldze, a ona, ledwo spojrzała im w oczy, miała pewność, że doskonale wiedzą, kim jest.

W domu Zieglera Kosiński od rana przeglądał półki i szuflady. Miał już dość. Za dużo papierów, za dużo bibelotów, za dużo wszystkiego. Za jednym z obrazów odnalazł sejf, ale nie miał pomysłu, jak go otworzyć. Nie szkodzi, technicy sobie w końcu poradzą. Niepokoiło go jednak, że nie potrafi odnaleźć zapalniczki.

Skoro miał się dowiedzieć, co oznacza inskrypcja na zapalniczce, profesor powinien mieć ją gdzieś na wierzchu. W dodatku, kiedy zginął, na stoliku wciąż stała popielniczka z niedopałkami cygar.

Zapalniczka powinna więc być pod ręką.

Skoro zniknęła, należy założyć, że zabrał ją napastnik.

To znaczy, że stanowiła ślad.

Dlaczego więc nie zabrał tej z kieszeni Pawłowskiego? Coś musiało go spłoszyć i nie zdążył przejrzeć zawartości kieszeni pierwszej ofiary? Nie. To przecież gość o stalowych nerwach, wyszedł z domu drzwiami, pewny siebie cwaniak albo zawodowiec. Gdyby zapalniczka była jakimś ważnym śladem, przeszukałby kieszenie Pawłowskiego. A jeśli nie była ważna? Mógł ją wziąć, bo była cenna. Albo po prostu była pamiątką… W każdym razie zniknęła. Na szczęście mieli wciąż tę Pawłowskiego. Trzeba będzie ją zbadać.

Zszedł na dół i ponownie obejrzał podwórze. Jeszcze nocą odtworzyli drogę napastnika, deszcz zmienił trawniki w mokrą papkę, ale zawsze dobrze przyjrzeć się wszystkiemu w dziennym świetle. Może facet coś

zgubił? Może przegapili jakiś ślad?

Samochód, należący do jednej z popularnych wypożyczalni, był kradziony, ale technicy nie stwierdzili żadnych śladów klasycznego włamania. Złodziej nie rozbijał szyby, nie grzebał przy zamku, zresztą kia to inteligentny samochód, sam rozpoznaje klucz. Ale inteligentny złodziej też nie nosi już wytrychów, tylko elektroniczny kod. Nie szuka ciemnego miejsca, żeby wejść metodą na pasówkę, ale sposobu, żeby zeskanować elektroniczny kod klucza.

Kosiński się zastanawiał, czy wiedza o tym w jakiś sposób pomoże mu zidentyfikować bandytę, ale szczerze w to wątpił. Włamywacze do samochodów od kilku lat stosują skanery i wcale nie tak trudno im ukraść auto. Każdy, kto potrafi poruszać się w internecie, może kupić jakiś chiński wynalazek i odebrać go w paczkomacie. Nie trzeba tego już nawet przywozić z zagranicy. Taki choćby hackKEY – dwa małe pudełeczka z antenkami. Wyglądają jak dziecięce zabawki. Jeden nadajnik podrzuca się pod drzwiami mieszkania albo hotelowego pokoju, w którym mieszka właściciel samochodu czy też gość, który go wypożyczył. Drugi jest w kieszeni złodzieja, kiedy ten podchodzi do auta. Ciągnie za klamkę, samochód emituje sygnał, żeby rozpoznać klucz, hackKEY wzmacnia go tak, że dociera do odbiornika pod drzwiami, ten łączy się z prawdziwym kluczem, który wysyła potwierdzenie, a odbiornik znajdujący się w kieszeni złodzieja przesyła je do komputera w aucie. Złodziej wsiada, wciska start i odjeżdża. HackKEYS kosztują dwadzieścia dolarów na chińskim portalu zakupowym. Skaner do skopiowania sygnału jest trochę droższy, ale nie trzeba niczego nikomu podkładać pod drzwi. Wystarczy być w pobliżu samochodu, kiedy kierowca się do niego zbliża, i przechwycić sygnał klucza na swój smartfon. Złodziej, kiedy zechce, podchodzi potem do auta, uruchamia aplikację, wysyła sygnał i może używać samochodu jak swojego.

Czysto i bez ryzyka.

– Tą drogą mordercy się nie znajdzie – mruknął do siebie Kosiński. – Trzeba będzie przejrzeć kamery w Konstancinie. Może gdzieś się zapisało, jak wracał? Może jakaś taksówka, Uber, cokolwiek… To zajmie mnóstwo czasu i nie wiadomo, czy coś da.

Zapisy z kamery u sąsiadów niczego nie wniosły, oczywiście poza tym, że pozwoliły wywnioskować, którędy bandyta mógł iść, żeby go nie było widać. Kosiński przeszedł od bramy sąsiada do płotu dzielącego obie posesje.

Nic. Żadnego odcisku podeszwy. Może facet miał buty bez protektora? Takie, jakich używają operatorzy wojsk specjalnych, kiedy nie chcą zostawić śladów na podłożu? Nie złamał gałęzi, nie pozostawił nigdzie nawet skrawka tkaniny.

Kosiński wrócił do bramy sąsiada i pomachał kobiecie, która go wcześniej wpuściła.

Jasny gwint, nie znalazł niczego istotnego. A to znaczyło, że musi wrócić do mieszkania i przekopać się przez sterty dokumentów, jakie profesor zgromadził na regałach, w biurkach, na półkach – to robota na lata, kiedy nie wiesz, czego szukasz.

Zapalniczka nie dawała mu spokoju. To musiał być ślad. Spojrzał na zegarek. Może powinien o to zapytać tego kierowcę, który odwiózł wczoraj profesora. Tego, jak mu tam, Kijewskiego. Tajemniczy kierowca zdawał się bardzo spostrzegawczy. Cham, ale jeśli zechce, mógłby pomóc. Pewnie razem palili te cygara. Może to on zabrał zapalniczkę?

Kosiński postanowił, że do niego zadzwoni, ale zanim zdążył wybrać numer, smartfon zadrżał mu w dłoni.

Na wyświetlaczu zobaczył, że to „Stary Chuj".

– Kosiński, na rozkaz.

– Nie wygłupiaj się – powiedział Leśmian. – Jesteś jeszcze na miejscu zbrodni?

– Jestem, rozglądam się.

– Dobrze. Poczekaj na ekipę.

– No, ale byli przecież przez pół nocy. Co było do zrobienia, zrobili.

– To nie będzie nasza ekipa. To goście z ABW. Podobno cały oddział. Czy tam szwadron.

– Po co tu ABW?

– Bo panowie z rządu stwierdzili, że sprawa jest poważniejsza, niż się wszystkim wydaje. Trzy trupy, cały zarząd firmy, która pomogła Polsce kupić Pegasusa w czasie, kiedy zaczyna się unijne postępowanie w sprawie nadużywania tego oprogramowania, wzbudziły niepokój za granicą.

– Kurwa mać!

– No właśnie, kurwa mać! Rząd uznał, że to stanowi realne zagrożenie godzące w bezpieczeństwo wewnętrzne państwa.

– Znaczy co? Używanie Pegasusa czy to unijne dochodzenie?

– Ty mnie nie prowokuj, Kosiński. Ja ciebie proszę. To nie są żarty. Ktoś chce pozacierać ślady. Ci z ministerstwa uważają, że to może iść na konto władz. Zaraz wypłyną jakieś mejle Dworczyka na temat Pegasusa i dopiero się zacznie! To nie pomoże Polsce w polityce zagranicznej ani władzy w wewnętrznej. Mamy wojnę za naszą granicą, Unia nie chce nam dać pieniędzy z KPO, sędziowie się buntują przeciwko ministrowi sprawiedliwości, a kto jest na pierwszej linii podejrzeń o to, że miesza coś w sprawie Pegasusa?

Kosiński milczał. Nie wiedział, czy to zagadka, czy Leśmian po prostu chciał się napić wody.

– No mów, zadałem pytanie.

– No… Ziobro?

– Właśnie. Właśnie. Minister sprawiedliwości! A ty z kim tam jesteś na miejscu zabójstwa? No, ilu ludzi się tym teraz zajmuje?

Kosiński znów milczał.

– Ty mnie nie wkurwiaj. Wiem, że nie spałeś całą noc, ale czy ja cię pytam o pochodzenie materii we wszechświecie? Nie, ja cię pytam, ilu was tam teraz jest.

– No… sam jestem.

– Właśnie. To właśnie powiedziałem tym z ministerstwa, a oni mi na to, że policja jak zwykle zawiodła, że nie rozumiemy powagi sytuacji, że jest zagrożenie państwa i że wysyłają ABW. Ministerstwo twierdzi, że musi teraz odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, a nasze dochodzenie tylko ich pogrąża.

– Odbierają nam sprawę?

– Tego nie powiedzieli. ABW ma nam pomóc.

– Czyli my im mówimy, co wiemy, a oni nam nic nie mówią.

– No, dokładnie. Ale to wasza wina, Olgi i twoja. Nie spisaliście się, świadka wam zabili, nic nie wiecie, więc nie ma sprawy, co nie? Będziecie służącymi tych z ABW. Więc siedź tam teraz i czekaj, aż przyjadą, a kiedy przyjadą, pokaż im, gdzie i czego mają szukać.

Na stypie Olgę usadzili koło matki Szymona i redaktora Tomasza Śledzińskiego. Rosół był dobry, zdaje się nawet, że nie z kostki, że z prawdziwej kury. Olga czuła głód, ledwo jednak zdołała posmakować, bo miała na kolanach dziecko, a Kasia ciągle się krzywiła i nie chciała jeść. Chciała ciastko. Leżały w zasięgu jej wzroku, ale Olga nie pozwoliła córce po nie sięgnąć.

– Kiedyś mi podziękujesz – powiedziała do niej, a potem spojrzała na Śledzińskiego.

– A więc interesuje panią nasze wspólne zdjęcie? Ciekawe, bardzo ciekawe. A co panią tak zaciekawiło? Że dwóch z nas już… nie, wróć, że trzech z nas już nie żyje?

– To chyba jasne. Pan, dziennikarz, powinien to rozumieć.

– Ależ oczywiście, że rozumiem. Tylko że brnie pani w ślepą uliczkę. Ani mnie, ani pana prezydenta Malinowskiego nic przecież nie łączy dzisiaj z tą firmą Rittera. Po prostu byliśmy kiedyś razem z nimi na obozie młodzieżowym i to wszystko. Nasze kontakty się urwały.

– Mama, daj. – Kasia wyciągnęła łapkę w kierunku makowca.

Olga poczuła, że robi się jej gorąco. Czy Szymon zapomniał, że to jest też jego dziecko? Czy nie przyjdzie mu do głowy, żeby wziąć córkę i ją nakarmić, skoro ona teraz musi przeprowadzić tę rozmowę, a Śledziński kręci?

– Nie dam – powiedziała stanowczo do córki i pomyślała, że może za bardzo na nią warknęła, więc szybko pocałowała ją w główkę. – Może zjesz jeszcze trochę zupki?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Niedobla, niedobla.

– Jak pan chce. Wdowa po panu Andrzeju powiedziała mi o waszych spotkaniach w rocznicę powstania warszawskiego, więc wiem, że wasze kontakty się nie urwały.

– A… to. – Śledziński uśmiechnął się lekko. – To taki nasz sposób świętowania. Wypijaliśmy toast za ludzi z Kedywu. Byliśmy może kiedyś raczej za lewicą niż za ekstremą, ale Kedyw zawsze nam imponował.

– Nie chce mi pan powiedzieć… szkoda. Ja bym powiedziała, gdyby połowa ludzi z naszej wspólnej fotografii nagle zginęła tragiczną śmiercią.

– Zamordowano Rittera i Pawłowskiego – powiedział redaktor. – Pracowali w bardzo wrażliwym sektorze gospodarki. Można powiedzieć, że w kluczowym na czas wojny. Jest mi niezmiernie przykro, że tak się stało, ale to ze mną nie ma nic wspólnego.

– Szymon podejrzewa, że śmierć jego ojca to nie był wypadek. – Olga postanowiła iść na całość. – A dziś w nocy zamordowano Zieglera. Może mi się wydaje, ale czy to nie wygląda tak, jakby ktoś miał to wasze zdjęcie i eliminował was po kolei?

– Ja pier… – Śledziński poluzował krawat. – Pani mówi serio?

Kasia wzięła łyżkę i pacnęła nią w rosół. Kropelki tłuszczu zabarwiły obrus na złoto.

Olga westchnęła.

– Znowu to samo! Szymon, proszę, weź ją na chwilę.

Odsunął swoje krzesło i przyszedł natychmiast. Kasia spojrzała na niego nieufnie, ale pozwoliła się wziąć na ręce.

Olga popatrzyła Śledzińskiemu w oczy. Wciąż czekał na odpowiedź.

– Tak. – Skinęła głową. – Mówię serio. Samochód, który przejechał Felińskiego, zrobił to dwa razy.

– Ale to nie pasuje… – Redaktor przesunął okulary na czoło i potarł palcami oczy.

– Co nie pasuje?

– Andrzej Feliński nie miał nic wspólnego z Pegasusem. Nigdy.

Rozdział 14

– Ależ Andrzej nie miał nigdy nic wspólnego z Pegasusem. – Śledziński zaciągnął się papierosem.

– Jesteś pewien? – Malinowski zmarszczył brew.

– Tak.

Wyszli przed budynek restauracji. Słońce straciło już cierpliwość do Wrocławia i nad miastem rozchorował się chłodny front, plując deszczem i kichając porywami wiatru. Ale nie dlatego stali blisko siebie. To był odruch, przyzwyczajenie. W czasach, kiedy świat nie był jeszcze zainfekowany podsłuchami, oni wiedzieli już, że kiedyś to musi nastąpić.

Pegasus, nie-Pegasus. Szept nie dość, że nagrywa się trudno, to nie pozwala na jednoznaczne zweryfikowanie głosu mówiącego.

– Może ci wszystkiego nie mówił?

– Jestem absolutnie pewien. Nie kryłby tego przede mną.

– Szlag, jasny szlag! – Malinowski szeptał nawet w złości. Kipiał, ale nie mógł sobie pozwolić na wybuch.

Pomagało mu, gdy na kogoś krzyczał. Albo i uderzył. Ale to było wtedy. Wtedy zaliczali ci na plus, jeśli potrafiłeś wyzwolić w sobie gniew. Nie tę bezwolną pierwotną siłę, która odbierała rozsądek i zamieniała mózg w kaszankę, ale ten twórczy gniew, przynoszący zastrzyk testosteronu i adrenaliny, tę czystą złość, która potrafiła zmusić innych do słuchania, kiedy mieli słuchać, i do mówienia, kiedy mieli gadać. Potem, gdy wziął się za politykę, uczył się dzień po dniu dławić gniew, zniżać głos do szeptu, a wściekłość zastępować uprzejmością. Zimną jak lód. Nauczył się w porę. Zanim cioty i mięczaki zaczęły wymyślać te nowomodne słowa typu „mobbing".

– Kurrrwa mać – wysyczał teraz. – Jeśli się nie mylisz, to znaczy, że czas ogłosić alarm.

– Co masz na myśli? – Śledziński podniósł wzrok.

– Jak to co? – Malinowski wzruszył ramionami. – Seek and destroy.

– Myślisz?

– A ty, kurwa, nie? Liczysz, że ta policjantka karmiąca albo ta ciota jąkała potrafią coś z tym zrobić?

– Andrzej uważał, że jego syn jest dobrym policjantem. – Śledziński był śmiertelnie spokojny.

– Nie pierdol, Śledziu, przecież widzisz, że to mięczak. Za mało wpierdol dostawał, to skąd ma wiedzieć, jak być mężczyzną? – Malinowski poczuł, że się poci, że robi mu się duszno i musi poluzować krawat. Irytował go spokój redaktora. To był ten rodzaj spokoju, jaki zachowują karpie w wannie. Jeszcze oddychają, ale już nie żyją.

– Zanim oni się w czymś połapią, zostanie z nas mokra plama. – Ścisnął Śledzińskiego za ramię.

Redaktor wyssał resztkę nikotyny i rzucił niedopałek gdzieś przed siebie.

– Musimy się za to wziąć sami – dociskał go Malinowski. – Bo jak tu nie chodzi o Pegasusa, to może być, sam wiesz… – Przerwał, bo skrzypnęły drzwi.

Olga wyszła na taras. Odsunęli się od siebie natychmiast.

– Chyba się panowie nie ukrywają przed policją? – spróbowała zażartować, ale żaden z nich się nie uśmiechnął.

– Ukrywamy się przed pani latoroślą. – Malinowski zrobił dobrotliwą minę. – To taka ufna dziewczynka, jeszcze nas polubi, a my jesteśmy przecież niegodni.

– Niegodni czego? – Olga objęła się ramionami, nie spodziewała się, że jest aż tak zimno.

– Niegodni zaufania. – Malinowski uniósł brwi i dłonie w bezbronnym geście przyznania się do winy.

– Świetny żart, panie burmistrzu – powiedziała z uśmiechem. – Polityk i dziennikarz. Dwa zawody szczególnie wymagające społecznego zaufania.

– Wiesiek mówi o zaufaniu osobistym, a nie zawodowym. – Śledziński się uśmiechnął. – Zawodowo, pani oficerko, jesteśmy nieposzlakowani.

– Panie Tomaszu, czy ja wobec tego mogę z panem kilka słów?

– Na osobności, oczywiście?

Wyczuła drwinę.

– Przepraszam, panie burmistrzu, pana…

– Rozumiem. – Malinowski zrobił krok w tył. – Rozumiem. Moja kolej za chwilę, ale to nie będzie przesłuchanie – dokończył za nią. – I nie jestem burmistrzem. Jestem zastępcą prezydenta miasta.

Mrugnął do Śledzińskiego i wszedł do środka.

– Co chce pani wiedzieć? – Śledziński wyciągnął w jej kierunku paczkę papierosów.

Ten, co rządzi pogodą, podkręcił deszcz, i Oldze się zdawało, że ściana wody zmyje cały obraz, jaki ma przed oczami. Drzewa przed restauracją, samochody, krawężniki i schody. Sięgnęła po papierosa.

Śledziński osłonił płomień dłonią.

Kosiński tymczasem wystawiał twarz do słońca, siedząc na marmurowych stopniach prowadzących do ganku willi profesora Zieglera. Zrobiło się ciepło, trawa parowała po deszczu, ale muchy jeszcze siedziały po krzakach, jeszcze nie wystartowały na swoje patrole. Idealna pora, żeby odetchnąć. Nie spał całą noc. Taka praca. Wiedział, bez patrzenia w lustro, że ma cienie pod oczami i bladą cerę. Nie lubił tego i nie zasługiwał ani na jedno, ani na drugie. Poza tym ocalił życie Lipińskiemu. Należało mu się trochę odpoczynku.

Pozwalał słońcu działać.

To dobry moment. Wyciszyć w głowie wszystkie pytania i po prostu nasiąkać blaskiem. Wiedział, że to nie potrwa długo. Nic w życiu nie trwa tak długo jak kredyt.

Jakieś dziesięć minut potem usłyszał pisk hamulców.

Brama była otwarta. Dwa czarne range rovery z przyciemnianymi szybami wjechały na trawnik.

– Pierdolona kawaleria. – Kosiński pomyślał, że gdyby Ziegler naprawdę miał ogrodnika, to te świeże koleiny w mokrej ziemi złamałyby mu serce.

Było ich ośmiu. Trzech taszczyło ciężkie, czarne walizy. Technicy.

– Cześć, Kosa. – Pierwszy pokazał Kosińskiemu legitymację.

– To my jesteśmy na ty? – Pod słońce wszystkie cienie są takie same.

– No, proszę cię. – Bielski uniósł okulary. Miał pod nimi te swoje pieprzone niebieskie oczy roześmiane od ucha do ucha.

Kosiński uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Nie możesz nie lubić gościa, który kiedyś ocalił ci życie.

– Wchodźcie. – Bielski machnął ręką pozostałym i poczekał, aż wejdą do budynku. Wtedy usiadł na schodach obok policjanta.

– To ty robisz naszego Pegasusa? – Kosiński sięgnął po papierosy, ale zaraz pomyślał, że do słońca lepiej pasowałoby prosecco.

– Miałem pewne zasługi, więc od razu się wkręciłem, jak tylko usłyszałem, że potrzebujecie wsparcia.

– Nie potrzebujemy wsparcia. Palisz?

– Znowu ćwiczę. – Bielski pokręcił głową i poczekał, aż Kosiński zaciągnie się pierwszy raz.

– No? – Policjant wypuścił kłąb dymu. – Tłumacz się.

– To polityczna sprawa. Przecież rozumiesz. Naprawdę lepiej, że ja to z wami robię, niż miałby być ktoś inny.

– Dla mnie to podejrzane. – Kosiński zaciągnął się znowu, a Bielski poczuł w brzuchu pragnienie. Ale musiał być twardy.

– Co podejrzane?

– No, że chcesz taką sprawę i że dostajesz.

– No pliz, coś mi tam jednak zawdzięczają. To dzięki wam przecież.

– A… to za Kowalskiego? Słyszałem, że dostałeś awans…

– Gówno tam słyszałeś. – Bielski się uśmiechnął. – W mojej służbie awanse są tajne.

Dwa lata temu pracowali razem przy sprawie, którą trzeba było załatwić po cichu. Udało się i teraz Bielski miał chody w opozycji i dług wdzięczności w koalicji. Świetny punkt startu na ministra spraw wewnętrznych, gdyby opozycja wygrała wybory.

Bielski był w wyśmienitym humorze.

– Obejrzałeś sobie wszystko w chacie? Zajrzałeś, czy nie pochował zaskórniaków po książkach? – Kiedy wchodzisz z butami na czyjeś podwórko, możesz spodziewać się różnych reakcji. Zatarg z policją nikomu by teraz nie posłużył. Dobrze, że wziął to na siebie.

– Nie starczyło czasu, żeby wyciągać je z półek. – Kosiński zaciągnął się papierosem. Jemu też było na rękę, że ma przed sobą Bielskiego, a nie kogoś, komu musiałby się stawiać na siłę. – Ale znalazłem zamknięty sejf. Może tam będzie coś ciekawego?

– W sejfach zawsze są ciekawe sprawy. Powiesz mi, co myślisz?

– A powinienem?

– Powiedz, ucieszę się. Awans mam, ale przydałby się jakiś order – spróbował zażartować. – No przecież wiem, że coś podejrzewasz. Gramy do jednej bramki, co nie?

Kosiński zdusił papierosa na schodku między nimi. Na marmurze pozostała czarna plamka. Kiedyś zmyje ją deszcz. Jak wszystko.

– Przeczucie mówi mi, że powinienem znaleźć taką jedną zapalniczkę. – Kosiński pomyślał, że wcześniej czy później Bielski i tak by się dowiedział, po co właściwie Kosa jechał wieczorem do Konstancina. Postanowił, że jak opowie o tym od razu, to wcześniej wróci się wykąpać, a naprawdę nie lubił być taki zmęczony.

W tym samym czasie Olga próbowała przekonać redaktora Śledzińskiego, że zaufanie przynosi lepsze skutki niż zgrzytanie zębami.

Ale Śledziński nie krył sceptycyzmu.

– Proszę pani, ludzie wieszają na ścianach różne zdjęcia i nie ma w tym nic niezwykłego. No, co ja mam pani o tym powiedzieć? Czarno-białe, stare, rzeczywiście jestem na nim z kolegami, nie pamiętam, w jakiej sytuacji zostało zrobione, tyle tych zdjęć człowiek ma, przecież wciąż mnie fotografują.

Zwróciła uwagę na to „proszę pani". Śledziński znał jej służbowy stopień i była pewna, że celowo wybrał taką formę, która pozwoli mu pokazać, kto tu rozdaje karty.

– Niech pan nie ściemnia, przecież to zdjęcie z czasów, kiedy robiło się je na ślubach, pogrzebach i na komunię. Czterej ludzie z tego zdjęcia stracili życie w niejasnych okolicznościach, to dość niezwykłe, prawda? – Była uprzejma i starała się być rzeczowa.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, na ilu zdjęciach jestem z kimś, kto już nie żyje… Pani nie ma uprawnień do tego, żeby nas oficjalnie przesłuchiwać w tej sprawie, prawda? Jakby pani miała, tobym mówił do protokołu.

– Nie sądzi pan, że lepiej będzie, jeśli połączymy siły?

– Nie. – Pokręcił głową.

Nie chciał gadać z policją teraz, kiedy mieli wziąć sprawę w swoje ręce.

– Jeśli mam rację, może być pan w niebezpieczeństwie – naciskała Olga.

– Potrafię się obronić.

– Andrzej Feliński też potrafił.

– No właśnie. Co pani o nim wie? Niech mi pani powie, niech mnie przekona, że cokolwiek rozumie. Co pani wie o… dziadku, no przecież Andrzej był dziadkiem tej pani córki.

– Resortowej wnuczki? – Olga nie spuszczała z niego wzroku.

Uniósł na moment brwi, jakby go zaciekawiła. Czekał.

– Wiem, że był kimś w peerelowskich służbach i starannie zadbał o to, aby nic z tego, co robi, nie infekowało jego najbliższych strachem ani nienawiścią.

Śledziński pokiwał głową z uznaniem.

Pomyślała, że może podoba mu się ten tok myślenia.

– Wiem, że potrafiłby się obronić. Jeśli dał się komuś przejechać, to prawdopodobnie nie wiedział, że jest w niebezpieczeństwie. Gdyby wiedział, byłby dzisiaj cały i zdrowy. Nie wychodziłby z domu.

– Słusznie. – Redaktor pokiwał głową. – Ale jaki z tego wniosek?

– Że nie potrzebuje pan mojej pomocy, by pozostać całym i zdrowym?

– Nieszablonowe myślenie – powiedział tonem pochwały.

– Czy dość nieszablonowe, żebym mogła pracować z panem w wiadomościach?

Uśmiechnął się lekko.

– W newsroomie, proszę pani, w newsroomie. Tam to trzeba mieć jaja. – Wrócił do protekcjonalnego tonu mizogina.

Nawet się nie spodziewała, że wyprowadzi ją z równowagi w ułamku sekundy.

– A żeby być redaktorem naczelnym – odparowała – to w papierach trzeba mieć czysto.

Chrząknął znacząco.

Albo tylko jej się zdawało.

– Nie rozumiem.

– Tak tylko mówię. – Oparła się o poręcz. – Bo pan zawsze tak w drugim szeregu, najbystrzejszy umysł, najlepszy dziennikarz trzydziestolecia wolnych mediów, był pan gwiazdą, miał swoje programy, tańczył z gwiazdami, ale nigdy nie dostał pan gabinetu na najwyższym piętrze. Ciekawe, prawda?

Uśmiechnął się, przygładził włosy i poprawił krawat.

– Kurwa – powiedział. – Wziąłbym cię do tego newsroomu. Żebyś wiedziała.

Rozdział 15

– A żebyś wiedziała, że tęskniłem. – Bielski pomyślał, że fotel Zieglera to prawie jak kanapa u psychoterapeuty. – Nie wiem, ile masz czasu, ale jeśli potrzebujesz pogadać, trafiłaś doskonale.

– Mam całą wieczność, a przynajmniej pół godziny. – Uśmiechnęła się do słuchawki. – Szymon próbuje ułożyć Kasię do spania.

Ugryzła się w język, ale było już za późno.

Patrzyła, jak za oknem ostatnie krople wilgoci próbują trzymać się liści, ale nie mają szans. Grawitacja nie ma litości, zupełnie jak czas.

– Aha…

– To nie jest łatwe, przecież Kasia tak mało go zna. – Spróbowała załagodzić sprawę, ale czuła, że tylko się pogrąża. – No, ale niech próbują. A ty gdzie?

– W domu Zieglera.

– Rozmawiałam z Kosińskim – powiedziała. – Ale przecież już po dwudziestej, co tam robisz, jeszcze nie skończyliście?

– Wolę tutaj… wciąż trwają czynności – skłamał. Nie chciał jej mówić, że nie ma dokąd iść, że puste mieszkanie to nie jest szczyt marzeń, że woli robotę od seriali, które musi oglądać sam. Nie chciał jej też powiedzieć nic, co mogłoby sprawić, że Serbia zrozumie, jak bardzo poczuł się zazdrosny. Zacisnął zęby, zanim zapytał, kiedy wraca.

Czasami przydaje się to, czego uczą cię w tej robocie. Zniknąć. Rozpłynąć się w mroku. Właśnie wlewał się do biblioteki profesora fioletowy, gęsty jak miód, leniwy i chłodny. Wyciągał ręce nad jedyną, pomarańczową plamą światła. Bielski pomyślał, że w zasadzie ta lampa wcale nie jest mu potrzebna. Gdyby ją zgasił, zniknęłyby wszystkie ślady, jakie pozostawili technicy.

Ich kartki, taśmy, liszaje chemikaliów. A wtedy byłby to po prostu dom, a nie miejsce zbrodni.

– Znaleźliście coś?

– Tak, tak, w sejfie sporo materiałów o Pegasusie. Zanim przez to przebrniemy, minie kilka dni.

– Czyli myślisz, że oni zginęli z tego powodu?

– Na razie nie mam lepszej opcji. Kosiński mówił, że ty masz inny pomysł, jakieś zdjęcie. On sam się zafiksował na zapalniczce. Podobno po to jechał do Zieglera.

– Tak, profesor miał mu wyjaśnić, co znaczy inskrypcja na niej.

– Nie znaleźliśmy zapalniczki. A zrobiliśmy tu prześwietlenie jak sam Pan Bóg, który widzi w ukryciu.

Nie roześmiała się.

– Pawłowski miał taką samą zapalniczkę jak Ziegler. Nie wiemy, co znaczy napis.

– My mamy dobrych kryptologów.

– To po arabsku.

– Po arabsku to może ja ci przeczytam.

– Potrafisz?

– Hawa, kalaf, sha'af, shaghaf, jawaa… tak, znam kilka słów i umiem je napisać.

– Co powiedziałeś?

– Kocham, pragnę, tęsknię, cierpię…

Nie zapytała, czy mówi prawdę, czy tylko igra z nią. Nie miała odwagi. Nie bała się urodzić dziecka, ona, samotna matka w czasie epidemii; mimo nadchodzącego kryzysu, niepewności jutra, mimo że planeta krztusiła się z gorąca, a w jej robocie nie było miękkiej gry i źli ludzie strzelali do policjantów. Nie bała się przełożonych, polityków, bandytów, mobbingu, molestowania ani pociągnąć za spust. Nie bała się nawet starości i tego, że zbrzydnie, zachoruje i będzie już zawsze sama.

– No, a co tam z tym zdjęciem? – Bielski w końcu przerwał milczenie. – Kosa mówi, że masz na nim trzech denatów w czasach młodości.

– Czterech. Jeden to normalka, dwóch to przypadek, trzech to poważny trop. Czterech to pewność, czyż nie?

– Jak to czterech? – Bielski zmienił ton. Kiedy pies gończy podejmuje trop, zastrzyk adrenaliny wyostrza mu wszystkie zmysły.

Olga opowiedziała mu o ojcu Szymona.

Potem zamilkła. Po jego stronie słuchawki też było cicho, ale ani Olga, ani Bielski nie czuli się skrępowani takim milczeniem. Czasami dzwonili do siebie właśnie po to, żeby razem pomilczeć. Słowa między ludźmi są przecież jak labirynty pełne luster, a nie zawsze chcesz oglądać własne odbicie, nie zawsze trzeba na siłę przekonać się, jak jest. Naprawdę dobrze mieć kogoś, z kim można bezkarnie milczeć.

Olga myślała, czy Bielski naprawdę zna te arabskie słowa.

Bielski myślał o tym, ile jeszcze mają czasu.

– Kurwa – powiedział w końcu. – Jeśli stary Szymona naprawdę zginął, bo komuś na tym zależało, to musimy mieć pewność. Masz rację. Cztery to alarm… Trzeba zbadać, czy Feliński nie miał jakichś związków z Pegasusem. To na pierwszy ogień.

– Nie miał. – Olga weszła mu w słowo.

– Skąd wiesz?

– Tak mówią ci jego kumple, jego żona… Szymon tak mówi.

– A myślisz, że mówią prawdę?

Zastanowiła się.

– Szymon mówi prawdę – stwierdziła. – Ale nie musi wiedzieć, jak jest. Ojciec chciał go chronić przed tym, jak jest. A potrafił się kamuflować. Pewnie tak samo dobrze jak ty.

Znowu ugryzła się w język o pięć słów za późno.

– To rzeczywiście może mieć jakiś związek – powiedział szybko. Zbyt szybko, żeby nie zrozumiała, że trafiła go w miękkie, ale weźmie wszystko na siebie. Jak zawsze. – Sprawdzimy, to potrwa, bo wiesz, sąd musi dać zgodę, ale sprawdzimy, jakie pan Feliński denat miał aktywa. Może się okaże pasywnym wspólnikiem, może jego nazwisko gdzieś wypłynie. Moi szefowie są przekonani, że zabójstwa mają związek z Pegasusem i że będzie z tego wkrótce gruba polityczna rozróba. Jeśli znajdą się jakieś mejle Dworczyka w tej sprawie, zrobi się awantura na całą Unię.

– A ty co uważasz?

– Myślę, że mejle są dęte. To robota Ruskich.

– Nie o to pytam.

– O Pegasusa?

– Tak.

Westchnął.

Musiał pozbierać myśli.

– To podłe narzędzie, ale czy aż takie wyjątkowe w świecie, w którym każdy średnio inteligentny użytkownik internetu może wyciągnąć o każdym innym człowieku mnóstwo informacji? Analiza profilu aktywności w sieci pozwala w zasadzie inwigilować każdego bez potrzeby angażowania w to takiej maszyny jak Pegasus, i w dodatku jest całkowicie legalna. Skoro ludzie publikują o sobie te wszystkie informacje, wystarczy nauczyć się z nich korzystać, tanio, skutecznie, bezpiecznie i bez pozostawiania śladów. Wielkie korporacje śledzą nas w stopniu porównywalnym z tym, w jakim czynią to służby. Wiedzą o nas więcej niż my sami, niż nasz psycholog czy tam ksiądz albo nasi kochankowie. Wiedzą, jak długo będziemy razem, na co zachorujemy, czy mamy szanse powodzenia w biznesie, i nawet wiedzą, czy i kiedy przestaniemy kochać tych, których kochamy. Albo nam się tak zdaje.

– Poważnie mówisz?

– Tak. Maszyna wie, czy kupujesz aspirynę czy viagrę. Wie, czy masz samochód, czy lepiej ci wyświetlać reklamy o używanych autach, bo na nowy cię nie stać. Wie, czy jesteś na stronach dla pokerzystów, czy na Tinderze. Wie, czy masz ochotę tam zajrzeć. Jeśli obliczy, że tak, zacznie ci wyświetlać odpowiednie reklamy. Pamiętasz głośny skandal z dziennikarzem, który zrobił screenshota, żeby pokazać, jakie to reklamy wyświetlają się na jednym z prawicowych portali?

Nie pamiętała.

– Dziś tego przykładu używają paneliści w wykładach na temat algorytmów w mediach społecznościowych. Można się pośmiać, ale wtedy to pozwoliło odkryć, jak działa maszyna internetu. Otóż pewien znany dziennikarz wszedł na jakiś prawicowy portal, żeby poczytać, co tam o nim piszą, i ze zdziwieniem spostrzegł, że wyświetliły mu się reklamy z samotnymi kobietami z Ukrainy. Zrobił zdjęcie i wrzucił post na Twittera, a wtedy Wirtualne Media opublikowały analizę, w której mu wytłumaczyły, że każdemu wyświetlają się reklamy takich stron, jakie odwiedza. Rozumiesz?

– Tak. Mój Onet jest inny niż twój.

– To jakie ci się wyświetlają reklamy? – Ton zmienił mu się tylko odrobinę, ale to usłyszała.

– Nie wyświetlają mi się ani reklamy samochodów, ani viagry.

– Joga, wróżenie z tarota, kryształy, które przynoszą moc oczyszczenia? – Teraz z pewnością się uśmiechnął.

– Przestań… Książki mi się wyświetlają, taki garnek do gotowania na parze. I organizacje, które zajmują się pomocą dla uchodźców z Ukrainy. I materace.

– Żartujesz?

Nie żartowała, ale nie chciała iść tą drogą. Zapytała, jakie są prawne uwarunkowania inwigilacji w sieci, a Bielski powiedział jej o tym, że prawo w Unii Europejskiej jest daleko z tyłu za amerykańską ustawą Foreign Intelligence Surveillance Act, na podstawie której National Security Agency ma prawo śledzić w sieci wszystkich, którzy mogą mieć zamiary terrorystyczne. Nie terrorystów, ale osoby, które potencjalnie mogą zająć się działalnością terrorystyczną. W zasadzie więc mogą śledzić każdego, pod

warunkiem że nie ma amerykańskiego obywatelstwa. Ale tylko teoretycznie. W praktyce śledzeni są wszyscy. Amerykanie także.

– Pegasusem?

– Nie. Pegasus to izraelski wynalazek. Amerykańska maszyna nazywa się PRISM i nie jest narzędziem szpiegowskim, lecz analitycznym, tyle że służy do szpiegowania.

– Pryzmat?

– Tak. Amerykanie przez długi czas kryli, że mają taki program. Jego istnienie ujawnił Snowden. Odkrył, że Google, Microsoft, Facebook, Skype i inne korporacje przystąpiły do programu koordynowanego przez NSA. Polega on na monitorowaniu przesyłu danych tekstowych, dźwiękowych i wideo w celu wyłapania podejrzewanych komunikatów. Algorytmy wyłapują podejrzane frazy, uruchamiają alarm, a wtedy agenci NSA biorą się do inwigilacji i analizy danych dotyczących poszczególnych ludzi. Nie ma przed tym ucieczki.

– Ale Pegasus pozwala modyfikować dane w urządzeniach, które są nim zainfekowane?

– Tego ci nie powiem.

– Nie powiesz mi, bo nie wiesz?

– Nie powiem ci, choć wiem.

– Masz przede mną sekrety?

– Ale tylko dwa.

– A ten drugi?

Zawahał się przez moment.

– Kocham cię.

– Nie rób mi tego – powiedziała poważnie. Śmiertelnie poważnie.

– No przecież żartuję. – Wycofał się natychmiast, ale Olga już się rozłączyła.

Do kuchni wszedł Szymon roześmiany od ucha do ucha.

– Z kim hozmawiasz?

– Z Dorotą, nie znasz, pracuje z nami od roku. – Nie drgnęła jej nawet powieka. – Jak Kasia?

– Śpi. Dostała od matki pluszowego pieska, sam go kiedyś miałem jako dziecko, ale nie musisz się niczym mahtwić, jest odkażony, wyphany, zupełnie jak nowy – uspokoił ją od razu. – Opowiedziałem jej bajkę o koniu i zasnęła.

– O jakim koniu?

– No, że koń uciekł wieśniakowi i wszyscy chłopaka żałowali, a on mówi, że uciekł, to uciekł, może to na dobhe, a może na złe. Potem koń whócił z klaczą i wieśniak miał dwa konie. Zazdhościli mu, a on mówi, że whócił, to whócił, może to na dobhe, a może na złe. Jego syn sphóbował ujeździć tę klacz, spadł i paskudnie uszkodził hękę. Żałowali wszyscy, a gospodarz swoje: uszkodził, to uszkodził, może na dobhe, a może na złe… Przyszła wojna, wszystkich młodych wzięli w kamasze, a syn gospodarza niezdolny do służby…

– No dobrze, już dobrze, rozumiem. – Uśmiechnęła się do niego. – Czyli spodobało ci się bycie ojcem?

– Tak – powiedział poważnie. – Przephaszam, że nie było mnie z tobą, z wami, że… Muszę ci coś powiedzieć, Olu…

Wyciągnęła przed siebie rękę i pokręciła głową bez słowa.

Rozdział 16

Wyciągnął przed siebie rękę i pokręcił głową z dezaprobatą, niechęcią, a może i odrobiną pogardy.

– Idziesz pan stąd, czy mam zawołać ochronę?

– Po co te nerwy, panie Remigiuszu? Po co te nerwy? – Śledziński, całkiem nagi, z ręcznikiem przewieszonym przez szyję zamknął starannie drzwi sauny. – Niechże pan będzie rozsądny.

– Ja was, kurwa, znam, posiedzisz chwilę koło pismaka, a potem się okazuje, że jesteś tajnym źródłem w ministerstwie, cały Twitter gada tylko o tym. Ja nie chcę, żeby nas ktoś widział razem.

Mężczyzna był krępy, niewysoki, ale nieźle zbudowany jak na swoje pięćdziesiąt osiem lat, z tego ostatnie trzydzieści za rozmaitymi biurkami. Dbał o siebie. Każdego ranka, jeśli tylko pozwalał mu na to służbowy rozkład zajęć, wpadał do pływalni w Józefowie, robił dwadzieścia, dwadzieścia dwa baseny i relaksował się w saunie kolejne dwadzieścia minut. Nie chciał, żeby codziennie zostawało mu pod skórą półtora tysiąca zbędnych kalorii.

Śledziński potrzebował czterech godzin na to, by poznać dokładny plan dnia Remigiusza Okraski. Wstał więc o nieprzyzwoicie wczesnej porze, pojechał do Józefowa i zaparkował w odległej części parkingu. Jak najdalej od miejsca, w którym zatrzymywał się czarny służbowy SUV ministerstwa. Okrasko zamieniał zwykle kilka słów ze swoim kierowcą i sekretarzem, który nie miał zamiaru pływać, i spędzał tę godzinę na parkingu, wertując internet.

Śledziński pomyślał, że w czasach jego młodości takie tępaki nie mogłyby pracować na odpowiedzialnym stanowisku.

– Odsuń się pan, bo zawez…

– Tak, tak, panie Remigiuszu, bierz pan dupę w troki i leć po telefon. – Redaktor usiadł na ławeczce z głośnym plaśnięciem.

Tamten westchnął.

Śledziński przysunął się blisko. Bardzo blisko.

– Gorąco jak w piekle – powiedział. – Ale niech się pan przyzwyczaja, tacy jak pan siedzą w piekle w najgorszym miejscu.

– Dobrze panu radzę, panie Śledziński, odpierdol się pan. Panu nie jest potrzebna awantura w Radzie Etyki Mediów, a mi nie jest potrzebny kontakt z panem. I pan, i ta cała pańska telewizja tylko kłamiecie i kłamiecie. Dobrze panu radzę. – Okrasko odsunął się o pół metra. – Idź pan stąd.

Z otworków w ścianie wykładanej kafelkami buchnęła para i przez chwilę obaj poczuli, że oddycha im się jeszcze trudniej.

Śledziński pokręcił głową z dezaprobatą.

– Słuchaj – powiedział. – Mnie naprawdę nie chce się tutaj siedzieć, więc mi nie podskakuj, gnoju…

– Co to za ton! Wypraszam sobie – syknął Okrasko i zrobił ruch, jakby chciał się zerwać na równe nogi, ale wtedy opadłby mu ręcznik, który położył na kolanach.

Śledziński uśmiechnął się i wstał.

Miał szczupłe ciało. Całe życie zazdrościli mu tego wrogowie i przyjaciele. Stanął tak, że jego naga męskość znalazła się tuż przed oczami Okraski, a potem pochylił się i położył mu powolnym gestem rękę na ramieniu.

Tamten zrzucił ją i odsunął się najdalej, jak można. Ale daleko nie mógł, bo to był już prawie koniec ławy.

– To jest molestowanie seksualne i się z tego nie wywiniesz. Mało ci było sprawy o mobbing? Wyciszyli, ale to się odkręci, zobaczysz, ci, co trzeba, przypomną sobie, jak po nich jeździłeś. Popamiętasz! A radziłem, dobrze radziłem, żebyś spierdalał!

Wstał, tym razem przemyślawszy sprawę wcześniej, żeby się przed redaktorem nie obnażyć. Owinął się ręcznikiem w pasie i zrobił krok do wyjścia.

– Ja cię nie proszę o rady – powiedział zimno Śledziński. – Ja ci po prostu mówię, co masz robić.

– Ciebie chyba pojebało, człowieku – wysapał Okrasko. Zacisnął pięści, jakby był gotów dać Śledzińskiemu w mordę. – To jest, kurwa, molestowanie.

– Molestowanie, chuju, to sam odpierdoliłeś w „pociągu przyjaźni" – warknął dziennikarz.

Tamten opuścił nagle ręce i wybałuszył oczy, wpatrując się w Śledzińskiego jak w zjawę. Oczy zrobiły mu się szklane, cofnął się, szurając stopami, jakby nagle zapadła ciemność, jakby nie rozumiał, gdzie się znajduje.

– Ja tylko… tylko patrzyłem. – Okrasko próbował jeszcze coś powiedzieć, ale stracił oddech. Chwycił się za gardło, oczy wyszły mu z orbit. Zatoczył się na mokrą ścianę. Próbował się o nią oprzeć, ale palce ześliznęły się po płytkach i runął w przód.

Śledziński pochwycił go i usadził, a mężczyzna wciągnął nagle powietrze z głośnym sykiem. Jeden potężny haust. I zesztywniał.

– Spokój, kurwa, żadnych wylewów mi tutaj! – Dziennikarz spoliczkował Okraskę raz i drugi. Otworzył drzwi i do środka wpadło chłodniejsze powietrze. Spoliczkował jeszcze raz i jeszcze, aż omdlały mężczyzna drgnął. Kiedy zaczął przewracać oczami, dziennikarz spróbował postawić go na nogi.

Pssssssst – z dziurek pomiędzy płytkami poszedł kolejny obłok pary.

Okrasko zaczynał kojarzyć, gdzie jest. Stanął o własnych siłach i Śledziński mógł wreszcie pociągnąć go do wyjścia. W korytarzyku wpakował delikwenta pod natrysk i otworzył zimną wodę.

Okrasko zaczął drżeć. Przytomność wróciła.

– No już, już. – Dziennikarz mówił do niego uspokajająco, niemal czule, jak do dziecka. – Jesteś z powrotem.

Tamten drżał.

– Nie mdlej mi tutaj, nie chcemy skandalu. – Śledziński znów zmienił ton. – Chcemy tylko pogadać, prawda?

Okrasko milczał, ale skinął głową.

Zimna woda z natrysku przestała płynąć.

– Jeszcze chcesz wody? – Redaktor wyciągnął rękę w kierunku zaworu.

Okrasko dał znak, że nie chce. Wysunął się spod prysznica i rozejrzał za swoim szlafrokiem.

– Widzi pan, ja chciałem się tylko z panem rozmówić co do jednej sprawy – powiedział Śledziński cichym, nagle ugodowym tonem. Doszedł do wniosku, że etap rozmiękczania mają za sobą i teraz trzeba po prostu przejść do rzeczy. I to szybko. Zanim kierowca przyjdzie sprawdzić, czy wszystko w porządku. – Chciałem się z panem rozmówić w miejscu, w którym nie ma kamer ani podsłuchów. Rozumie pan? To w dowód może nie od razu przyjaźni, ale wspólnoty interesów. Rozumie pan, prawda?

Okrasko nic.

– Potrzebuję potwierdzenia, że pan rozumie. – Śledziński zrobił ręką ruch, jakby chciał uderzyć tamtego w ucho.

– Rozumiem. – Głos mężczyzny był słaby. W ciągu minionej minuty gardło wyschło mu na wiór.

– Wspaniale. Bo teraz poproszę, żeby zapamiętał pan swoje zadania. Czy mogę mówić?

– Może pan mówić. – Okrasko był blady jak ściana. Śledziński obawiał się, że może przesadził. Może gość miał coś z sercem i nie powinien napadać go w saunie, i to po sporym wysiłku. No, ale teraz już nie mogli wyjść z sauny. Nikt nie powinien oglądać razem wybitnego dziennikarza opozycyjnego i polityka rządzącej partii.

– Zadanie pierwsze jest proste: dostarczy mi pan informacji o wszelkich ustaleniach dochodzenia, które dla policji robi podkomisarz Olga Suszczyńska.

– Tego o Pegasusie? – upewnił się Okrasko, a Śledziński pomyślał z zadowoleniem, że znowu jego rozpoznanie i plan, w kogo uderzyć, były idealne.

– Tak, tego o Pegasusie. Rozumie pan? Muszę wiedzieć o tej sprawie wszystko. Szykujemy o tym materiał, nie przeczę. – Wykorzystał swoją legendę antyrządowego dziennikarza. – Z pewnością pański szef boleśnie to odczuje. To zrozumiałe, kiedy uderza się w kogoś bezpośrednio. Pan też oberwie, ale delikatnie, dzięki temu uniknie pan podejrzeń, że jest naszym głębokim gardłem.

Okrasko pokiwał głową. Ulżyło mu, kiedy zrozumiał, że nie chodzi o niego. Nie o tę fatalną sprawę z czasów, kiedy miał osiemnaście lat i ruszył w swoją pierwszą zagraniczną podróż z organizacją młodzieżową do Złotych Piasków w egzotycznej Bułgarii… Chodziło tylko o Pegasusa. Przy tym niech sobie węszą, pomyślał, niech sobie szukają. Jego komórka ma w tej sprawie czyste ręce. Jeśli ktoś coś spierdolił, to na szczęście nie on.

Uspokoił się.

– Na kiedy to ma być? – zapytał.

– No… bez zbędnej zwłoki. Jestem cierpliwy, ale nie jestem Bogiem i nie mam całej wieczności na czekanie.

– Rozumiem, że to transakcja wiązana.

– Co pan ma na myśli?

– Ja panu powiem, co jest w tym śledztwie, a pan mi powie, skąd wie o „pociągu przyjaźni”.

– Ciekawe. – Śledziński się uśmiechnął. – To jednak prawda, co o panu mówią.

– Co mówią?

– Że próbuje pan negocjować, nawet jak nie ma pan żadnych atutów.

Okrasko zacisnął usta.

– Dobrze, dostanie pan to, co ustalili w śledztwie – powiedział po chwili. – W jakiej postaci?

– Zrobi pan telefonem zdjęcia notatek ze spotkania przedstawicieli ministerstwa z policją. Najlepiej, gdyby to były pańskie osobiste notatki. Zdjęcia zapisze pan na tej maleńkiej karcie SD, której używa pan w komórce, i wrzuci ją do koperty z listem do redakcji.

– Z jakim listem? – zaniepokoił się Okrasko.

– W sekretariacie czeka na pana kilka pytań z redakcji. Łatwe pytania o tę barierę na granicy. Poprosi pan swoich ludzi o odpowiedź, powie im, że wypada pismo do wrogiej redakcji podpisać osobiście, wsunie kartę do koperty i każe ją wysłać sekretarce przez gońca.

– Tak wprost?

– Pod latarnią najciemniej. – Dziennikarz się uśmiechnął. – A teraz druga sprawa, bo nie powinniśmy tak długo ryzykować. Ktoś w końcu przyjdzie skorzystać z sauny.

– Co to za sprawa?

– Wyniesie pan dla mnie z IPN-u pewną teczkę.

– Jak mam, kurwa, to zrobić!?

– Niech pan pośle żonę, skoro pan nie wie. Kurwa, pracujesz pan w ministerstwie i mnie pytasz o takie gówno? Myśl pan – warknął Śledziński – i niech pan zapamięta sygnaturę: BU 0 1255/388. Powtórz pan.

– Jeden dwa pięć pięć trzy osiem osiem – powtórzył Okrasko. – Jak mam dostarczyć teczkę?

– Za cztery dni tutaj, w szatni. Ja otworzę swoją szafkę, pan otworzy swoją, a gdy pan będzie szedł obok mojej, to pan tam włoży, co trzeba, i już.

– Przecież ja nie wchodzę z żadną torbą na pływalnię!

– Od teraz pan wchodzi. Majtki pan tam noś zamiast w tym worku. No i już, idź pan, zanim ten pański kierowca wyczyta do końca internet.

Tamten ruszył do wyjścia.

– Powie mi pan o „pociągu”? – Obejrzał się jeszcze.

– Powiem. – Śledziński kiwnął głową i wypchnął gościa do głównego pomieszczenia pływalni.

Sam wyszedł pięć minut później.

W szatni Okraski już nie było. Wysuszył włosy, przebrał się i ruszył na parking. Czarny SUV wcześniej odjechał i zdaje się, że nikt nie obserwował parkingu. Wsiadł do swojego auta i sięgnął po komórkę. Wybrał numer Malinowskiego.

– Miękki był jak gówno – powiedział.

– Obsrał się?

– Nie, ale mało nie walnął na zawał.

– Widzisz, jacy oni są. A tacy silni w tej swojej telewizji. – Zastępca prezydenta miasta się uśmiechnął. – Czyli co? Ogarnie nam informacje?

Obaj byli zadowoleni, a dzień się dopiero rozpoczynał.

Śledziński nie powiedział koledze, że dorzucił Okrasce jeszcze jedno zadanie. Malinowski był zawsze ostrożny, dbał, żeby nie zostawiać po sobie śladów, nawet poszlak, a numer teczki to była gruba poszlaka. Co, jeśli Okrasko zajrzy do środka? Nic! Śledziński wiedział, że dokumentów jest tam naprawdę sporo, bo wczoraj zgłosił się między innymi po te materiały pewien student historii. Nawet jeśli Okrasko coś spierdoli, nawet jeśli ktoś się zorientuje, że papiery zniknęły, to student będzie miał alibi. Student wypożyczył, przejrzał, oddał i wszystko jest w porządku. Nie takie teczki znikały z archiwów i nic się wielkiego nie działo. A nawet jeśli się ktoś zainteresuje, to nie zwącha niczego podejrzanego, bo do czego miałyby komuś być potrzebne stare sprawy, które nie dotyczą bezpośrednio bieżącej polityki. Pomyślał, dlaczego w ogóle on sam chciałby je mieć. Może z przyczyn sentymentalnych? Nie, to by się przecież nie obroniło w żadnym sądzie.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę i przyjrzał się jej wytartym brzegom.

Rozdział 17

Kosiński wyjął zapalniczkę ze szczelnie zamykanego foliowego woreczka i przyjrzał się jej wytartym brzegom. Poczekał, aż Bielski wciągnie lateksowe rękawiczki, i dopiero wtedy podał mu ten tajemniczy, jak sądził, przedmiot, choć zbadało go już laboratorium i nie było tam żadnych innych odcisków palców niż Pawłowskiego.

– Co o tym wiesz? – zapytał Bielski.

– Amerykańska, benzynowa, marki Zippo, wyprodukowana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku w Bradford w Pensylwanii, sześć i sześć dziesiątych centymetra wysokości, cztery centymetry szerokości, pusta waży sześćdziesiąt gramów. Nosi ślady wieloletniego używania. Prosty mechanizm, podnosisz klapkę, wtedy zaczynają się uwalniać opary benzyny, kręcisz kółkiem, ono trze o krzesiwo, krzesiwo wzbudza iskrę, a iskra rozpala płomień. Niezawodna. Pali się w deszczu, pali na silnym wietrze, ikoniczny przedmiot amerykańskiej popkultury, używany przez gwiazdy filmowe, wręczany jako prezent, dostawali je astronauci, dostawali nawet żołnierze Hitlera. Führer zamówił w trzydziestym dziewiątym, jeszcze przed wojną, specjalną serię z krzyżem żelaznym i wręczył oficerom, którzy brali udział w kampanii wrześniowej.

Leśmian przebudził się nagle z odrętwienia.

– Nie mówisz chyba poważnie? – Pierwsza część spotkania zwołanego przez ministerstwo nudziła go, bo prokurator Bałucka w obecności przedstawiciela ministerstwa położyła uszy po sobie i zwyczajnie nie miała nic do powiedzenia, prezentację Kosińskiego dotyczącą Pegasusa widział już dwa razy, ale gość z ministerstwa, Okrasko, zmusił ich, żeby wysłuchali wszystkiego jeszcze raz, po czym wygłosił oświadczenie, że ministerstwo jest poza wszelkim podejrzeniem, a zarzuty podnoszone przez opozycję oparte są na nieprawdzie, bo żaden prawnik, prokurator ani polityk opozycji nie był podsłuchiwany przy pomocy tego narzędzia, no chyba że zaistniały przewidziane w prawie okoliczności.

– Jeżeli ktokolwiek był poddany inwigilacji za pomocą Pegasusa, to zgodnie z zachowaniem wszelkich procedur, na wniosek odpowiednich służb, za zgodą sądu i w sprawie dotyczącej poważnych przestępstw. – Przedstawiciel ministerstwa nauczył się swojej przemowy na pamięć. Nie miał żadnej kartki, ale brzmiał, jakby czytał. – Nie ma w przestrzeni publicznej żadnych przesłanek, żeby prominentni działacze opozycji wplątali się w jakieś przestępstwa wymagające użycia Pegasusa, więc nie ma podstaw, żeby podejrzewać rząd o takie działania.

Potem dodał jeszcze, że nie da się wykluczyć, że śmierć właścicieli firmy pośredniczącej w kontrakcie nastąpiła na skutek prowokacji rosyjskiego wywiadu, albo że motywy są zupełnie niepolityczne, bo jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to może chodzić o pieniądze.

Potem Okrasko nic już nie mówił, tylko notował.

Szczególnie pilnie notował sprawozdanie Bielskiego na temat zawartości sejfu profesora Zieglera, ale było ono nadzwyczaj krótkie, ponieważ z jednej strony zabezpieczone tam materiały wymagają jeszcze analiz, z drugiej nie wszyscy uczestnicy spotkania posiadają klauzulę dostępu do materiałów niejawnych.

Okrasko nie skomentował.

Bałucka, Kosiński i Serbia popatrzyli na siebie wilkiem.

Potem była ich kolej. Zaczął Kosiński ze swoją teorią o tym, że zapalniczka może być w tej sprawie kluczowym śladem. Tym zaciekawił się nawet Okrasko. Przestał notować i podszedł do obu funkcjonariuszy, żeby bliżej się przyjrzeć.

– Produkowali hitlerowskie zapalniczki w Ameryce? – Nie dowierzał.

– Zapalniczki były zwyczajne, ale Hitler wydał polecenie, żeby nałożyć na nie emalię czy też wykonać jakieś ryty – wyjaśnił Kosiński. – Wciąż sporo się ich zachowało. Można je kupić na portalach aukcyjnych, zresztą to niejedyna okolicznościowa zippo w historii. – Kosiński dobrze się przygotował. – Świat od razu pokochał dożywotnią gwarancję. Producent obiecywał, że jakby co, odsyłasz, a oni naprawią ci wszystko za darmo. Takie rzeczy w czasach wielkiego kryzysu miały znaczenie.

– Zupełnie co innego niż dzisiaj – wtrąciła Olga bez uśmiechu. – Dzisiaj nie ma trwałych rzeczy, masz plastikowe jednorazówki, pralki obliczone na kilka lat używalności, a jeśli się zakochasz i coś idzie nie tak, to znajdujesz sobie kogoś nowego.

Bielski spojrzał na nią z ukosa, ale nie podniosła wzroku. Jakby mówiła do siebie.

– Czy mogę wrócić do naszego obiektu? – upewnił się Kosiński.

– No tak, tak, czekamy. – Okrasko usiadł na swoim miejscu.

– Potem doszły różne opowieści z czasów wojny, ale nie wiadomo, ile w tym prawdy. Mówili, że taka zapalniczka potrafiła zatrzymać kulę i niejednemu żołnierzowi uratowała życie, bo miał ją w kieszeni na piersi.

Bielski zważył ją w dłoni.

– Nie wiem, czy to możliwe, chyba żeby to była jakaś zabłąkana kula, przypadkowy rykoszet, drobny odłamek. Gdyby dostała centralnie – pokręcił głową – nie miał szans.

– Zapalniczka marki Zippo ma też swoją czarną legendę – kontynuował Kosiński. – W czasie wojny wietnamskiej, gdy marines chcieli spalić wieś czy dom, to rzucali właśnie zippo. To samo robi Bruce Willis w Szklanej pułapce. Wietnamczykom się ta scena nie podobała.

– Ciekawe… – Przez twarz Bielskiego przeszedł cień. Ci, którzy byli na misjach, zawsze mają go tuż pod powiekami i czasem nie zdążą w porę zamknąć oczu. – Skąd wiesz, że ta pochodzi z osiemdziesiątego drugiego?

– Tu, jak popatrzysz, jest kod. Cztery ukośne nacięcia, przerwa i kolejne cztery. To jest ten ich specjalny kod wymyślony do oceny jakości produktu, ale co roku zmieniają sposób oznaczania i dzięki temu można określić z dokładnością do dwunastu miesięcy, kiedy wyprodukowano dany egzemplarz. Mieli filię w Kanadzie, ale ta zapalniczka, zdaniem laboratorium, jest z fabryki w Ameryce.

– Hm… – Bielski zmarszczył czoło. – Ciekawe, od kiedy jest w Polsce?

– Żona Pawłowskiego twierdzi, że jej mąż palił, kiedy się poznali, i że miał już tę zapalniczkę. Poznali się w osiemdziesiątym szóstym.

– Z Ameryki za żelazną kurtynę w tamtych czasach było piekielnie daleko.

– O, a tutaj masz ten napis, widzisz, zatarty trochę, ale to jakoś musi być po arabsku, co nie? To mi miał powiedzieć Ziegler, po to do niego jechałem.

Bielski przyjrzał się grawerunkowi.

– No to dowiemy się teraz, jak twój arabski – powiedziała Olga bez sarkazmu.

– No tak… arabskie pismo, to nawet nie chodzi o litery, ale o tę kaligrafię, napis powinien być dziełem sztuki. W zasadzie jest trochę niczym obraz.

Bielski zamilkł i zmrużył oczy.

Litery były już nieco wytarte. Jeśli zapalniczka rzeczywiście pochodziła z lat osiemdziesiątych, to miała czterdzieści lat, napis oczywiście mógł być późniejszy…

Zamyślił się.

– No tak, tak – podchwycił wątek Okrasko. – Wszystko przez to, że Koran zabrania wierzącym tworzenia wizerunków Allacha, Mahometa, a nawet zwyczajnych ludzi, psów, wielbłądów. Żywe istoty nie mogą być tematem sztuki. Tylko geometryczne kształty.

– To nie do końca tak, panie podsekretarzu – wtrącił Leśmian zadowolony, że wreszcie znalazł temat, w którym czuje się mocny.

– Co nie do końca tak? – burknął Okrasko.

– W Koranie ani razu nie pada zakaz wykonywania wizerunków Boga czy Proroka. Ten zakaz pochodzi z Biblii – wyjaśnił Leśmian.

– Poważnie? – zdziwiła się Bałucka. – Przecież to talibowie niszczyli wszystko. Nawet te prastare posągi Buddy w Afganistanie.

– Niszczyli, niszczyli, ale literalnie Koran tworzenia wizerunków nie zabrania. A Biblia akurat tak – upierał się Leśmian. – Biblia zakazuje tworzyć jakiekolwiek obrazy żyjących istot. Niedopuszczalne jest też oddawanie im czci. Studiowałem religioznawstwo i tyle jeszcze pamiętam. Sam Mahomet nie zabraniał malowania portretów. Jest nawet taka opowieść, że nakazał sporządzić obraz Jezusa i jego matki w Mekce. Ale późniejsza tradycja muzułmańska poszła w tę samą stronę, co Biblia: skoro Bóg jest doskonały, to sporządzanie jego wizerunków nie ma sensu, bo nigdy nie będą nawet w części tak doskonałe jak on sam. Fundamentaliści podchwycili ten pomysł i dzisiaj na gości, którzy rysują karykatury Mahometa, wydawane są wyroki śmierci.

– No co tam, Bielski, odczytasz? – Olga weszła w słowo swojemu szefowi. Jeśli jesteś samotną matką, której opiekunka wyjechała do Ukrainy i nie daje znaku życia, więc musiałaś zostawić dziecko z kimś całkiem obcym, to naprawdę nie masz ochoty słuchać tego, czy ktoś chce malować Boga, czy nie chce.

– Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego artyści islamu postawili na abstrakcję i kaligrafię – powiedział Leśmian obrażonym głosem. – Oni też, jak wszyscy ludzie, pragną wyrazić swój stosunek do Boga poprzez dążenie do piękna i doskonałości.

Olga pokręciła głową z dezaprobatą.

– Coś w tym jest – przyznał Bielski z namysłem. – Kaligrafia jest sztuką i odczytywanie tych napisów bywa trudne. Jeśli potrafisz czytać drogowskazy z nazwami miast, to nie znaczy, że umiesz odczytać to. – Postukał palcem w metalową obudowę.

– Ale potrafisz czy nie potrafisz?

– No wiesz… Państwo polskie wydało majątek na to, żebym potrafił. Ale to tak, jakbyś ty musiała czytać jakieś wildstylowe kryptonimy grafficiarzy…

– Czyli nie przeczytasz?

– *‘Asdiqa’ lil’abad* – powiedział Bielski.

– I co to znaczy? – Leśmian też się już zniecierpliwił.

– „Przyjaciele na zawsze”.

– Ha! – mruknął Kosiński. – Czyli miałem rację, że jest w tym jakaś historia!

– Jaka znowu historia? – Leśmian nie nadążał za jego tokiem myślenia.

– No nie wiem, Ziegler miał nam o tym powiedzieć, ale został zamordowany.

– Serio? Ktoś morduje ludzi z powodu zapalniczki? – Leśmian pokręcił głową. – Kurwa, z kim ja pracuję?

Kosiński chciał już powiedzieć, że jeśli Pawłowski miał taką samą, jak Ziegler, to jego zdaniem nie wolno lekceważyć tej okoliczności, ale dał sobie spokój.

– To nie wszystko – dodał Bielski. – Jest tu jeszcze podpis.

– Jaki podpis? – zaciekawił się Kosiński.

– Bliżej krawędzi, więc ryt jest mocniej wytarty…

– Czyli nic więcej nie odczytasz?

– *Abu*… Dalej nie jestem pewien. *Abu* na pewno, a *abu* to znaczy ojciec. Kiedy Arabowi, na przykład z Palestyny czy z Jordanii, rodzi się pierworodny syn, dajmy na to Isa, to zmienia sobie nazwisko na Abu Isa. Czyli Ojciec Isy. Rozumiecie?

– A to może być Isa? – zapytał Okrasko.

– Nie, tam są inne litery. Ta, którą umiem odczytać, to jest dal… ona się nie łączy z innymi literami w zapisie i łatwo ją zidentyfikować.

– Czyli co?

– No, powiedzmy, że „d”. Mamy jakieś imię, w którym występuje „d”.

– Kurwa – wyrwało się Kosińskiemu. – Czyli nic nie wiemy?

Zapadło milczenie i popatrzyli po sobie w poczuciu klęski.

– Można sporządzić zestawienie arabskich imion zawierających tę literę i wrzucić do komputera z tym *Abu*, prawda? – Kosiński nie tracił entuzjazmu dla swojego pomysłu. – Wtedy wyjdzie nam, czy jakiś znany Arab sprzed czterdziestu lat mógł mieć jakieś polskie kontakty.

– No dobrze, dobrze, można… Czy mamy jeszcze coś do omówienia? – Leśmian zrobił ruch, jakby chciał wstać i się pożegnać, chociaż siedzieli w jego gabinecie.

– Jeszcze ja – powiedziała Olga.

– Co tam, Serbia? Ty o tym zdjęciu? – Leśmian wydawał się zniecierpliwiony, ale Olga czuła, że to musi być ważne. Powiedziała o swoich rozmowach z Malinowskim i Śledzińskim. O tym, że Andrzej Feliński zginął w niejasnych okolicznościach, o tym, jak to niepełnosprawny chłopiec zobaczył, że samochód, który go przejechał, cofnął po ciele jeszcze raz dla pewności. I że skoro cztery osoby z tego zdjęcia nie żyją, to nie może być przypadek, a ci, co jeszcze żyją, mogą być w niebezpieczeństwie.

– Chcesz powiedzieć, że dziennikarz celebryta i wiceprezydent dużego miasta mogą paść ofiarą mordercy, który zabija ludzi związanych ze sprawą Pegasusa? – zdziwiła się Bałucka. – A czy ich coś w ogóle łączy z Pegasusem?

– No właśnie – zainteresował się Okrasko.

– Łączy ich to, że są razem na tym zdjęciu. – Olga pokazała zebranym zdjęcie na ekranie swojego smartfona. – Oraz to, że ani prezydent Malinowski, ani redaktor Śledziński nie chcą o tym mówić. Nie chcą powiedzieć, kim są pozostałe osoby. Ten o ciemniejszej karnacji i ten z brodą.

– Pytałaś ich?

Pokiwała głową.

– Pytałam, ale mnie zbywają. – Wbiła wzrok w oczy swojego dowódcy.

– No dobrze – westchnął Leśmian. – Widzę, że aż cię korci. Mów, co myślisz.

– Ojciec Szymona, Andrzej Feliński, był człowiekiem służb, a oni znali się z nim w tamtych, słusznie minionych, czasach. Na tym zdjęciu wyglądają na zaprzyjaźnionych, to nie jest przypadkowe spotkanie, przypomina raczej jakiś obóz. Może wakacje, ale może szkolenie, trening, nie wiem. Gdybyśmy to wiedzieli, wiedzielibyśmy, co ich łączy. Być może łączy ich coś ważniejszego niż Pegasus.

– Nie ma nic ważniejszego niż Pegasus – wtrącił Okrasko. – Za kilka dni sprawa wybuchnie w mediach i musicie dać nam coś, bo nas rozszarpią!

– Zgadzam się, Pegasus jest ważny, ale być może podkomisarz Suszczyńska ma rację… – Bielski poparł Olgę. – To dziwne, że nie żyją już trzej, być może czterej ze zdjęcia, trzeba to ustalić ponad wszelką wątpliwość, moi ludzie sprawdzą, co się stało z tym Felińskim…

– Prosiłbym, żeby nie rozpraszać uwagi na niepoparte niczym domysły – powiedział Okrasko, ale bez przekonania.

– Olga, no mów… – Leśmian przypomniał sobie, kto jest gospodarzem spotkania. – Przecież widzę, że to nie wszystko.

– Malinowski, choć w swojej partii jest nie lada figurą, zawsze pozostaje tylko wice. – Olga podniosła w górę palec lewej ręki. – Śledziński bez wątpienia ma status gwiazdy w telewizji, ale nigdy nie był naczelnym, choć to on rządził newsroomem, niezależnie od tego, w jakiej redakcji pracował.

Podniosła drugi palec.

– Ziegler nigdy nie został rektorem uczelni, którą zakładał.

To już trzy palce.

– Feliński nie dowodził we Wrocławiu. Nie mógł, bo miał zasrane w papierach. Ale może oni wszyscy po prostu nie chcą się narazić na to, żeby ktoś im sprawdzał teczki?

Trzymała w górze dłoń z czterema rozcapierzonymi palcami.

– Do tego dorzućmy Pawłowskiego i Rittera. Zdolni, ustosunkowani, ale zawsze w cieniu… A Śledziński, kiedy z nim rozmawiałam, powiedział, że się potrafią obronić sami. Moim zdaniem on wie, kto zabił jego kolegów i dlaczego.

– Sugerujesz, że jest w to zamieszany? – spytał Leśmian. – Że kazał ich pozabijać, bo wiedzą coś o jego przeszłości?

– Nie. Tego nie sugeruję. Kiedy dowiedział się, że śmierć Felińskiego nie była przypadkowa, zareagował emocjonalnie. Myślę, że byli sobie w jakiś sposób bliscy. Spotykali się w każdą rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, żeby poświętować. Odniosłam wrażenie, że wie, kto ich skrzywdził, i nie chce nam tego powiedzieć, bo uważa, że na to… nie zasługujemy.

– A co mówi o tym zdjęciu? – zapytała Bałucka.

– Że to jakiś obóz młodzieżowy.

– Pokaż mi telefon. – Bielski wyciągnął rękę.

Olga podniosła głowę zdziwiona.

– No, zdjęcie mi pokaż.

Otworzyła fotografię i podała mu telefon, a on powiększył sobie twarz po twarzy.

– To jest ten obcy, prawda? – Postukał w szybkę.

Potaknęła.

– Felińska mówi, że to jakiś zagraniczny gość.

– Ma rację. Prześlij mi to zdjęcie, muszę sprawdzić w archiwach. – Bielski w czasie swojego szkolenia obejrzał tysiące zdjęć wojowników Al-Kaidy, Talibanu, Państwa Islamskiego, ale też wszystkich tych archaicznych organizacji typu OWP, Hamas, Czarny Wrzesień, Czarne Pantery. Trenowali go w zapamiętywaniu twarzy i teraz pomyślał, że tę musiał już gdzieś widzieć. Poczuł na ramionach gęsią skórkę.

Ten sam rodzaj podekscytowania dwie godziny później czuł Okrasko, sprawdzając jakość nagrania, które zapisało się na jego smartfonie. Było idealne. Zrzucił je na kartę microSD, podpisał list z oświadczeniem, że ministerstwo nie ma nic do powiedzenia w sprawie Pegasusa i mejli Dworczyka, po czym wsunął kartę do koperty zaadresowanej do siedziby telewizji. Do rąk własnych redaktora Śledzińskiego.

Dwa dni później Okrasko minął redaktora w szatni pływalni w Józefowie. Nie ukłonił się i nie dał po sobie poznać, że się znają. Do otwartej szafki numer 128, przy której Śledziński zmieniał kąpielówki, włożył grubą żółtą kopertę.

Potem przepłynął trzydzieści basenów i tym razem zrezygnował z sauny.

Redaktor Śledziński spędził przedpołudnie w towarzystwie Kazimierza Kijewskiego. Ostatnio byli niemal nierozłączni. Kazimierz przeprowadził się do loftu redaktora. Nie narzekał, bo sypialnia była okazała, a z okna miał Pałac Kultury i Nauki jak na dłoni.

Tego wieczoru gospodarz nalał im obu whisky na trzy palce, wrzucił do szklanki po dwie kostki lodu i nastawił film.

Monachium Spielberga.

– Widzieliśmy to już ze sto razy – powiedział Kijewski.

– Tak to już jest z ludźmi w naszym wieku. – Śledziński się uśmiechnął. – Podobają nam się filmy, które już znamy.

– Dobry, smutny i pechowy film. – Kazimierz łyknął trochę złotego płynu. – Pięć nominacji do Oscara i ani jednej statuetki.

– Nasi przyjaciele Arabowie wpadliby we wściekłość, gdyby Żydzi zgarnęli Oscara za film o zabijaniu muzułmanów. – Śledziński się uśmiechnął.

– Dla jednych terrorysta, dla innych bojownik o wolność. – Kazimierz podniósł w górę swoją szklankę.

Śledziński zrozumiał, że to jest toast.

Wypili, a potem gospodarz dopełnił znowu na trzy palce.

Obejrzeli długi fragment filmu, aż do sceny, w której agenci Mosadu i bojownicy Czarnego Września lądują w tym samym bezpiecznym mieszkaniu, mierzą do siebie z ostrej broni i żeby rozwiązać ten impas, Żydzi gorączkowo szukają wyjścia. Jeden z nich krzyczy, że są z ETA i z IRA. Arabowie stygną powoli. Nocą Żyd i Palestyńczyk palą papierosy i Ali, bojownik Czarnego Września, tłumaczy Żydowi z Mosadu, że nawet jeśli to tylko kawałek pustyni z glinianymi domkami i wyschniętymi oliwkami, to będą o niego walczyć do ostatniego żywego człowieka, bo to jest ich dom, jedyny, jaki mają. Pokolenie po pokoleniu…

Śledziński westchnął. Znał te słowa. Słyszał je nie tylko w kinie. Słyszał je w prawdziwym życiu i być może nawet z ust kogoś, kto osobiście znał Alego z tego filmu…

No nic, stare czasy. Wypił do dna. Kazimierz pochrapywał cichutko w fotelu. Śledziński wyjął mu z ręki pustą szklankę i okrył go kocem. To wygodny fotel, a ludzie ich pokroju mają kłopot ze snem. Skoro

Kazimierz zasnął, lepiej go nie budzić, każde pięć minut snu jest ważne. Wyłączył odtwarzacz i telewizor, nalał sobie kolejną szklaneczkę i usiadł za biurkiem. Otworzył żółtą kopertę od Okraski i wyjął starą teczkę z nadrukiem IPN: BU 0 1255/388. Przejrzał zawartość, a potem zaczął czytać.

W dniu 1 sierpnia 1981 roku w Warszawie około godziny 20.20 z polecenia inspektora DSK Śródmieście wysłałem radiowóz do hotelu Victoria na placu Zwycięstwa. Na miejscu, w recepcji, zauważyłem dużą grupę ludzi otaczających mężczyznę siedzącego w fotelu. Ubranie wyżej wymienionego było zakrwawione, na miejscu był już także zespół pogotowia ratunkowego…

Rozdział 18

– Zespół pogotowia ratunkowego jest na miejscu, ale ty dawaj tu na jednej nodze, potrzebujemy obstawę i niech na Banacha czekają, słyszysz? Odbiór. – Jankowski wielkimi oczami patrzył na zakrwawionego mężczyznę.

Naprawdę wcale nie nazywał się Jankowski, ale w czasie akcji obowiązywały pseudonimy. On swój miał od księdza Jankowskiego, wrednego klechy z Gdańska, przez którego nie udało się w zeszłym roku wygasić strajków.

– Jestem w drodze, jestem w drodze, na Banacha będą czekali. Najlepszy zespół. Kurwa! Musisz go mieć przy życiu, bo nam towarzysze z Kremla nogi z dupy wyrwą razem z jajcami!

Jankowski odsunął radiotelefon od ust. Kurwa, pomyślał, oby wszystko się udało.

Wiedział, że ci z pogotowia będą tu za kilkanaście sekund. Trzymał karetkę przecznicę od Victorii gotową na każdy sygnał.

Czuł się winien, bo to właśnie on powinien zobaczyć tego skurwysyna pierwszy. To właśnie on siedział przodem. Nigdy nie zapomni tego momentu. Wyszyński – on też oczywiście nie nazywał się Wyszyński – gadał coś o filmie, który widział wczoraj na Dwójce. Stary francuski klasyk o maszyniście, którego baby wkurwiają tak, że chce je od razu dusić, i uspokaja się tylko w chwilach, gdy pakuje węgiel do parowozu.

– No i on się spotyka z takim zawiadowcą, który morduje gościa, który mu rżnie żonę, rozumiesz, starszy gość, jej wuj, czy coś, no i ona, ta baba, namawia tego maszynistę…

– Co ty mi gadasz? – Jankowski pochylił się do niego.

– No *Bestia ludzka*, kurwa, klasyka kina. – Wyszyński wypił setkę i skrzywił się, choć to wcale nie była wódka, kelner był swój, wiedział, że są na służbie, i stawiał im przygotowaną specjalnie butelkę. Pili wodę, a krzywić się musieli jak do wódki, nienawidzili tej maskarady, latało się potem sikać bez przerwy. Lepiej, gdyby im dali pić wódkę.

– Ja pierdzielę. – Jankowski pokręcił głową i wtedy ten gość go minął.

Wysoki, blady jakiś, może ze trzydzieści lat, ale chyba nawet nie miał tyle; jak człowiek ogolony na niemowlaka, to nie poznasz, ciemne, duże okulary, ciemne włosy, zdawało się, że może jest opalony albo południowiec, bo w takim jasnym garniturze, szerokie spodnie.

Jankowski ogarnął to wszystko w okamgnieniu.

– No mówię ci, takie filmy robili na Zachodzie już przed wojną, pij.

Jankowski sięgnął po kieliszek i wtedy zobaczył broń.

Facet w jasnym garniturze podszedł do pierwszego stolika, tego przy drzwiach. Ich klient wybrał ten stolik, żeby w razie czego mieć otwartą drogę ewakuacji. Miał też obstawę. Jankowski, Wyszyński i dwie funkcjonariuszki udające dziwki. Dobrzy ludzie. Młodzi, dobrze wyszkoleni, przewidujący.

Najlepsi.

Ale co z tego, że tysięczna setna sekundy wystarczyła Jankowskiemu, żeby ocenić sytuację, skoro w kolejnej tysięcznej rozumiał już, że klienta nie ochronili. Myśl jest szybsza niż pocisk. Ale czasami to za mało.

Tamten strzelił, zanim mężczyzna o ciemnej karnacji i kobiety, które siedziały z nim przy stoliku, zdołali dostrzec jakiś ruch.

Obiekt dostał. Maleńki otwór. Krew nawet jeszcze nie zaczęła płynąć. Zanim nawet sygnał o tym, co się stało, doszedł do mózgu, skoczył. Trenował latami, żeby w takiej sytuacji zareagować jak maszyna.

Nie cofać się, nie zasłaniać. Ramię nie powstrzyma kuli.

Tylko atak. Skoczył.

Gdyby napastnik był zawodowcem, strzeliłby w głowę raz i drugi.

Ale amator, kiedy idzie na niego rozjuszony byk, strzela na oślep.

Buch. Kula mija obiekt i trafia w dłoń dziwkę wymalowaną jak manekin.

Buch.

Dwie kolejne idą w powietrze.

Buch.

Jeszcze jedna kula w cel.

Ofiara traci impet.

Napastnik naciska spust jeszcze raz i jeszcze raz. Ale nic się nie dzieje. Słychać tylko szczęk iglicy o metal.

Mężczyzna krwawi, pada na kolana. Jedna z kobiet, z którymi siedział przy stoliku, jak zahipnotyzowana patrzy na swoją przestrzeloną dłoń. Druga gorączkowo szuka czegoś w torebce, napastnik widzi, jak drżą jej ręce, i choć nie może zobaczyć, co tam jest w środku, wie, że to broń.

Napastnik słyszy, jak za jego plecami rośnie fala wrzasku. Niczym burza piaskowa. Przeżył kiedyś taką burzę i wie, że jeśli cię dopadnie, wypełni każdy zakamarek ciała. Chciałby popatrzeć w oczy swojej ofierze, ale zmusza się, całym wysiłkiem woli, żeby nie patrzeć. Żeby minąć stolik, zbiec schodami do lobby, a stamtąd na ulicę.

Plac Zwycięstwa. Wiatr chłodzi mu czoło i nagle przypomina sobie wiadomości telewizyjne jakieś dwa lata temu. Ten ich papież Polak mówi, że teraz liturgia przenosi wszystkich do Wieczernika. Do Jerozolimy. I że zstąpi Duch. To było takie dziwne. Usłyszeć wtedy o Jerozolimie.

Nagle czuje ciężar. Wciąż przecież trzyma w dłoni pistolet. Llama-gabilondo, kaliber 7,65 milimetra, lekka hiszpańska broń, w zasadzie mocno uproszczona kopia Colta 1911, bez żadnych oznaczeń, ale do lat pięćdziesiątych ich nie stosowano, a ten egzemplarz trafił do Polski na spadochronie w stalowym korpusie zasobnika w ramach alianckiej pomocy dla powstańców warszawskich. Jest z czasów, kiedy Hiszpanie nie wybijali na llamach numerów seryjnych.

Mężczyzna trzyma broń luźno w opuszczonej wzdłuż tułowia ręce, tak jak go uczyli, nie wymachuj, nie unoś, opuść luźno i po prostu otwórz dłoń, niech upadnie; po dwóch, trzech krokach jesteś bezpieczny.

Ramię ma wzdłuż tułowia, ale nie otwiera dłoni. Nie chce wypuścić llamy z ręki. Pistolet jeszcze wczoraj leżał w skrytce na Żoliborzu, w piwnicy, w której ojciec schował go trzydziestego września o dziewiętnastej dziesięć, kilka minut przed tym, jak wyszli z podniesionymi rękami na cichą znienacka ulicę, dymy po niemieckich pociskach wciąż wisiały w powietrzu, ale teraz już nikt nie strzelał, chociaż obiecywali sobie trwać do ostatniego żywego człowieka. Oni na Słowackiego, a inni na Mickiewicza, na Krasińskiego, na Drużbackiej, Potockiej…

Lot mieszkał po sąsiedzku.

Ładna, szeroka ulica. Znał ją z opowieści ojca. Ojciec opowiadał nad mapą Warszawy, którędy szli do tego Fortu Bema, do Pionierparku. Wszystko pamiętał. Ojciec mówił, że ostatniego dnia Żytomierski odparł siedemnaście niemieckich ataków i gdyby „Żywiciel" pozwolił, to jeszcze mogliby walczyć.

Wtedy to był plac Wilsona. A potem Komuny Paryskiej. Słowackiego nazywała się tak samo.

Kiedy przyjechał do miasta, zszedł do piwnicy, policzył siedem kroków od wejścia, w lewo, trzy kroki, i tam, naprzeciwko drzwi, była ta obluzowana cegła i wetknięta na styk pomiędzy inne. Piwnica była świeżo pobielona, bał się, że ktoś znalazł broń, a wtedy cały plan weźmie w łeb, ale nie, nikt nie znalazł. Kiedy uderzył kułakiem z prawej strony, cegła przesunęła się z jękiem. Obrócił ją bokiem, wyjął.

Teraz musiał wspiąć się na palce. Wymacał materiał wciąż lepki od smaru.

To był dobry znak. Wsadził pakunek do kieszeni bez odwijania.

W dawnym domu jego rodziców mieszkała teraz daleka polska rodzina. Sześć osób w dwóch pokojach. Cioteczna babka wciąż go pamiętała, ale inni już znali tylko z opowieści. Był dla nich jak pocztówka z egzotycznego świata. Przywiózł kawę, pomarańcze, chałwę, słodycze z kandyzowanych daktyli i dżinsowe spodnie dla dzieci. Za duże, ale kiedyś będą w sam raz.

Nie pytali, dlaczego tak długo siedzi w łazience. Widać w świecie potrzebują więcej czasu niż w Polsce.

Drzwi były zamykane na maleńką, plastikową klameczkę pod normalną, dużą klamką. Iluzoryczne zamknięcie, ale liczył na to, że nikomu nie zachce się sikać. Łazienka i toaleta były w jednym pomieszczeniu.

Odwinął pistolet ze szmaty.

Rozłożył. Broń wyglądała na sprawną.

Przesmarował wszystko na nowo oliwą. W magazynku zostało sześć kul. Trzy ojciec zużył na Niemców, zanim okazało się, że to koniec.

Rano pierwszego sierpnia 1981 roku wystrzelił jedną kulę, żeby sprawdzić, czy broń działa. Pocisk wszedł gładko w topolę. Nad Wisłą rosło sporo takich drzew.

Miał więc pięć kul i dziesięć godzin, zanim wejdzie na piętro hotelu Victoria i zamówi sobie wódkę i śledzia, i poczeka, aż przy swoim stoliku usiądzie rzekomy Tarik Shahid Mahdi, bo tak się teraz ten chuj nazywał.

Na żadną inną pomoc niż ten adres nie mógł liczyć. Decyzje były takie, żeby na terenie rządzonym przez Sowietów nie strzelać.

Nie rozumiał tego. Nie akceptował.

Krew za krew.

Tak powinno być pośród ludzi.

Mahdi dostawał wizy do Peerelu już trzy razy. Pierwszą z ambasady w Budapeszcie. Był w Warszawie od dziewiątego do siedemnastego października 1979 roku. Dwie kolejne z ambasady w Berlinie Wschodnim. Pierwsza od trzydziestego sierpnia do piątego września 1980, druga z tego roku, z marca, tylko jeden wieczór – z szóstego na siódmy. Wiadomość przyszła zbyt późno, żeby mógł zareagować.

Ale kiedy usłyszał w słuchawce, że Mahdi dostał w Budapeszcie trzydziestodniową wizę od trzydziestego pierwszego lipca, wiedział, że to znak, bo sam miał już polską wizę na koniec lipca. Ojciec był już zbyt stary. Powiedział, że nie pojedzie, a ktoś musiał iść pierwszego sierpnia zapalić znicze na grobach jego towarzyszy broni.

Kiedy wylądował w Warszawie, poprosił swoich o pomoc, ale powiedzieli, że nie. Żadnej samowolki. Rozkaz to rozkaz.

Potem ten ktoś podał mu rękę na pożegnanie, a kiedy wymieniali uścisk, poczuł, że w dłoni zostaje mu skrawek papieru.

„Opera, hotel Victoria, wieczór, 1 sierpnia".

Czekał tam.

Plan minimum był taki, że spojrzy tamtemu w oczy i strzeli. Plan maksimum był inny. Powie mu. Wymieni ich z imienia. Wszystkich. Albo chociaż jednego, chociaż Zeewa.

Ale nie spojrzał.

Po prostu strzelił. Potem tamten skoczył i trzeba było wpakować w niego wszystkie kule. Nie wiedział, ile trafiło, a ile nie.

Teraz szedł przez plac Zwycięstwa w kierunku Teatru Narodowego i słyszał za sobą wrzask.

– Milicjaaaa! Milicjaaaa! – krzyczał ktoś jak oszalały i dzięki Bogu, bo to przywróciło mu przytomność umysłu. Upuścił pistolet i niespiesznie ruszył w prawo, w kierunku Krakowskiego Przedmieścia.

Dłonie Jankowskiego były mokre od potu, jakby to on sam, a nie Wyszyński, pochylał się nad Tarikiem Shahidem Mahdim, tamten oddychał szybko, krwawił, wciąż był przytomny.

Pogotowie powinno być za pół minuty.

Już słyszał sygnał karetki.

Za kilka minut będzie też milicja.

Kazał Krystynie spierdalać, bo to oszczędzi wszystkim kłopotu, będzie mniej roboty, żeby pozamiatać po tym papiery na milicji, a przecież nie mogą psom zabronić wykonania czynności. Anna musiała zostać. Ranna w rękę i tak byłaby do odszukania w jakiejś izbie przyjęć. Miała dobrą legendę, milicja nie będzie się czepiać dziwki.

– Niech się nikt, kurwa, nie rusza! – krzyknął do ludzi. – Milicja zamknęła teren, jeśli nie jesteście w to wplątani, nic wam nie grozi.

Wyjął pistolet spod pachy.

Usłyszał szmer.

Dziwka ze stolika obok próbowała komuś wytłumaczyć, o co chodzi, łamaną angielszczyzną.

Potem pomógł Wyszyńskiemu podnieść tamtego z podłogi i zaczęli schodzić na parter.

Mężczyzna sapał, ale szedł. Opadł z sił dopiero, kiedy posadzili go w lobby w fotelu. Zamknął oczy i jakby się w sobie zapadł. Wtedy wpadli do Victorii ludzie z pogotowia. Jeden przyłożył rannemu palce do krtani i pokiwał z satysfakcją głową, drugi wygrzebał z torby jakąś buteleczkę i podsunął rannemu pod nos.

Mężczyzna wzdrygnął się i otworzył oczy.

Wyszyński westchnął.

– No co, kurwa? – Spojrzał na Jankowskiego.

– Nic. – Tamten miał zdziwioną minę. – Trzeba się postarać, żeby jak najszybciej był na Banacha.

Usłyszeli za plecami szmer.

Ludzie szli schodami.

Jankowski odwrócił się i stanął naprzeciw schodów na szeroko rozstawionych nogach. Swoją legitymację, szeroko otwartą, trzymał w wyciągniętej dłoni.

– Prosiłem, kurwa, przecież prosiłem.

Wtedy kątem oka zobaczył, że do hotelu wbiegają milicjanci.

– Sierżant Traczyk Sławomir – powiedział ten, który dobiegł pierwszy.

– Sierżant Szymański Jan.

Rozdział 19

– Sierżant Traczyk Sławomir. Sierżant Szymański Jan. – Śledziński siedział w redakcji i sprawdzał podpisy na starym maszynopisie. Nazwiska były wypisane maszynowym pismem. Podpisów brakowało. Brakowało też adresata.

– No nic – mruknął do siebie. – Ciekawe…

Nagłówek brzmiał: „Notatka urzędowa z 1 sierpnia 1981". Mimo swoich czterdziestu lat trzymała się całkiem dobrze. Pomyślał, że papier ma lepiej niż człowiek. Jeśli uniknie ognia i wody, to zawsze jest w formie, najwyżej trochę pożółknie, ale nie zachoruje na raka, nie będzie cierpiał na dnę moczanową, nie zaczną mu się trząść ręce. Papier nie cierpi, kiedy ktoś bliski mu umiera, ani nie musi spłacać kredytu.

Ten kawałek papieru był nader interesujący. Nie pożółkł, choć był mocno sfatygowany. Na lewym marginesie kilka dziur po segregatorach, w których kurzył się po przeróżnych instytucjach. Do niedawna w IPN-ie. A teraz u niego na biurku. W teczce, którą przyniósł Okrasko.

Brak podpisów, brak adresata, brak pieczątek, brak sygnatury…

Uśmiechnął się.

Skoro nie było adresata, to ten dokument musiał otrzymać ktoś z operacyjnych. Albo… albo ktoś podmienił papiery.

Czy to możliwe?

Przebiegł oczami pierwsze zdania.

Pod kwitem podpisali się obaj milicjanci, ale notatka została napisana w liczbie pojedynczej…

Na miejscu zobaczyłem dużą grupę ludzi otaczających mężczyznę siedzącego na fotelu. Pogotowie udzielało mu pomocy. Portierzy zorientowali mnie, że wydarzenie miało miejsce w kawiarni na piętrze…

Bardzo dobrze, pomyślał Śledziński, nie ma ani śladu po ludziach, którzy powinni byli zniknąć z krajobrazu zbrodni. Po… jak oni się wtedy nazywali… Powinien był pamiętać. Jakoś tak po kościółkowemu… Jankowski i Wyszyński, no tak, jak mógł zapomnieć? To przez ten covid, co te wirusy robią z człowiekiem. Przypomniał sobie, czytał na ten temat, że wirusy są zbrojnym ramieniem ewolucji, że zmieniają nasze DNA. Czyżby następne pokolenia ludzi miały być pozbawione powonienia i pamięci?

Pociągnął łyk kawy. Kawa zawsze pobudza szare komórki.

Teraz nasunęła mu myśl, że ten IPN-owski dokument jest fałszywką. Oczywiście z dawnych czasów – fałszywką z epoki. W oryginale musiało być więcej szczegółów, przecież, dobrze to pamiętał, obaj milicjanci wiedzieli, że Irakijczyk miał obstawę. Pewnie im ktoś wyjaśnił, że operacja była tajna i szczegóły powinny zniknąć, a ktoś kazał im napisać wszystko od nowa albo sam to napisał i podmienił w papierach.

Ciekawe kto? Pewnie profesor. On miał dojścia do wszystkich szaf…

Ktokolwiek to był, wykonał swoją robotę dobrze – pozostawiasz kilka wyraźnych szczegółów, które uwiarygodnią dokument, i zmieniasz to, na czym zależy fałszerzowi. Śledziński czyta o tym, że strzałów było pięć i że jeden z pocisków trafił w rękę obywatelkę Chylewską Annę. Śledziński nie pamiętał, czy to było prawdziwe nazwisko, teraz to przecież bez znaczenia. Czytał dalej i wreszcie znalazł.

W notatce napisano, że postrzelony to Mahdi Tobik, zamieszkały w pokoju 622, pobyt stały Bagdad, al Humsieh 213, urodzony jedenastego maja 1935 roku, paszport numer F 00100.

– He, he! – Śledziński pociągnął duży łyk jamesona na dwóch kostkach lodu.

Nic się nie zgadzało. Zwłaszcza nazwisko i narodowość Palestyńczyka.

Ktoś musiał się naprawdę postarać, żeby tak wszystko zamotać.

Dalej notatka była już staranniejsza, autor pisał, że kelnerka Bożena Wojciechowska zebrała z ziemi pięć łusek z pistoletu kalibru 7,65 oraz rozbity zegarek elektroniczny z uszkodzoną bransoletą. Przedmioty te w kopercie otrzymał dyżurny Komendy Dzielnicowej. Kelnerki, Wojciechowska Bożena i Stasiak Alicja, zeznały, że słyszały, jakoby dwie prostytutki towarzyszące Irakijczykowi mówiły, że sprawcą jest zapewne obywatel Izraela.

Odłożył notatkę i przewrócił kartę w teczce.

Dalej były protokoły oględzin materiału dowodowego, które wyglądały już na autentyczne. Podpisał je porucznik Jerzy Czemielipski z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Stołecznej. Stwierdził autentyczność paszportu wydanego w Iraku na nazwisko Tarik Shakir Mahdi i zawierającego oprócz wizy polskiej także enerdowską, bułgarską, węgierską, rumuńską i czechosłowacką.

No tak. Tego dokumentu się już podmienić nie udało.

Śledziński pociągnął łyk kawy i właśnie wtedy przerwało mu pukanie do drzwi.

– No!

– Redaktorze, przepraszam, telefon do pana z ministerstwa. – Sekretarka wsunęła do biura Śledzińskiego jedynie nos, dokładnie tak, jak ją nauczył. Nigdy nie wolno się gapić na to, co szef ma na

biurku. – Mam łączyć?

– Dziwne. – Uśmiechnął się lekko i zamknął teczkę. – Dlaczego nie mają do mnie komórki? Jakie to ministerstwo?

– No… Sprawiedliwości.

– Kurwa – westchnął. – Chyba nie mam ochoty z nimi gadać.

– Ale ja już chyba się wygadałam, że pan jest.

– Karolina! Ile razy mam ci mówić, tłumaczyć?! Krowa by zrozumiała, że najpierw mnie pytasz, a potem mówisz, czy jestem.

– Wiem. – Karolina wzięła ten wybuch złości na klatę. – Jest mi przykro, nie byłam dość czujna.

– Jak to krowa – powiedział dobitnie.

– Jak to krowa – powtórzyła jak echo.

– No już dobrze, kurwa. – Uśmiechnął się do niej. – Łącz.

Zamknęła cichutko drzwi, a po chwili usłyszał dzwonek. Lubił te telefony z lat dziewięćdziesiątych. Malutka kasetka i Panasonic nagrywał wszystko, jak leci.

– Czy pan redaktor Śledziński? – Rozpoznał głos dzieciaka z zespołu prasowego i pokręcił głową z dezaprobatą. Nie rozumiał, kogo ci pisowcy biorą do roboty w ministerstwach.

– Nie – powiedział powoli. – Z tej strony Dionizy Areopagita.

– Przepraszam, kto?

– Dionizy Areopagita. Nie zrozumiał pan?

– Pan żartuje, prawda? – Usłyszał w głosie dzieciaka niepewność i poczuł satysfakcję.

– Nie, nie żartuję – odparł, siląc się na spokój.

– A prosiłem, żeby…

– Oj, wkręcam pana, panie Staszku. – Śledziński odpuścił. Dzieciak odetchnął. Redaktor rozsiadł się wygodniej. Miał tamtego jak na widelcu. – Co mogę dla pana zrobić?

– Doszły nas słuchy, że przygotowujecie reportaż o zabójstwach związanych z Pegasusem…

– Któż to rozgłasza takie sprawy? – Śledziński udał zaskoczenie. – Jeżeli już byśmy coś takiego robili, z pewnością byłoby to o morderstwach, a nie o zabójstwach.

– Jak to? – Tamten zdawał się zbity z pantałyku.

– No wie pan, szczególne okrucieństwo, premedytacja, tajemnica, wszystko wskazuje na morderstwo.

– A… no tak, tak. Ale czy pan może potwierdzić, że telewizja przygotowuje specjalny materiał na ten temat? – Młody przeszedł do rzeczy.

– Szanowny panie, oczywiście, że przygotowuje. Trzej zamożni przedsiębiorcy giną w tragicznych okolicznościach, w atmosferze skandalu, co pan sobie myśli, to temat, obok którego nie wolno przejść obojętnie.

– Co pan ma na myśli, mówiąc o skandalu? – cedził słowa w sposób, który nasuwał Śledzińskiemu podejrzenie, że bardzo niewygodnie mu w tej sytuacji.

– Proszę pana, ja naprawdę mam panu tłumaczyć takie oczywistości? Straciłbym do was resztki szacunku.

– Czy wobec tego… czy wobec tego nie zechcielibyście wziąć pod uwagę, że w czasie wojny Rosji z Ukrainą i w trakcie negocjacji z Amerykanami w sprawie dostaw najnowocześniejszej broni i powiększenia stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce…

– No niechże pan powie wreszcie, na Boga. Co panu kazali powiedzieć?

– Żeby to się nie wydarzyło przed przyszłą środą.

– Co się nie wydarzyło?

– Emisja.

– Co będzie w przyszłą środę?

– Z Komisji Europejskiej przyjeżdżają w sprawie KPO i tej, no… praworządności. Nie byłoby dobrze dla Polski, żeby teraz wybuchła na całego ta afera z Pegasusem. Naprawdę. Przecież pan chce, żeby Polska dostała wreszcie pieniądze, prawda? To by pomogło zatrzymać inflację, to byłby impuls rozwojowy dla nas wszystkich, niezależnie od tego, na kogo głosujemy, musimy jeść i musimy mieć czym ogrzewać mieszkania.

– Hm… – Śledziński rozsiadł się wygodniej. Nie przygotowywali żadnego specjalnego materiału o tych zabójstwach, ale skoro ministerstwo się odsłoniło, to coś musiało być na rzeczy.

– Oczywiście, że chciałbym, żeby Polska dostała te pieniądze, ale rozumiem warunek, że powinny one być użyte zgodnie z zasadami praworządności, więc jeśli Komisja ma wątpliwości, jestem gotowy jeszcze poczekać. A poza tym wolne media nie robią dealów z władzą – powiedział ostro. – Pan sobie z tego zdaje sprawę, że pański telefon to próba skorumpowania dziennikarza.

Na tę kwestię młody człowiek był przygotowany.

– Panie redaktorze, przecież dzwonię tylko, żeby zapytać, czy przygotowujecie taki materiał, by w razie czego przypomnieć, że ministerstwo zechce w takim wypadku skorzystać z prawa do wyrażenia opinii.

Obaj wiemy, że ministerstwo nie korumpuje dziennikarzy. I że takich spraw, w dobie Pegasusa, nie załatwia się przez telefon.

– Proponuje pan kawę?

– Chyba że woli pan coś innego.

– Co mogę mieć w zamian?

– A co by panu sprawiło satysfakcję?

– Muszę to oczywiście przemyśleć… – mruknął, po czym głośniej dodał: – No, ale…

– Jutro się odezwę.

Chłopak odłożył słuchawkę.

Śledziński pomyślał, że skoro ludziom na górze tak zależy, żeby nie kręcić materiału o zabójstwach Rittera, Pawłowskiego i Zieglera, to chyba jednak będzie musiał to zrobić. Nie rozumiał, dlaczego kazali chłopakowi dzwonić, bo musieli przecież wiedzieć, że się odsłaniają. No chyba żeby byli aż tak głupi. Ale nie, nie wolno lekceważyć przeciwnika. Są dwa rozwiązania – albo sprawa Pegasusa jest bardziej obciążająca władze, niż sam myślał, albo Okrasko wpadł w panikę i poszedł na skargę do swojego szefa. A to mogło oznaczać, że zaczynają jakąś swoją gierkę. Oni lubią gierki. Myślą, że są w to tacy dobrzy. A przecież Śledziński nie był byle kim, nie można mu łatwo zabełtać w głowie.

Mimo wszystko odczuwał niepokój. Może przedwcześnie dokonał oceny sytuacji? Może koledzy rzeczywiście wdepnęli z tym Pegasusem w jakieś gówno i powinien się temu przyjrzeć?

Nie, no oczywiście, że nie osobiście, mało to jest w firmie zdolnych reporterów? Każdy tylko czeka na taką okazję. Swoją drogą, to dziwne, że tak długo udaje się trzymać sprawę w zamrażarce. Rządowi, to oczywiste, nie zależało na rozgłosie, ale że żaden z niezależnych dziennikarzy się do tego nie przyssał, to dziwne. Jakby się bali tym Pegasusem zarazić.

We własnej firmie to on przyłożył do sprawy pieczęć milczenia, ale przecież Rzeczpospolita pełna jest dziennikarzy. Freelancerów. Małolatów pragnących rozbłysnąć w internecie.

Kurwa, ci w ministerstwie też pewnie zachodzą w głowę, dlaczego milczymy. Zniecierpliwili się. Albo ten dureń Okrasko rzeczywiście się posrał… Przesłuchał jego nagranie już ze trzy razy, wspólnie z Kazimierzem, i nic. Na nic nie wpadli.

Bandyta przepadł jak kamień w wodę.

Ślady stygły, a wiedzieli o nim jedynie, że jest zdeterminowany, sprawny i utyka na jedną nogę. Mało. Cholernie mało.

Zadzwonił do Kijewskiego.

– No jak tam?

– Sprawdziłem ten Wrocław i wygląda na to, że Feliński naprawdę pokiereszował się pod kołami jak w maszynce do mięsa.

– Co masz na myśli.

– Przynajmniej trzy razy go zmieliło. Tam. Z powrotem i znowu do przodu. Albo że to było coś z przyczepą. W każdym razie coś rozgniatało kolegę pułkownika z dużą starannością.

– Co robimy?

– Jak mówiłem. Najlepiej zasadzkę.

– Czyli wy budujecie pułapkę, a ja siedzę tam w roli przynęty?

– No, a masz lepszy plan? Musimy spać, jeść, kochać się, bywać, nie możemy w twierdzy siedzieć i popadać w paranoję.

– A jeśli oni naprawdę coś wywinęli z tym Pegasusem? Właśnie dzwonili do mnie z ministerstwa…

– Nie – powiedział Kazimierz. – To nas nie ocali. Musimy go wyciągnąć z cienia. Ty jesteś tym, no, VIP-em, jeśli wrzucisz do internetu coś o swoich wakacyjnych planach, on się dowie.

Śledziński zdecydował, że musi to przemyśleć. Przegadać z Malinowskim.

Tymczasem miał na dzisiaj dość pracy.

Wyciągnął z szuflady popielniczkę, papierosy i zapalniczkę.

Znów otworzył teczkę od Okraski, wsunął papierosa do ust i zapalił.

Zamknął wieczko zapalniczki i popatrzył na wyryty na niej napis.

Nie czytał po arabsku, ale dobrze wiedział, co tam jest napisane.

Przyjaciele na zawsze. Abu Daoud.

Rozdział 20

– Abu Daoud. – Bielski, zawsze taki spokojny, nie krył podekscytowania. Aż musiała odsunąć słuchawkę od ucha. Wiedziała, dlaczego zamilkł.

Czekał na reakcję. Na pochwałę. Na okrzyk radości. Ale Olga milczała. Nie chciała wyjść na dziwaczkę przed nową opiekunką dla Kasi. To była dziewczyna z agencji opieki. Na godziny. Kasia nie była zachwycona takim rozwiązaniem, może nawet trochę się bała, ale nie było wyjścia, Nastia nie wracała, a jej telefon milczał. Istniało tylko jedno wytłumaczenie – jej matka nie dotarła do granicy i Nastia musiała po nią pojechać dalej, niż sądziła. Olga martwiła się początkowo o samochód, ale im więcej dni nie miały kontaktu, tym bardziej niepokoiła się o dziewczynę. Może powinna o tym powiedzieć Bielskiemu? On na pewno miał jakieś kontakty, kogoś, kto mógłby się za Nastią rozejrzeć.

Nowa opiekunka patrzyła na Olgę wielkimi zielonymi oczami. Miała zrobione usta i długie pomalowane paznokcie. Koszmar. Ale dziś o osiemnastej, na półtorej godziny na Żoliborzu, wolna była tylko ona.

– Jesteś tam? – Bielski pewnie pomyślał, że coś przerwało połączenie.

– Jestem, jestem, przepraszam – powiedziała trochę do niego, a trochę do dziewczyny.

Pokazała jej palcem na telefon i na drzwi kuchni. Kasia też musiała zrozumieć ten gest, bo zaczęła marudzić.

– Mama, mama, nie idź… – Usta w podkówkę, oczy natychmiast się zaszkliły i Serbia poczuła, że pęka jej serce.

– P r o s z ę s i ę n i e m a r t w i ć. – Dziewczyna układała wargi w bezgłośny komunikat. Jej karpie usta wydawały się żyć własnym życiem – J a t o o g a r n ę.

Pochyliła się nad Kasią i zrobiła rękami ten trik z kominiarzem na drabinie, a dziewczynka od razu zrobiła wielkie, zdziwione oczy.

Olga wykorzystała moment. Zamknęła za sobą drzwi.

– No i co z tego wynika? – zapytała.

– No kuuuurwa! – Bielski nigdy nie klął, usłyszała to z jego ust po raz pierwszy. – No i wynika z tego, powiem ci, że to właśnie Abu Daoud jest na zdjęciu, które przywiozłaś z Wrocławia. Wiedziałem, że skądś znam tę twarz, wysłałem zdjęcie do bazy CIA i od razu przyszło potwierdzenie. To on.

– On… czyli kto? – Serbia przebiła się wreszcie przez entuzjazm Bielskiego.

– No jeden z najbardziej poszukiwanych terrorystów w historii świata!

Zamilkł. Czuła po jego stronie słuchawki taką satysfakcję, jakby wygrał co najmniej maraton. Czekał na oklaski, ale Olga nie wiedziała, co powiedzieć, bo zza zamkniętych drzwi usłyszała szloch Kasi.

Pomyślała, że gdyby była tu teraz Nastia, to pewnie bawiłyby się jak szalone. A tak… Nie wiadomo, czy Nastia wróci. No i samochód… Szlag z samochodem, nie był już nowy. Dobrze, że nie kupiła go na kredyt…

Przeraziła się tej myśli. Jak mogła zwątpić, że one żyją, że wrócą, że jadą; pewnie nie jest im łatwo, ale jadą, Boże, spraw, żeby jechały.

Przez ten lęk, przez to wewnętrzne napięcie Olga nie oglądała już ani nie słuchała wiadomości z wojny. Kiedy wracała do domu, czytała po prostu Kasi książkę. Za każdym razem tę samą – *Hobbita*. Dziewczynka niewiele rozumiała, trzeba było jej od początku tłumaczyć, kto jest kim, ale Serbia uważała, że czytanie dorosłych książek z komentarzem jest lepsze niż kaleczenie wyobraźni jakimiś bzdurami dla dzieci.

Teraz słyszała, że Kasia woła ją zza zamkniętych drzwi. Co miała zrobić? Przecież za chwilę musi wyjść.

– Halo! Halo, ziemia! – Bielski domagał się uwagi. – Ziemia do Olgi!

– Jestem, przepraszam… Nie umiem się skupić, to nie jest łatwy czas.

– Przepraszam. – Usłyszała, że jego entuzjazm zgasł. Zrozumiała, że zdmuchnęła to jak świeczkę, i poczuła się jeszcze gorzej.

– Nie, to ja. Naprawdę… Wstyd mi. Nie rozłączaj się, Kasia po prostu domaga się uwagi. Ech…

– Dlaczego miałbym się rozłączyć? Poczekam.

Olga położyła telefon na parapecie kuchni i uchyliła drzwi.

Kasia siedziała wciąż naburmuszona, pociągała nosem, ale już nie płakała. Nowa dziewczyna klęczała przed nią z dwiema lalkami i odgrywała jakiś teatrzyk.

Widać było, że się stara.

Może coś z tego będzie…

Olga zamknęła drzwi najciszej, jak się dało.

– Jestem – powiedziała. – Wyjaśnisz mi, kim jest ten Abu Daoud?

– Serio? To ja ci zaraz opowiem.

Pomyślała, że Bielski jest naprawdę świetnym facetem. Takim, co potrafił ukryć w głosie nawet prawdziwe rozczarowanie. Musiał przecież poczuć się zawiedziony jej ignorancją.

– Tak? – Uśmiechnęła się pierwszy raz tego dnia.

– Tak. Abu Daoud to najsłynniejszy terrorysta świata obok Abu Nidala i oczywiście Carlosa. O Carlosie słyszałaś, prawda?

– No… oglądałam te amerykańskie filmy. Szakal, Jason Bourne.

– Więc wiesz. Abu Daoud może nie stał się gwiazdą popkultury, ale był jednym z trzech najbardziej poszukiwanych terrorystów lat osiemdziesiątych. Terroryści uważali samych siebie za bojowników o wolność i demokrację, jeden z nich, Jaser Arafat, powiedział o tym nawet w ONZ. Terror otworzył Palestyńczykom dojście do gazet i do telewizji, no i Arafat doskonale to wykorzystał, politycy przyjęli go do swojej rodziny, jakby zupełnie zapominając, że był też jak wszyscy terroryści mordercą. Oczywiście pomogła im Rosja. Związek Radziecki uważał terrorystów za sojuszników, bo destabilizowali kraje Zachodu. Terroryści używali rosyjskiej broni, zabijali za rosyjskie pieniądze, a swoje bazy mieli w krajach z rosyjskiej strefy wpływów. Kilku najpoważniejszych – w Polsce. Moim zdaniem do dzisiaj nie ma w Polsce zamachów, chociaż jesteśmy w NATO i posyłaliśmy wojska do Afganistanu, właśnie dlatego, że to dla terrorystów tradycyjny kraj azylowy.

– Ty mówisz poważnie?

– Tak. Mówię poważnie. Na zdjęciu, które wisiało w domu tego twojego chłopaka…

– Byłego chłopaka – wtrąciła szybko.

Może odrobinę za szybko.

Bielski zrobił głęboki wdech.

– Na tym zdjęciu jest właśnie Abu Daoud. Ten gość tutaj to on. Najbardziej poszukiwany przez Izrael morderca świata.

– Myślałam, że to Eichmann był najbardziej poszukiwany przez Izrael.

– Oj, ja mówię o naszych czasach. Znaczy, w każdym razie ja byłem dzieckiem, a ty pewnie niemowlęciem – trochę się zaplątał – on zaplanował i przygotował zamach na izraelskich sportowców w czasie olimpiady w Monachium. Oglądałaś film Spielberga?

– *Poszukiwaczy zaginionej arki* tysiąc razy.

– Nie ten, *Monachium*. Oglądałaś?

– Pewnie tak, ale nie pamiętam.

– Operacja Gniew Boży, mówi ci to coś? Uczą tego w szkole jeszcze?

Nie słyszała. Ale nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby teraz powiedzieć.

– Hm… – Wyczuł to. – W kilku słowach to było tak, że ten Abu Daoud był przywódcą grupy terrorystycznej Czarny Wrzesień. Uważali, że walczą o wolność Palestyny. Zamordowali premiera Jordanii, porwali belgijski samolot lecący do Izraela, inny próbowali zestrzelić, kiedy startował, a najbardziej znani są z zamachu na wioskę olimpijską w Monachium. Poszli po reprezentantów Izraela. Kilku uciekło, kilku się postawiło i Palestyńczycy zabili ich na miejscu. Siedmiu czy ośmiu wzięli na zakładników i zabili na lotnisku. Niemcy podjęli próbę odbicia, ale wzięli się za to jak ostatnie ciamajdy i Palestyńczycy zabili zakładników. Z ich punktu widzenia to było dobre rozwiązanie, bo nie chodziło przecież o okup. Zależało im na tym, żeby gazety i telewizje mówiły o „wolnej Palestynie". I tak się stało. Byli we wszystkich mediach świata. Dla Izraela to był cios. Po raz pierwszy od czasów wojny na niemieckiej ziemi ktoś znów zabijał Żydów. A przecież władze Izraela obiecywały, że to się nigdy nie powtórzy. Premier Izraela, Golda Meir, wysłała grupę skrytobójców, żeby wymordowali wszystkich członków Czarnego Września. No i to prawie się udało. Wybili ich po kolei i tylko Abu Daoud uciekł. Umarł sobie spokojnie, ze starości. Prawdopodobnie ocalał, bo ochronili go ludzie z peerelowskich służb. Niewykluczone, że to właśnie oni są na tym zdjęciu. Myślę, że to oni uratowali Daouda, kiedy ktoś próbował go zabić w hotelu Victoria w osiemdziesiątym pierwszym roku.

– Zamach w Victorii? Wiem! – Dopiero teraz Oldze coś zaświtało. – Czyli że to Mosad chciał go zabić w Warszawie?

– Oj, nie. Do tego Izraelczycy nigdy się nie przyznali. A do zabicia wszystkich innych członków Czarnego Września się przyznali, bo operacja miała być lekcją dla innych terrorystów, którzy chcieliby napadać na Izrael. Palestyńczycy potrzebowali rozgłosu, żeby świat ich usłyszał. Izrael potrzebował go, żeby terroryści się bali. Gdyby Mosad dopadł Abu Daouda, pewnie bym o tym wiedział. Ale Mosad nie potwierdził. Zdaje się nawet, że zaprzeczyli, że to oni próbowali go zabić w Warszawie.

– Możliwe, że zaprzeczyli, bo zamach się nie udał.

– Tak… tego nie można wykluczyć. Izrael nie przyznaje się do porażek. W każdym razie nikt się nie przyznał. Tajemnicza sprawa.

Olga milczała. Spoglądała na zegarek. Musiała wyjść, jeśli nie miała się spóźnić więcej niż dziesięć minut.

– Wiesz… – powiedziała.

– Wiem, musisz się zająć Kasią.

– No… właśnie.

– Rozumiem, nie interesuje cię historia terroryzmu.

– Przepraszam. Muszę wyjść.

Westchnął.

– To służbowe spotkanie – zapewniła natychmiast. – Ale rozumiem, że jesteś po mojej stronie. Uważasz, że ta sprawa wcale nie musi dotyczyć Pegasusa. Może mieć związek z tym zdjęciem.

– Nie do końca. Uważałbym tak, gdyby Daoud ciągle żył. Ale przecież umarł.

– Kiedy?

– Z dziesięć lat temu. Zdążył zostać pisarzem i wydać wspomnienia, mieć żonę i rodzinę, zdążył nawet zostać palestyńskim politykiem, i to dość umiarkowanym, wnioskował, żeby wykreślić z deklaracji programowej Organizacji Wyzwolenia Palestyny postulat zniszczenia Izraela.

– Czyli co twoje odkrycie wnosi do naszej sprawy? Co Daoud ma wspólnego z Pegasusem?

– Nic. Umarł, zanim Pegasus powstał. Tak mi się wydaje. Nie wiem. Jeszcze nie wiem, ale wiem, że to ważne.

Kiedy dziesięć minut później Olga weszła do Bliklego na placu Wilsona, Remigiusz Okrasko wstał na jej widok. Zgodziła się, kiedy zadzwonił i powiedział, że to nieoficjalne, ale ważne dla sprawy. No i w zasadzie nie mogła odmówić, bo przecież to właśnie Okrasko z ramienia ministerstwa nadzorował sprawę.

Wybrała Bliklego na placu Wilsona, bo miała blisko z domu. Spokojne miejsce. Policjanci tam nie bywają. Okrasko miał już kawę, wypił połowę, ale zaraz zamówił Oldze czarną i ciastko, a sobie kolejne cappuccino. To były pączki z różą. Taki pączek to jak cały obiad. Okrasko podziękował, że przyszła.

– Przepraszam, że panią wyrwałem z domu, słyszałem, że ma pani dziecko…

– Mam córkę – potaknęła.

– Może wobec tego wybaczy mi, że na chwilę wyciągnąłem jej mamę z domu…

Sięgnął pod stół i wyciągnął stamtąd papierową torbę na prezenty. Wystawał z niej łeb pluszowego misia.

Olga spojrzała na mężczyznę wrogo.

– Próbuje mnie pan przekupić? I tak mam zgryz z tym, że spotykamy się poza protokołem.

– Sądziłem, że spora część policyjnej roboty przebiega w taki właśnie sposób.

– Mylił się pan. Nie spotykamy się z politykami na cmentarzach ani w barach.

– Ale zrobiła pani wyjątek.

– Zrobiłam, bo pracujemy nad systemem cyfrowej inwigilacji i rozumiem, jeśli trzeba przegadać coś, czego postronni ludzie nie powinni widzieć ani słyszeć. Co nie zmienia faktu, że nie powinien pan przynosić mi prezentów.

– Niech pani nie będzie taka poważna. Myślałem, że się pani roześmieje i powie: „ale ładny misiek, córeczka się ucieszy". Nie ma w nim kamery, podsłuchu ani nie jest wypchany pieniędzmi na łapówkę.

– Ma na imię Kasia. – Uśmiechnęła się i sięgnęła po torbę z pluszakiem. – Z pewnością się ucieszy.

– Dziękuję – powiedział Okrasko i zamilkł. Siedział i po prostu milczał. Kiedy skinął na kelnerkę i zamówił setkę wódki, zrozumiała, że to nie będzie łatwe. Widziała to już nie pierwszy raz. Ludzie czasami potrzebują pozbierać myśli, zanim powiedzą coś ważnego. Boją się, zwłaszcza gdy jest dla nich jasne, że po tym, jak tylko otworzą usta, nic już nie będzie takie, jak było.

To nie mogło dotyczyć po prostu ich śledztwa. To musiało być coś osobistego.

W końcu się namyślił. Zamówił kolejną setkę. Wypił, nie skrzywił się nawet i powiedział jej, że redaktor Śledziński szantażuje go sprawą sprzed czterdziestu lat. Że musiał nagrać ich ostatnią naradę u Leśmiana. I że wykradł z IPN-u starą teczkę.

– Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie? – Pożałowała, że wzięła tego misia.

– A co, mam iść do pani szefa? On od razu zadzwoni do mojego i stracę pracę.

– A co ja mam zrobić? Co ja mam, do kurwy nędzy, z tym zrobić? – Olga ukryła twarz w dłoniach. – Kodeks postępowania karnego w artykule trzysta czwartym mówi wyraźnie, że każdy, dowiedziawszy się o popełnieniu przestępstwa ściganego z urzędu, ma społeczny obowiązek zawiadomić o tym prokuratora lub policję. Pan był zdaje się prokuratorem, a ja jestem z policji. Co mam, kurwa, teraz zrobić?

– Nie wiem. – Okrasko wzruszył ramionami. – Musiałem komuś powiedzieć. Pomyślałem, że wtedy poczuję się lżej. Że mi odpuści. Tak jest zawsze na filmach albo w książkach. Powiesz komuś i już. Ulga, lekkość, nowe życie.

– No i co? Ulżyło panu?

– Ulżyło.

Westchnęła.

Pomyślała o tym, że Kasia pewnie strasznie już tęskni. Że determinacja w zachowaniu Olgi tuż przed wyjściem była tak silna, że dziecko musiało to jakoś podświadomie odbierać. Zapadło się w sobie i milczało, kiedy wychodziła.

Olga wiedziała, że taka presja jest zła. Ale czy miała jakieś wyjście? Czy to ona wymyśliła wojnę? Morderstwa? Pegasusa? Facetów, którzy nie mają jaj i odchodzą, kiedy są potrzebni, a potem, kiedy już wcale potrzebni nie są, to próbują wracać? Czy to ona wymyśliła, że kariery robią takie dupki jak ten, co siedzi przed nią zadowolony, że zrzucił z siebie poczucie winy?

– Co to za sprawa sprzed czterdziestu lat?

– „Pociąg przyjaźni”. – Okrasko znowu się stropił.

– No słucham.

– To były takie pociągi, że członkowie ZSMP jechali do Bułgarii na obóz. Najlepsi jechali. Pani rozumie. To była nagroda. Marzenie. Każdy chciał pojechać. Dziś by się to nazywało networking…

– I to jest powód, żeby się dać szantażować?

– Nie to.

– Powie mi pan?

– A muszę?

Zastanowiła się.

– Jeśli mi pan nie powie, to zgłoszę sprawę dalej. A jeśli mi pan powie, to będziemy wspólnikami zbrodni. Nie wiem – westchnęła. – Kurwa! No nie wiem!

Kobieta przy stoliku obok, długie włosy, czarny sweter, zajęta do tej pory smartfonem odwróciła się nagle. Musiała usłyszeć.

Okrasko po dwóch setkach nabrał kolorów. Skoczyło mu ciśnienie.

– To był gwałt – powiedział. – Ja tylko patrzyłem. Nie pomogłem jej. Ale widziałem. Potem miałem, mam, wyrzuty sumienia. Posyłam jej pieniądze z tajnego konta. Kiedyś, wtedy, to pocztą w kopercie. A potem, znaczy teraz, wysyłam z takiego konta, o którym nikt nie wie. Ona nie wie, że to ja wysyłam. Poukładała sobie życie. To było już tak dawno temu. Kurwa. A ja z tym muszę żyć dzień po dniu. Gdybym ją zgwałcił… gdybym zabił… to wyszedłbym z więzienia już z piętnaście lat temu. A tak, to ja każdego dnia to widzę. Każdego dnia to widzę. Wierzy mi pani?

Olga pokręciła głową w taki sposób, że nie wiedział, czy go potępia, czy nie wierzy, czy że sobie po prostu z tym nie radzi.

– Kurwa! – Ukryła znowu twarz w dłoniach.

– Byłem dzieciakiem przecież.

Olga zgniotła pączka, którego trzymała w dłoni. Różana marmolada pociekła jej po palcach. Kobieta siedząca przy stoliku obok wstała, szurając ostentacyjnie krzesłem, i przesiadła się bliżej okna.

– A skąd Śledziński to wie? – Olga odłożyła zgniecione ciastko na stolik i sięgnęła po serwetkę. Pomyślała, że prawdziwa kobieta miałaby torebkę, a w torebce takie chusteczki nawilżane do podcierania tyłka niemowlętom i teraz byłyby jak znalazł.

Okrasko pokręcił bezradnie głową.

– Nie wiem. Może przez te listy, co jej wysyłałem? Może przez tego Pegasusa przejrzał mi komputer? Może wie, że mam to tajne konto?

– To byłby temat dla ABW, prawda?

Okrasko zbladł.

– Nie wiem. Może mają tam w redakcji jakąś szafę Lesiaka, czy co.

Skończyła wycierać dłoń.

– A co pan w ogóle wie? – Wypiła kawę do końca.

– Wiem, co było w tej teczce, którą chciał mieć.

– Co?

– Jakieś stare papiery, moim zdaniem bez znaczenia – powiedział. – O takim zamachu w hotelu Victoria. Ja bardzo panią przepraszam, pani komisarz, nie wiem, jak ja się w to wszystko wplątałem.

Rozdział 21

Wtedy

– Ja nie wiem, jak my żeśmy się w to wszystko wplątali. – Śledziński obracał w palcach zapalniczkę, prezent od Abu Daouda.

Z okazji drugiej rocznicy zamachu w Victorii spotkali się wszyscy w schronisku Devétsil, na przełęczy Okraj między Czechosłowacją i Polską. Przejście graniczne było zamknięte, bo w Polsce trwał stan wojenny, ale Ziegler już wiedział, że to końcówka, już za miesiąc, na Święto Odrodzenia Polski Ludowej generał ogłosi, że to już koniec obostrzeń i zapanuje powszechna radość.

Ale na razie, chociaż są wakacje, obywatele Czechosłowacji nie podchodzą za blisko granicy, boją się wojny jak zarazy, pamiętają, jak to było w sześćdziesiątym ósmym, wtedy też całe gówno przelało się przez góry, z Polski, właśnie tą górską drogą. Polacy również nie podchodzą tutaj, bo nie wolno im bez pozwolenia przebywać w strefie nadgranicznej. To wiele ułatwia tym, którzy lubią dyskrecję. Spokojny czeski hotel sto metrów od granicy. Załoga na zaufanej liście służb. Idealne miejsce na wspólne zajęcia z kolegami z NRD, Czechami i Rumunami.

Słowaków nie ma. To dziwne. Śledziński podejrzewa, że oni tak naprawdę wcale się z Czechami nie lubią.

Ziegler, dowodzący tamtą operacją w hotelu Victoria, tylko się uśmiecha. Pawłowski, który w Victorii nosił pseudonim Jankowski, Ritter, wtedy Wyszyński, Śledziński, który to wszystko wymyślił, Malinowski i Kijewski, którzy ewakuowali Abu Daouda przebrani w uniformy lekarzy pogotowia ratunkowego i ten koordynator działań z wywiadem, którego Śledziński nie znał i który dotąd się nie przedstawił. To on wyczyścił wszystko w papierach. Jakiś łebski gościu z Wrocławia.

– No jak żeśmy się w to wplątali? – powtarza pytanie Śledziński. – Zostaliśmy przyjaciółmi Abu Daouda, przeszliśmy do historii. Normalnie jak w książce.

– Gdyby to miała być książka Alistaira MacLeana – Ziegler bierze na siebie rolę prowadzącego – zaczęłoby się od pewnego mrocznego bunkra w podziemiach Kremla. To dobrze chroniony bunkier. Dostęp do niego mają jedynie nieliczni, ściśle wyselekcjonowani pracownicy służb. Oczywiście nie byłbym sobą, gdybym nie powiedział, że to matematycy.

– Jak pan. – Pawłowski podniósł do góry szklankę.

Wódka była na rosyjski sposób zmrożona do tego stopnia, że miała konsystencję oleju.

– Jak ja. I choć do bunkra nie mam dostępu, to jednak kilku z tych ludzi znam. No więc sojusznicy mają w tym bunkrze swoje najważniejsze komputery. Na jednym z nich gromadzone są dane Połączonego Systemu Ewidencji Danych o Przeciwniku, PSED.

– Czyli że kto ten przeciwnik? Ja? – Abu Daoud mówił łamaną polszczyzną. Lepiej szło mu po niemiecku.

– Nie, no kurwa, jaki przeciwnik? – Ziegler pochylił się i poklepał go po ramieniu. – Wiesz, jak to jest. Gdyby imperialiści dostali w swoje łapy takie informacje, toby pomyśleli, że tam są sami wrogowie, a to przecież sami przyjaciele.

Śmieją się wszyscy.

Wódka robi swoje.

– No, ale co tam jest na tym komputerze? – Abu Daoud chce wiedzieć. Wszyscy chcą.

– No… – Ziegler nalewa każdemu, muzułmanin nie muzułmanin, wypić trzeba. – Bojownicy o wolność.

– Ha, ha, ha! – śmieje się Daoud. – Czyli… terroryści.

– No więc, jak żeśmy się w to wszystko wplątali? – Śledziński po wódce zdaje się trochę zapętlać.

– No tak po studencku. – Ritter klepie go w plecy. – Ktoś musiał pilnować zagranicznych studentów, no i ten ktoś to byliśmy my.

– I co mamy w zamian? – mówi Śledziński tym swoim upierdliwym tonem. – Zapalniczki! A kolega Carlos ze swoim przydupasem z NRD dostali milion za wysadzenie Radia Wolna Europa. Milion, i te walizki przywieźli mu tutaj, do tej samej budy, w której teraz pijemy.

– *Friend*! – Daoud podniósł palec do góry. – *Friend*, to nie jest zapalniczka.

Uśmiechał się, ale wzrok miał chmurny.

– No wiem. – Śledziński nie zauważył tego spojrzenia. – Wiem, to pieprzony amerykański wynalazek.

– *My friend* – tłumaczył łagodnym głosem Daoud. – Widzę, że nie rozumiesz wszystko. To jest nie zapalniczka.

Było mu pewnie trudno, więc przeszedł na angielski.

Ziegler tłumaczył. Wiedział, że nie wszyscy mówią dość dobrze po angielsku.

– To jest zobowiązanie – powiedział Daoud uroczystym tonem. – Każdy z moich braci, gdy im to pokażesz, zrobi dla ciebie to, czego będziesz potrzebował. Wierz mi. To więcej niż pieniądze. Pieniądze się kończą, a to jest zobowiązanie, które nie mija. Nie mija jak polityka. Nie mija jak wojna. Nie staje się jak proch, jak piach, któremu Allach, niech imię jego będzie błogosławione, każe zacierać nasze ślady. Ono, to zobowiązanie, jest na zawsze.

– Rozumiesz? Rozumiesz, przyjacielu? – zapytał po polsku, powoli, uroczystym tonem, przypominając sobie z trudem dziwne słowa tego języka, które słyszał kiedyś jako dziecko w rodzinnej Palestynie, kiedy Polacy byli wygnańcami w jego kraju, tak jak on teraz, niezbadane są wyroki Allacha, jest wygnańcem w ich ojczyźnie.

Zamilkli wszyscy.

– Przepraszam. – Śledziński poczuł się zobowiązany, żeby to powiedzieć, choć to słowo w jego ustach gościło rzadko.

– *Friend*. – Daoud uniósł swoją szklankę. – Nie musisz nigdy za nic przepraszać tego, któremu ocaliłeś życie.

– To przecież nie ja. – Śledziński położył dłoń na piersi. – To my wszyscy.

Powiódł wzrokiem po całej grupie. Zatrzymał go na tym z Wrocławia.

– Irytuje mnie, że wszyscy jesteśmy tu już sobą, a ty, koleżko, wciąż incognito.

– Feliński – rzucił z uśmiechem.

– To prawdziwe nazwisko? – Śledziński nie odpuszczał.

– Prawdziwe, ale tajne.

– Oj, chłopcy, chłopcy… – Ziegler wstał z fotela i podszedł do nich z butelką w ręce. – Jesteście tutaj, bo was zaprosiłem. A zaprosiłem was, bo zasłużyliście. Jesteście najlepsi. Może jeszcze nie jesteście, ale z pewnością będziecie. Jeśli będziecie się trzymać razem. Naprawdę. Zobaczcie. Ten zamach. Śledziński wymyślił, jak to zrobimy. On wymyślił, ale to ja go wypatrzyłem między rodakami, ja. Taki młody student, a już taki zdolny. Wyniki testów na inteligencję najlepsze na roku. Wiedziałem, że się przyda. No i się przydał.

Kiedy otrzymali wiadomość, że Abu Daoud na paszporcie dyplomatycznym znowu przyjedzie do Warszawy, żeby zakupić broń, resort wpadł w popłoch, kiedy wiedeńskie źródła poinformowały, że na Daouda szykowany jest zamach. Nie było do końca jasne, czy zrobią to Żydzi, czy Rewolucyjna Rada Fatah – Organizacja Abu Nidala, która miała w Warszawie swoje przedstawicielstwo. Działała pod przykrywką firmy handlowej. SAS Foreign Trade and Investment Company. Miała własne biura w jedynym prawdziwym wieżowcu stolicy – w Intraco. Na górze biura terrorystów do wynajęcia, na parterze największy warszawski PEWEX.

Jaruzelski i Kiszczak mieli korzyść z udzielenia azylu najgroźniejszemu, obok Carlosa, mordercy świata. Bezpieczna, warszawska przystań Nidala była gwarancją, że Polska uniknie zamachów. Kiszczak powtarzał, że pies, którego karmisz, nie będzie cię przecież kąsał. A w razie czego zawsze można go było na kogoś poszczuć. Korzystali z tego Polacy i korzystali Sowieci.

Abu Nidal też miał korzyść, bo dostał w Peerelu gwarancje bezpieczeństwa, a nie było dla niego na całej planecie drugiego takiego miejsca. W swojej ziemi, w Palestynie, miał wyrok śmierci. Po kilku spektakularnych zamachach Arafat uznał, że Abu Nidal szkodzi sprawie wolności.

Abu Nidal lubił rozgłos. Lubił, żeby gazety pisały o nim jak najwięcej. Ścigał się ze swoim kolegą Carlosem. Sam Carlos zresztą także bywał częstym gościem w Warszawie. Nidal zorganizował napad na ambasadę saudyjską w Paryżu, porwanie kuwejckiego samolotu dla okupu i zamach na samolot linii Pan American World Airways. Opinia publiczna była zszokowana, zaczęła się odwracać od sprawy palestyńskiej, więc Arafat podjął decyzję, że czas pozbyć się kłopotliwego towarzysza, i wydał na niego wyrok śmierci. Sam Nidal uważał, że wyrok jest zemstą za to, że nie chciał Arafatowi wypłacić jego działki „za ochronę".

Nidal uciekł, założył własną organizację – Radę Rewolucyjną Fatah – i na początek wysadził w powietrze samolot linii TWA, zabijając prawie dziewięćdziesiąt osób. Miał pieniądze i mógł sobie kupić bezpieczeństwo. Warszawa mu się spodobała. Pogoda była tu dziwna, często padały deszcze, ale dla niego, człowieka pustyni, deszcz to przecież błogosławiony. Kobiety były piękne i bardzo otwarte.

Abu Nidal zamieszkał w samym centrum Warszawy, przy ulicy Bagno 3. Wiedział, że jest obserwowany i że jego mieszkanie jest naszpikowane podsłuchami, ale miał to w dupie, Polaków uważał za ochroniarzy. Jeździł jaguarem do swoich biur w Intraco bez pośpiechu, żeby tamci się nie zgubili w tych swoich dużych fiatach. Handlował bronią i organizował zamachy terrorystyczne albo, jeśli było takie zapotrzebowanie, zabójstwa za pieniądze Irakijczyków oraz, czego nigdy mu nie udowodniono, ale nie można tego wykluczyć, także Moskwy.

Informacje o tym, że zamach na Abu Daouda jest nieuchronny, wywołały u generała Kiszczaka bezsenność. Nie mógł dopuścić, żeby takie informacje wyciekły na zewnątrz, chodziło o wizerunek Peerelu

na Zachodzie i przede wszystkim o udowodnienie towarzyszom radzieckim, że na Polsce można polegać jak na Zawiszy.

– No nie, kurna, nie jak na Zawiszy, bo to przecież katolicki ekstremista, ale jak na Dzierżyńskim – powiedział Zieglerowi. – Dzierżyński był porządnym rewolucjonistą. Potrafił takie sprawy zdusić w zarodku. To jak, pomożecie? – zażartował na koniec.

Ziegler uśmiechał się dobrotliwie i nie odpowiadał.

Lubił, kiedy generał czegoś pragnął, i nie mógł tego mieć. Kiedy mu się robiło gorąco i rozpinał guzik, żeby rozluźnić kołnierzyk. Zawsze się wtedy pocił na karku.

– Zamach nie jest na rękę Polsce. – Kiszczak nalał dwie szklanki wódki. Na oko co najmniej po dwieście gramów. A podobno, tak mówili, nigdy nie pił. – Zamach nie jest na rękę polskim władzom, to znaczy nam nie jest na rękę, bo już poszły między ludzi informacje, że drukujemy nowe kartki, że obniżone będą przydziały na mięso i że drukujemy kartki na proszek do prania.

– A drukujemy? – zainteresował się Ziegler.

– No, a co zrobić? Dzieci za miesiąc do szkoły idą. Muszą mieć czyste koszule na akademiach – zaśmiał się Kiszczak. – Są informacje, że ekstrema Solidarności podburza ludzi do marszów. Wyobrażacie sobie, towarzyszu?! Marsze głodowe?! Ostatnie, czego potrzebujemy, to zamieszanie wywołane ewentualnym zamachem. Nazjeżdżałoby się pismaków, a ekstrema tylko na to czeka… No!

Uniósł szklankę, więc Ziegler uznał, że nie ma wyjścia.

– Czyli pomożecie? – Generał się uśmiechnął. – Tu macie papiery.

Rzucił na blat biurka grubą teczkę.

– O czym to?

– O tym zamachu sprzed roku, w Budapeszcie nieznany sprawca wrzucił przez okno granat do stojącego na światłach samochodu, którym jechali Abu Daoud i palestyński adwokat, towarzysz Ijad. Granat nie eksplodował.

– Żydzi? – spytał Ziegler. Po cichu, jak każdy Żyd, niezależnie od tego, po której stronie barykady przyszło mu grać, kibicował Mosadowi w operacji likwidacji bandytów, którzy wymordowali żydowskich sportowców w czasie olimpiady w Monachium, ale na głos nigdy by tego nie powiedział.

– Podejrzenia są, że to Mosad, ale zamachowiec uciekając z miejsca zdarzenia, zgubił iracki paszport, więc Palestyńczycy uważają, że to może być operacja Abu Nidala. Zemsta za ten ich wyrok śmierci.

– A nie pytaliście go?

– Pytaliśmy. On zaprzecza, ale uważa, że Daoud przyjeżdża do Warszawy, żeby go w odwecie zabić. A my tu, kurwa, nie chcemy palestyńskiej wojny domowej na naszym terenie.

– Czyli uważacie, że to nie Żydzi.

– Nie chcemy też izraelskiej prowokacji.

– Nie możecie Nidalowi powiedzieć, żeby wyjechał?

– On nie słucha. Wściekły pies. Ujada tak głośno, że nie da się mu zamknąć pyska nawet kotletem. – Generał Kiszczak zakręcił się, nie wiedział, czy lać jeszcze wódki, czy już nie lać, w końcu było jeszcze przed trzynastą.

Nalał.

– Słuchajcie, Ziegler, jeśli Nidal i Daoud wezmą się za łby, będzie z tego wielki skandal, te Reutersy, te Newsweeki, te wszystkie, kurwa, Timesy wyślą do nas swoich dziennikarzy, a wtedy te Onyszkiewicze, Kuronie, Michniki, te Macierewicze będą im bezkarnie opowiadać banialuki, jak to reżim strasznie prześladuje robotników i chłopów.

– I czarnych – dorzucił usłużnie Ziegler.

– No i, kurwa, ten jebany kler. Macie rację, macie rację… Trzeba coś z tym zrobić i trzeba zrobić tak, żeby było dobrze. No to wypijemy i wasza głowa w tym, żeby nikt nie zginął.

Ziegler dał słowo.

Śledziński, jego ulubiony student, wpadł na pomysł, że najciemniej pod latarnią, a najbezpieczniej w pułapce. Zaproponował, żeby namówić Abu Daouda na współudział.

– Tak, tak, ja wiem. – Daoud się uśmiechnął. – To był twój pomysł. Gdyby się nie udało, nie żyłbyś ty ani nikt z tych, których kochasz, tak ci powiedziałem.

– Nie mi, tylko Zieglerowi. My się wtedy jeszcze nie znaliśmy.

Daoud pokiwał głową.

Tak… Ziegler czekał na lotnisku, kiedy wylądował samolot z Wiednia. To on wziął na siebie tę decydującą rozmowę. Cztery minuty. Inaczej, jeśli to naprawdę byłby Mosad, Żydzi by się domyślili. Nie było czasu, żeby owijać w bawełnę.

– Kontrola bagażu. – Ziegler gestem zaprosił Abu Daouda do kantorka. Miał na sobie zielony mundur celnika.

– *I am a diplomat* – postawił się Daoud.

– *We will check*. – Ziegler pociągnął go do małego pokoiku, który służby miały na Okęciu.

– Tu nie ma podsłuchów – powiedział po prostu. – Proszę słuchać. Będzie na pana zamach. Ten zamach nie jest w interesie Polski ani w pana interesie. Mamy plan i jeśli będzie pan współpracował, wszyscy będą zadowoleni.

– Kto chce mnie zabić?

– To nie jest jasne. Ważne, żeby mu się nie udało, ale żeby przez kilka dni myślał, że się powiodło.

Rozdział 22

– Ważne, żeby mu się nie udało, ale żeby myślał, że mu się powiedzie. – Kołowrotek zaterkotał, kiedy Kazimierz Kijewski zarzucił wędkę. Spławik poleciał naprawdę daleko. W zawodach na długość rzutu Kazimierz byłby bezkonkurencyjny.

Śledziński pomyślał, że ten gość wszystko, czego zechce się nauczyć, potrafi zrobić zawodowo. I że jedynym miejscem, gdzie nie chciało mu się uczyć, była szkoła.

– Czyli że co? – Malinowski wpatrywał się w spławik na końcu własnej żyłki. Biało-czerwone pióro kołysało się na fali leniwe i dostojne.

– Trzeba go sprowokować – powiedział Śledziński zadowolony z siebie. Czuł się doskonale. Lubił słońce i coraz częściej przeklinał dzień, w którym zdecydował się na karierę dziennikarską, zamiast zostać przewodnikiem w Tatrach i żyć sobie w słońcu i w śniegu, daleko od tego całego chujostwa w dolinach.

– No – przyznał filozoficznie Kazimierz. – Trzeba.

Wypłynęli na Zegrze o świcie. Malinowski mocno się sprzeciwiał takiemu obrotowi sprawy, bo miał mnóstwo roboty z uchodźcami z Ukrainy. Właśnie zaczął robić medialną karierę jako wiceprezydent miasta, które naprawdę zaangażowało się w realną pomoc. Nie chodziło o czekanie na jakieś przelewy z budżetu państwa, ale o pracę własnymi rękami w ośrodku pomocy społecznej, który przebudowywali teraz na mieszkania dla matek z dziećmi. Wiceprezydent osobiście stał tam z kubłem farby i bielił ściany, mówiąc, że właśnie tak trzeba, że wszystkie ręce na pokład, że urzędnicy muszą wstać zza biurek. Pokazali to w TVN24 i w Polsacie i okazało się, że lubił tego rodzaju rozgłos. Uważał, że długo i ciężko pracował na swoją pozycję.

Kiedy Śledziński przyjechał do niego tamtego dnia, późnym wieczorem, Malinowski spodziewał się gratulacji, ale zebrał ochrzan.

– Kurwa, ty się przecież wystawiasz temu zabójcy, czego ty nie rozumiesz?

– Nie przesadzaj. W urzędzie mamy straż miejską, monitoring, a zresztą komenda policji też jest w rynku, jak ratusz. Ja tu jestem jak pączek w maśle.

– Debil jesteś. Stajesz w świetle, podczas gdy wróg kryje się w cieniu. Ty nie zapominaj, kim jesteś.

– Jestem od sześciu kadencji wiceprezydentem miasta…

– Zastępcą prezydenta, chciałeś powiedzieć. Przecież ja nie o tym do ciebie mówię. Ty pamiętaj, że nawet gruby, łysy i czterdzieści lat później wciąż jesteś myśliwym. Łowcą jesteś. A zachowujesz się jak sarenka na polowaniu z nagonką. Stoisz i ruszasz kuperkiem, żeby było łatwiej trafić.

– Psy nas przypilnują. – Malinowski trochę spuścił z tonu.

– Serio? Powiesz im, żeby ci dali ochronę?

– Zabandażuję sobie rękę i do domu będę jeździł z kierowcą.

– Ha, ha, ha! – Śledziński zaśmiał się jak dziecko. – Rozmiękczyła cię ta władza. A wydawało mi się, że polityka to walka, że zawsze trzeba być w formie.

– My w samorządzie traktujemy naszą pracę jak służbę. Razem pracujemy, tuskowcy, pisowcy, nie kłócimy się, jedni załatwiają pieniądze z prezesem, inni z marszałkiem województwa…

Śledziński nie zamierzał słuchać tych bzdur.

Może był przewrażliwiony, może to naprawdę ktoś z branży zbrojeniowej albo z wywiadu wyeliminował jego dawnych kolegów, ale on wiedział, że powinien zachować się jak żołnierz. Wojownik nie czeka. Wojownik zajmuje bezpieczną pozycję, okopuje się, rozpoznaje przeciwnika, opracowuje optymalną taktykę i uderza.

Nie dało się wykluczyć, że sprawa nie dotyczy Pegasusa, a tej niedokończonej historii sprzed czterdziestu lat. Musiał to sprawdzić i obmyślił już, jak to zrobią.

– Pakuj się, kurwa. Przywiozłem ci zwolnienie lekarskie, właśnie się okazało, że masz pozytywny wynik testu na covid i polecenie od lekarza, by zachować bezwzględną izolację. – Wyjął z kieszeni papiery i podał Malinowskiemu.

– Kurwa! – Tamten przebiegł dokument wzrokiem. – Ty nie żartujesz.

– Nie. Powiedz żonie, że musisz wyjechać, i niech ci spakuje swetry, czarne dresowe spodnie, coś nieprzemakalnego, wygodne buty, żadnych krawatów, żadnych tam pantofelków.

– Na polowanie jedziemy?

– Na ryby. Naradzimy się, a potem podziałamy.

Przyjechali nad Zegrze jeszcze tej samej nocy. Najpierw asfaltem przez wioski, potem przez las szutrową drogą. Dom stał w lesie ogrodzony wysokim płotem najeżonym elektroniką. To już nie była epoka peerelowskiej daczy z dykty i eternitu, ale prawdziwa, światowa klasa.

W bramie powitał ich Kazimierz Kijewski.

Zjedli sushi, wypili sporo wódki i wcale nie gadali o przeszłości. Kazimierz uznał, że lepiej będzie pogadać o polityce. Oglądali nocne powtórki programów informacyjnych i dla Śledzińskiego, który na co dzień nie marnował czasu na konkurencyjne telewizje, było to naprawdę odkrywcze doświadczenie.

Spali cztery godziny, żeby wypłynąć o piątej rano. Łódka była sprawdzona. Kazimierz dał słowo, że nie ma na niej żadnego syfu. Telefony zostawili na brzegu. Ryby brały wybiórczo. Kazimierz miał już dwa spore okonie, Śledziński miał kilka brań, ale wyszedł z wprawy i nie umiał porządnie zaciąć ryby, więc wyciągał pusty haczyk. Malinowski nie miał nawet brania, ale był na takim kacu, że od samego patrzenia na spławik w wielkim, złotym słońcu kręciło mu się w głowie.

Nagle jego spławik drgnął.

W tym samym momencie Olga przebudziła się znienacka i od razu poczuła pieczenie pod powiekami i ból głowy. Najpierw długo nie potrafiła zasnąć, a potem, kiedy już zasnęła, wciąż się budziła. Całe szczęście, że miała Kasię. Kiedy możesz przytulić kogoś, kogo kochasz, nawet twoja własna głowa nie może ci zrobić poważnej krzywdy. Przytulasz się, skupiasz na oddechu dziecka i złe myśli znikają.

Zostaje jednak ten męczący brak wiadomości od Nastii i uczucie uwięzienia, świadomość, że nie wie, co zrobić ze wszystkim, co usłyszała od Okraski. Gdyby miała postąpić regulaminowo, powinna złożyć zawiadomienie o przestępstwie. Ale skąd miała wiedzieć, czy to pomoże sprawie, czy jednak przyczyni się do tego, że zabójca znowu uderzy? Albo ucieknie. Dałaby teraz wiele, żeby zajrzeć do głowy Śledzińskiemu i sprawdzić, do czego potrzebna mu ipeenowska teczka Abu Daouda. Może to tylko przypadek? Może chce zrobić jakiś materiał, felieton, reportaż albo po prostu przygotować program o niewyjaśnionym dotychczas zamachu w hotelu Victoria. Nie… sama siebie zganiła za taką naiwność. Nie ma przypadków.

Jeśli jesteś na jednym zdjęciu z Abu Daoudem, jednym z najbardziej poszukiwanych wtedy ludzi na planecie, to wszystko, co potem w życiu zrobisz, musi mieć jakiś związek z tym spotkaniem uwiecznionym na fotografii. Skoro zaryzykował szantaż, żeby zdobyć nagranie z posiedzenia zespołu śledczego i zdobyć niepostrzeżenie papiery dotyczące tej sprawy, to istnieją dwa rozwiązania. Może jest ich więcej, ale ona widziała teraz tylko dwa – albo było w tej teczce coś, co obciążałoby Śledzińskiego, gdyby wyszło teraz na jaw, albo był tam jakiś ślad, który mógł mu pomóc w ustaleniu, kim jest zabójca. Gdyby zamierzał zlecić swojej redakcji przygotowanie materiału o zapomnianym zamachu w Victorii, mógł wystąpić do IPN-u całkiem otwarcie i oficjalnie przejrzeć papiery, a nawet skopiować sobie dokumenty. On chciał, żeby te papiery zniknęły. Spojrzała na zegarek. Pokazał szóstą osiem.

Nie mogła dłużej czekać. Sięgnęła po telefon, ale zaraz powstrzymała ją niepewność.

Dziewczyno, ty chcesz komuś zrobić to, co Okrasko zrobił tobie, pomyślała. Naprawdę chcesz tego? Tak, chcę, odpowiedziała sobie w duchu. Chcę. On się poczuł lepiej. Ja też się lepiej poczuję.

Wybrała numer.

Bielski pewnie spał, bo czekała osiem sygnałów.

– Tak? – powiedział w końcu nieprzytomnym głosem.

– Sam jesteś? – zapytała z uśmiechem.

– Nie, no jak sam? – odparł.

Poczuła ukłucie zazdrości. Zdziwiła się, że tak bolesne. Przeszło jej przez myśl, żeby przerwać rozmowę, ale usłyszała, że Bielski się śmieje.

– Jeśli nie ma ci kto zrobić kawy, przyjedź.

– Do ciebie? Teraz?

– Tak, do mnie, teraz. Ale nie myśl sobie. Musimy pogadać bez świadków i bez notatek.

– Może na lancz pójdziemy? Nie wolisz?

– Gdybym wolała, nie dzwoniłabym przecież o szóstej rano. Potrzebuję teraz. Naprawdę.

– *I'am on my way* – powiedział.

O nic więcej nie zapytał. Ciekawe, czy zawsze tak będzie, pomyślała. Ciekawe, czy zawsze będzie miał dla mnie czas? Na przykład kiedy będę miała pięćdziesiąt lat? Albo pięćdziesiąt dwa… Nastawiła czajnik i poszła do łazienki popatrzeć w lustro. Fatalnie to wszystko wyglądało.

Malinowski odczekał, aż pióro jego spławika zanurzyło się raz, a chwilę potem drugi raz; przełożył kabłąk kołowrotka, zaciął mocno i poczuł na żyłce opór.

– Noooo! – powiedział cicho, ale z satysfakcją. Może nie potrafił dobrze wyrzucić ani nie dopisywało mu szczęście, ale kiedy już coś miał na haku, to nie popuszczał. Wyciągnął pięknego lina.

– Jeszcze ze dwie sztuki i starczy w sam raz na śniadanie – pochwalił go Śledziński.

– Kiedy przychodzą ciężkie czasy, człowiek wraca do sprawdzonych sposobów. – Malinowski się uśmiechnął.

– Tak, tak. – Śledziński poklepał go po plecach. – Gadasz jak pisowiec. Nie ma węgla, to sobie nazbierajcie chrustu. A gdyby im kto wyciął numer i zatruł wodę w Zegrzu…

– No. – Kijewski się zadumał. – To jest, kurwa, dopiero plan. Tydzień i po nich.

Roześmiali się, a potem Śledziński przedstawił im swój plan.

– Musimy ściągnąć tego typa w pole ognia – powiedział. – Nie możemy liczyć na policję ani na tę prokurator. Przesłuchałem zapis dostarczony przez mojego człowieka i oni jednak błądzą niczym dzieci w ciemności. To nie jest ta policja, co w naszych czasach.

– A nagranie nie jest zmanipulowane? – zapytał Kazimierz. – Dzisiaj skleić plik cyfrowy potrafi byle gówniarz z telefonem.

– Mogę ci dać posłuchać, ale uważam, że mój człowiek jest za głupi, żeby coś takiego sklejać. Strasznie nudna rozmowa i nic niewnoszące wnioski – westchnął.

Trzy spławiki kołysały się na spokojnej wodzie.

– Ale coś rozumieją?

– Nie wiedzą, czy chodzi o Pegasusa, czy może o Abu Daouda – powiedział spokojnie Śledziński.

– Jak to, kurwa!? – Malinowski się zdenerwował, a Kazimierz uśmiechnął.

– Co? Baba z Żoliborza jednak nie jest taką głupią pizdą? – zapytał.

– Tym razem to ten młody, Kosiński, wpadł na trop. Spodobała mu się zapalniczka z monogramem.

– Patrz, te pedały to jednak są jakieś inne. – Kijewski pokiwał głową z uznaniem. – Czyli odczytali napis?

– Odczytali.

– Kurwa jego mać – zmartwił się Malinowski. – To teraz wygarną papiery z IPN-u i zaczną się nam dobierać do dupy?

– Nimi bym się nie martwił. Choć ta… Suszczyńska przyssała się jednak do fotografii starego Felińskiego i to tylko kwestia czasu, zanim poskleja sobie fakty.

– Ja pierdolę! I wszystko pójdzie na marne. – Malinowski chciał odłożyć wędkę i sięgnąć po papierosa, ale wtedy jego spławik znowu drgnął. To musiało być coś dużego, bo nie było skubania, pióro od razu zanurzyło się w wodzie, więc zaciął z całej siły.

– Coś jest! – ucieszył się i zaczął holować rybę. – Ale naszego życia szkoda.

– Nie pierdol, ciągnij, nic się nie zmieni, bo kto ma wiedzieć, wie, a reszta i tak nic nie zrozumie. Taki kraj. Chciałem wam powiedzieć, że na policję nie ma co liczyć. A my musimy mieć pewność, że to nie chodzi o nas, ale o Pegasusa. Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

– Pułapka? – zapytał Kazimierz.

– Pułapka – potwierdził Śledziński.

Rozdział 23

Wtedy

– Musimy mieć pewność, że wyjdzie na nasze. I jest tylko jeden sposób, żeby to sprawić – powiedział Ziegler.

– Pułapka? – zapytał Abu Daoud.

– Pułapka – potwierdził Ziegler. – Polskie państwo nie może zaryzykować, że ktoś wrzuci panu granat do samochodu. I nie chcemy masakry. Musimy uniknąć bomby, prowokacji czy też tego, że zamachowiec zacznie strzelać w jakimś przypadkowym miejscu. Musimy zarzucić przynętę i sprawić, żeby strzelał wtedy i tam, gdzie będziemy gotowi.

– Mam być przynętą? – zapytał Abu Daoud.

– Naszym zdaniem to najlepsze wyjście. Kamizelka kuloodporna. Pod marynarką worki z krwią świni. I zmuszenie zamachowca, żeby strzelał w pośpiechu.

– W pośpiechu trafi mnie w głowę – powiedział Abu Daoud. – Znajdźcie sobowtóra.

– W głowę strzela snajper. Z krótkiej broni to będzie w brzuch. W pierś. Można to osłonić, proszę mi wierzyć, żyjemy w dwudziestym wieku.

– Chcę sobowtóra.

– Spróbowaliśmy. Żaden ze studentów palestyńskich w naszych uczelniach nie jest do pana dość podobny. To ryzykowne, przyznaję, ale takie wybrał pan sobie życie. Jeśli zrobimy po naszemu, to się powiedzie. Mój rząd daje panu słowo. Zależy nam, żeby oni, kimkolwiek są, sądzili, że pana trafili. To da nam czas. Da czas także panu. Ludzie są przesądni, jeśli raz im nie wyjdzie, przestaną próbować.

– A więc sądzicie, że to Żydzi?

– Za mało wiemy. – Ziegler nie mógł przecież powiedzieć Abu Daoudowi, że informacja o możliwości zamachu pochodzi z wiedeńskich źródeł. To był zbyt cenny kontakt, żeby ujawnić go komukolwiek. Być może cenniejszy niż sam Abu Daoud.

– Pańska taksówka już czeka. Numer boczny tysiąc dwa. Żółty duży fiat. Szyby są pancerne. Proszę iść za tym funkcjonariuszem.

Ziegler wskazał mu drzwi. Daoud zrozumiał, że nie ma dyskusji.

– Proszę się nie martwić. To ryzykowne, ale naprawdę zależy nam na pańskim życiu. – Nie drgnęła mu powieka. – *Inszallah*.

– *Inszallah*. – Abu Daoud się uśmiechnął i układ został zawarty.

Ziegler zaczął oddychać dopiero, kiedy fałszywy dyplomata z irackim paszportem wyszedł z pomieszczenia eskortowany przez mundurowego wopistę. Prosto do taksówki, która miała zawieźć go do Victorii.

Nie mógł pozwolić, żeby ten Palestyńczyk rozpoznał w nim Żyda. Ziegler miał do rozegrania własną partię. Jeśli Daoud przeżyje, dostanie od Kiszczaka awans i zwycięży. Jeśli Daoud zginie, jego osobiste żydowskie serce wypełni się pokojem i satysfakcją. Jakkolwiek by było, pomyślał Ziegler, najlepszy zwycięży. Ja jestem najlepszy. Gdybym tylko jeszcze wiedział, kiedy to się może stać.

W pokoju w Victorii czekał już cały sprzęt. Ludzie byli w gotowości. Dwaj wywiadowcy i dwie kobiety z resortu grające dziwki, jedna pracująca w Victorii na stałe, druga nowa, ale kierownictwo hotelu dostało sygnał, że nie wolno jej robić żadnych wstrętów. Plan był prosty: demonstracyjnie chronić Daouda poza hotelem, w każdej sytuacji budzącej zagrożenie, a w kawiarni Opera pofolgować. Daoud miał już pierwszego wieczoru ostentacyjnie zabawiać się tu z dziwkami i stawiać alkohol wszystkim obecnym. Na spotkania do Polskich Linii Oceanicznych, gdzie miał na pozór toczyć negocjacje o eksporcie irackiej ropy do krajów RWPG, a tak naprawdę rozmawiał o imporcie z Polski kałasznikowów dla Organizacji Wyzwolenia Palestyny, jeździł w ścisłej obstawie. W hotelu odprawiał ochroniarzy. Otaczał się dziwkami.

Świat jest mały, a Warszawa to miasto, w którym wszyscy się znają.

Jeśli zamachowiec miał uderzyć tutaj, w Warszawie, powinien wiedzieć, że szansę dostanie właśnie w Victorii. Jedyne miejsce, gdzie Daoud nie był chroniony. Jedyne miejsce, gdzie mógł bez problemu wnieść broń. Walizkę z bombą – nie, bo zwróciłaby czyjąś uwagę, ale pistolet w kieszeni marynarki? Żadnych przeszkód.

Pułapka była zastawiona.

Czekali tylko, kiedy to się stanie.

A gdy nadszedł ten moment, pierwszego sierpnia, o mały włos wszystkiego nie pogrzebali, bo Jankowski za późno zauważył broń w dłoni napastnika.

Myślał, że za późno. Że tamten będzie miał dość czasu, żeby mimo wszystko wymierzyć w głowę.

Ale czy można zapanować nad wszystkim?

Kiedy napastnik wybiegł, podstawieni sanitariusze przenieśli Daouda do ambulansu i nikogo nie zdziwiło, że pogotowie przyjechało po dwóch minutach i czterdziestu sekundach.

Polski standard.

Sanitariusze zdjęli „rannemu" z grzbietu marynarkę i kamizelkę kuloodporną z przyklejonymi do niej foliowymi woreczkami ze świńską krwią. Pyk i przez dziurkę w marynarce wypływa lepki płyn. Każdy dałby się nabrać. Kiedy przewieźli Daouda na Banacha, lekarze współpracujący ze służbami odegrali cały ten cyrk z operacją, udawaniem, że usuwają kule, zakładają szwy, bandażują i doglądają.

Tymczasem trzeba było się zająć zacieraniem śladów.

Umowa z generałem Kiszczakiem obejmowała ochronę Abu Daouda i działanie bez rozgłosu. Gdyby napastnik, kimkolwiek był, wpadł w ręce Służby Bezpieczeństwa albo milicji, prokuratura musiałaby rozpocząć śledztwo. A śledztwo w sprawie terrorysty sprawiłoby, że Warszawa nie schodziłaby z pierwszych stron gazet.

Należało tego uniknąć za wszelką cenę.

Ziegler dyskretnie monitorował przebieg dochodzenia. Zadbał, żeby jedna z prostytutek dopiero po sześciu dniach przypomniała sobie, że „rozpoznaje" na portrecie pamięciowym Libańczyka Hussaina Dahera, o którym twierdziła, że wynajął ją na specjalne spotkanie w restauracji Olimp na jedenastym piętrze Grand Hotelu.

Okazało się, że rzeczywiście ktoś o takim nazwisku, posługujący się paszportem libańskim, zameldowany był od dwudziestego piątego do dwudziestego ósmego lipca w Grand Hotelu, ale potem zniknął.

Milicjanci byli bardzo skrupulatni. Sądzili, że schwytanie zamachowca przyniesie im awans i sławę. Może nawet wystąpią w którymś z odcinków *07 zgłoś się*.

Odnaleźli taksówkarza, który odwoził Libańczyka. Daher wysiadł ponoć na Bródnie przy ulicy Odrowąża. To było podłe miejsce, tuż obok starego żydowskiego cmentarza. Mieli ten cmentarz przerobić na park, ale póki co plany spełzły na niczym, cmentarz stał się miejscem spotkań marginesu społecznego. Prascy żule pili tam wódkę, wstrzykiwali sobie kompot, a czasami, żeby znaleźć złote zęby, rozkopywali groby. Zakazana dzielnica, więc taksówkarz nie czekał, żeby sprawdzić, co będzie tam robił ten gość z małą walizką. Czuło się, zeznał, że cwaniak szuka guza, bo zapłacił kopernikiem i nie czekał na resztę.

Z dokumentów wynikało, że Daher pojawił się na Lotnisku Okęcie dwunastego sierpnia i nie niepokojony przez nikogo odleciał.

I mimo że z powodu obowiązku meldunkowego nie można było w Warszawie po prostu zniknąć, to Biuro Śledcze MSW dopiero tydzień po jego odlocie dostało wpis, że mieszkał na prywatnej kwaterze na Saskiej Kępie. Płacił pięć stów za noc i był bardzo porządny. Trochę nawet mówił po polsku. Bardzo miły człowiek.

Opóźnienie przesłania informacji meldunkowej o pobycie Libańczyka w Warszawie miało dla Zieglera kluczowe znaczenie. Było też dziecinnie proste. Wystarczyło teczkę z wykazem zameldowań adresowaną na Biuro Śledcze ukryć w biurku śledczego prowadzącego to postępowanie. Ziegler upchnął ją w dolnej szufladzie pomiędzy stare dokumenty, zdjęcia jakichś dziewczyn i stare gazety. „Razem", „Młody Technik", „Świat Młodych", dwa numery „Małego Modelarza" sprzed roku, napoczęta paczka herbatników i butelka wódki.

Oczywiście to mogło nie wystarczyć, więc za radą Śledzińskiego Ziegler namówił Daouda, by wykonał kilka telefonów ze swojego pokoju hotelowego. Wszystkie będą przecież odnotowane w recepcji.

Abu Daoud wykonał ich dziesięć.

Były to telefony do przedstawicieli Organizacji Wyzwolenia Palestyny, do Polskich Linii Oceanicznych, do różnych ambasad. Jedenasty telefon był do Abdalkadira.

– Poproszę mnie połączyć z numerem… – podyktował recepcjonistce. – I poprosić Abdalkadira.

Śledziński uważał, że to ładny kryptonim. Prawie jak Abrakadabra. Recepcjonistka na pewno to zapamięta.

W trakcie przesłuchania w szpitalu Daoud powiedział milicjantom, że numer dostał w czasie pobytu w Pradze, nie pamiętał już od kogo, ale dostał go z poleceniem, żeby koniecznie tam zadzwonił, jak będzie w Warszawie.

Milicja sprawdziła, gdzie był zainstalowany ten telefon.

Okazało się, że to mieszkanie Władysława Paca. Właściciel został piątego sierpnia przesłuchany na okoliczność wynajmu mieszkania panu Samirowi Najmeddinowi – legalnie rok wcześniej poprzez pośrednictwo przedsiębiorstwa Orbis.

Wynajmem mieszkań poprzez pośrednictwo Orbisu zajmowała się Służba Bezpieczeństwa, ale oczywiście milicjanci z dochodzeniówki nie musieli wiedzieć ani o tym, ani też o tym, że Samir od lat współpracuje z polskimi służbami, monitorując środowisko palestyńskich studentów Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu. Ani tego, że Samir Najmeddin jest bliskim współpracownikiem Abu Nidala.

Ten niewinny podstęp pozwolił spowolnić dochodzenie.

Najmeddin został przesłuchany. Zeznał, że w dniu zamachu rozpakowywał walizki po powrocie z wakacji w Zakopanem z żoną i dziećmi. Jego alibi wydało się śledczym podejrzane, a sam Najmeddin był dziwnie podobny do mężczyzny z portretu pamięciowego. Wystąpili z wnioskiem o aresztowanie, ale zanim po niego przyszli, Najmeddin wyleciał do Niemiec na swoim irackim paszporcie dyplomatycznym.

W czasie drugiego przesłuchania Władysław Pac był bardziej rozmowny i zeznał, że pan Samir, dyrektor firmy SAS Investment Trading Company, załatwiał w Polsce sprawy z panami z Ministerstwa Handlu Zagranicznego, a w Metalexporcie kupował urządzenia precyzyjne.

W piątek, czternastego sierpnia, śledczy spotkali się w sprawie Samira Najmeddina z przedstawicielami placówki Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Oman Mohamed Husain zobowiązał się zebrać bliższe dane dotyczące Najmeddina. Zgodził się także, by polskie służby przesłuchały Najmeddina w dniu, w którym powróci do Polski, a jego zdjęcia okazały Abu Daoudowi.

Ten zeznał, że go nie rozpoznaje.

Śledczym pozostały jedynie zeznania w sprawie Husaina Dahera. Ale ostatecznie, w tym samym dniu, w którym prokuratura wydała wreszcie postanowienie o przedstawieniu zarzutów Husainowi Daherowi, zawiesiła postępowanie w tej sprawie do czasu ustalenia miejsca pobytu podejrzanego.

I było pozamiatane.

– Dlaczego tak długo nie wyjeżdżał. – Kiszczak nalał im po szklance wódki.

– Moim zdaniem to jest zupełnie oczywiste. – Ziegler ubrany był w koszulę z krótkim rękawem, sierpień miał się ku końcowi, ale wciąż było gorąco i pięknie. – Chciał przeczytać w gazetach o tym zamachu. Chciał zobaczyć w telewizji potwierdzenie, że Daoud nie żyje. Pewnie nie mógł uwierzyć, że w prasie nie znalazł o tym ani słowa.

– Tak, nasz człowiek, Urban, to bardzo skuteczny skrzydłowy. Jutro zostanie rzecznikiem rządu. To jeszcze tajemnica, ale już mogę ci powiedzieć. – Kiszczak się uśmiechnął. – Ma swoich ludzi, Barańskiego, Lewickiego, Małczyńskiego, a oni tam w telewizji wiedzą, jak się zająć faktografią. To bardzo przydatne. W gazetach Urban też zabezpieczył sobie własną, że tak powiem, siatkę. Tego Chrzanowskiego z „Expressu" czy Naleszkiewicza ze „Sztandaru Młodych". No… wypijmy za sukces. Gdybyście mieli kogoś na oku, kogo by warto do telewizji, wiecie, albo do „Trybuny", chociaż tam to oni wszyscy nasi przecież… Ale gdybyście kogoś tam widzieli, to mówcie, mówcie śmiało.

Ziegler pomyślał, że może pora powiedzieć o tym swoim studencie. Że to on wymyślił, co zrobić z Daoudem. Byłby świetny w telewizji, oczywiście nie od razu na pierwszej linii, ale tak, żeby od dołu zaczął robotę.

– A kiedy on skończy studia?

– Jakoś w osiemdziesiątym trzecim.

– I taki zdolny.

– Taki zdolny. Najlepszy.

Rozdział 24

– Zdolny gość. Najlepszy. – Bielski z uznaniem pokiwał głową. – Jego papiery zniknęły, ale z tych różnych powiązanych teczek wiadomo, że się brał tylko do porządnych spraw, nie jakieś tam podsrywanie kolegów z pracy. Powiedziałbym, że to monter.

– Monter? – Olga się rozmarzyła, że siedzą tak przy stole, piją kawę o świcie, co prawda słońce już wysoko, ale o świcie brzmi przecież tak dobrze. I rozmawiają o muzyce. Albo o obrazach Modiglianiego. Lubiła kiedyś Modiglianiego i naprawdę obchodziły ją te metaforyczne portrety, w których twarze żywych ludzi zmieniały się w opowieści. A teraz co? Co oglądała każdego dnia? Zdjęcia trupów albo portrety pamięciowe, albo generowane przez komputer powiększenia twarzy nagranych z ukosa przez monitoringi.

– Monter. Gość od montowania operacji. Mózg. Myśliciel.

– Podziwiasz go?

– Podziwiam, choć go nie lubię.

– To możliwe?

Kawa wystygła, ale wciąż to była ta kawa, którą lubiła. Ta, którą pijesz z kimś fajnym w kuchennej ciszy poranka, w słońcu, które sączy się leniwie, a ty patrzysz na wszystko spod półprzymkniętych powiek i nie musisz się donikąd spieszyć.

– To oczywiste. Szczwany lis, mądrala, który wokół palca umie owinąć sobie publiczność. Niejeden premier wylądował już przez niego na środkach uspokajających. Ale nie lubię go, bo jest aroganckim gnojem, który doskonale maskuje swoje słabości. Jeśli podejdziesz z prośbą o autograf, to ci nie odmówi, ba… sam weźmie telefon, żeby zrobić wam selfie. Ma długie ręce, będziecie oboje wyglądali doskonale.

Dziewczyny Modiglianiego też miały długie ręce, pomyślała Olga. Długie ręce, długie palce i kapelusze, które nie rzucają cienia na oczy. A może tylko jedna miała ten kapelusz? Tylko ta, którą kochał?

– Nie słuchasz mnie. – Bielski nie miał żalu. Patrzył na nią, jakby była dla niego kimś wyjątkowym. Olga umiała poznać. Szymon tak na nią patrzył kiedyś, przed epidemią. A dawniej, naprawdę dawno temu, jej jedyny, były, mąż – Krzysiek. Gdzie on teraz jest? Kim się stał? Dlaczego jej to w ogóle nie obchodzi?

– Przepraszam. Jestem chyba zmęczona. O czym mówiliśmy?

– O tym, że Śledzińskiemu ktoś wyczyścił teczki, ale coś tam zostało w sygnaturach i to są grube sprawy.

Olga była wdzięczna Bielskiemu za to, że cierpliwie wysłuchał jej opowieści o Okrasce i że tego nie skomentował. Nie robił jej wyrzutów. Nie zapytał „co teraz?". Wziął to na klatę. Powiedział po prostu, że chce drugą kawę.

Siedzieli przy stole, a przez uchyloną zasłonkę skośne, ostre światło łamało się w drobinkach kurzu. Dawno tu nie sprzątała. Dotąd Nastia to ogarniała przecież. A teraz nie wiadomo, gdzie jest.

Westchnęła.

– Aha.

– Zobacz, co dzisiaj zrobił na Twitterze. – Bielski sięgnął po telefon, trochę w nim poszperał i podsunął Oldze.

Na zdjęciu redaktor Śledziński w towarzystwie młodej dziewczyny siedział na ganku drewnianej willi, dookoła piękny ogród. „Ja nie pozwalam, żeby pudle i kozaczki dopadły nas z podkrążonymi oczami przed poranną kawą. Sam sobie robię to, co sobie robię" #selfie, #nowamilosc, #zegrze, #lato.

– Co to jest? – Nie zrozumiała.

– No co… redaktor Śledziński z nową dziewczyną.

Olga nieco powiększyła zdjęcie. Dziewczyna była młoda i uderzająco piękna. Spod bielusieńkiego szlafroka wymykała się od niechcenia kształtna pierś. Nie żeby całkiem, ale, włączył jej się policyjny instynkt, to nie mógł być przypadek. Zresztą oboje byli piękni, choć Śledziński musiał przecież mieć już ponad sześćdziesiąt lat, a wyglądał najwyżej na pięćdziesiąt. Opalony, z tym swoim olśniewającym uśmiechem. Biała koszula, spodnie pewnie lniane, niby nic, ale wyglądał jak dwadzieścia tysięcy i pewnie tyle to kosztowało. Oboje byli bosi.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie wiem. – Bielski wzruszył ramionami.

Kiedy oddawała mu telefon, dotknęli się dłońmi, i choć impuls był natychmiastowy, nie cofnęła dłoni.

Bielski też nie cofnął swojej.

Uśmiechnęła się, a on pochylił nad nią i wtedy, wreszcie, po tylu latach ją pocałował.

Śledziński odłożył wędkę, sięgnął po telefon i pokazał kolegom swojego tweeta.

– Ożeż ty, kurwa! – Kazimierz gwizdnął przez zęby. – Ale dupa. Co za jedna?

– A… taka Ukrainka – odparł Śledziński obojętny na urodę dziewczyny.

– Dajcie popatrzeć. – Malinowski nie wiedział, czy odkładać wędkę i brać telefon z ręki Kazimierza, bo w blikach słońca nie widział niczego wyraźnie, czy może jednak dalej ściskać wędzisko, bo czuł, że coś jeszcze dzisiaj złowi. Zaczęło mu się na rybach podobać.

– Jaka Ukrainka? Nic nie mówiłeś. – Kazimierz zrobił minę, jakby się poczuł urażony.

– Wynająłem ją do tego zdjęcia.

– Co ty pierdo… Co ty mówisz? – zdziwił się Malinowski.

– Normalnie. Podszedłem do niej w kawiarni i powiedziałem, że dostanie pięć tysięcy za takie zdjęcie ze mną, które będę mógł wrzucić na Facebooka, Instagrama i gdzie tam jeszcze.

– I co? Zgodziła się?

– Zapytała, czy będzie też seks. Powiedziałem, że nie. Wtedy się zgodziła.

– Wiedziała, kim jesteś?

– Nie wiedziała, przecież ci mówię, że Ukrainka. One nic nie wiedzą o Polsce.

– No, ale po co ci to?

– Przecież zastawiamy pułapkę, co nie? – Popatrzył w oczy najpierw jednemu, a potem drugiemu.

Pokiwali głowami.

– Pułapka polega na tym, że jest przynęta i są ostrza, które zabijają szczura, kiedy już myśli, że sobie coś zeżre. Tak?

– No tak.

– No więc nasza pułapka jest taka, że on musi przyjechać tutaj, a my musimy być gotowi. To zdjęcie powie mu, gdzie ma szukać.

– Jak to? – zdziwił się Malinowski.

– Normalnie, kurwa. Panie prezydencie, przecież to zdjęcie idzie już we wszystkich portalach plotkarskich. W Pudlach, Kozaczkach, na Jastrząb Post. Nasi koledzy je lajkują, a pisowcy pewnie już odprawiają modlitwy przeciwko upadkowi moralności. Jeśli w tej sprawie chodzi o Pegasusa, nie mamy się czego bać i nic się nie stanie. Ale jeśli ten gość chce czegoś od nas, zobaczy to zdjęcie i na pewno się pojawi.

– Ale skąd będzie wiedział gdzie? – Malinowski jak zawsze potrzebował więcej danych, żeby wszystko pojąć.

Śledziński wziął telefon od Kijewskiego, powiększył detal zdjęcia i im pokazał. Za głową dziewczyny dało się odczytać numer domu.

– Kurwa mać! – Malinowski poczuł, jak pot spływa mu po plecach. – Ja się pisałem na to, że się zaszyjemy na kilka dni na końcu świata, ale na Boga, nie pisałem się przecież na zabijanie!

– A tam, kurwa, jak zwykle pierdolisz. – Śledziński był bardzo zadowolony ze swojego planu. Gdyby zaczął z nimi dyskutować, to nic by się nie udało. A tak, poszły konie po betonie, sprawa ruszyła. Kijewski miał swoją rolę do zagrania, Malinowski też swoją miał. Pewnie nabawi się siniaków, bo powieszą go w uprzęży na drzewie ze snajperskim karabinem, jak za dawnych lat. Redaktor nie chciał tracić czasu, żeby im to wszystko wyjaśniać. Jeśli skrytobójca się pojawi, oni będą jak zęby potrzasku. A jeśli się nie pojawi, to przynajmniej będą mieli pewność, że ta cała sprawa ma związek z Pegasusem. A to może wreszcie pogrążyć PiS. A kto pogrąży PiS, będzie po wyborach prezesem telewizji. Będzie mógł przyjść do gabinetu Kurskiego i mu powiedzieć „wypierdalaj".

– No, wracamy – powiedział. – Zwijajcie sieci.

– Przecież łowimy na wędki – zdziwił się Malinowski.

– Kurwa, żartowałem.

Śledziński pochylił się nad silnikiem i chwycił końcówkę linki rozrusznika. Yamaha odpaliła za pierwszym razem.

Olga czuła się miękka i słona. Drobne, ostre włoski wokół ust Bielskiego drapały jej skórę i to było naprawdę dobre. Kiedy otwierała oczy – zdawało się jej, że to konieczne, żeby oddychać – widziała, jak kurz w złotej poświacie tańczy wokół nich. Czy to możliwe, że na każdej z tych drobin jest osobny wszechświat? Miliony stworzeń, którym zdaje się, że poza ich planetą nie istnieje już nic większego? Nic ważniejszego? Ugryzła Bielskiego w wargę, lekko, potem mocniej. Poczuła, że jego wargi rozciągają się w uśmiechu. Zmiękła. Odpuścił jej ten wieczny przykurcz pleców, który kazał jej trzymać się zawsze prosto. Znów przymknęła oczy i przekonała się, że wciąż oddycha. Kiedy ostatni raz się całowała? Chyba lata temu. Chyba zanim się urodziła Kasia… To cała wieczność. Zapragnęła nagle, żeby Bielski dotknął jej piersi, żeby poczuła przez tę koszulkę z napisem „Jaws" i reprodukcją plakatu do filmu Spielberga ciepło jego dłoni, żeby wreszcie odkrył, że wciąż ma jędrne piersi i że jej sutki stały się teraz takie wrażliwe. To tylko krew, Olga, to tylko krew napływa do tych wszystkich miejsc, które rosną i twardnieją. Ciekawe, czy z nim jest podobnie? Przesunęła rękę w dół, z pleców Bielskiego na wysokość jego pasa, wciąż niepewna, czy wolno jej dotknąć pośladków innego człowieka, innego niż Szymon, innego niż ona sama, innego niż

Kasia, i czy takie dotykanie może być bezkarne i beztroskie? Gdyby miała psa, mogłaby teraz powiedzieć Bielskiemu, że musi go wyprowadzić; Boże, powinna mieć przecież psa. A tak? Co ona ma teraz zrobić?

Przestraszyła się, kiedy zadzwonił telefon.

– Zostaw… proszę. – Bielski przytulił ją, trzymając jej głowę tak, żeby nie mogła popatrzeć mu w oczy.

– Nie mogę przecież… przecież wiesz…

Wiedział.

Puścił ją, chwycił swój kubek, odsunął firankę i zapatrzył się w słońce.

Olga spojrzała na wyświetlacz.

Szymon.

Kurwa mać, pomyślała, dlaczego akurat teraz?

Telefon nie przestawał dzwonić. Musiała odebrać. Najgorzej, jeśli Kasia się teraz obudzi.

– Jestem – powiedziała. – Jestem. Mów.

– Za wcześnie dzwonię? – Powiedziała tylko trzy słowa, ale on musiał wyczuć, że coś jest nie tak.

– Nie, raczej za późno – powiedziała z ironią. Zapragnęła papierosa.

– Za późno będzie, kiedy przyjdzie poha umiehać – próbował zażartować, ale jakoś niezdarnie. – Muszę ci coś powiedzieć… wiesz.

Zamilkł.

– No mów. Mówże wreszcie. – Patrzyła na plecy Bielskiego i zastanawiała się, czy on wie, kto zadzwonił?

– Więc znaleźliśmy monitohing i widać na nim, thochę niewyhaźnie, bo to tylko odbicie w szybie sklepu naprzeciwko, że ten samochód przejeżdża ojca dwa hazy. Tak jak mówił ten chłopiec, pamiętasz, ten niepełnosphawny…

– Tak, tak, pamiętam. Co z tego wynika?

– Że to było mohdestwo.

– To już chyba wiedzieliśmy, prawda?

– Tak, ale to nie wszystko. Bo… ustaliliśmy, że ojciec był tego dnia na poczcie. I że wysłał listy. Thudno było do tego dojść, bo to nie były listy polecone, ale phiohytety. No, ale okazało się, że poczta też ma monitohing. Przejrzałem wszystko. I znalazłem naghanie. I widać adhesy. Zgadnij, do kogo.

– No, nie wiem. To nie jest pora na zagadki. Powiesz mi? – zniecierpliwiła się.

Na słowo *zagadki* Bielski odwrócił się od okna, ale miała go pod światło i wciąż nie mogła się zorientować, co on sobie teraz myśli. Chciała papierosa. Chciała, żeby Szymon się rozłączył. Chciała, żeby Bielski został.

– Do Ziegleha, Śledzińskiego, Malinowskiego i Kijewskiego. Mówią ci coś te nazwiska, phawda?

– Mówią. Ale co z tego, że do nich napisał?

– No, że to… że to może chodzić o coś innego, niż myślisz. Nie o tego Pegasusa. Wiesz?

– Tak? A o co?

– Matka sobie przypomniała, jak się nazywa ten facet ze zdjęcia. To Abu Daoud. Hozumiesz? Wiesz, kto to jest?

– Wiem. Od kilku dni wiem. I co z tego?

– Nic, myślałem… No, że skoho wiesz, to mi powiesz.

– Więc ci nie powiedziałam. Coś jeszcze?

– Tak – wydusił i znowu zamilkł.

– No co? Mówże wreszcie. – Narastało w niej zniecierpliwienie.

– Właściwie to zadzwoniłem, żeby zapytać, czy za mnie wyjdziesz.

Olga milczała.

– Słyszysz mnie? – Głos Szymona drżał z emocji.

Rozdział 25

Teraz i wtedy

– Słyszysz mnie? – Tylko tyle powiedział, ale jego głos drżał z emocji, bo znowu mu się to przyśniło.

Dom w Safed, zapach mleka i świeżej chałki, niebieskie światło za oknem. Dzień, w którym nie poszedł do szkoły.

Potarł skronie, żeby odpędzić sen.

Za oknem słońce Warszawy, ale on pod powiekami miał teraz to wspomnienie ze snu. Jest dwunastoletnim chłopakiem. Zbiega do kuchni. Ojciec, matka, bracia, siedzą przy stole wokół małego radioodbiornika. Nie rozumiał wtedy, po co jeszcze trzymać radio, skoro przecież był już telewizor.

– Co na śniadanie?! – woła jeszcze na schodach, chociaż wie, że odpowiedź może być tylko jedna: „to, co zawsze". Ale teraz nikt nic nie mówi. Tylko matka.

– Ciii! – Kładzie palec na ustach. Imi patrzy jej w oczy i już wie, że stało się coś złego.

Był piąty września 1972 roku. Wtorek. W ich drugim kalendarzu 5732 rok. Elul. Czas, kiedy trzeba modlić się o przebaczenie i kiedy trzeba przebaczać.

Ale wszystkiego nie można przecież przebaczyć.

Dopóki ojciec żył, Imi i jego bracia każdego roku zjeżdżali do domu w Safed w przededniu piątego września. Wielki rodzinny zjazd w domu, który wciąż pachniał tak, jak go pamiętali z dzieciństwa, ale stał się dużo, dużo mniejszy. Mężczyźni spali na siennikach na podłodze w kuchni, bo przecież bracia sami mieli już dzieci, a domy nie potrafią się rozrastać, chociaż ten wciąż jakoś ich w sobie mieścił. Bywały lata, że nie wszystkim udało się dojechać, ale wtedy wpadali rankiem jacyś koledzy ojca, żeby tego dnia w domu zawsze było przynajmniej dziesięciu mężczyzn po bar micwie.

Co roku ojciec opowiadał im tę samą historię.

– „Słyszysz mnie!?" – Zawieszał głos na chwilę. – „Przyszli nas pozabijać".

Rok w rok w czasie tych spotkań Imi zawsze starał się zająć takie miejsce, żeby patrzeć przez okno na niebieskie mury Safedu. Wtedy, a nawet jeszcze trzydzieści lat temu, Safed był innym miastem. Każdego tu znałeś, każdemu mogłeś się ukłonić i pozdrowić go po imieniu.

Lubił patrzeć za okno, kiedy szarość zamieniała się w błękit.

Dobrze, jeśli wszystkie domy są pomalowane na biało i na niebiesko.

Niebieski to lepszy kolor niż krew.

Poza tym wybierał to miejsce, bo wiedział, że kiedy się stoi pod światło, inni nie mogą popatrzeć ci prosto w oczy. Pewne sprawy chciał zachować tylko dla siebie.

Ojciec nie patrzył na nich. Wzrok miał utkwiony gdzieś w przestrzeni przed sobą, w kuchennym mroku, jakby widział tam cienie tych, którzy odeszli, i jakby to do nich mówił. Dbał, żeby opowiedzieć historię jak należy. Zaczynał zawsze o szóstej sześć rano. Imiemu burczało w brzuchu, pozostali tak samo zaspani i głodni, ale cierpliwie czekali, aż ojciec dokończy.

– A potem, jak już było po wszystkim, to policjanci odkryli, że ten jego zegarek, co miał go jeszcze z Polski, wciąż chodził. Przez cały czas… zegarek chodził, chociaż serce już nie biło.

Ta doroczna opowieść była ich rodzinnym rytuałem.

Po raz pierwszy Imi słyszał ją kwadrans po siódmej rano. Wszedł do kuchni, bo chciał przed szkołą dostać śniadanie, ale tego dnia nie poszedł do szkoły. Siedział przy radioodbiorniku i czekał. Cały Izrael czekał. Miał dwanaście lat i niezachwianą nadzieję, że Zeew wróci.

Tamtego dnia telefon zadzwonił o szóstej sześć. W Monachium mieli wtedy dopiero piątą. Ojciec odebrał i zdążył usłyszeć tylko: „Słyszysz mnie? Przyszli nas pozabijać".

Ojciec wreszcie kończył i jeśli tego dnia było ich dziesięciu, mogli odmówić kadisz jatom.

Dziesięciu potrzeba, żeby Bóg usłyszał.

– Niech będzie wywyższone i poświęcone imię jego, wielkie w świecie, który stworzył według swojej woli, niechaj ustanowi swoje królestwo za życia waszego i za dni waszych, i za życia całego domu Izraela, szybko i w bliskim czasie…

Ojciec nauczył ich pamiętać trzy najważniejsze dni w roku: dziewiętnastego kwietnia powstanie w getcie, pierwszego sierpnia powstanie warszawskie i piątego września tragedia w Monachium.

O powstaniu w getcie uczyli się w szkole.

O tym warszawskim, o najważniejszych dniach w życiu swojego ojca, słyszał przy każdej okazji.

Kiedy innym dzieciom matki czytały bajki albo Szlonskiego, Bialika czy Altermana, jemu ojciec czytał *Kamienie na szaniec*. Czytał na głos po polsku, a potem tłumaczył.

– Znałem ich – mówił. – Ocalili mi życie dwa razy, a raz ocalili mi duszę. I ty znać ich musisz. Musisz pamiętać.

Więc Imi, choć miał cztery lata, kiedy wyjeżdżali z Polski, i choć od tamtego czasu nie mówił już wcale w tamtym języku, zawsze, nawet wybudzony w środku nocy, potrafił wyrecytować tę polską wyliczankę: Pasta – Gęsiówka – Kiliński – Starówka… Książka była z czterdziestego szóstego, trzecie wydanie, i Rudy z Zośką mieli w niej już swoje własne imiona i nazwiska. Bo w pierwszym wydaniu, ojciec zawsze to podkreślał, nazywali się Czarny i Wojtek.

Czasami Imi podejrzewał, że on sam zapragnął walki właśnie przez te opowieści.

W szkole uczyli ich, że od czasów niewoli w Babilonie po Holocaust wciąż ktoś chciał zabijać Żydów, a oni nigdy nie umieli się bronić.

Na początku nie rozumiał dlaczego. Dlaczego Żydzi z Warszawy nie walczyli, kiedy Niemcy ich wyłapywali na ulicach getta? Dlaczego szli do tych wagonów? Dlaczego jechali do Treblinki? Do Auschwitz? Przecież były ich setki, a Niemców tylko kilku z psami, z bronią, ale mało. Dużo mniej niż naszych. A jednak nie walczyli.

Bał się zapytać ojca. Bał się zapytać nauczycieli.

Myślał, że może kiedy walczysz, kiedy się sprzeciwiasz, to ofiara przestaje być prawdziwa? Może wtedy sprawa przestaje być ważna i święta? Izaak też nie walczył, kiedy Abraham chciał go złożyć w ofierze całopalnej Bogu Jedynemu. Aż wreszcie w sierpniu, miał wtedy dwanaście lat, zapytał.

– Spróbuj nie jeść trzy miesiące, a potem stań do walki – powiedział ojciec. – Będziesz miał siłę?

Potem było jeszcze gorzej, bo kiedy studiujesz w Jerozolimie historię powszechną, odkrywasz, że w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat ludzie nienawidzili Żydów z wymyślonych, niestworzonych powodów. Jeszcze w czasach starożytnych Manethon pisał, że Żydzi są potomkami wypędzonych z Egiptu ludzi chorych na trąd, a Apion z Aleksandrii, jeden z najświatlejszych umysłów Grecji, autor *Historii Egiptu*, głosił, że Żydzi są barbarzyńcami o umysłach niezdolnych do oświecenia, a w dodatku co roku składają jakiegoś porwanego niewinnie Greka w ofierze oślej głowie, w którą wierzą. Tacyt uważał Żydów za wrogów świata, a cesarz Hadrian, który dla Rzymian sam stał się bogiem, zakazał Żydom obrzezania, a potem całkiem wypędził ich z Jerozolimy. Potem cesarz Klaudiusz wypędził ich także z Rzymu. Chrześcijanie zaczęli myśleć, że każdy Żyd to Judasz. Wenecjanie wymyślili getto… A Żydzi nie walczyli. Czytali księgi o tym, jak Dawid pokonał Goliata, czytali o Machabeuszach, uczyli się o obronie Masady, ale nie walczyli. Zabierali swoje toboły i szli do innego miejsca, w którym ich nowi sąsiedzi myśleli, że składają dzieci w ofierze, mają miliony monet i rzucają na nich urok. Nauczyli się rzemiosł, zamiast rolnictwa. Kiedy cię wypędzają, możesz zabrać narzędzia i to, co potrafisz. Posianego zboża ani ziemi nie zabierzesz.

Tylko Menachem był inny. Żołnierz. Człowiek honoru. Ojciec spotkał go w Polsce przed wojną, kiedy był jeszcze skautem Bajtaru. Menachem walczył. Walczył dla Polski, a kiedy już mógł walczyć o własny kraj, dostał zwolnienie z tej polskiej przysięgi i zaczął walczyć o Izrael.

Menachem się nie bał. Nie prosił. Nie klękał. Jak trzeba było ocalić izraelski ruch oporu, nie wahał się wysadzić w powietrze hotel. Poszli tam przebrani za mleczarzy i zrobili to dwudziestego drugiego lipca, bo Menachem chciał, żeby świat wiedział, że to zemsta nie tylko za Izrael, ale i za Polskę, której dwudziestego drugiego lipca komuniści nałożyli swoje kajdany.

Żydowskie dzieci nie uczą się o Polsce. Nie wiedzą, kiedy Niemcy i Rosja zdobyły Polin. Imi wiedział. Ojciec zadbał, żeby o tym zawsze pamiętał.

A dla Żydów to, co mówi ojciec, jest święte. Może nie dla tych zapatrzonych w smartfony dzisiejszych młodych Izraelczyków, noszących modne ciuchy i tatuaże z gwiazdą Dawida – Imi nigdy nie pozwoliłby sobie na żaden rysunek na skórze, znał Pismo, wiedział, że jest napisane: nie będziecie sobie robić rysunków na skórze, bo człowiek jest stworzony na obraz Elokim i nie będzie modyfikował swojego ciała.

Oni pewnie nie wiedzieli. I może też by nie walczyli?

Imi chciał walczyć już jako dziecko, kiedy tylko zrozumiał, że rodzina to jest zadanie, i on, Imi, nie może pozwolić, żeby ktoś przyszedł ich skrzywdzić jak w Warszawie albo jak 1972 roku w czasie olimpiady, w epoce samolotów, telewizji i lotów na Księżyc. Nikt nie wierzył, że to możliwe, ale tak się stało.

Radio powiedziało, że wszyscy zginęli.

Nikomu na świecie nie przyszło przecież do głowy, że coś takiego może się wydarzyć, i to w Niemczech, najbardziej nowoczesnym kraju w Europie.

Ale Abu Daoud, jedyny człowiek na całej planecie, wpadł na myśl, żeby w czasie najważniejszej imprezy roku, gdy dziennikarze z całego świata będą na miejscu, wejść do hotelu, w którym mieszkają sportowcy z Izraela, zabić ich albo wziąć do niewoli. Chciał w ten sposób ściągnąć uwagę całego świata.

I mu się udało.

Abu Daoud napisał potem, że zamach w Monachium był największym sukcesem w historii palestyńskiego ruchu oporu. Napisał, że ani bomba w Białym Domu, ani śmierć Mao Zedonga, ani trzęsienie ziemi w Paryżu nie mogłyby odbić się takim echem w świadomości każdego mieszkańca Ziemi, jak operacja w Monachium, bo wszyscy na świecie interesują się olimpiadą.

Nie obchodziło go, że zginą niewinni ludzie, chciał, żeby światowi politycy, wrogowie Izraela, mieli pretekst do mówienia o wolnej Palestynie. Chciał, żeby każdy kibic na świecie, kiedy włączy telewizor, usłyszał o Palestynie.

Ażeby tego dokonać, zabił Zeewa, a wraz z nim dziesięciu innych niewinnych ludzi, i zrobił to na oczach świata.

Imi wiedział, że Abu Daoud nie uczynił tego własnymi rękami, ale ojciec wytłumaczył mu, że tchórze zawsze tak postępują. Kiedy Menachem chciał wysadzić hotel, sam poszedł podkładać bombę w przebraniu mleczarza. Daoud siedział wygodnie w Iranie albo Syrii, albo w którymś z krajów, któremu Rosja odebrała niepodległość, i wydawał polecenia przez telefon.

Był tchórzem.

Ale plan Daouda zadziałał: ONZ zaprosił do siebie drugiego terrorystę, Arafata, i pewnego dnia wszyscy rządzący słuchali jak ten niedogolony bandyta, porywacz samolotów, występuje przed wolnym światem nie jako ścigany przez prawo zbrodniarz, ale jako przywódca narodu.

Imi wracał do rodzinnego domu rok w rok, by słuchać, jak ojciec coraz słabszym głosem opowiada, że dwóch naszych zginęło od razu, bo próbowali się bronić, a dziewięciu bandyci wzięli jako zakładników, i Zeew był z nimi.

Ludzie Abu Daouda obiecali, że zakładników zwolnią, pod warunkiem że Niemcy uwolnią ze swoich więzień kilku komunistów z Frakcji Czerwonej Armii, a Izrael zwolni z więzień wszystkich dwustu trzydziestu sześciu Palestyńczyków skazanych za terroryzm. I że wypuści też japońskiego zabójcę, komunistę Kōzō Okamoto, który zamordował Ahrona Kacira, kandydata na prezydenta Izraela, na lotnisku w Tel Awiwie, zabijając przy okazji dwadzieścia pięć innych osób: siedmiu Izraelczyków i wycieczkę chrześcijańskich pielgrzymów z Puerto Rico.

Bandyci z Monachium chcieli też dostać zatankowany samolot, którym będą mogli odlecieć z Niemiec do Egiptu albo do Iraku. Przyleciały śmigłowce. Zabrały terrorystów razem z zakładnikami z wioski olimpijskiej do wojskowej bazy lotniczej w Fürstenfeldbruck. Tam czekał już na nich samolot, ale niemieckie służby spróbowały odbić zakładników. Niemcy potrafią robić samochody, ale nie potrafią walczyć. Potrafią szczuć psami i pędzić bezbronnych ludzi do komór gazowych. Są silni, tylko jeśli ci po drugiej stronie nie umieją się bronić albo się boją.

Ludzie Abu Daouda się nie bali. Zdetonowali granaty wewnątrz śmigłowców i wszyscy Izraelczycy zginęli.

A przecież nie tak miało być.

W przededniu zamachu poszli na Skrzypka na dachu i zjedli kolację z samym Szemu'elem Rodenskim, który grał główną rolę. Mieli się wyspać, a potem stanąć na starcie olimpiady i zwyciężyć.

Mosze Weinberg, Josef Romano, Dawid Berger, Jaakow Springer, Eliezer Chalfin, Josef Gutfreund, Kehat Szorr, Mark Slawin, Andre Spitzer, Amicur Szapira, Zeew Friedman.

Nie wolno zapomnieć ich imion.

– Nie wolno zapomnieć ich imion – powtarzał ojciec. – Póki żyją w pamięci, to żyją. I nie wolno ich nie pomścić.

Wymieniał nazwiska, a potem otwierał książkę, trzymał ją daleko w wyciągniętej dłoni, bo oczy miał coraz słabsze, a okularów nie nosił, no, chyba że przeciwsłoneczne.

– „Pomyślcie, że tak było – czytał. – Przekazuję wam te słowa. Wyryjcie je w swym sercu, siedząc w domu, idąc ulicą, kładąc się spać i wstając; powtórzcie je waszym dzieciom. Albo niech się zawali wasz dom, niech was porazi choroba, wasze potomstwo niech odwróci od was twarz”[1].

Początkowo Imi nie wiedział, że to Primo Levi napisał te słowa. I że pisał o Auschwitz. A potem, kiedy już je poznał, było za późno. Dla niego zawsze były o Monachium.

Za pierwszym razem, kiedy je usłyszał, postanowił, że nauczy się bronić swoich bliskich. Następnego dnia zaczął trenować karate.

Chciał być jak ci z Bajtara, którym Menachem Begin powtarzał, że Żyd nie ucieka, ale walczy twarzą w twarz. W czasach Dawida, jeśli ktoś chciał cię zabić, musiał stanąć do walki. W naszych czasach ma snajperską broń, ma drony, ma Pegasusa, ma sztuczną inteligencję, która sama potrafi odnaleźć cel i zabić albo zdetonować bombę. Ale on, Imi, tak nie postępował. On patrzył w oczy tym, którym trzeba było odebrać życie.

Wstał z łóżka i otworzył okno.

Gwar Warszawy, miasta, które było ojcu bliższe niż jakiekolwiek inne na świecie, wlał się do pokoju szeroką, niepohamowaną strugą. To miał być gorący dzień. Kiedyś, pół wieku temu, nigdy nie było tak gorąco. Wtedy to były tu raczej zimy stulecia. Mróz taki, że drzewa pękały, stojąc.

A teraz jak w Tel Awiwie, tyle że nie mieli tu plaży.

Otworzył komputer i sprawdził program śledzący – prosta aplikacja, która wyświetlała wszystkie informacje, w których pojawiały się wymagane zestawienia słów. Było tego naprawdę dużo.

Imi otworzył je po kolei.

Wreszcie coś się zaczyna dziać, pomyślał.

Wszystkie portale plotkarskie i informacyjne zamieściły zdjęcie nowej kochanki redaktora Śledzińskiego.

---

1 P. Levi, *Czy to jest człowiek*, przeł. H. Wiśniowska, przedm. I. Gutman, Państwowe Muzeum w Oświęcimiu, Książka i Wiedza, Warszawa–Oświęcim 1996, s. 11.

Rozdział 26

– Wszystkie portale plotkarskie i informacyjne zamieściły zdjęcie nowej kochanki redaktora Śledzińskiego, a ty nic nie wiesz? – Kosiński był zadziwiony.

– A tak, to… No pewnie, pewnie, że widziałam. – Olga próbowała ochłonąć po wydarzeniach tego poranka.

Najpierw pocałunek z Bielskim, potem telefon Szymona, i nagłe wtargnięcie Kasi do kuchni właśnie w chwili, kiedy Bielski nie umiał się zdecydować, czy najpierw ją przytulić, a potem pytać, czy to dzwonił Szymon, czy jednak najpierw pytać, a potem przytulać.

No i w końcu długo wyczekiwany telefon od Nastii.

Znowu była w Polsce i udało jej się naładować telefon.

– Samochód cały – zameldowała w pierwszym zdaniu. – Brudny, zmęczony, ale cały. Proszę się nie martwić. Ja wszystko wymyję, zatankuję, będzie jak nowy już wieczorem.

– Co mi tu gadasz o samochodzie! Jak mama?

– Ech… no jest, jest, opowiem, pani Olgo, niech dojedziemy. Przejechałyśmy granicę. Już jesteśmy bezpieczne. Klucze mam, więc pojedziemy prosto do domu.

Olga złapała się, że dziwnie zabrzmiało w jej uszach to „do domu". Przeszło jej przez myśl, że nigdy dotąd nikt obcy nie zostawał tam na noc. Tylko Szymon, ale Szymon nie był przecież obcy. A teraz? Co to będzie? Nie mogła pozwolić Nastii, żeby coś wyczuła.

– To kiedy będziecie?

– Nie wiem, nie mam siły jechać szybko. Muszę kawę wypić w McDonaldzie, może się prześpię w samochodzie, po naszej stronie nie umiałam zasnąć, bałam się, że zbombardują drogę do granicy. Wieczorem, pani Olgo, wieczorem będziemy.

Olga w sumie się ucieszyła, że nie musi teraz o tym myśleć, była już spóźniona, a jeszcze powinna wypchnąć Bielskiego za drzwi, dać ostatnie wskazówki dziewczynie, która przyszła do opieki, i pożegnać się z Kasią.

Telefon Kosińskiego złapał ją na schodach.

– No, ale przyjrzałaś się? Przyjrzałaś się dokładnie? – Zdjęcie nowej dziewczyny Śledzińskiego musiało zrobić na nim naprawdę duże wrażenie.

– Kosa, fajnie, że śledzisz portale, ale opowiesz mi wszystko, kiedy dojadę, okej? Zamówiłam taksówkę, jest przed bramą, naprawdę muszę już lecieć.

– Bo pomyślałem, że to ważne…

– Za kilka minut będę – obiecała. – Nastawiaj kawę.

Za kierownicą siedziała kobieta i całą drogę nie zamykały się jej usta.

– Mężczyznom jest łatwiej, wie pani, mężczyźni myślą tylko o tym, żeby zrobić tak, żeby był spokój. A kobiety?! Och, kobiety muszą stale myśleć o milionie spraw: czy dobrze wyglądam, czy nie zapomniałam powiedzieć o czymś ważnym mojej córce, która właśnie zaczyna samodzielne życie na Mokotowie, czy mój mąż, który teraz pracuje w Londynie, wie pani, załatwił sobie wszystko na czas w związku z brexitem i nie stracił pracy, bo gdyby stracił, to co byśmy zrobili, studia teraz tyle kosztują. Może by miał jakąś pracę tutaj, ale teraz złotówka znowu nic niewarta, a w jego branży, wie pani, on pisze te gry komputerowe, to teraz w Polsce wszystkie miejsca pozajmowali Hindusi, oni bardzo dobrzy są w komputerach i mają płacowe wymagania znacząco niższe. No, ale mąż ma wciąż swoją pracę, więc się o to nie martwię, ale ja się martwię, czy on ma tam co jeść, czy brudny nie chodzi? No i czy ja sobie poradzę sama z dwójką dzieci na studiach, pracując na tej taksówce? A wieczorami to jeszcze daję dzieciom korepetycje przez internet. Odkąd się zaczęła epidemia, wszystko przeszło do internetu, ale to przecież nie to samo. Kiedy masz dzieci przed sobą, kiedy masz te interakcje, kiedy widzisz, słyszysz… Kim będą dzieci, które uczymy przez internet? Czy będą potrafiły sobie poradzić w normalnym życiu? A czy będzie jeszcze normalne życie po tej wojnie? A jak Putin rzuci tę bombę, to co się stanie? No, a w ogóle to dlaczego ja przestałam nosić torebki? Wszystko przez te nerki, mieści się tam to, czego potrzebuję, ale czy to mi nie odbiera kobiecości? Czy ja robię dla siebie dość, żeby być szczęśliwą? No i co z tym krajem? Co z tym podręcznikiem do HiT-u? Co z tymi wyborami, czy one będą przyspieszone, czy nie będą? O tym wszystkim kobieta myśli w jednej sekundzie. A facet nie. Facet myśli tylko o tym, żeby mieć spokój, co nie?

Całe to gadanie sprawiło, że Olga poczuła, że wraca w jej sercu spokój. Dobrze, kiedy możesz oddać innym przestrzeń i samej zamknąć się gdzieś głęboko w środku. W ciszy.

Tam, gdzie wolno milczeć.

Pomyślała, że jest teraz wielkim ślimakiem. To nie była zła myśl. Nic jednak nie trwa wiecznie: kiedy koła taksówki zadudniły po estakadzie nad Dworcem Gdańskim i zobaczyła przez szybę gmach Intraco,

wór myśli upchanych pod czaszką w najgłębszym miejscu nagle eksplodował i zawirowały jej w głowie słowa Szymona i Bielskiego, oczekiwania jej szefa, podejrzenia prokurator Bałuckiej, szczurzy wzrok tego tchórza Okraski, który zrzucił na nią ciężar swojej tajemnicy. Kiedyś po prostu poszedłby do księdza i po krzyku. A teraz co? Czuła, jak kruszy się jej spokój, jak powoli się rozpada ten wielki falochron, o który rozbijały się wszystkie jej pomysły dotyczące Pegasusa i zamachu na Abu Daouda. Może powinna więcej wiedzieć o Abu Daoudzie? No tak, ale co zrobić, skoro Okrasko wyniósł tę jego teczkę z IPN-u… Jeśli Olga o nią poprosi, ktoś się zorientuje, że dokumentów brak. Ale jeśli nie poprosi, ktoś się zorientuje, że musiała wiedzieć, że teczka zniknęła.

Nie usłyszała puenty wywodu pani taksówkarki.

– Oj, widzę, że ma pani ciężko, dziewczyno, może nawet cięższej niż ja. – Pokiwała głową. – Z Bogiem. Niech się pani trzyma na tej komendzie i niech się pani psom nie da zeżreć w misce kaszy.

Widać musiała być z Pragi.

Olga nic nie powiedziała. Wyciągnęła tylko w górę kciuk.

Kobiety, kiedy trzeba, rozumieją się bez słów.

Ledwo dotarła do swojego pokoju, Kosiński dopadł ją ze wstępnym raportem z badania telefonów Pawłowskiego i Rittera oraz komputera Zieglera.

– Wreszcie! Kawę zrobiłeś? – Rozejrzała się.

– No nie, nie, przepraszam, ale to właśnie przyszło przed dwudziestoma minutami i zaraz zacząłem czytać… Chciałem wiedzieć, co mają.

– No i co mają?

– Do komputera profesora Zieglera technicy, naprawdę zdolni i światli ludzie, nie dali rady się dostać – oznajmił. – Zabezpieczenia wykraczały daleko poza standardowe ustawienia haseł, kiedy to wystarczy podpiąć maszynę do programu deszyfrującego i czekać. Nad komputerem Zieglera musiał popracować ktoś, kto naprawdę znał się na nowoczesnych zabezpieczeniach. Więc na razie fiasko. Żeby dobrać się do trzewi tej maszyny, potrzebna byłaby zgoda z góry i międzynarodowa pomoc, a Bałucka uważa, że w sytuacji, kiedy w grę wchodzi podejrzenie, że rząd ma coś wspólnego z użyciem Pegasusa, trudno taką uzyskać, bo nie za bardzo wiadomo, jak o nią wystąpić.

– Zwłaszcza że sprawa, zdaje się, przysycha, a o to chodziło ludziom z ministerstwa – mruknęła Olga. – A nawet jakby nie przysychała, to nie wiem, czy władzom byłoby na rękę, gdyby ktoś grzebał w mejlach Zieglera.

– No przecież ustaliłaś, że Ziegler to raczej nie grał w tej samej drużynie, co koledzy z koalicji.

– Wtedy nie grał. Za komuny. A teraz? Skąd możemy wiedzieć, z kim grał teraz?

– Teraz był spokojnym emerytem, rentierem opłacanym przez firmę, którą założył ze swoimi studentami – zażartował Kosiński.

– Jeśli coś nie gra z tym Pegasusem, to musimy brać pod uwagę, że jednak grał do jednej bramki z kimś z rządu.

– Skoro chodzi o mejle, to może wezwiemy na przesłuchanie ministra Dworczyka? – podsunął Kosiński z uśmiechem od ucha do ucha.

Olga pokręciła głową. Sprawa mejli Dworczyka, rzekomo wykradzionych z prywatnej skrzynki pana ministra, od kilku miesięcy budziła sensację wśród opozycyjnych dziennikarzy. Sam minister twierdził, że nie są prawdziwe i spreparowali je najpewniej Rosjanie, żeby siać zamęt w kraju jednoznacznie wspierającym Ukrainę.

– Teraz mejle Dworczyka skutecznie pomagają wyciszać naszą sprawę – powiedziała Olga. – A to może być wszystkim na rękę.

– W jakim sensie?

– W takim sensie, że im ciszej nad Pegasusem, tym prędzej woda się ustoi i może zobaczymy, kto się tam kryje w tym bagnie.

– Myślisz o śladach zabójcy?

– Tak.

– Jeśli jeszcze nie wyjechał z kraju.

– Moim zdaniem nie wyjechał.

– No, ale skoro sprawa Pegasusa cichnie, to po co miałby tu zostawać?

– Moim zdaniem on tu nie jest w sprawie Pegasusa. On przyjechał pozamiatać po kolegach Abu Daouda.

– Pewności nie ma.

– Jechałam dzisiaj koło Intraco. Tam, gdzie miał biuro ten drugi terrorysta. Wtedy tam było centrum Warszawy. Jedyny prawdziwy wieżowiec w mieście. Najbardziej na widoku. Na bezczelnego. Oni się w Peerelu czuli zupełnie bezkarni. Abu Daoud też. Niby ranny, a jednak zmarł sobie spokojnie dopiero wiele lat później jako szanowany człowiek, pisarz i polityk. Jeśli ktoś chciał go wtedy, w osiemdziesiątym pierwszym, zabić, to musiało srogo zaboleć, że mu się nie udało.

– Ale dlaczego tego nie zrobił, póki Abu Daoud żył?

– Właśnie… Dlaczego tego nie zrobił? Gdybyśmy to wiedzieli, wiedzielibyśmy wszystko.

– Więc może jednak chodzi o Pegasusa.

– Oj, Kosa, kurwa, skoro ci mówię, że o tego terrorystę, to dlatego, że wiem, że o niego.

– Bielski ci coś powiedział? Coś wie i powiedział ci w tajemnicy?

Zamilkła. Tak. Bielski jej coś powiedział, ale to nie miało nic wspólnego ze sprawą.

– No mów. Za kilka godzin i tak się dowiem, bo mamy odprawę z prokurator i tymi z ministerstwa, więc możesz mi powiedzieć już teraz.

Poczuła dreszcz. Głupio wyszło z tym Bielskim. Nie była gotowa na takie słowa. Na żadne słowa nie była gotowa, a to przecież naprawdę bystry gość. Nic się przed nim nie ukryje. Ani wahanie, ani niechęć, ani radość, ani zaskoczenie, ani ulga, ani lęk.

Co mu pokazała?

Wszystko. Wszystko naraz.

Ach, ci faceci, zamiast po prostu bezkarnie się całować, muszą wszystko komplikować. A Szymon… Kurwa jego mać, pomyślała.

– Okej. – Kosiński zrobił obrażoną minę. – Nie chcesz powiedzieć, nie mów. Ale ja i tak wiem, że ci powiedział. Czyli cała moja praca nad Pegasusem do dupy?

– No co ty gadasz? Jak do dupy? Nic mi nie powiedział. To takie przeczucie tylko. Czyli z komputerem się nie udało. – Wróciła do raportu. – A co z telefonami?

– Z telefonami Pawłowskiego i Rittera poszło łatwiej, nie wykluczam, że jeśli ktoś ma rzeczywiście dostęp do Pegasusa, to może sobie taki telefon po prostu otworzyć od środka. – Olga nie wiedziała, czy Kosiński żartuje, czy nie żartuje. – Archiwa w tych maszynach są przepastne, mamy ich połączenia, lokalizacje, esemesy, wiadomości, messendżery, fejsbuki i tiktoki, mamy zdjęcia, mamy spotifaje, jest tego ogrom, ocean. Czytają to technicy, jak coś namierzą ciekawego, to się dowiemy.

– Ale? Jakie jest ale? – Widziała po minie Kosińskiego, że nie poszło wcale tak gładko.

– Ten sam problem, co u Zieglera. Jakieś poblokowane, ukryte partycje, do których nie da się wejść bez skomplikowanych haseł. A jak zawsze najciekawsze jest to, co ukryte dla oczu.

– Czyli nie ma podejrzanych esemesów? Nie ma połączeń, które mogłyby wskazywać, że im ktoś groził czy coś?

– Nic takiego. – Kosiński pokręcił głową. – Z tego, co obejrzeli przez te swoje maszynki, technicy mówią, że nie ma też nic o Pegasusie. Nie ma takiego słowa w ich plikach. Może używali szyfru, może to, o co nam chodzi, jest ukryte głębiej.

– Może ktoś im wyczyścił pamięć? – powiedziała Olga głośno, myśląc o tym, co zrobił Okrasko.

– Jakby wyczyścił, zostałyby ślady. To ukryte zbiory. Dobrze chronione. No, ale nasi próbują. Z telefonem łatwiej niż z komputerem.

– A jakieś ślady po urządzeniach śledzących, po trojanach, czy jak to się nazywa?

– Nie, oba są czyste. Mają porządne zabezpieczenia.

Olga westchnęła.

– A mówi się, że szewc bez butów chodzi.

– No, oni obaj, jeśli nawet nie znają się na tej nowoczesnej technice inwigilacji, a wiedzą tylko, jak nią handlować, pewnie mieli do dyspozycji najnowocześniejsze bezpieczniki.

– Czyli co?

– Czyli na razie nic, a za dwie godziny Leśmian znowu chce naradę, będzie pani prokurator i będzie pan z ministerstwa.

– Okrasko…

– Tak. Pan Okrasko. Zapyta, co z tym Abu Daoudem… No, ale przynajmniej o tym pomyślałem i wysłałem zapotrzebowanie na jego akta z IPN-u. Nie pomyśleliśmy o tym, a to może być ważne. – Kosiński się uśmiechnął dumny z siebie.

– Co zrobiłeś? – Olga nie zrozumiała w pierwszej chwili.

– Wysłałem do IPN-u dyspozycję, żeby poszukali, co tam o nim mają. No i na razie nie znaleźli. Dziwne, bo sądziłem, że mają ten cały zasób już opracowany cyfrowo.

Olga pokręciła głową. A więc ktoś już wie, że papiery zniknęły, i w IPN-ie zaczyna się robić piekło. Powinna o tym powiedzieć Bielskiemu czy jeszcze nie? Może do Okraski zadzwonić? Odrzuciła zaraz tę myśl. To byłoby najgorsze rozwiązanie, jeśli ktoś wpadnie na trop, że to on wyniósł dokumenty, zacznie się wewnętrzna operacja, a wtedy lepiej, żeby nie było śladu, że się kontaktowali. Jezu!, pomyślała, zaczynam kombinować jak łobuz jakiś, a przecież zawsze dbałam, żeby być po dobrej stronie mocy.

– A o tym kuternodze mamy coś nowego? – Zmusiła się, żeby zmienić temat.

Kosiński pokręcił głową.

– Zaszył się. Samochód, którym podjechał do domu Zieglera, był z wypożyczalni, ale to nie on go wypożyczył. Ukradł. Niewykluczone, że wybrał samochód dlatego, że stał w miejscu poza zasięgiem kamer monitoringu.

– Co nam to mówi? – Olga uświadomiła sobie, że potrzebuje jeszcze jednej kawy. Za dużo się działo tego dnia i teraz chciała po prostu siedzieć i nie myśleć, uciec od wszystkiego jeszcze chociaż na chwilę.

– No, że gościu się zna.

– Na otwieraniu samochodów?

– Na wszystkim. Jeśli wybrał właśnie ten, to znaczy, że jest o wiele lepszy, niż nam się zdawało do tej pory. Umie zeskanować sygnał klucza samochodu, który parkuje w miejscu niechronionym przez monitoring.

Olga nastawiła wodę.

– Musimy pomyśleć, co dalej. Obejrzyj monitoringi koło tej wypożyczalni, może gdzieś jest, jak on jedzie. Gdzie to było?

– Na Okęciu… – Kosiński nie musiał mówić nic więcej. Przeglądanie monitoringów z Warszawy to jak szukanie igły w stogu siana.

– A ty masz coś nowego? – zapytał.

– Nic. Tyle, że ojciec Szymona ponad wszelką wątpliwość został zabity przez jakiegoś niezidentyfikowanego kierowcę. Nawet samochodu nie znaleźli.

– Jeżeli to ten sam gościu, to pewnie samochód spalił albo zepchnął do rzeki.

Olga zalała kawę.

– No… – Wciągnęła w nozdrza zapach, który tak lubiła. – To teraz powiedz, co tam takiego ciekawego na zdjęciu nowej dupy redaktora Śledzińskiego.

Rozdział 27

– A więc tak wygląda nowa dziewczyna redaktora Śledzińskiego. – Imi uśmiechnął się lekko, wpatrzony w twarze na ekranie komputera. Powiększył je.

– Ciekawe… – mruknął do siebie. – Ciekawe, ile w tym wszystkim prawdy?

Przeglądał internet od kilku godzin i nie miał już żadnych wątpliwości. Redaktor Śledziński jest w Polsce prawdziwą gwiazdą nie tylko dziennikarstwa, ale i popkultury. Kiedy wpisał do wyszukiwarki jego nazwisko i przejrzał zdjęcia, okazało się, że są ich tysiące.

Nie dziwiło go to. Przygotował się i wiedział, że Śledziński jest uznawany w Polsce za jednego z najlepszych współczesnych dziennikarzy. O kilka lat starszy od tych zwanych Pampersami – młodych ludzi, którzy po 1989 roku przejęli telewizję publiczną z rąk komunistów – szybko odnalazł się pośród nich na pozycji rozgrywającego. Czy to był wrodzony talent przywódczy, czy zadziałały jakieś inne czynniki, nie było jasne, ale Imi wiedział, że Polska to dziwny kraj. Przeszła bezkrwawą rewolucję jako pierwsza spośród postkomunistycznych republik, które przez kilka dziesięcioleci szarpały się na krótkiej rosyjskiej smyczy, ale każda rewolucja, nawet jeśli jest bezkrwawa, ma swoją cenę, a on mimo swoich doświadczeń wciąż nie umiał zdecydować, co lepsze: zgodzić się, żeby ludzie z obu stron granicy między dobrem i złem żyli obok siebie, udając, że tego nie dostrzegają, czy może jednak pozwolić, żeby gniew ludu przelewał się i eksplodował.

W głębi serca uważał, że przesilenia są dobre. Są jak burza. Jak rozcięcie ropiejącej rany. Wilk, kiedy wpada w sidła, odgryza sobie łapę, żeby być wolnym. A wilki wciąż muszą walczyć o swoją pozycję w sforze. Ten, który jest najsłabszy, nie je. Kto nie je, odpada z gry. A jednak wilk woli zaryzykować odgryzienie sobie uwięzionej łapy nawet za cenę szybkiej śmierci, niż powolnie zdychać w ludzkiej pułapce.

Imi podziwiał wilki.

Sam miał się za jednego z nich.

Drapieżnik zawsze rozpozna swego.

Powiększył zdjęcie tak, żeby spojrzeć Śledzińskiemu w oczy, ale to nie było możliwe, bo zdjęcie rozjechało się w pikselową papkę.

– Hm – mruknął.

Podziwiał Śledzińskiego. A odkąd wiedział, że redaktor należał do elitarnej grupy, która zapewniała w komunistycznej Polsce bezpieczeństwo najgroźniejszym terrorystom świata, ciekawił go ten człowiek coraz bardziej. Bez wątpienia Śledziński potrafił zacierać ślady nie tylko po swoich podopiecznych, ale kiedy nadeszła pora, zrzucić skórę, umiał pozamiatać także po sobie samym i po swoich przyjaciołach. Czy może należałoby powiedzieć: po współpracownikach. Imi wiedział, że w tym fachu lepiej myśleć o współpracownikach niż o przyjaciołach.

Wilki nie mają przyjaciół. Mają swoje ofiary i miejsce w stadzie. Czasami nawet zajmują to najważniejsze. Ale to nie jest miejsce, które możesz zachować na zawsze. Musisz o nie walczyć.

Śledziński też o tym wiedział.

Kiedy widzisz szansę – walczysz. Kiedy trzeba czmychnąć – zacierasz ślady.

Wszystkie wilki to wiedzą. Jak inaczej by się im udawało to, o czym marzył Abu Daoud? Zdechnąć gdzieś w norze w otoczeniu samic i ich szczeniąt. Do ostatniego dnia będąc sytym i zadowolonym z własnych osiągnieć, z przechytrzenia świata.

Może by im się wszystkim udało. Ale Bóg chciał inaczej.

– *Inszallach*, jak mówią Palestyńcy. *Inszallach*…

Gdyby nie afera z Pegasusem i gdyby nie wmieszali się w sprawy ostateczne, a władza nad internetem do takich właśnie należy, nigdy by ich nie wytropił, a wtedy krew niewinna wołałaby do niego zza grobu już zawsze.

Na początku wszystko szło tak, jak trzeba. Golda Meir odpaliła operację Gniew Boży i izraelscy agenci ruszyli w świat za mordercami z Czarnego Września, dokładnie tak jak kiedyś za Niemcami, jak za Eichmannem, dookoła świata. Wyłapywali terrorystów jednego po drugim.

Jeszcze w 1979 roku angielska dziennikarka i szpieg Mosadu Erika Chambers zdołała ustalić termin i drogę przejazdu konwoju wiozącego najbliższego współpracownika Abu Daouda, Alego Hassana Salemeha, przez Bejrut, dwie godziny przed tym, zanim ten wsiadł do samochodu. To wystarczyło, żeby wszystko zorganizować, ukryć przy drodze ładunek wybuchowy i zdetonować go w chwili przejazdu. Zginęło czterech terrorystów i czterech przypadkowych przechodniów.

Może gdyby ci czterej cywile przeżyli… Ale nie przeżyli i nowy premier, Icchak Rabin, zadecydował, że to koniec. Trzeba poświęcić sprawę odwetu na Czarnym Wrześniu, bo teraz ważniejszy jest proces

pokojowy z Egiptem. Uczynił to pod naciskiem Stanów Zjednoczonych, którym nie było po drodze wysłuchiwanie w mediach o czterech przypadkowych ofiarach, w czasie gdy można było doprowadzić do pokoju z Egiptem i odciągnąć wreszcie ten wielki arabski kraj od komunistycznej osi budowanej przez Rosję.

Do nacisków dołączyli Francuzi i Niemcy oburzeni, że izraelskie służby tropią i likwidują na ich terytorium palestyńskich bojowników.

Tym samym Abu Daoud wygrał dziką kartę.

Izrael okazał wielkoduszność.

Ale Imi nie mógł wybaczyć.

– Rodzina jest najważniejsza – powtarzał ojciec – i pamięć. Pamięć jest wszystkim, co mamy. Nie wolno zapomnieć. Zapomniani ludzie nie mogą znaleźć spokoju po śmierci. Ich niezałatwione sprawy nie pozwolą im spocząć w pokoju. Nie wolno zapomnieć.

I choć premier uznał, że operacja Gniew Boży nie będzie kontynuowana, przyjaciele ojca z powstania – choć niewielu ich zostało po Zagładzie i po komunistycznych opresjach z lat pięćdziesiątych – rozumieli, że pewnych spraw nie wolno zatrzymać.

Potrafili nie zadawać pytań i po prostu sprawić, żeby rzeczy się działy.

Wyszło na to, że po Abu Daouda to właśnie Imi musi jechać do Polski.

Było już tradycją, że po skończeniu służby wojskowej Izraelczycy ruszali w podróż do Europy. Zazwyczaj do Paryża, Wenecji i Wiednia, ale coraz częściej także do czeskiej Pragi. Trasa Imiego była po prostu odrobinę dłuższa.

W jaki sposób ojciec zdobył wiedzę o polskich powiązaniach Abu Daouda, Imi nie dowiedział się nigdy, ale przywykł do tego, że kiedy spotykał się ze swoimi kolegami z Bajtaru, żeby wspominać wojenne czasy w Polsce, dzieci musiały wychodzić z pokoju.

Tamtego lata ojciec po prostu powiedział mu, że pierwszego sierpnia, w rocznicę wybuchu powstania, Abu Daoud będzie w Polsce i zamieszka jak zawsze w hotelu Victoria. I że pewnie jak każdego wieczoru będzie pił z prostytutkami wódkę w knajpie hotelowej na piętrze, i że to najlepsza, być może nawet jedyna okazja, żeby go dopaść. Powiedział mu, gdzie ukrył broń, i to, że choć budynek na Żoliborzu przetrwał wojnę, a on był w Polsce wiele razy, do skrytki nie poszedł, bo dobra skrytka to skrytka na zawsze. Więc pewnie broń będzie sprawna, co wiele ułatwia, nie trzeba nikogo angażować w przewożenie pakunków w bagażu dyplomatycznym. A więc nikt o nic nie zapyta.

A potem dodał: „Najważniejsze, że to Warszawa, najlepsze miejsce, żeby się zemścić".

– Powiedziane jest oko za oko – mówił. – I jeszcze, że w odpowiednim czasie ich stopa poślizgnie się, dzień ich zguby jest bliski, a ich los pada na nich…

Ojciec nigdy nie pogodził się z tym, że musiał wyjechać z domu, w głębi duszy pewnie nawet bardziej niż Żydem czuł się warszawiakiem.

Nie on jeden. W dzieciństwie Imiemu się wydawało, że Jerozolima to miasto ludzi, którzy wyjechali z Warszawy albo tuż po Zagładzie, albo w roku wstydu, kiedy Polacy wypędzili ich z domów.

Matka mówiła „Polacy". Ojciec zawsze powtarzał: „Nie, Imi, to nie Polacy, to byli komuniści".

A potem, pijany już trochę, bo nie potrafił przestać, jeśli już raz zaczął, opowiadał. Zawsze to samo. Jak to przedwojenny skaut z Bejtaru, którego najważniejszym życiowym wspomnieniem było spalenie szkopskiego czołgu na placu Muranowskim drugiego dnia powstania w getcie, poszedł tej samej nocy przez tunel z Muranowskiej 7 na Warszawę z meldunkiem, który dostał osobiście od Dawida Apfelbauma. Odszukał na Starym Mieście konspiracyjny adres, nakarmili go tam, ale nie pozwolili wrócić. Ojciec opowiadał tę historię za każdym razem, kiedy była okazja. Tyle czasu minęło, odkąd wyjechali z Polski, a wciąż powtarzał, że tak właśnie smakuje dom: wódka i kiszone ogórki, i jeszcze słonina z papryką.

– Oni zagryzali słoniną, a my ogórkami – powtarzał.

Żył z Polakami w czasie wojny, bo z kim miał żyć? Kiedy nastał wrzesień, był w Warszawie u ciotki, a reszta rodziny w Grodnie, po sowieckiej stronie, wtedy za granicą, nie wiedział, czy w ogóle przeżyli, wywożeni na Sybir w bydlęcych wagonach. Chleb zamarzał, jak się zaczęła zima, ale nie mieli tam źle, w całkiem nowym miasteczku koło Nowosybirska nikt nie zamarzał, bo kto pracuje przy produkcji węgla drzewnego, ma ciepło, nawet jeśli brakuje mu chleba i ziemniaków.

O tym właśnie, jak im zamarzał chleb, myślał Imi wtedy w 1981 roku, kiedy wyszedł z hotelu Victoria na plac Zwycięstwa i patrzył w polskie niebo, nie tak błękitne jak to nad Jerozolimą. Myślał o tym, jak przetrwali, jedząc zamarzający chleb, jak przeżyli Zło. Jak rodzili dzieci i mieli nadzieję na Nowe, na Dobre. I że jedno z tych dzieci zabił w Monachium Czarny Wrzesień w czasie święta pokoju, bo czyż nie tym miały być igrzyska?

I myślał, że teraz już po wszystkim. Daoud oberwał i jest po sprawie.

O tym, że jest inaczej, dowiedział się dopiero po czterech latach. Wtedy był już żołnierzem. Nie nosił munduru, ale pracował dla swojego kraju. Żołnierz słucha rozkazów, a wtedy w interesie Izraela było zbliżenie z Ameryką.

Ameryka była możnym sojusznikiem. Potrzebnym tym mocniej, im bardziej Iran nakręcał spiralę nienawiści wobec Żydów.

Ameryka chciała porozumienia z Palestyńczykami. Bill Clinton chciał mieć wspólne zdjęcie i z Arafatem, i z Icchakiem Rabinem. Imi przyjmował to do wiadomości, ale nie zamierzał zapomnieć o tym, że Abu Daoud przeżył. Wiedział też, że na nim się nie kończy. Są jeszcze ci, którzy go ocalili.

Wtedy w Izraelu wiedziano już, że to była operacja polskich służb, chociaż nie było pewności, czy Polacy się dowiedzieli, że ktoś zechce wykonać wyrok, czy po prostu zawsze byli gotowi na wszystko, więc znaleźli się w odpowiednim czasie we właściwym miejscu.

Bo jeśli wiedzieli, to winien był któryś z naszych. Imi miał mnóstwo wątpliwości. Wiedział, że w dobrej konspiracji takie sekrety nigdy nie wychodzą na światło dzienne. Uczył się walczyć. Poznawał też, jak to jest w prawdziwej walce. Kiedyś w Ramallah rzuciła się na niego kobieta z nożem. Kto by się spodziewał? Niespełna ósma rano… Musiała wyczuć, że on się nie spodziewa, i to jej dało przewagę. W takich sytuacjach nie ma czasu na myślenie, trzeba zaufać odruchom, nad którymi pracował każdego dnia na treningu.

Kiedy zasypiał, śniła mu się czasem. Stała się jedną z najważniejszych kobiet w jego życiu, choć znał ją dwadzieścia siedem sekund.

Albo ten gość na drodze z Ramallah do Giwat Ze'ew. Miał broń. Gdyby Imi choć chwilę się zawahał, tamten by go zastrzelił. Gdyby było ich sześciu, nie byłoby żadnego problemu. Żaden Arab na sześciu by nie poszedł…

Po tej walce leżał w szpitalu rok i już nigdy więcej nie miał chodzić jak zdrowy człowiek, ale miał ogromną wolę przetrwania i wiarę w to, że nawet strzaskane kolano nie zatrzyma wojownika.

Przesunęli go jednak do pionu szkoleniowego.

Lubił to. Szybko zrozumiał, że kiedy uczysz kogoś walki, musisz rozpoznać jego tożsamość. A Żydzi bardzo się między sobą różnią.

Na przykład ci z Etiopii są bardzo dobrymi ludźmi, ale gdy opowiadał w grupie jakiś dowcip, śmiali się Aszkenazi, śmiali Sefardyjczycy, śmiali emigranci z Rosji, a ci z Etiopii nigdy nie rozumieli. I zupełnie nie potrafili strzelać. Najgorsze wyniki, niezależnie od tego, jaką im dasz broń. Za to ci z Rosji strzelali niezawodnie, ale nie umieli biegać, słabli po kilkuset metrach. A Etiopczycy mogli biec bez końca. W pracy operacyjnej to ważna wiedza, bo pozwala zbudować zespoły tak, żeby ludzie się uzupełniali. Etiopczyk, Rosjanin i Aszkenazi razem. Tym się zajmował. Uczył ludzi, jak być drużyną. Kiedy nauczyli się współpracować, byli niepokonani.

Mógł awansować, ale wolał przyczaić się w Ramallah. Robota była niebezpieczna i podła. Ale dawała szansę na spotkanie z Abu Daoudem, który zamieszkał tu po podpisaniu przez Izralel i OWP porozumień w Oslo. Ogłosił w telewizji, że wrócił do siebie. Do swojej ojczyzny. Wrócił jako bohater.

Imi miał nadzieję, że kiedyś po prostu trafią na siebie, Ramallah to małe miasto, chociaż podzielone jak żadne inne na świecie. Palestyńczycy mają swoje ścieżki, Izraelczycy mają swoje. Urządzili świat tak, żeby się nie przecinały.

Nadzieja zgasła, kiedy Daoud opublikował w Paryżu swoje wspomnienia. *Palestyna. Z Jerozolimy do Monachium*. Napisał książkę o tym, jak zaplanował zamach w Monachium.

Izrael zareagował, ale zamiast wyroku śmierci terrorysta dostał bezwzględny nakaz opuszczenia kraju.

I wtedy Daoud zamieszkał bezpiecznie z rodziną w Syrii, gdzie cieszył się sławą pisarza i publicysty. Stał się stałym komentatorem Al-Dżaziry i dostał Literacką Nagrodę Palestyny za 1999 rok.

Imi czekał. Praca nauczyła go cierpliwości. Ale ojciec umierał. Koledzy przychodzili się pożegnać. Któryś z dawnych, najdawniejszych kolegów, jeszcze z polskich czasów, przyniósł mu w kopercie zdjęcie. Czarno-białą fotokopię fotografii, na której Abu Daoud był w towarzystwie kilku innych mężczyzn.

– Pamiątkowa fotografia tego mordercy z kolegami.

Ojciec nie mówił już. Tylko charczał. Ale nie musiał mówić, żeby zapytać.

Spojrzał na zdjęcie i zmarszczył brwi.

Jego dawny druh zrozumiał.

– To są ludzie, którzy ocalili Abu Daouda w Polsce. Jego towarzysze broni. Mój dar dla ciebie, Jakubie. Ostatni. Najważniejszy.

Ojciec pokiwał głową. Skinął synowi, a ten wziął zdjęcie w obie ręce. Uniósł do czoła, żeby ojciec widział.

Potem schował zdjęcie do kieszeni.

– Wie pan coś więcej? – zapytał, odprowadzając gościa do samochodu.

– Ten, który stoi pierwszy z lewej – powiedział – jest policjantem. Nazywa się Feliński. Oryginał zdjęcia wisi u niego w mieszkaniu.

– Jak to możliwe, że ma pan kopię?

– Nasz człowiek miał z nim prywatne spotkanie. Zrobił zdjęcie, kiedy szedł do toalety. Dlatego jest niewyraźne.

– Skąd wiedział, że powinien zrobić kopię?

– Kiedy wieszał płaszcz, rozpoznał na tym zdjęciu Abu Daouda.

– Jak to możliwe?

– Każdy w służbie zna tę twarz. Wiemy, że ten człowiek ma w swoim domu takie zdjęcie, ale co z tym możemy zrobić?

Imi podziękował. Rozumiał, że stary człowiek, emeryt, nie może dać mu niczego więcej. Ale Imi miał teraz własnych przyjaciół. Towarzyszy broni. Izrael to mały kraj. Ludzie potrafią tu trzymać język za zębami. Potrafią czekać. Imi poczeka. Znajdzie sposób, żeby dowiedzieć się więcej. Ale to jutro. Teraz czas pożegnać ojca.

Rano wszystkie lustra w domu w Safedzie zasłonięto kirem.

Ojciec miał dobry pogrzeb.

Imi schował zdjęcie głęboko w szufladzie i postanowił, że jednak nie. Że nie roześle wici. Że nikomu nie powie. Nikogo nie poprosi o przysługę. Że będzie miał swoje życie. Przecież może kogoś pokochać i mieć własnych synów. Jeszcze nie było za późno.

W 2006 roku Spielberg nakręcił swój film o Monachium i rany znowu się otworzyły. Zobaczył, jak Abu Daoud się śmieje, występując w niemieckiej telewizji jako komentator. Izraelska telewizja też to puściła.

– Czy żałuję? – Uśmiechał się do dziennikarki. – Nie. Nie żałuję. Świat może zapomnieć, że kiedykolwiek powiem „przepraszam".

Wtedy Imi rozesłał jednak wici. Czekał. W styczniu 2010 roku Abu Daoud trafił do szpitala. Człowiek z Damaszku obszedł procedury i z nierejestrowanej komórki wysłał Imiemu esemes. Szpital nazywał się Al-Andalus. Niewielka klinika niedaleko starego cmentarza, całkiem blisko obwodnicy starego miasta.

Imi poprosił o przeniesienie na emeryturę.

Stan jego kolana nagle się pogorszył i wszyscy wiedzieli, że nie będzie już przydatny w służbie. Dostał na pożegnanie order, który musiał trafić do szuflady, bo nie mógłby go po prostu przypiąć do marynarki. I grawerton z herbem swojego kraju, ale o treści, która była tak ułożona, że spokojnie mógł go powiesić na ścianie.

W nocy z trzeciego na czwarty lipca w niebieskim fartuchu i zielonych gumowych rękawicach mył podłogę na trzecim piętrze szpitala w Damaszku. Pracował tam już miesiąc. W wyznaczonych porach, jeśli był akurat w pracy, rozkładał jak inni swój maleńki modlitewny dywanik i recytował modlitwy do Allacha. Nikt nie podejrzewał, że może być Żydem.

Odczekał, kiedy pielęgniarek nie było w pobliżu, wszedł do izolatki Abu Daouda i nie budząc go, wstrzyknął w przewód kroplówki pięćdziesiątkę glikolu etylenowego. Nikt nie będzie robił staremu trupowi toksykologii, skoro zobaczą efekt niewydolności nerek, gdy tylko go otworzą. Kiedy masz siedemdziesiąt dwa lata, to taka choroba może się przecież zdarzyć.

A nawet jeśli zrobią, to zesrają się ze strachu i uczynią wszystko, żeby to ukryć.

Potem usiadł przy łóżku tak, żeby uniemożliwić staremu sięgnięcie po przycisk alarmowy, i obudził Abu Daouda szarpnięciem w ramię.

Zakrył mu usta dłonią, ale nie tak, żeby udusić. Ot, tyle, ile trzeba, żeby go wystraszyć i żeby nie pisnął.

– Stul ryj, ścierwo – powiedział po arabsku, a potem zaczął recytować: – Mosze Weinberg, Josef Romano, Dawid Berger, Jaakow Springer, Eliezer Chalfin, Josef Gutfreund, Kehat Szorr, Mark Slawin, Andre Spitzer, Amicur Szapira, Zeew Friedman.

Daoud wytrzeszczył oczy. Dotarło do niego.

To dobrze, pomyślał Imi, zaciskając mu dłoń na ustach, i poczekał, aż zdechnie.

Teraz zostali mu już tylko Polacy. Nie znał jeszcze ich nazwisk. Nie miał żadnego tropu poza jednym jedynym zdjęciem. Ale co to było za zdjęcie!

Rozdział 28

– Wow! Co za zdjęcie! – Olga przyjrzała się popularnej plotkarskiej witrynie. Trafić tam na czołówkę to naprawdę nie byle co. – Wygląda na to, że redaktor Śledziński wyrósł na prawdziwą gwiazdę.

– No, to prawda. Może wreszcie ktoś go odkryje dla reklamy. – Kosiński aż się uśmiechnął do tej myśli. – Taki przystojny, a nigdy nie był na samym szczycie, co?

Od pogrzebu ojca Szymona podejrzewała, że Śledziński miał do czynienia ze służbami. Była tego niemal pewna, a po rozmowie z Okraską – już zupełnie o tym przekonana. Ale praca w policji uczy cię, że póki nie masz dowodów, nie masz nic.

Teraz przeglądali z Kosińskim internet i wiedzieli, że Śledziński wcześniej nigdy nie chwalił się zdjęciami ze swojego prywatnego życia. Nie fotografował się w czasie podróży, nie wiadomo było, czy miał kota, psa, czy jeździł konno, nie wiadomo nawet, jaki posiadał samochód. Paparazzi chodzili za nim po przeróżnych ściankach, ale nic poza tym.

Pilnował swojej prywatności, każdy ma do tego prawo, zwłaszcza w sytuacji, kiedy sam pracuje w mediach. W sieci krążyło mnóstwo jego zdjęć, ale na każdym był w jakiejś oficjalnej sytuacji albo z którąś z trzech byłych żon – wszystkie piękne, wszystkie były z nim krótko, wszystkim się to opłaciło, bo mają dzisiaj swoje własne programy, dwie starsze prowadzą kanały na YouTubie, a najmłodsza czyta wiadomości w jednej z komercyjnych stacji.

Ostatnie prywatne zdjęcia Śledzińskiego pochodziły sprzed trzech lat, z czasu ostatniego rozwodu. Piękna dziewczyna, wietnamskie pochodzenie było jej bezsprzecznym atutem, mówiła po polsku bez akcentu, bo urodziła się nad Wisłą, kibicowała Legii, pisała o modzie w kobiecym magazynie, póki jeszcze kolorowa prasa liczyła się na rynku wydawniczym. Zaczęła się pojawiać w telewizjach śniadaniowych, dostała zaproszenie na ramówkowy bankiet i tam się poznali. Po rozwodzie oboje mówili o sobie w samych superlatywach. „Viva" pisała, że chodziło o wielką, romantyczną miłość.

To był jedyny raz, kiedy Śledziński trafił na okładkę kolorowego magazynu.

– Było cudownie, ale po prostu ta formuła już się wyczerpała – mówiła ona.

– Pozostaniemy przyjaciółmi – deklarował on.

A na pytania o to, czy będzie jeszcze próbował znaleźć miłość, odpowiadał, jak to zapisała pani reporterka, „tylko wiele mówiącym przewracaniem oczami".

– Poczytaj komentarze. – Kosiński przywołał uwagę Olgi.

– Co mówisz?

– Odpłynęłaś. Popatrz tutaj. Poczytaj komentarze.

– Przecież ty już czytałeś. – Olga nie chciała tracić czasu. Była pewna, że Kosiński już to zrobił.

– W większości to wszystko z dupy, ale czasami można trafić na jakiś ciekawy trop.

– Na przykład?

– Na przykład mobbing.

W oficjalnych materiałach zestawienie słów „Śledziński" i „mobbing" nie występowało, ale w komentarzach ta koniunkcja była całkiem wyraźna.

– Albo coś w tym jest, albo redaktor ma po prostu wielu wrogów – odparła Olga. – Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Może ci powiem, gdzie zrobił to zdjęcie, co?

– Powiesz?

– Gdybyś tak przyjrzała się dokładniej… – Powiększył fragment. Za głową dziewczyny widniała tablica. Widoczny był fragment numeru domu i nazwy ulicy: „2c. zasowa".

– No i co z tego?

– Posiedziałem nad tym… Poszukałem. Bo jest hasztag Zegrze, ale to nie jest w Zegrzu. Nic nie pasuje, przejrzałem całe Google Maps.

– No i wiesz, gdzie to jest? – Przeszedł ją nagły dreszcz. Jeśli Śledziński, taki ostrożny facet, wrzuca do sieci swoje zdjęcie w taki sposób, żeby można było ustalić, gdzie zostało zrobione, coś w tym musi być.

– No… myślę, że w Ryni, w tym lesie, widzisz? Ten adres, Wczasowa 52c, może być gdzieś tutaj.

Na drugim monitorze wyświetlił jej Google Maps i wskazał kursorem miejsce, gdzie na mapie był tylko las. Jedna wielka plama zieleni.

Przełączyła na tryb zdjęć satelitarnych. To samo. Nieprzebrane morze drzew.

– Tu nic nie ma.

Kosiński powiększył ten fragment mapy. Z pewnością nic tam nie było.

– To tylko las przecież.

– No właaaaśnie! – Uśmiechnął się. – To musi być jakiś nowy dom, rozumiesz? Odremontowany albo wybudowany po tym, jak robili te zdjęcia. Tu masz numer 51, tu masz 52, 53… Zobacz, jakie to duże odległości. Można byłoby między nimi wybudować miasteczko, a nie tylko jeden dom. Musiał sobie tam pan redaktor postawić willę.

– Kto bogatemu zabroni…

– …może Lasy Państwowe? – zaśmiał się Kosiński.

Olga zaczęła się niepokoić. Jak za każdym razem, kiedy czuła, że jest na dobrym tropie. Po co Śledziński umieścił w sieci zdjęcie, na którym ujawniał takie miejsce? I kim, na Boga, jest ta dziewczyna?

– A wiesz coś o dziewczynie? To celebrytka? Nie wiem, aktorka, prezenterka, ma jakiś talent, tańczy z gwiazdami, gotuje w śniadaniowej telewizji? Coś jest w tych komentarzach?

– No właśnie nic nie ma. I to mi się wydało podejrzane. Zawsze jest tak, że ktoś kogoś zna. A tu nic. Nic! No i sam redaktor nie oznaczył jej na zdjęciu.

– Właśnie… To dziwne. Dziwne, że umieścił takie zdjęcie… Masz pomysł, po co to zrobił?

– Tego nie wiem, ale przynajmniej wiem, gdzie to zrobili.

– Dobrze się spisałeś. – Olga zmierzwiła mu włosy.

Potarła w zamyśleniu oczy.

Rozumiała, że poza celebrytkami, które zarabiają na pokazywaniu się w jakichś tam butach albo na siadaniu w ometkowanych, czy raczej otagowanych, fotelach gabinetów kosmetyki estetycznej, ludzie mediów dbają o swoją prywatność. Co innego zdjęcia z oficjalnych premier, ze ścianek czy nawet z trybun Stadionu Narodowego. To by do Śledzińskiego pasowało. Ale nie takie ostentacyjne in flagranti z nieznajomą dziewczyną o pół wieku młodszą od niego.

Olga wiedziała, że nie pół wieku, najwyżej trzydzieści pięć lat, ale to wcale nie zmieniało jej samopoczucia. Co jest z tymi facetami, że lecą na młode dupy? Co jest z tymi dziewczynami? No, one to pewnie z małych miast, pewnie bez perspektyw, szukają szansy na karierę w telewizji. Kurski zajęty, Miszczak zajęty, a Śledziński, proszę, jak zawsze wolny…

Nie rozpraszaj się, dziewczyno, pomyślała, teraz potrzeba skupienia, trzeba to jakoś rozwikłać.

Nie chciała tego mówić głośno, ale przecież Kosiński dobrze wyczuł. Zdjęcie miało znaczenie. I Olga była o krok od zrozumienia tego, co ono znaczy. Ale czuła się zbyt zmęczona, żeby dostrzec to, czego szuka.

Potrzebowała chyba więcej kawy.

Podeszła do okna.

Na światłach na placu Bankowym stało kilkanaście samochodów. Żadnego korka, wszystkie przejadą bez problemu. Warszawa była taka piękna w świąteczne dni. Kiedy ona miała jakieś prawdziwe wakacje? Nie urlop macierzyński, nie łażenie z Kasią na plac zabaw do parku Żeromskiego, ale prawdziwe wakacje – słońce, biały piasek, turkusowy ocean, nieznajomi surferzy i seks do białego rana z kimś, kogo nie będzie musiała o nic pytać ani pamiętać? Albo z kimś, z kim mogłaby tam pojechać… Z kim byłoby lepiej? Z Bielskim pewnie byłoby bezpieczniej, bo wcale by się nie zdziwiła, gdyby potrafił mówić w każdym języku świata. No… gdyby to był Dubaj, toby potrafił, ale czy w Dubaju można siedzieć na plaży z drinkiem z palemką? No a Szymon? Z Szymonem to raczej plaża odpada, ale mogliby na przykład pojechać motocyklem Drogą 66 przez Stany Zjednoczone. Z Kasią w przyczepce. Uśmiechnęła się do tej myśli. Podniosła wzrok. Niebo było niebieskie jak we Włoszech.

Nigdy nie była, ale takie właśnie musiało tam być niebo.

Imi też patrzył w niebo. W to samo niebo nad Warszawą. Ciekawe, myślał, czy podobałoby się ojcu? Kiedyś pewnie było tu więcej przestrzeni. Teraz wszędzie wieżowce.

Trzymał papierosa pomiędzy środkowym i serdecznym palcem.

Podobno wiele mówi o człowieku to, jak trzyma papierosa. W Polsce najlepiej, żeby nie trzymał w ogóle. Wszyscy stali się teraz tacy ekologiczni i światowi. Rozgniótł niedopałek o parapet tarasu i przez chwilę nie wiedział, czy może tak zostawić, czy jednak powinien zabrać ze sobą i pozbyć się śladów przy pierwszej okazji.

W pokoju okna się nie otwierały.

Na tarasie nie było popielniczki ani nawet kosza na śmiecie.

Co za kraj. Czas się pakować.

Zgarnął popiół i niedopałek w papierową chusteczkę i schował do kieszeni.

Kiedy wszedł do pokoju, wygaszacz na ekranie komputera pokazywał jakiś himalajski krajobraz ze wspinaczami na pierwszym planie. Trącił touchpad palcem i wspinacze zniknęli, a na ekranie pojawił się ponownie fragment prześlicznej twarzy towarzyszki redaktora Śledzińskiego. Nieco rozmazany, ale za to tabliczka z numerem domu za jej plecami była idealnie wyostrzona.

Imi nie musiał zastanawiać się, po co Śledziński zamieścił to zdjęcie na Instagramie. Od razu wiedział, że to zaproszenie.

Wilki czasami muszą sprawdzić, który z nich jest silniejszy. Czasami muszą walczyć o przywództwo w stadzie. A czasami tylko po to, żeby pomścić tych, których kochali.

– Ja wiem, po co musimy się spotkać – mruknął. – A ty?

Kliknął i zdjęcie Śledzińskiego wypełniło ekran.

– Po co walczysz? – zapytał go na głos.

Kosiński zalał kawę i zapach sprawił, że Olga wróciła do rzeczywistości.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się.

– Co cię gnębi, szefowo? – zapytał. – Coś z dzieckiem?

– Nie, wszystko dobrze.

– Coś z facetami?

Pokiwała głową, ale nic nie odpowiedziała.

Siorbnęła kawy.

– Teraz gnębi mnie, po co Śledziński wrzuca do netu zdjęcie, na którym podaje swój adres?

– Zaprasza kogoś. – Kosiński wzruszył ramionami.

– Kurwa, Kosa, ty masz przecież rację!

Zdenerwowała się. Na siebie, że nie wpadła na to wcześniej. Na Bielskiego, że zamiast się skupić na robocie, wziął się do romansowania – gdyby nie to, nie straciłaby tyle czasu. Na Śledzińskiego, że ją lekceważył. Nie, nie tylko ją. Zlekceważył jej służbę. Może dla innych to była praca, ale dla niej to była służba. I nikt jej nie będzie mówił, co ma robić, kiedy ani jak.

– Co masz na myśli? – zapytał Kosiński, ale ona nie odpowiedziała.

Przeglądała smartfon w poszukiwaniu numeru Śledzińskiego.

– O, jest!

Wybrała numer. Sięgnęła po kawę. Jeden łyk, ale mały, bo gorąca.

Odczekała pięć sygnałów i już miała zrezygnować, kiedy, o dziwo, odebrał.

– Dzień dobry, pani policjantko. – Musiał być w świetnym nastroju.

– Co to za numer z tym zdjęciem? – Od razu przeszła do rzeczy.

– Przecież dziewczyna jest pełnoletnia.

Olga od razu zauważyła, że nie zapytał, o jakie zdjęcie jej chodzi.

– Ja nie o tym mówię.

– Taaak?

– Bierze się pan za samosądy?

Usłyszała, że westchnął.

– No? Czekam na odpowiedź.

– Nie rozumiem, co ma pani na myśli – powiedział wreszcie z ledwo słyszalną nutką ironii.

– Jak nie rozumiem? Jak nie rozumiem!?

– Niech pani nie będzie dzieckiem, pani policjantko. Są sprawy między kobietą i mężczyzną i są sprawy między mężczyznami. Taki jest porządek świata, chociaż możemy udawać, że jest inaczej.

– O czym pan do mnie mówi?

– Wie pani, kiedy byłem w pani wieku, też były kobiety w milicji. I wie pani, doskonale się sprawdzały w drogówce, w tych swoich mundurkach ze spódniczkami nad kolana.

Roześmiał się.

A potem, zanim zdołała mu powiedzieć, że Peerel się skończył, że to nie są czasy, w których samosąd może komuś ujść na sucho, po prostu się rozłączył.

Rozdział 29

– Rozłączył się! Po prostu się rozłączył! – Poczuła, że robi się jej gorąco.

– Chuj jebany! – Kosiński zawsze wiedział, jak podsumować takie sytuacje.

Uśmiechnęła się. Dobrze wiedzieć, że możesz liczyć na współpracowników. Ale kortyzol już rozlał się w żyłach i poczuła, że złość gromadzi się tam niczym lawa pod skorupą wulkanu.

Zrobiła głęboki wdech.

– Słusznie. – Kosiński spojrzał na zegarek. – Trzeba się opanować, bo za kwadrans mamy u Grubego naradę z tą prokuratorką, a ja wciąż nie rozgryzłem, czy ty ją lubisz, czy nie lubisz.

– Jaką naradę? – Olga poczuła, że fala irytacji jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa.

– No przecież ci mówiłem, jak tylko weszłaś, że zwołali odprawę na dzisiaj na dwunastą. A potem usiedliśmy do tych zdjęć i zobacz, jak zleciało…

– No, Młody, teraz to zaliczyłeś wpadkę. – Olga rozejrzała się po ich biurze, jakby szukała czegoś, czym mogłaby mu przyłożyć. Sama nie wiedziała czego.

– Oj, przecież zdążymy…

– Ty chyba nie zrozumiałeś – westchnęła. Postanowiła, że nie wybuchnie. I zamiast wycelować w Kosińskiego palec, rozłożyła ręce.

– Jaką naradę? Przecież Śledziński wstawił to zdjęcie do internetu, żeby sprowokować Kulawego, a jak pamiętasz, zabił nam już trzech ludzi, może nawet czterech, jeśli potwierdzi się sprawa z ojcem Szymona.

– No tak, to przecież rozumiem.

– Ale on chce, żeby Kulawy przyjechał do niego do tej Ryni na… – szukała chwilę właściwego słowa – na konfrontację. Zastawił pułapkę i go po prostu sprzątnie. Rozumiesz? Samosąd chce sobie urządzić.

Kosiński pokiwał głową, że rozumie.

– To jedziemy – powiedział.

– No nie! Nie jedziemy, bo słyszę, że mamy, kurwa, naradę. Więc ja jadę, a ty zostajesz.

– Co ty mówisz?!

– Nie mam czasu iść teraz do Grubego i mu się tłumaczyć. Muszę tam pojechać przecież jak najszybciej. Muszę temu Śledzińskiemu powiedzieć, żeby się nie wygłupiał.

– A jeśli ten… jeśli ten morderca też tam jedzie? Co ty chcesz zrobić?

– Oj, on musiałby najpierw znaleźć zdjęcie, potem zrozumieć, że to jest zaproszenie. To starszy człowiek, nie ogląda Pudla przecież.

– Nie powinniśmy go lekceważyć. Jeśli chce wiedzieć, co u Śledzińskiego, od razu wie!

– A zrobił coś naszym, jak był u Zieglera?

– Nie – przyznał Kosiński.

– A co zrobił?

– Uciekł.

– No właśnie. Uciekł. Nie strzelił do nikogo z naszych. A miał was na widelcu. Coś pomyliłam?

– Lipińskiego otruł. – Kosiński kapitulował, czuł, że jej nie przekona.

– Nie otruł, tylko uśpił na trochę. On nie jest naszym wrogiem – oceniła Olga. – Jakby co, to nic mi nie będzie.

Ruszyła w stronę wyjścia, ale jeszcze się obejrzała.

– Tylko mi, kurwa, nie dzwoń do nikogo. – Popatrzyła mu głęboko w oczy. – Nie chcę tam żadnej kawalerii. Rozumiesz?

Kiwnął, że rozumie.

– Powiedz to.

– Rozumiem.

– No. Muszę Śledzińskiemu wybić z głowy partyzantkę.

– Posłucha cię?

– Jeśli nie, to mu zrobimy taki kipisz w życiorysie, że będzie spieprzał do Rosji, do kolegów. Wojna jest, na pewno go przyjmą z otwartymi ramionami. Następne zdjęcie sobie zrobi ze Stevenem Seagalem.

– No, ale nie wiem, czy to rozsądne, masz przecież… – Nie zdążył powiedzieć „dziecko”.

– Tylko mi nie wyjeżdżaj z takim tekstem. – Pogroziła mu palcem. – Za dwie, nie, za trzy godziny, bo, kurwa, jeszcze mogą być jakieś korki czy coś, za trzy godziny do ciebie zadzwonię.

– A jeśli nie zadzwonisz?

– Wtedy możesz przyjechać.

– Nawet z kawalerią?

Westchnęła.

– Nawet z kawalerią.

Zbiegała schodami najpierw w stresie, żeby przypadkiem nie natknąć się na Leśmiana, Bałucką, Okraskę, w ogóle na kogokolwiek, a potem, kiedy już usiadła za kierownicą, pomyślała, że może źle robi, że trzeba zadzwonić do Bielskiego, trzeba mu powiedzieć, ale przecież nie może tego zrobić, nie może być ślamazarą, którą trzeba wyciągać z kabały za każdym razem, ratować jej życie, przybywać na białym koniu. O nie, kurwa, dość. Nie może być tak, żeby faceci załatwiali za nią wszystkie sprawy. Nie może być tak, żeby rozgryzała wszystko sama, no… z pomocą Kosińskiego, ale żeby na końcu leżała związana i czekała na odsiecz, na rycerzy na białych koniach.

Docisnęła gaz. Lubiła szybką jazdę, uważała, że auto łatwiej się wówczas prowadzi. Teraz, po zmianach przepisów, wszyscy jeździli jak ciamajdy. Rozumiała, że tak trzeba, że lepiej, kiedy masz na liczniku czterdzieści, gdy jakaś niedojda zapatrzona w telefon wchodzi ci nagle przed maskę, ale kiedy grała jej w uszach adrenalina, lubiła jechać szybko. Zdawało jej się wówczas, że potrafi się skoncentrować. Przemyśleć wszystko. Wyprostować choć kilka zwojów tego sznura, który zaciskał jej się w głowie w monstrualny gordyjski węzeł.

Szymon i Bielski. Nowa twarz w mieszkaniu, nie że w gości, ale na stałe. Jak na to zareaguje Kasia? Jak to zmieni im wszystkim życie? Po co, do jasnej cholery, sama jedzie się skonfrontować ze Śledzińskim? Czy to sprawa ambicji, czy frustracji, że wszystko, co ma w tej sprawie, to jedynie przeczucia? Może powinna zawrócić? Nie, to najgłupsze rozwiązanie. Powinna zadzwonić do Bielskiego. On wiedziałby, co robić. Ale nie może do niego zadzwonić po tym, co zaszło między nimi. Nie wolno łączyć osobistych spraw ze służbą. Bielski nie myślałby racjonalnie. Zrobiłby wszystko, żeby ją zatrzymać, a ona przecież nie może zawrócić. Nie po to jesteś w policji, żeby się wahać. Trzeba słuchać intuicji. A intuicja mówi jej, że trzeba jechać. Bielski pewnie z tej intuicji by sobie robił żarty, ale ona wiedziała, że przeczucia nie zawodzą. Są drogą do tego, żeby zdobyć dowody. Tylko jakie dowody chciała teraz znaleźć? Tego nie była pewna.

Czuła, że Śledziński zaplanował samosąd. Że nie da się podejść tak łatwo jak Ziegler, ale to przecież był staruszek, czy jak Pawłowski i Ritter. Pawłowski nie miał szans, bo to było zaskoczenie. Ritter musiał popełnić jakiś błąd. Śledziński, skoro rzucił rękawicę, musiał się dobrze przygotować. Sprzątną jej sprawcę i nikt się nigdy nie dowie, o co chodziło w tym całym bałaganie. Do tego nie chciała dopuścić. Chciała powiedzieć Śledzińskiemu: „Hej, wiem, co kombinujesz, ale ci się nie uda".

Intuicja podpowiadała jej jeszcze słowa „tym razem", ale przecież nic nie wskazywało na to, żeby redaktor Śledziński miał cokolwiek nieuczciwego na sumieniu. Może poniosła ją wyobraźnia? Nie, nie może zawrócić. Nie może pozwolić tym dwóm na konfrontację. Musi wiedzieć, co się kryje za tym zdjęciem. Nie umie tego dowieść, ale wie przecież, wie na pewno, że to jest klucz do rozwiązania zagadki.

Pewnie już się zaczęła ta narada. Pewnie Leśmian patrzy na zegarek, a Bielski dziwi się, że nie przyszła.

Przypomniało jej się, jak odczytał z zapalniczki nazwisko Abu Daouda. I wtedy nagle sobie uświadomiła, że nie zapytała o to Śledzińskiego wprost. Wybrała jego numer, ale usłyszała tylko pulsujący sygnał, jakby telefon był wyłączony.

– Abu Daoud – powtarza sobie. – Abu Daoud, co może mieć z tym wspólnego jakaś sprawa sprzed czterdziestu lat?

Wciska klakson, bo choć ustawiła światło na dachu, ciężarówka wcale nie chce ustąpić jej miejsca na drodze.

A Kosiński wierci się na swoim krześle, nie ma pewności, czy jego wyjaśnienia, że Olga musiała nagle do domu, bo coś się stało z dzieckiem, były dość wiarygodne. Leśmian poczerwieniał, Bielski wbił Kosińskiemu wzrok w twarz z taką siłą, że policjant nie potrafił tego udźwignąć. Na szczęście prokurator Bałucka wzięła na siebie ciężar prowadzenia narady i Kosiński wreszcie rozwikłał przynajmniej jedną zagadkę. Panie muszą się jednak lubić, skoro Bałucka zagaduje wszystkich tak, żeby nikt nie miał czasu pytać o Olgę.

– Więc, jak rozumiem, uważacie, że sprawa ma raczej związek z tym terrorystą Abu Daoudem, a nie z Pegasusem? – zwróciła się Bałucka do Okraski.

– Tego nie powiedziałem, pani prokurator, ale podtrzymuję z całą mocą nasze stanowisko, że w sprawie Pegasusa ministerstwo nie ma sobie nic do zarzucenia. Nie przekroczyliśmy prawa, nie złamaliśmy zasad, nie śledziliśmy działań opozycji ani też osób, co do których można stwierdzić, że są poza jakimkolwiek podejrzeniem.

– To znaczy, że jeśli kogoś podejrzewaliście, to użyliście Pegasusa?

– To znaczy, że jeśli powzięliśmy wiedzę o pozaprawnych działaniach jakiejś osoby lub grupy osób, mogliśmy wystąpić do uprawnionych organów o uzyskanie stosownej zgody na ewentualne zastosowanie przewidzianych prawem środków i, jeśli zachodziła taka konieczność, adekwatnych narzędzi. – Okrasko najwyraźniej był przygotowany. Lepiej wyglądał. Zniknęły gdzieś te jego wory pod oczami. Nie jąkał się. Nie uciekał wzrokiem.

Bielski pomyślał, że gdyby był ptakiem, można byłoby powiedzieć, że wyrosły mu nowe pióra. Rozważał, czy warto spuścić z niego trochę tego samozadowolenia, czy jednak nie pytać go o pozasłużbowe kontakty ze Śledzińskim. Nie, nie mógł tego zrobić. Nie mógł narazić Olgi na podejrzenie, że nie potrafiła trzymać języka za zębami. Gdyby tak postąpił, trzeba byłoby iść dalej, zawiadomienie o przestępstwie, postępowanie, proces. No ale czy nie tak właśnie powinien postąpić.

– Czyli użyliście jednak Pegasusa, jak twierdzi… – dopytywała Bałucka.

– Oj, pani prokurator, bądźmy poważni. Chyba jest pani świadoma tego, że podejrzewani o sprzeniewierzenie majątku o ogromnej wartości przestępcy użyją wszelkich środków, by odsunąć od siebie podejrzenia – przerwał jej Okrasko. – Skoro ktoś bez skrupułów okrada własny kraj, to nie będzie miał też problemu z tym, żeby oskarżać ministerstwo o jakieś niegodne działania.

– Już? – zapytała Bałucka. – Skończył pan?

– Skończyłem.

– Na przyszłość proszę sobie przyswoić tę prostą zasadę, by pozwolić drugiemu, żeby skończył, a nie wchodzić mu w słowo ze swoimi oświadczeniami.

Popatrzyła na podsekretarza takim wzrokiem, że aż poczerwieniał.

– Przepraszam. – Okrasko skinął głową.

– Proszę sobie schować to „przepraszam" – syknęła. – Może się panu przydać przed komisją śledczą.

Okrasko chciał otworzyć usta, ale zdzierżył. Przełknął.

– Wróćmy do tego Daouda. Przecież on umarł. To była śmierć z przyczyn naturalnych. Długa choroba, dobra opieka, prywatna klinika. Co on może mieć do rzeczy w naszej sprawie?

– Na mnie niech pani nie patrzy – odciął się od tego Leśmian. – Ja najpierw wysłucham wszystkich, a potem zajmę stanowisko, proszę być spokojną.

Popuścił dyskretnie pasek. Od kilku tygodni nie ćwiczył i to nie służyło jego posturze. Miał nadzieję, że nikt tego nie zauważył, ale niepotrzebnie podniósł wzrok na Bielskiego. Bielski zamrugał szybko. Widział, czy nie widział?

– Powiem tylko, że sprawa śmierdzi – westchnął Bielski.

– Co pan ma na myśli?

– Zapewnienia naszych partnerów z Izraela, że Abu Daoud zmarł śmiercią naturalną, są bardzo… powiedziałbym, że są w arabskim stylu. A przecież Izraelczycy nie szafują słowami. Na ogół są bardzo oszczędni.

– Nie rozumiem, mówi pan o faktach czy o odczuciach? – Bałucka nie odpuszczała, a Kosiński utwierdzał się w przekonaniu, że prokuratorka gra na czas.

Ciekawe, czy Olga do niej zadzwoniła, pomyślał i posmutniał. To by znaczyło, że Serbia traci do niego zaufanie. A przecież nie dał jej żadnego powodu. Męczyło go, że musi teraz kłamać. Martwił się, czy z nią wszystko w porządku. Nie pochwalał jej decyzji, bo nie rozumiał powodów. Powinna była go ze sobą zabrać.

– Mówię o tym, że standardowo, jeśli wysyłamy jakieś zapytania o sprawy sprzed lat, potrzebują dziesięciu dni na odpowiedź. Czasami dwóch tygodni. A teraz wystarczyło dwanaście godzin, żeby zapewnili, że nie maczali palców w śmierci Abu Daouda.

– Hm! – prychnęła Bałucka. – Ale on przecież zmarł w Bejrucie, zapomniany i schorowany. Co to może mieć wspólnego z Polską?

– Chodzi o ten nieudany zamach na niego – wyjaśnił Bielski. – To może być jakiś ślad.

– Ale to było czterdzieści lat temu! Co kogo może obchodzić sprawa sprzed czterdziestu lat?

To samo myślał teraz wiceprezydent Malinowski. Wprawdzie na pogrzebie Felińskiego namawiał Śledzińskiego, żeby wzięli sprawy w swoje ręce, ale teraz trochę się przestraszył. Nie podobało mu się to wszystko, wracanie do starych spraw, kurwa, mącenie wody. Śledziu przesadzał. Wiceprezydent był tego najzupełniej pewien. Ziegler i chłopaki wplątali się w jakąś polityczną sprawę z pisowcami i tyle. To nie ma z nim nic wspólnego. On od pierwszych wolnych wyborów był demokratą. Zapracował na swoją pozycję. Kiedy Kwaśniewski zadzwonił z pytaniem, czy chce startować na posła, powiedział, że nie, że skoro tamta Polska okazała się zła, skoro krzywdziła ludzi, strzelała do górników z Wujka, to teraz trzeba zacząć od nowa. I że on nie będzie odcinał kuponów od starych znajomości. Wyjechał z Warszawy na prowincję i poszedł pracować do szkoły. Uczył historii. Uczciwie. O Katyniu mówił. O obławie augustowskiej. Ludzie nad jeziorami pamiętali. Lubili go. Że mówił o tym, zanim ktokolwiek napisał w „Gazecie". Po trzech latach był dyrektorem szkoły. Uczciwym. Za złe – dawał ludziom opierdol za zamkniętymi drzwiami. Za drobne nawet, ale dobre sprawy chwalił przed całym pokojem nauczycielskim. Nigdy nie przypisał sobie pomysłu, na który wpadł któryś z jego podwładnych. No i ludzie zaproponowali mu start w wyborach z obywatelskiego, bezpartyjnego komitetu „Wspólna Sprawa". Nazwa głupia. Co najmniej jak dla spółdzielni pracy chronionej, ale wygrali, bo ludzie mieli dość wojny na górze, Kaczyńskich, którzy kłócili się z Wałęsą i palili jego kukłę pod Belwederem, i Korwin-Mikkego, który kolportował po sejmie listy

agentów. Zaproponowali mu prezydenturę miasta, ale odmówił, że nie chce rzucać szkoły. Został wtedy przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Rady Miasta. A za jakiś czas wszedł do zarządu. No i był zastępcą prezydenta od dwudziestu lat. Wszyscy go szanowali. A teraz, kurwa, musiał siedzieć na twardej ławce zamontowanej na drzewie pod maskującą siatką i gapić się na świat przez lunetę snajperskiego karabinu zamocowanego w rozwidleniu pnia.

Karabin i strzelec wpięci byli do asekurującej uprzęży. To krępowało mu ruchy, a kolba paliła dłonie żywym ogniem.

– Jak będzie jechał, strzelaj – powiedział mu Kijewski. – Chyba jeszcze potrafisz?

– Kurwa, nie strzelałem czterdzieści lat. – Malinowski nie chciał, nie podobał mu się ten plan.

– Ale pamiętasz?

– Pamiętam.

– No… zawsze byłeś prymusem, jak chodzi o sprawy zabezpieczenia sobie dupy. – Kijewski poklepał go po policzku. – Ja wolę na krótki dystans.

To prawda. Malinowski słabo wypadał na macie. Obrywał od nich wszystkich. Ale kiedy przyszła kolej na strzelanie do tarczy, był najlepszy. Nigdy nie strzelał do człowieka. Nigdy nie musiał. Nie lubił krwi. Ale dawał radę w tych operacjach osłonowych. Lubił czuć się prawdziwym mężczyzną. Bondem. To pomagało mu w kontaktach z dziewczynami. Nawet nie wiedział, kiedy dał się wciągnąć. Kobiety, pieniądze, szerokie spodnie, zagraniczny samochód. Nie… to wszystko gówno warte. Tak naprawdę uważał, że jest po dobrej stronie mocy. Przeciwko Anglikom, którzy uciskali pół świata. Przeciwko Ameryce, która zabiła wszystkich swoich Indian. Przeciwko Żydom, którzy zbudowali Palestyńczykom getto. Przeciwko Niemcom Zachodnim, którzy panoszyli się jak świnie w korycie, a Polska była biedna, bo ją spalili do cna.

Nagle usłyszał warkot silnika i zesztywniał.

– Kurwa! On tu naprawdę jedzie! – Spocił się w ułamku sekundy.

Bolał go tyłek. Bolały całe plecy. Ale nie mógł się wycofać. Nie mógł zejść i uciec. Przeciągnął się i przyłożył oko do lunety. Sto metrów dalej widział drogę. Na wprost. Szutry i piach. Stara wydma w środku lasu. Samochód ugrzęźnie, musi jechać powoli. Będzie miał go jak na dłoni. Nie spaprze tego.

W tym czasie Olga wzdrygnęła się, bo nagle zadzwonił jej telefon.

– Kurwa mać! Nie teraz, kiedy ja tu walczę! – Trzymała kierownicę z całych sił, bo piach pod kołami był rzadki jak mąka. Nie mogła się teraz zakopać.

Telefon nie dawał za wygraną.

Koła złapały twardszy grunt, jakieś korzenie czy coś.

Spojrzała na wyświetlacz.

Nastia.

Dotknęła zielonej słuchawki.

– Co tam, dziewczyno?

– No właśnie dojechałyśmy, pani Olgo. Zaraz wchodzimy na górę.

Malinowski widział wyraźnie zarys kierowcy za szybą czerwonego samochodu. Słońce blikowało, ale auto jechało powoli. Trafi. Ptaka w locie trafiłby z tej odległości. Nawet kolibra.

Brzuch mu trochę przeszkadzał i ból kręgosłupa, tkwił na tym drzewie już ze dwie godziny, niczym strach na wróble, przypięty do pnia taśmą. Poprawił karabin. Spojrzał przez lunetę jeszcze raz i poruszył głową, żeby rozgrzać kark.

– Widzę samochód – powiedział do mikrofonu.

Rozdział 30

– Widzę samochód – powtórzył, starając się, żeby Śledziński nie usłyszał, że głos mu drży z emocji.

– Słyszę cię. Jaki to samochód?

– Czerwony. – Malinowski położył palec na spuście.

– Ja pierdolę, nie o to cię pyta – włączył się Kijewski.

– Spokój w eterze – zarządził Śledziński. Wiedział, że zespół jest na tyle silny, na ile silne jest najsłabsze ogniwo. Denerwowanie Malinowskiego nie przyniesie skutku. Trzeba go zmotywować. Nie pozwolić, żeby się całkiem obsrał.

– No nie wiem… Teraz wszystkie wydają mi się takie podobne.

– SUV?

– Nie, osobówka, kia, może toyota, stara, czerwona.

– OK. Ukradł pewnie pierwszy z brzegu, szyba nie będzie pancerna. Widzisz cel?

– Widzę. Ale ja nie strzelałem do człowieka. Nikogo nie zabiłem.

Samochód wolno toczył się po piachu. Jakby kierowca nie miał wprawy w takiej jeździe. Jakby się bał zakopać.

– Gadaliśmy o tym przecież. – Kijewski znów nie wytrzymał i się włączył. – Musimy wybrać mniejsze zło. Rozumiesz?

Malinowski pokiwał głową. Cierpły mu plecy i kark. To była bardzo niewygodna pozycja. Lubił strzelać z pozycji leżącej z karabinu ułożonego na podpórce. I do tarczy. Westchnął.

– Rozumiesz? – powtórzył Kijewski.

– Tak, kurwa, rozumiem.

– Dobrze.

– A jeśli to nie on?

– A co, zamówiłeś pizzę? – Głos Śledzińskiego był spokojny. – Masz go na czysto?

– Zasłaniają mi liście, ale za chwilę wyjedzie na wprost.

– No to wtedy ślij chuja do piekła – syknął Kijewski. – Za naszych chłopaków.

– Za naszych chłopaków – powtórzył Malinowski.

W tym czasie Imi pomyślał, że powinien wyłączyć silnik. Znał po rosyjsku tylko jedno zdanie, ale teraz pasowało ono jak ulał. *Tisze budiesz*, dalsze idiosz, czy jakoś tak. Im ciszej idziesz, tym dalej dojdziesz. Przekręcił klucz i silnik zgasł.

Usłyszał ptaki. Lubił ptaki. W Ramallah ich nie było. Ptaki nie lubią miejsc, w których czują gniew i ból. Ptaki wolą Jerozolimę. W ogrodach Meira Shermana, przez które szło się do Chakry, mieszkały dudki. Wydawały mu się ptakami z bajki, z tymi piórami w paski jak zebry i czubkami na głowie. Wcale się nie bały. Chakra… ulubiona restauracja Sary. Lubiła, kiedy wpadali tam na pikantnego tuńczyka. Gdyby nie Spielberg, gdyby nie ten pieprzony film, gdyby nie występy Abu Daouda w telewizji, może byliby razem do dziś? Może mieliby mieszkanie w Akce przy ulicy Janusza Korczaka. Ojciec mówił, że to byłoby dla niego najlepsze miejsce, gdyby nie mieszkał w Safed. Akka to dobre miejsce. Miasto dla szczęśliwych ludzi.

Westchnął.

Do willi Śledzińskiego miał jeszcze ze czterysta metrów i to nie była pora na to, żeby myśleć o kobiecie, która ma teraz inny dom, z innym mężczyzną. Czasami Imi jechał pod ten ich dom na obrzeżach Jerozolimy, żeby zobaczyć Sarę, jak wychodzi z psem. Przyłożył palce do skroni i ucisnął, żeby pobudzić krążenie krwi w mózgu i odegnać myśli, które teraz mogły go tylko rozproszyć.

Skup się, Imi, pomyślał, jesteś tu, żeby walczyć. To wielki dzień. To dzień, kiedy to wszystko się skończy.

W gabinecie Leśmiana zapadła cisza, bo właściwie nikt nie miał już nic do powiedzenia.

– No to co? – Leśmian wstał zza biurka. – Nie posunęliśmy sprawy ani o krok do przodu. Myślicie, że morderca zwiał? Pojechał na lotnisko, wsiadł do samolotu i jest już gdzieś, nie wiem, za oceanem?

– Trzeba się z tym liczyć. To profesjonalista, działał na zlecenie. Tacy nie przychodzą na pogrzeby ofiar ani nie opowiadają o swojej pracy na TikToku – odparł Bielski.

– Na czym? – zapytał Leśmian.

– Na takiej platformie internetowej z filmikami, na których młode dziewczyny wyginają swoje ciała na tle luksusowych jachtów należących do rosyjskich oligarchów – przyszedł mu z pomocą Kosiński.

– Nie można wykluczyć, że wyjechał – powiedział Bielski. – Ale nie stawiałbym na tym krzyżyka.

– Dlaczego? – zapytała Bałucka. – Uważa pan, że to jednak ministerstwo za tym stoi? Że zechcą jeszcze trochę wyczyścić sprawę?

– No wie pani – oburzył się Okrasko.

– Oj, żartowałam przecież. Niech się pan tak nie naburmusza, panie ministrze.

Posłała mu uśmiech.

Bielski odczekał, aż skończą.

– Uważam, że trzeba przyjrzeć się bliżej tej fotografii, którą Serbia, podkomisarz Suszczyńska, znalazła w domu świętej pamięci pułkownika Felińskiego.

– To on był pułkownikiem? – zainteresował się Leśmian.

– Był generałem – powiedział Bielski. – Ale się nie chwalił. Wolał, żeby podwładni mówili do niego „pułkowniku". A w czasie, kiedy robili to zdjęcie, był już kapitanem. Miał dwadzieścia sześć lat.

– Jak to, kurwa, zrobił?

– No właśnie. – Bielski pokiwał głową. – Jak on to zrobił? Musiał się zasłużyć ludowej ojczyźnie.

– Więc uważa pan…

– Podpułkowniku. – Mrugnął do niego Bielski.

– Więc Serbia mogła mieć rację, że to ma związek z tym terrorystą?

Bielski znowu pokiwał głową.

– No i co?

– Trzeba wysłać wezwania na przesłuchanie redaktorowi Śledzińskiemu, panu Kijewskiemu, tajemniczemu kierowcy profesora Zieglera, i temu, jak mu tam, zastępcy prezydenta miasta.

– Kurwa, a Olga musi akurat teraz się brać za opiekę nad dzieckiem! – Leśmian poczerwieniał.

– Takie życie. – Bałucka podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. – Ja się będę żegnać. Wiecie, co robić. Kontynuujemy postępowanie, zadzwonię zaraz do pani podkomisarz, przekażę jej, co i jak.

Kosiński poczuł, że po plecach płynie mu strużka potu. Powiedzieć im, czy milczeć? Spojrzał na wyświetlacz komórki. Minęła dopiero godzina. Wstał i spróbował się wymknąć niezauważony, ale Bielski był szybszy.

– Powiesz mi, co z Olgą, czy będziesz kręcił?

Kosiński westchnął.

Nastia szła po schodach, taszcząc dwie plastikowe torby z Ikei w jednej ręce, a w drugiej telefon. Zdyszana. Zmęczona. Głodna. Szczęśliwa.

– No i pani Olgo, ja naprawdę, naprawdę szczęśliwa. Że mama żyje. No i że Tatiana zdrowa, że dojechałyśmy. Tylko Wadim, wie pani, Olgo, z nim kontaktu nie ma od czterech dni. On w Azowstalu. – Nastii zbierało się na łzy. Zamilkła.

– Halo! – Olga nie zrozumiała, co się stało. – Halo, Nastia? Jesteś?

W tym momencie kia najechała na jakiś korzeń i samochodem szarpnęło w lewo. Olga odruchowo upuściła telefon, żeby chwycić kierownicę obiema rękami. Nie usłyszała, jak Nastia mówi: „Jestem". Spojrzała pod nogi, czy widać telefon.

Imi oderwał dłonie od twarzy. Siedział w ciszy i oddychał. Modlił się w duchu. Jak zawsze przed walką. Bezgłośnie poruszał ustami niczym dziecko, które dopiero co nauczyło się czytać i nie jest pewne, czy dobrze składa litery. Czyż przed Bogiem nie jesteśmy właśnie jak dzieci? Ojcze miłosierdzia, który mieszkasz na wysokościach, w swojej mocy współczucia, wspomnij na tego, który nie może sprawić, byś stał się dla niego widoczny, ale chciałby stać się widoczny dla Ciebie. Wejrzyj na jego zadanie i jeśli zechcesz, wspomóż. A jeśli inna jest twoja wola, pozwól mu znaleźć odpoczynek w ogrodzie Eden…

Malinowski wreszcie się doczekał. Wiatr ustał i liście nie zasłaniały mu stojącego samochodu. Wypuścił powietrze i strzelił.

W tej samej chwili Olga pochyliła się po leżący telefon.

Przednia szyba trzasnęła.

– Co jest, kurwa!? – Policjantka podniosła wzrok i zobaczyła pajęczynę spękań i w środku mały, okrągły otwór. Widziała już takie. Pochyliła się, wcisnęła sprzęgło i spróbowała wrzucić wsteczny.

Malinowski wiedział, że coś poszło nie tak, bo cień kierowcy powinien leżeć, a tymczasem widział, jak obiekt wykonuje nerwowe ruchy.

– Trafiłeś? – usłyszał w słuchawce.

– Nie potwierdzam – powiedział zimno. Sam się zdziwił, jak łatwo to wróciło. Przymierzył jeszcze raz.

Strzał spłoszył modlitwę Imiego. To tylko odległe klaśnięcie i inny człowiek na jego miejscu może nie zwróciłby na nie uwagi, ale on potrafił rozpoznać taki dźwięk nawet w najgłębszym śnie. Sięgnął po wiosło i zanurzył je w toni Narwi. Do brzegu miał już tylko kilka metrów. Podziękował w duchu Stwórcy za myśl,

żeby wypożyczyć łódź, zamiast jechać samochodem. Dziwna myśl. Piątek. Zbliżał się szabas. A w szabas Żydzi nie podróżują przecież inaczej niż po wodzie.

Olga doskonale wiedziała, że to był strzał. Że nie może się wyprostować. Wsteczny wreszcie wszedł. Nacisnęła gaz, ale koła zabuksowały w piachu.

Kurwa mać, pomyślała, nie mogę dać się zabić. Mam dziecko. Kasia nie może być sierotą. Nie mogę zawieść drugiej córki. Boże, nie rób mi tego. Nie rób mi tego znowu. Zacisnęła zęby na wardze i poczuła smak krwi. Koła złapały twarde podłoże i kia szarpnęła w tył, ale poszła bokiem, bo prawe koło trzymało na korzeniach, a lewe uśliznęło się na piachu.

Spierdoli, pomyślał Malinowski. Pot płynął mu po czole i oczy zapiekły od soli. A może od tego, że przestał mrugać. Skupiony na celu. Zdeterminowany. Jakby znowu miał dwadzieścia kilka lat i był mistrzem strzelania na pięćset metrów. Teraz było najwyżej sto pięćdziesiąt, ale był obolały i odrętwiały. Wściekły. Adrenalina. Tak rzadko ją smakował w ciągu ostatnich lat. Bo przecież nie w czasie tych posiedzeń rady miasta, kiedy opozycja próbowała ich szarpać przed głosowaniem absolutorium. Albo kiedy jechał na nartach. Albo kiedy żona zaczynała się wściekać, dąsać. Tamto to też była adrenalina, ale zupełnie inaczej jest, kiedy możesz poczuć krew. Nigdy nikogo nie zabił. Ale był czas, że chciał. Chciał być jak inni. Jak chłopaki, z którymi pracował. Adrenalina zrobiła swoje. Skoncentrował się na zadaniu.

Wypuścił powietrze z płuc.

Zobaczył, że samochód sunie teraz bokiem, na moment błysnęło odbicie słońca w bocznej szybie.

Przymknął oczy na ułamek sekundy i już wiedział. Miał pewność.

Strzelił w koło i zobaczył, że opona wybucha.

Przeładował jeszcze raz. Ostatni nabój będzie w czaszkę.

W tej samej sekundzie Imi dotarł do brzegu na tyle, na ile zdołał. To nie była przystań, ale podmyte przez wodę, wiszące nad lustrem rzeki, najeżone korzeniami piaszczyste, leśne wybrzeże. Wziął w dłoń pomarańczową linkę i nie zdejmując butów, wskoczył do wody. Po kolana. Pieprzony mulisty brzeg, gnijące liście, syf; woda natychmiast z przejrzystej zrobiła się czarna. Szkoda mu było butów. Nie zwracał uwagi na garnitury, na koszule, ale do butów, jak każdy żołnierz, miał słabość.

Z trudem wyciągnął stopy z mułu i zrobił te sześć kroków do brzegu. Czuł się stary. Zmęczony. Powinien mieć psa, mały domek gdzieś nad morzem i osiemdziesiąt kanałów telewizyjnych. Może małą stolarnię. Może powinien mieć kobietę i wnuki. Wszystko mogło potoczyć się inaczej, gdyby nie Daoud. Wygramolił się na brzeg. Przywiązał łódź do pnia brzozy; jakie to piękne drzewo, biel i czerń, żadnego udawania. A potem pobiegł w stronę, skąd padły strzały.

Nie miał wątpliwości, że strzały były przeznaczone dla niego. Nie byliby takimi głupcami, żeby teraz po prostu trenować. Ktoś wziął na siebie kulę, którą Śledziński z kolegami chcieli zakończyć tę sprawę.

– Trafiłeś? – Malinowski usłyszał w słuchawce głos Kijewskiego.

– Nie potwierdzam. Strzał niepewny, ale samochód już nie pojedzie.

– Kurwa jego mać! – zaklął Kijewski. – Nie daj mu uciec, biegnę.

– *Roger* – zameldował Malinowski.

– Tylko mnie nie zastrzel. – Kijewski już dyszał.

Malinowski wypuścił powoli powietrze. Miał jeszcze jeden pocisk w komorze i wiedział, że nie chybi.

Rozdział 31

– Nie chybi. Kurwa mać, on nie chybi. – Olga cisnęła gaz, ale kia nie chciała jechać do tyłu, zaczęła się obracać w miejscu. Kobieta poczuła, że oblewa ją zimny pot. Poczuła w ustach sól.

Łzy.

Nie zobaczy już Kasi. Nie powie Szymonowi, on przecież nawet nie wie, co Kasia lubi jeść. Nie wie, co jej opowiadać przed spaniem. Spokój! Olga, spokój.

Czekała na kolejny strzał. Ale nic się nie działo. Leżała bokiem tak, żeby nie wystawić poza kadłub samochodu ani czubka głowy. Nie strzelał. Czekał. Czekał, żeby ją trafić na czysto. Z której strony padł strzał? Nie miała pojęcia, wszystko jej się pomieszało, kiedy samochód odmówił posłuszeństwa.

– Kurwa! – Była pewna, że nie może tu zostać. Nie ma co liczyć na odsiecz. Kosiński nie puści pary z gęby, kawaleria nie przybędzie, snajper ma ją na widelcu, a Śledziński idzie już pewnie z tą swoją pukawką i rozwali ją jak na strzelnicy.

Sięgnęła do schowka i wyjęła swoją broń.

Sprawdziła magazynek. Dziesięć kul.

Skup się, dziewczyno, pomyślała i otworzyła drzwi po stronie kierowcy.

Kijewski biegł przez krzaki, miał niedaleko, może jeszcze ze sto metrów? Myślał, że mógł przewidzieć, że Malinowski spudłuje, to przecież mięczak, kretyn, zawsze były przez niego kłopoty. No ale prawdą jest, że na strzelnicy był najlepszy. Jebane sokole oko. To się popisał. Na szczęście miał na tyle oleju w głowie, że przygwoździł tamtemu samochód. Przynajmniej tyle, żeby teraz nie zmarnował ostatniego pocisku.

Imi starał się iść bezgłośnie. Ścieżka była pusta, a poprzez gałęzie drzew widział cień domu. Ale strzały padły gdzie indziej, gdzieś bardziej po prawej stronie. Na pewno się nie mylił. Kto dorastał pośród świstu kul, wie, skąd padły strzały. Co dalej? Zaszyć się gdzieś w domu czy sprawdzić, do kogo strzelali?

Rozsądek mówił, że skoro strzelali w lesie, to w domu nikogo nie ma, a to doskonała okazja, żeby się ukryć i wyjąć Śledzińskiego i pozostałych z zaskoczenia. Ale niepokoiły go strzały, bo czuł, że były przeznaczone dla niego. Ktoś wpadł w tę pułapkę. Ktoś bez winy. A to nie jest sprawiedliwe.

Olga wytoczyła się z samochodu i spadła miękko na piach. Zamarła. Nic. Cisza. Strzał nie padł, a więc przynajmniej stronę, na którą ma wyskoczyć, wybrała dobrze.

Pochyliła się, żeby spojrzeć pod samochodem, co widać po drugiej stronie, ale zobaczyła tylko krzaki.

Kurwa, pomyślała, gdybym miała czapkę, wysunęłabym ją ponad maskę auta i wiedziałabym przynajmniej, skąd strzelają.

Przymknęła oczy na chwilę. Potem zdjęła but i wysunęła go ponad maskę samochodu.

Malinowski czekał. Nie miał już żadnych wątpliwości, wyrzutów sumienia, nie rozklejał się i nie rozpaczał. Wszystko wróciło. Znowu był sobą sprzed lat, chłopakiem, który zachłysnął się przygodą. Światem. Władzą. Nie, nie taką jak w fabryce, czy nawet nie taką, jak teraz w urzędzie, kiedy mówisz ludziom, co mają robić, i oni to robią.

Chodziło o wtajemniczenie. O uczestnictwo w tajnym sprzysiężeniu. O władzę nad życiem i śmiercią. Tak jak teraz. Nagle zobaczył ruch, przymierzył, strzelił i zobaczył, że trafił.

Gdy trafiasz, ponad celem widać mgiełkę krwi.

Kiedy padł strzał, Kijewski był jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów od samochodu. Zmitrężył, bo utknął na kilka chwil w pieprzonych krzewach jakiejś dzikiej róży czy malin. Nienawidził roślin, a te były kolczaste, pozaciągały mu spodnie, pocięły przedramiona, jakby były żywą istotą. Wyrwał się i ruszył do przodu.

Kiedy usłyszała strzał, Olga poczuła przeraźliwy ból. Aż odebrało jej oddech. Przez chwilę nie wiedziała, czy to śmierć, czy strach. Potem zobaczyła krew. Snajper musiał trafić ją w dłoń.

Ale przynajmniej wiedziała, że jest po dobrej stronie samochodu. Że jest ukryta. Adrenalina napłynęła do krwiobiegu i ból zelżał.

Odwróciła się i usiadła, opierając się plecami o kię. Wyjęła rękę z przestrzelonego buta. Buchnęła krew, a potem zobaczyła, że wskazujący i serdeczny już się nie dadzą naprawić. Szlag. Ale to lewa ręka. W prawej ma broń i dziesięć pocisków. No i co z tego? Nie wie, gdzie jest strzelec. Popatrzyła jeszcze raz na rozwaloną rękę i poczuła, że robi jej się słabo.

Kurwa, dziewczyno, nie teraz. Postanowiła, że się pozbiera, weźmie w garść i wycofa. Nie mogła liczyć na odsiecz. Nie mogła liczyć na litość. Jeśli do niej strzelał, to znaczyło, że Śledziński postawił wszystko na jedną kartę. Zacisnęła zęby i powoli, tyłem, zaczęła pełznąć w stronę pobliskich krzewów. Las jest jej przyjacielem. Kiedy tam dotrze, wszystko będzie dobrze. Wzrokiem lustrowała drzewa gdzieś daleko, po drugiej stronie samochodu. Strzał musiał paść właśnie stamtąd. Jeśli dostrzeże jakiś ruch, błysk światła, przetoczy się jak najszybciej. Człowiek nie jest tak szybki jak pocisk, ale zawsze to utrudni tamtemu

robotę. Tak o tym myślała. Na zimno. Robota. Cel. Zadanie. Jeszcze chwila i będzie w lesie. I właśnie wtedy nagle usłyszała jakiś szmer, obejrzała się i zobaczyła tuż przed twarzą lufę pistoletu.

Mężczyzna miał na twarzy kominiarkę.

– Kurwa! – powiedział. – To ta suka z policji! Gdzie ty masz oczy!?

Malinowski wiedział, że to do niego.

– Miałem pod światło – mruknął. – Sorry.

– Sorry! Kurwa, jakie sorry! Powinieneś był widzieć, że to baba. Czy my szukamy baby, do cholery?

– Spokój! – Kijewski i Malinowski usłyszeli w słuchawkach zimny głos Śledzińskiego. – To ciekawa myśl. Może to właśnie kobiety szukamy?

– Serio? Myślicie, że ona by kogoś zabiła? – Kijewski trącił Olgę nogą, wskazał na broń i pokręcił głową.

– No tak. To już nie te baby, co kiedyś – zauważył Śledziński filozoficznie, a Malinowskiemu zdawało się, że redaktor najzwyczajniej w świecie dobrze się bawi.

– Rozwalić ją? – zapytał Kijewski.

Olga poczuła wściekłość. Nienawiść. Spróbowała unieść glocka, ale tamten nastąpił jej na rękę. Spróbowała wyrwać, ale wbił jej dłoń w piach podeszwą na grubym protektorze. Przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i skręcił stopę. Syknęła. Nie chciała tego robić, ale dłoń otwarła się sama.

– Rozwalić? – powtórzył Kijewski.

– Myślę… – usłyszał w słuchawce.

No, ale jak to? Zabić policjantkę? – Malinowski nie powiedział tego głośno, ale nagle zrozumiał, że nie chce, aby ta kobieta zginęła. Nie na to się przecież umawiali. Umawiali się na to, że złapią w pułapkę zbója, że jak za dawnych czasów nie będą się pieprzyć z jakimiś sądami, adwokatami, z odwołaniami, apelacjami, ale zrobią to jak mężczyźni. Złapią go. Złapią mordercę ich przyjaciół. Może teraz ich wzajemne stosunki ograniczały się do spotkań raz do roku, w sierpniu, na wódce u Felińskiego, na wspomnieniach z dawnych lat, kiedy byli młodzi, świat był dobry i czytelny, i było wiadomo, kto stoi po której stronie.

To wszystko prawda, ale na pewno nie umawiali się na zabijanie policjantki.

Sięgnął do kieszeni kamizelki i wymacał kolejne trzy naboje. Zaklął. Wolałby mieć Wilka. Miałby w magazynku siedem kul, a nie trzy jak w tym południowoafrykańskim nieporęcznym szajsie. Denel był cholernie ciężki. Malinowski nie miał nawet szans, żeby zejść z drzewa o własnych siłach i uciec. Tkwił tu jak w pułapce i nie mógł zrobić nic, żeby powiedzieć tym dwóm idiotom, że to nie jest w porządku. Że nie mogą przecież zabić policjantki.

Wyjął z lewej kieszeni trzy kule i załadował magazynek denela.

– Czekam. – Kijewski zaczynał się niecierpliwić.

No jasna cholera, sam nie wiem, myślał gorączkowo Śledziński. Dobrze byłoby wiedzieć, po co ta suka przyjechała. Ale, jak mówią, ciekawość pierwszy stopień do piekła!

Jeśli nie pomylił się w rachubach, zabójca jego kolegów zjawi się w Ryni dzisiaj. Może już jest w drodze. Nie wykluczał, że to profesjonalista, który działał na zlecenie, żeby wyczyścić sprawę Pegasusa. W takim przypadku nikt się nie zjawi, bo zleceniobiorca jest już daleko od Polski. Z drugiej strony zbyt wiele wiedział o politycznej kuchni, żeby uwierzyć, że ktoś z rządu mógłby wynająć mordercę, żeby zacierał ślady po jakichś przypałach. Rozmyć, rozwodnić, wrzucić do zamrażarki, przeczekać, ponieść odpowiedzialność polityczną to tak, ale żeby zabijać? Polska to jednak nie Rosja. Czuł, że to jakaś osobista sprawa, choć nie umiał jeszcze powiedzieć jaka. Pieniądze albo zemsta. Jeśli zemsta, to najczęściej z powodu zdrady. Miłość to silna emocja, nigdy nie wiesz, co wpadnie do głowy komuś, kto zachorował z miłości… Ale oni nigdy nie babrali się w sprawy z babami.

Nie, to musi być coś innego.

Olga, świadoma, że tylko adrenalina chroni ją przed rozpaczą i że to nie będzie trwało długo, nie zamierzała czekać, aż ten zamaskowany typ ją rozwali. Kiedy tylko zszedł z jej ręki i kopnął glocka daleko w piach, zwinęła się nagle i spróbowała kopnąć go w krocze.

Kijewski był jednak czujny. Obrócił się w porę i jej stopa trafiła w udo. Natychmiast zrobił krok w jej stronę i zdzielił ręką, w której trzymał pistolet. Dostała w twarz. I choć walnął ją grzbietem dłoni, poczuła, jak pęka wewnętrzna strona policzka. Musiała przełknąć krew.

– No mów, kurwa! – Kijewski popędził Śledzińskiego. – To jakaś wredna sucz jest. Próbuje mnie kąsać.

Kopnął Olgę w brzuch.

Imi przyłożył lunetę do oka. Tego nie przewidział. Facet w kominiarce na twarzy kopał ranną kobietę. Samochód, z którego ją pewnie wywlókł, stał w poprzek piaszczystej drogi pod dziwnym kątem. Miał do nich jeszcze z osiemdziesiąt metrów. Od tamtej walki chodził bardzo sprawnie, ale biegał już gorzej. Bieganie wymaga zginania nogi, a tego lewa noga nie chciała się nauczyć. Jeśli uszkodzisz kolano, już nie pobiegniesz. Doktorzy obiecują, że dzięki postępowi medycyny da się to kiedyś naprawić, ale przecież wiedział, jak jest. Nikt nie będzie w niego inwestował. Weteran, nawet najbardziej zasłużony dla ojczyzny, to tylko weteran. Może dostać za darmo okulary i psychologa, ale nie protezę, która musiałaby kosztować

grube dziesiątki tysięcy dolarów. Odpędził tę myśl. Teraz należało rozważyć, co zrobić z dziewczyną. Nie było jej w planie. A on nie zabijał bez potrzeby. Wilki tak nie robią. Nie duszą owiec, których nie chcą zjeść. Może lis, kuna czy inne podstępne szczurze pomioty, ale nie wilk.

Westchnął. Jeśli miał jej pomóc, musiał iść. Prawa noga słuchała go jak własna. Bezszelestnie. Bez śladów. Lewa wciąż trafiała na suche gałązki.

– No mówże, bo tu ścierpłem już całkiem. – Kijewski naciskał Śledzińskiego, coraz bardziej zdenerwowany. Zachowanie policjantki było nie do zaakceptowania. Powinna ryczeć, błagać, wić się jak kobiety, które widział na różnych akcjach. W Afganistanie czy kiedy już zmienili strony, w Bośni. A ta chciała gryźć. Nie mógł znieść nienawiści w jej oczach.

Dla porządku zdzielił ją jeszcze raz.

Olga znowu poczuła piekielny ból. Upadła w piach. Zdało się jej, że zna ten głos. Nie umiała rozpoznać skąd, ale była pewna, że ta parszywa kominiarka kryje znaną jej twarz. Tylko co z tego? Wiedziała, że jeszcze przez jakiś czas pożyje, ale jak długo?

– Kurwa, będą z tego kłopoty – powiedział Śledziński. – Musimy zebrać samochód z drogi. Wszystko nam, kurwa, zepsuła. Rozjeb ją, wpakuj do bagażnika i zepchnij z widoku auto. Potem je utopimy. Świat nie będzie płakał.

– Się robi. – Kijewski zważył broń w dłoni. Nie ma co kryć. Lubi zabijanie.

Imi był już blisko. Tak blisko, że wyraźnie usłyszał ten płaski trzask. Znał ten dźwięk. Tak brzmi pocisk, który wchodzi w ciało. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Rozdział 32

– Stary, ale ja nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że ty mnie próbujesz robić w konia. Ja to nawet rozumiem… Ty możesz robić w konia wszystkich. Skarbówkę. Prokuratorkę. Matkę własną. Tego twojego szefa. Ale mnie nie za bardzo możesz, prawda?

– Rozumiem. – Kosiński pokiwał głową.

– A dlaczego mnie akurat nie możesz? – Bielski przekrzywił głowę jak drapieżny ptak, który przygląda się myszy, kiedy już trzyma ją w szponach.

– Bo… chodzi ci o to, że mi uratowałeś życie? – zapytał niepewnie Kosiński.

– No właśnie. Uratowałem ci życie.

– Ale to było przy okazji. – Kosiński spróbował się wywinąć.

– Oj tam, oj tam. Co mówi święta księga? Że po owocach ich poznacie. No więc, Kosa, nie pieprz mi tu. Żyjesz. Więc mów, co z Olgą.

– Z nią nic, dobrze. To coś tam z tym dzieciakiem. – Kosiński wzruszył ramionami.

– Nie no, stary. Etap rozmowy wstępnej mamy już za sobą. – Bielski się uśmiechnął.

Kosiński westchnął. Pamiętał te wszystkie etapy, których uczyli ich w szkole. Rozmowa wstępna, przesłuchanie wstępne, doprowadzenie do spontanicznych zeznań, przesłuchanie właściwie, czyli pytania i odpowiedzi. I czynności końcowe.

– Dobra. Przejdźmy do wniosków. Dałem jej słowo, że akurat tobie nie powiem przed… – Spojrzał na wyświetlacz telefonu. – Przed czternastą trzydzieści.

– Za godzinę i czterdzieści minut. – Bielski patrzył na zegarek. – Czyli dobrze myślę, że nie chodzi o dziecko, tylko że ona coś kombinuje.

Kurwa, pomyślał Kosiński, ale milczał.

– Dlaczego nie mnie? Powiedziała ci coś na ten temat?

Kosiński pokręcił głową.

– Ale że coś ambicjonalnego, czy że ma się spotkać z tym Szymonem? – zapytał Bielski i natychmiast pożałował. Ale Kosiński zajęty był tym, żeby utrzymać język za zębami. Nie patrzył Bielskiemu w oczy. Wzruszył tylko ramionami.

Wiedział, że Bielski to szczwany lis, więc wybrał mowę gestów, zamiast dać się ciągnąć za język.

– No, stary, nie bądź taki. – Bielski spuścił z tonu. Nie chciał, żeby Kosiński wyczuł, że może mu chodzić o Szymona.

– Kurwa, a czy ty po prostu nie możesz do niej zadzwonić? – rzucił Kosiński na odczepnego i zaczął wchodzić po schodach.

No właśnie tego, cholera, chciałbym uniknąć, pomyślał Bielski i sięgnął po telefon.

Miał wątpliwości, czy powinien dzwonić. Zrozumiał, że „coś z dzieckiem” po prostu znaczy tyle, że przyjechał Szymon, a Bielski nie był pewien, czy chciał dzwonić do Olgi w takiej chwili.

Malinowski poczuł w sercu ukłucie satysfakcji. Wiedział, że pocisk wszedł w ciało idealnie. Kijewski dostał w łydkę, ale kula z pewnością ominęła kość i nie powinno być żadnych nieodwracalnych szkód. Pewnie mu się za to jego towarzysz broni odgryzie, ale w tej chwili policjantki nie zabije.

Olga skuliła się w oczekiwaniu na strzał, ale nie zamknęła oczu. Tak kiedyś postanowiła. Jeśli przyjdzie jej patrzeć w lufę, nie zamknie. Spodziewała się zobaczyć ten końcowy rozbłysk, ale zamiast tego ujrzała, że zamaskowany napastnik pada jak ścięty. Nie zrozumiała, co się dzieje, ale szarpnęła się błyskawicznie w tył, kopiąc bandytę wściekle prawą nogą; na szczęście wolała nosić trekkingowe buty zamiast sneakersów. Miała nadzieję, że poczuł.

Wtedy usłyszała telefon.

Szlag! To była jej komórka! Została w samochodzie.

Obejrzała się. Od telefonu mogło zależeć jej życie. Napastnik, skulony jakby zeszło z niego powietrze, trzymał się prawą ręką za łydkę, ale lewą, do której przełożył broń, wciąż wyciągał w jej stronę. Niepewnie. Widać było, że to nie jest jego ulubiona ręka.

Kopnęła go jeszcze raz. Chciała trafić prosto w twarz, ale stopa ześliznęła się, a uderzenie było zbyt lekkie. Jej lewa stopa była przecież w samej skarpecie. Nie miała czasu, żeby to analizować. Obróciła się na kolana i z głową przy ziemi dała nura pomiędzy drzewa i krzaki.

Nagle poczuła, że coś spada jej na głowę i nastała ciemność.

Kijewski tylko się roześmiał, kiedy go kopnęła i zaczęła uciekać na czworakach. Wiedział, że daleko nie ucieknie. Podniósł lewą rękę z rewolwerem, ale jazgot telefonu stał się tak irytujący, że nagle zmienił

zdanie, przełożył broń do prawej, odwrócił się w kierunku kabiny auta i przez otwarte drzwi zajrzał do środka. Zobaczył, że komórka leży na podłodze od strony pasażera. Strzelił i smartfon był martwy.

Odwrócił się.

Po Oldze nie było śladu.

Spróbował za nią iść, ale jego lewa noga była całkiem do niczego. Pewnie kość naruszona. Krew szła jak z kranu.

Przyklęknął i zaklął szpetnie.

– Wiesiu! – zaryczał. – Masz przesrane!

Malinowski usłyszał w słuchawce niczym nieskrępowaną dziką wściekłość i nagle stracił pewność, czy podjął właściwą decyzję.

– Co jest? Meldować! – Śledziński brzmiał surowo.

Rozumiał, że coś poszło nie tak.

– Trafił mnie – wychrypiał Kijewski, bo jeszcze nie opanował złości. – Prezydencik mnie, kurwa, trafił w nogę.

– Powtórz. – Śledziński nie zrozumiał.

– Nie pisałem się na zabijanie kobiet. – Malinowski próbował się tłumaczyć.

– Kurwa mać! – Śledziński momentalnie dokonał oceny sytuacji. – Co z nią? Kazik mów, co z nią?

– Co… Poszła w las. – Kijewski oparł się plecami o burtę samochodu i spróbował wstać.

– Dorwiesz ją?

– Nie, no jak! Mogę skakać tylko na jednej nodze. – Znowu zaklął. – Teraz, Maliniak, albo zabijesz tę kurwę, albo już po nas.

Malinowski oddychał ciężko.

– Wiesiu! Słyszysz, Wiesiu?! Musisz ją trafić! – Śledziński na chwilę ściągnął mikrofon i nasunął na twarz kominiarkę. Jeśli była tu jedna policjantka, mogło być i więcej psów. Miał dwa wyjścia. Uciec albo po wszystkich pozamiatać. I to szybko. Na wypadek, gdyby mieli mieć dzisiaj jeszcze jakieś przygody. Ruszył w stronę gniazda Malinowskiego.

– Ja to pieprzę! – Malinowski mówił wysokim tonem. Był o włos od paniki.

Śledziński to wyczuł.

– Stary, ogarnij się. Musisz trafić. Bo teraz to albo ona, albo my. Rozumiesz? Już nie jesteś wiceprezydentem, nie masz rodziny, nie jeździsz na wakacje na Kanary, nie pijesz, nie palisz, tylko nadstawiasz dupy pod prysznicem w ciężkim więzieniu. – Śledziński mówił spokojnie jak do dziecka, które skaleczyło sobie kolano. – Kaziu umie sobie poradzić. I ja też umiem, ale co z tobą, Wiesiu? Co z tobą?

Śledziński nawet nie był rozczarowany. Przywykł już do tego, że musi pracować za wszystkich. Było mu żal Malinowskiego. Przyjaźnili się z pół wieku, szkoda go tak po prostu odstrzelić. Ale, z drugiej strony, każdy ma swoją głowę, a Pan Bóg, jak chce kogoś pokarać, to mu najpierw rozum odbiera. Śledziński w żadnego dziadka z siwą brodą, który spełnia życzenia tych, co się do niego modlą, oczywiście nie wierzył, ale jako absolwent antropologii ufał powiedzeniom starych kultur.

W sumie mógł mieć żal tylko do siebie. Powinien teraz Malinowskiemu skręcić kark i po zawodach.

– No dobra. – Malinowski przyłożył oko do lunety. – Trafię ją.

Powoli lustrował zieleń lasu. Nic. Nic. Nic. Nagle zobaczył coś w miejscu, w którym mogła spróbować się schować.

Czy to możliwe, żeby o tej porze roku było tam coś czerwonego?

Ziuuut – kula poszybowała prosto w czerwoną skarpetkę.

Ból obudził Olgę w ułamku sekundy, ale zanim zdążyła wydać jakikolwiek dźwięk, ktoś chwycił ją za głowę, zakrywając usta.

– Milcz – usłyszała. – To może przeżyjemy.

Imi pociągnął kobietę o metr głębiej w krzaki. Tu było niżej. Snajper nie powinien ich wypatrzyć. Pociągnął jeszcze metr, dwa, leżał tam zwalony, omszały pień. Normalnie najlepiej byłoby go przeskoczyć, ale wiedział, że to zgubna pokusa. Przeciągnął kobietę dookoła.

Potem przypadli do spróchniałego pnia. Żadna to osłona przed pociskiem, ale teraz chodziło o to, żeby snajper ich nie wyśledził. I żeby nie wyśledzili ich pozostali. Imi nie wiedział, ilu ludzi ma przed sobą. Tych trzech, których tropi? Śledzińskiego z jakimiś najemnikami? I co to za kobieta? W co się wmieszała? Pokręcił głową. Komplikacje. Zawsze komplikacje. Jakby nad tą palestyńską agenturą roztoczył opiekę jakiś dżin. Jakby coś ich chroniło. Abu Daouda i wszystkich jego sojuszników.

Kobieta patrzyła na niego z bólem, ale bez strachu.

Ściągnęła brwi i poznał, że chce o coś zapytać, więc natychmiast nakazał jej milczenie, kładąc palec na ustach. Potem wyciągnął dłoń. Nie zrozumiała, więc delikatnie, żeby nie krzyknęła z bólu, ujął jej lewą dłoń. Dwa palce były krótsze o centymetr każdy. Krwawiły. Wyjął z kieszeni ciasny zwitek srebrnej taśmy i owinął jej palce od wskazującego do małego tak, żeby trzymały się razem i żeby zatamować krew.

Potem wzrokiem wskazał na stopę. Gdyby krew zastygła, zostawiłby skarpetę, ale widział, że wciąż płynie. Wyjął z kieszeni nóż o krótkim, trójkątnym ostrzu i rozciął materiał. To było tylko otarcie, ale teraz

musiało boleć niemiłosiernie. Rana czysta, krew płynęła swobodnie. Gdyby ją zaszyć, pewnie kiedyś się zabliźni, kość pięty chyba nie oberwała, bo nie widział w ranie żadnych okruchów kości. Tak, kiedyś się zabliźni, i dziewczyna o tym zapomni. Nie miał czym zszyć. Plan zakładał, że to on zostawi tu rany. Owinął jej stopę taśmą. To był dobry, sprawdzony sposób na krew i na to, żeby rana pozostała czysta.

Teraz musiał pomyśleć, co zrobić z kobietą. Było jasne, że sama nie ucieknie z takiej pułapki. Nie rozumiał, co ona tu robi. Był pewien, że Śledziński zaczai się na niego, że spróbuje go dopaść, zdjęcie było wyraźnym zaproszeniem.

Ale co ona tu robiła?

Olga zagryzła wargi. Wiedziała, kim jest ten chudy gość, widziała jego długie, mocne palce, białą skórę pokrytą brązowymi plamami. Nie było mu łatwo czołgać się w tył i ciągnąć ją za sobą. Musiał być silny, ale spodziewała się jakiegoś zawodowego mordercy, a ten szpakowaty facet wyglądał na emeryta. Rozumiała, że nie jest amatorem. Ale wiedziała też, że nie jest płatnym mordercą na kontrakcie. W tym wieku opalałby się raczej gdzieś na Bahamach.

Zauważyła jego pytające spojrzenie.

Podciągnęła kurtkę, by zobaczył, że ma blachę.

Kiwnął głową na znak, że rozumie.

Malinowski pozbył się resztek wątpliwości. Chuchnął w palce jak kiedyś, w czasie treningów. Każdy miał jakiś gest, który pomagał, żeby w akcji poczuć się pewniej.

Wiedział, że kobieta jest sprytna. I że on nie jest już sokolim okiem, jak kiedyś, dawno temu, ale luneta była dobrze skalibrowana, i przecież widział, że zdjęła but, żeby sprawdzić, skąd padnie strzał. Zobaczył krew, więc dostała w rękę. Drugiego trafienia nie był pewien. Może to tylko jakiś śmieć. W każdym razie będzie trzymała głowę nisko, a to pomoże Śledzińskiemu. On jest jak pies gończy. Gdy poczuje krew, nie odpuści. Malinowski trzymał już całkowicie jego stronę. Strzał do Kazimierza to była tylko chwila słabości. Kijewski mu nie wybaczy, ale lepiej tak, niż żeby siedział za kratkami. Śledziński jakoś to Kazikowi wytłumaczy.

Śledziński właśnie dotarł do drzewa, na którym urządzili Malinowskiemu gawrę.

– Wiesiu, co ci odjebało? – zapytał.

– Trafiłem ją – powiedział Malinowski asekuracyjnym tonem. – Nie miałem czystego strzału, ale ona nie biegnie.

– Pewny jesteś?

– Może się tylko czołgać.

– Serio? – Ta wieść wyraźnie ucieszyła Śledzińskiego.

– Tak jest. – Malinowski zrobił wszystko, żeby jego głos zabrzmiał pewnie. Nie był tchórzem. Po prostu nigdy nie pisał się na strzelanie do kobiet ani do dzieci. Ale chciał przeżyć. Rozumiał już, że lepiej żyć z wyrzutami sumienia, niż gdzieś tam zdechnąć.

– Naboje masz?

– Tak jest.

– To rozpieprz ten jej pusty łeb – warknął Kijewski do słuchawki. – Wtedy może przeżyjesz.

– Kazik ma rację – poparł go Śledziński. – Jak ci wyjdzie na strzał, wal. Ale pilnuj amunicji, bo my tu przecież nie jesteśmy z powodu tej baby! Chłopaki, weźcie się w garść!

Podszedł do samochodu Olgi i zobaczył Kijewskiego. Rzut oka wystarczył, żeby zrozumieć, że Kazimierz nie przesadza. Na razie wycięty z akcji, nigdzie nie pójdzie. Ale wciąż musi być przydatny.

– Masz jej broń?

– Tak. Tam leży. – Pokazał Śledzińskiemu miejsce, w które kopnął glocka, kiedy Olga go puściła.

– Dobrze. Ja po niej pozamiatam, a ty szykuj się na naszego gościa. Mamy jej broń, to się przyda. Zrobimy tak, żeby się nawzajem pozabijali. Czyli jak?

– Najlepiej – odparł Kazimierz.

Mieli to powiedzonko przećwiczone.

– Zjedź tym struclem z drogi, postaw koło domu i zrób sobie opatrunek. Wiesz, gdzie co jest. Szynę załóż. Tak żebyś mógł chodzić. Dasz radę?

Kijewski pokiwał głową.

Śledziński poszedł po broń Olgi, a potem obejrzał ślady krwi. Rzeczywiście oberwała. Nie mogła zajść daleko. Była ranna, bez broni. Spodziewa się, że ktoś przyjdzie od strony samochodu, więc on przyjdzie z zupełnie innej strony.

Nagle Malinowskiemu się poszczęściło. Był pewien, że zobaczył w krzakach jakiś ruch, ale teraz miał wątpliwości. Ile miał jeszcze naboi? Dwa załadowane. Trzy w prawej kieszeni. Pięć. Mało. Nie może ryzykować. Musi być cierpliwy.

Czekać.

Czekać.

Znowu zobaczył ruch. No tak, coś tam jest, za zwalonym pniem.

– Widzę ją – powiedział do mikrofonu.

– Gdzie? – Głos Śledzińskiego był teraz cichy.

– Jakieś dwanaście metrów od ciebie na czternastej. Za zwalonym pniem.

– Okej. Idę tam. Tylko mnie nie rozwal. Ale jeśli ją zobaczysz, strzelaj.

– Tak jest. – Malinowski czuł, że już całkowicie opanował emocje. Nie spuszczał oka z pnia, za którym musiała kryć się ta suka. Teraz już tylko tak o niej myślał. Tak było łatwiej.

Imi poczuł, że drętwieje mu noga. Właściwie to i tak długo wytrzymała. Musiał zmienić pozycję. W ogóle musieli się stąd ruszyć. Byli przecież w pułapce. Tyle rozumiał. Nie lubił lasu. Lubił miasto. Umiał czytać cienie na ulicy. Wiedział, czy dach jest pusty, czy ktoś się tam czai. Słyszał, jak trzeszczy otwierane okno, jak pęka szyba, umiał odróżnić okrzyk zaskoczenia od ostrzeżenia i nie musiał wiedzieć, w jakim to jest języku. Wiedział, którędy kręci się echo kroków na bruku.

Las nie był jego domem.

Usłyszał jęk silnika, a potem jak wchodzi na obroty, żeby ruszyć mimo tej przebitej opony.

Dobrze, pomyślał, jednego mamy z głowy. Ale co ze snajperem? Uniósł się na łokciach, żeby wypatrzyć gdzieś ponad pniem lśnienie broni albo lunety. Nic z tego.

Malinowski zobaczył ruch w miejscu, w które wpatrywał się od dwóch minut. Teraz miał pewność. Chuchnął w palce i posłał tam kulę.

Pocisk przeszedł przez próchno jak przez masło.

Rozdział 33

Pocisk przeszedł przez próchno jak przez masło, pomyślała Olga. Mieliśmy mnóstwo szczęścia.

Otwór po kuli rozerwał drewno tuż przy głowie Imiego. Stary Izraelczyk spojrzał na kobietę i uniósł brwi z lekkim uśmiechem.

A więc jesteśmy sojusznikami, pomyślała.

A więc wiedzą, gdzie jesteśmy, pomyślał Imi. Nie poczuł nic. Ani rozczarowania, ani lęku. Jest jak jest. Ale dobrze byłoby znać własne atuty i braki. Teraz już nie musieli być cicho.

– Jesteś sama? – szepnął krótko.

Potaknęła.

Westchnął. Nie umiał rozstrzygnąć, czy to dobrze, czy źle. Z jednej strony, jak powiedziałby jego kolega, rabin Voynovski, źle, bo mogą liczyć tylko na siebie, ale z drugiej – dobrze, bo jeśli uda się im przeżyć, to Imi będzie miał szansę zniknąć.

Pomyślał, że nie mają wiele czasu i muszą jak najszybciej stąd odejść.

Olga pomyślała, że powinna była jednak zadzwonić do Bielskiego.

A Bielski właśnie nacisnął klamkę w biurze Olgi i Kosińskiego. Bez pukania, bez czekania. Bez żadnych ceregieli.

Kosiński ledwo zdążył usiąść za komputerem.

– Stary – powiedział Bielski – dodzwoniłem się i nagle jej komórka ogłuchła. Operator nadaje, że połączenie nie może być zrealizowane.

– Co to znaczy?

– Wyjechała poza zasięg. Chciałbym cię zapytać dokąd, bo mam złe przeczucie.

– Przeczucie, przeczucie – powiedział Kosiński. – Co to ma być za argument?

Westchnął i spojrzał na zegarek. Obiecał dać jej jeszcze godzinę i dwadzieścia minut.

– Czyli nie powiesz mi?

– Dałem słowo, że nie powiem.

– A… Ciekawe.

Bielski podszedł do Kosińskiego i spojrzał na monitory. Zdjęcie Śledzińskiego, które rano pokazał Oldze… Google Maps otwarte na jakimś lesie… Wszystko poskładało mu się w głowie w ułamku sekundy.

– Gdzie to jest? – zapytał Kosińskiego i wskazał mapę.

Śledziński najpierw odbiegł jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów drogą na północ i dopiero wtedy wszedł w las i ruszył w stronę pnia.

Szedł szybko, ale cicho, nie lekceważył jej, bo nie wierzył w przypadki. Skoro tu dotarła akurat tego dnia, to znaczy, że posklejała obraz, jakiego nie umiał ogarnąć przez pół wieku sławny Mosad. Przyssała się do tego zdjęcia zupełnie niepotrzebnie. Niepotrzebnie też Feliński zrobił sobie w domu wystawkę fotografii. Sentymentalizm to nie jest właściwa droga dla wojownika. Emocje sprawiają, że ręka ci drży w tym najważniejszym momencie. Że pieprzysz proste sprawy, a on nie zwykł marnować okazji ani wystawiać na uszczerbek całego swojego dorobku. Nie cieszyło, go że policjantka musi zginąć, ale sprawa była prosta. Albo ona, albo oni wszyscy. Nie było pośredniego rozwiązania. Upolują ją, a potem upozorują wszystko tak, żeby wyszło, że się pozabijali z tym mordercą, którego ustrzelą później. Czasy zgonów będą różne, ale coś się zaradzi. Wrzucą ich oboje do wody w samochodzie i już. Nikt nie dojdzie prawdy, jak im zgnije skóra.

Szedł od drzewa do drzewa pewny, że kobieta go nie zauważy. Jest teraz wystraszona groźbą strzałów snajpera. Malinowski skrewił, ale teraz zrobi wszystko, żeby naprawić swój błąd. Wszyscy tchórze są tacy sami. Jeśli znajdziesz coś, czego boją się najbardziej, będziesz mógł nimi sterować jak dronem.

– Wiem, że cię boli, ale musimy iść – powiedział Imi. – Wiedzą, gdzie jesteśmy, a to znaczy, że tu idą. Dasz radę?

Potaknęła. Dałaby radę nawet bez nóg, była przecież matką.

– Dobrze. – Opadł na brzuch i przeczołgał się w lewo, tak żeby omszały pień wciąż był pomiędzy nim i miejscem, z którego padł strzał.

Olga poczołgała się jego śladem napięta, czujna, nie chciała oberwać po raz trzeci.

Malinowski poczuł, że w kieszeni spodni wibruje mu telefon. Śledziński ostrzegał, żeby nie brali komórek, że wszystko, czego potrzebują, to łączność pomiędzy nimi, ale przecież obiecał żonie, że zawsze od niej odbierze, to musiała być ona, bo służbowy telefon zostawił, a na ten numer nikt inny nigdy nie

dzwonił. Tylko jak wyjąć ten telefon, kiedy masz na sobie kombinezon i maskowanie. Śledziński uparł się, że Malinowski musi być niewidoczny. Odsunął karabin i sięgnął pod ubranie. Wymacał sznurek, na którym miał zawieszony woreczek z telefonem. Trwało to długo. Na tyle długo, że wibracje ustały.

Sprawdził wyświetlacz. Tak, to „Pani Ania". Oddzwaniać, czy nie oddzwaniać?

Śledziński szedł szybko. Prawie bezgłośnie w swoich butach bez protektora. Nawet jeśli zostawiasz w takich ślad, to psy nie zrobią odlewu, bo brak będzie charakterystycznych cech. Lubił las. Dobrze się czuł w mozaice świateł i cieni.

W leśnych grach był dobry. Polował przez te wszystkie lata i to nie jak inni, z ambon, w których siedzieli ze sztucerami i alkoholem niczym na pikniku z zabijaniem. On podchodził zwierzęta jak prawdziwy drapieżnik. Miał instynkt. Wiedział, gdzie zaszywał się dzik albo lis, albo jeleń. Czasami większe zwierzę. Jeśli masz pieniądze, ludzie w Afryce sprzedadzą ci słonia, lwa albo nosorożca. Teraz miał łatwe zadanie. To była tylko ranna lisica. Może już się wykrwawiła?

Był blisko zwalonego pnia. Jeszcze dwa, trzy drzewa.

Zatrzymał się i ostrożnie wyjrzał zza pnia, i wstrzymał oddech.

Nikogo.

Malinowski musiał coś pokręcić albo suka zdołała się jakoś wycofać. Ale dokąd? Dokąd? Jeśli tu naprawdę była, miała tylko jedną możliwość… W dół, ku rzece. Inaczej Malinowski musiałby ją zobaczyć.

– Wiesiu, ty czuwasz?

– Potwierdzam. – Malinowski puścił telefon, a wtedy komórka, ping, ping, odbijając się od gałęzi, spadła na ziemię.

– No, musiałem się upewnić, bo nie ma jej za drzewem, ale teraz żebyś mnie nie trafił.

– Spoko – zapewnił Malinowski. – Czuwam.

Śledziński ruszył biegiem w dół i po pięciu metrach zobaczył Olgę pełznącą w dół, płasko przy ziemi, jak żmija.

– Stój, kurwa! – krzyknął.

Znieruchomiała. Podszedł bliżej i wtedy zobaczył tego faceta. Jakiś stary gość.

– Nie spodziewałem się pani policjantki – rzucił z przekąsem. – A już na pewno nie pomyślałbym, że będzie pani z ojcem.

Zaśmiał się.

Stary odwrócił głowę. Śledziński widział go bokiem, a tamten zdawał się węszyć. Jak wilk. Jak on sam.

– A… – Śledziński zrozumiał w jednej chwili. – To dla ciebie całe to przyjęcie!

Podniósł w górę broń, by wiedzieli, że żarty się skończyły.

– Wstawać, ręce w górze. Ja dobrze trafiam – ostrzegł.

Olga pomyślała, że to musi być glock. Jej glock.

Wstali.

Śledziński wiedział, że powinien ich rozwalić od razu. Ale musiał się dowiedzieć, jak to się stało, że przyjechali tu razem. Co ich łączy? Czy to policyjna pułapka, w którą sam dał się złapać? Prowokacja? Nie… ten stary przecież wyprawił na tamten świat kilku ludzi, nie mógł mieć nic wspólnego z policją.

Zmarszczył brwi. Najlepiej byłoby rozwalić ich tutaj, ale wtedy będzie musiał dźwigać ciała do samochodu. Musi wykombinować, jak to zamotać, żeby zdawało się, że Olga zabiła starego, a sama się potem wykrwawiła. Ale czy ona mogłaby kogoś zabić? Brudna, pokrwawiona, nagle postarzała ze strachu.

– Jasna cholera, co ja mam z wami zrobić? – zapytał na głos.

Milczeli. Olga starała się nie myśleć teraz o niczym. To dawało jej szansę, że nie wpadnie w panikę, że nie zacznie płakać z wściekłości albo ze strachu, że nie zobaczy już Kasi.

Imi pomyślał, że Śledziński jest dobry, ale nie dość dobry. Arogancki. Ciekawski. Nieważne. Imi uczył swoich studentów jednej ważnej sprawy: jeśli masz wroga na muszce – strzelasz. Nie ma żadnych odstępstw od tej zasady.

Śledziński myślał gorączkowo, jak to rozegrać. Strzelać czy nie strzelać.

– Wiesiu, mam ich. Widzisz nas? – Śledziński pomyślał, że póki tamci żyją, potrzebne mu ubezpieczenie.

– Nie potwierdzam – usłyszał Śledziński w słuchawce i przełknął przekleństwo.

Tamci nie mogli usłyszeć, że coś nie gra.

Stary zrobił pół kroku w stronę kobiety, a Śledziński zareagował natychmiast i posłał mu kulę pod nogi.

– W razie czego jeden kulas ci wystarczy – warknął.

Podjął decyzję, że lepiej rozwalić ich przy samochodzie w podwórzu, niż ciągnąć trupy przez las.

Imi wiedział, że facet strzela celnie i szybko. Wiedział też, że są mu oboje do czegoś potrzebni. A to była szansa. Póki żyjesz, możesz wszystko zmienić.

– Żyjecie, póki odpowiadacie – poinformował ich Śledziński. – Włączę stoper. Za trzydzieści sekund strzelam. Najpierw do ciebie – wskazał lufą Olgę. – Więc gadajcie szybko. Gadajcie i myślcie, co tu zrobić, żebyście przeżyli. Zrozumiano?

– Zrozumiano – wychrypiała Olga. Gardło miała całkiem wyschnięte.

Imi pokiwał głową.

– Ty ze mną nie pogrywaj, stary. – Śledziński pogroził mu palcem. – Gadaj, jak cię ludzie proszą.

– Tak jest – powiedział Imi i pomyślał, że jego sytuacja zmieniłaby się bardzo, gdyby nie musiał trzymać rąk w górze.

– Czy mogę opuścić ręce? – zapytał. – Zaraz zaczną mi drżeć.

– Nie możesz. – Śledziński pokręcił głową. – Możesz gadać, to gadaj. To ty zabiłeś naszych kolegów?

Zanim Imi zdążył pomyśleć, co się stanie, kiedy odpowie, Olga przełknęła ślinę i zaczęła mówić jak nakręcona.

– Proszę pana, nie wiem, co się tutaj dzieje, nazywam się Olga Suszczyńska i jestem oficerem policji. Pan Kowalski jest z Prokuratury Okręgowej, jesteśmy tu w drodze do redaktora Śledzińskiego, mamy zamiar zadać mu kilka pytań…

– Cicho – rozkazał Śledziński.

– Pouczam pana, że pańskie postępowanie wyczerpuje znamiona czynu zabronionego opisanego w kodeksie…

– Stul pysk, suko!

Śledziński nie mógł znieść tego jej szczekania. Nienawidził bab, którym nie zamykają się usta. Nie cierpiał, kiedy ludzie nie słuchają jego poleceń. Zawsze są z tego jakieś kłopoty!

– W kodeksie karnym w artykule dwieście dwadzieścia trzy paragraf jeden – Olga mówiła coraz szybciej i coraz głośniej – przestępstwo czynnej napaści…

Śledziński nie wytrzymał. Zrobił krok w jej stronę i uniósł broń na wysokość oczu kobiety, ale ona nie przestawała gadać. Krzyczeć.

– Na funkcjonariusza publicznego!

Zrobił jeszcze krok, opuścił rękę z bronią i uderzył ją na odlew w twarz. To było takie dobre, kiedy zamilkła.

– Mówiłem, żebyś milczała! – rzucił oskarżycielsko i wtedy poczuł, że coś uderzyło go w skroń. Odwrócił się, gdy stary chwycił jego rękę z glockiem w stalowy uścisk, a drugą po raz kolejny dźgnął go w skroń małym, trójkątnym ostrzem.

– A ja mówiłem, że mi drżą ręce, kiedy je trzymam za długo w górze – powiedział.

A potem dodał:

– Pozdrowienia od Abu Daouda.

Śledziński więcej już niczego nie usłyszał.

Imi ułożył go delikatnie na mchu, jakby był z porcelany, a potem zdjął mu kominiarkę. Śledziński miał otwarte oczy. Imi szeptał nad nim jakieś słowa, których nie umiała zrozumieć.

Olgę zdziwiła ta czułość.

– To kawał świni – warknęła. – Szkoda splunąć.

Mówiła z trudem. Usta miała pełne krwi. Podeszła i pochyliła się, żeby sięgnąć po swoją broń, ale Imi był szybszy.

– Przepraszam – powiedział. – Jestem naprawdę pod wrażeniem, jak go sprowokowałaś, ale nie mogę oddać ci broni.

– Serio?! – zapytała.

Pokiwał głową ze smutkiem.

– Gramy do jednej bramki, póki gdzieś tam jest snajper, który ma na nas oko. Ale kiedy go zabijemy, będziesz mieć wątpliwości, czy mnie aresztować, czy puścić. Nie mogę ryzykować. Rozumiesz?

Teraz ona pokiwała głową.

Uśmiechnął się.

– Skąd wiedziałaś, że musisz go sprowokować?

– Powiedziałeś mi. Powiedziałeś, że musisz opuścić ręce.

– Jesteś mądra. – Pokiwał głową z uznaniem. – Byłabyś u mnie świetną studentką.

– Studentką czego? – zapytała.

– Studentką zabijania – odparł Imi.

Rozdział 34

– Zabijania – powtórzyła jakby w zamyśleniu.

– No tak. – Imi pochylił się nad Śledzińskim i wyjął mu z ucha słuchawkę.

– Już ci nie będzie potrzebna – powiedział do trupa.

Redaktor wciąż miał otwarte oczy. Piękne, niebieskie, patrzyły teraz w zielony szpaler drzew. Olga pochyliła się nad nim, ale nie zobaczyła niczego. Żadnego odbicia blasku ani ciemności. Znowu nie zdążyła się dowiedzieć, czy jest coś po tamtej stronie, czy już nic. Zupełnie nic.

Imi wsunął sobie słuchawkę do ucha.

– Co się dzieje? – pytał nerwowo Malinowski. – Wciąż was nie widzę.

Imi poskrobał paznokciem po mikrofonie.

– Co to za trzaski? – Teraz snajper zaniepokoił się już na poważnie.

– Pewnie uszkodził się mikrofon – uspokoił go Kazimierz. – Jeśli słyszysz, stuknij dwa razy.

Imi dwukrotnie pstryknął mikrofon.

Wszystko w porządku, pomyślał Malinowski.

Trzeba spierdalać, pomyślał Kazimierz.

Zrozumiał właśnie, że Śledziński oberwał.

Ich stary, młodzieńczy szyfr jednak na coś się przydał. „Zawsze dodaj jeden – powtarzał mu Śledziński. – Umawiamy się na dwa stuknięcia, zastukaj trzy razy. Umawiamy się na cztery, zastukaj pięć". Ich osobisty kod zaufania. Prosty, niepodrabialny, skuteczny, pod warunkiem że nikt nigdy się o nim nie dowie. Malinowski tego nie wiedział.

Kazimierz policzył szybko ich atuty. Malinowski jest panikarzem. Świetnie strzela, ale wolno myśli. To się przydaje snajperowi, który ma przy sobie operatora dyktującego mu do ucha zadanie. Ale Śledziński zamilkł, a to sprawia, że Malinowski jest bezużyteczny. On sam jest ranny. Zabandażował nogę i usztywnił pomiędzy dwoma metalowymi pogrzebaczami, które znalazł przy kominku. Mógł iść, ale do walki na niewiele się przyda.

Uświadomił sobie, że skoro Śledziński oberwał, to kobieta nie była sama. Psów musiało być więcej. Plan Śledzińskiego, żeby zabić gościa, którego się spodziewali, w taki sposób, by zrzucić winę na policjantkę, poszedł do kosza. Teraz zostały mu dwa wyjścia. Uciekać. Albo się zemścić.

Nie strzelał ze snajperskiego karabinu tak jak Malinowski, ale posiadał inne umiejętności. Odsunął dywan i otworzył schowek Śledzińskiego. Były tam jego dwa sztucery.

Skoro redaktor potrafił z tego ustrzelić nosorożca, to on potrafi rozwalić tę sukę.

Bielski cisnął, ile się dało, ale miasto nie chciało się skończyć, nie chciało zniknąć, nie chciało być już za nimi. Przez Żoliborz pomogła im syrena, kierowcy się rozjeżdżali, widać, że już rozumieją, co to jest korytarz życia, chociaż potem pewnie klęli, że to prezydent albo jakiś minister. Nie, nie klęli, kto z władz jechałby zwykłym fiatem punto? To nie był zwykły fiat, mocno go podrasowali, ale wciąż wyglądał na samochód przedstawiciela handlowego, a nie na limuzynę. Na moście Roweckiego było już gorzej, kierowcy nie zjeżdżali, ale tam zwyczajnie nie ma jak zjechać; przepychał się wściekle, choć mało skutecznie. A potem utknęli na Płochocińskiej.

Bielski miał złe przeczucia.

Kosiński się nie odzywał. Gryzł się z myślami. Dobrze zrobił czy źle? Emocje, jakie wyczuwał u Bielskiego, mówiły mu, że spieprzył, że powinien był powiedzieć mu godzinę temu. Ale, z drugiej strony, Bielski nie zameldował nikomu. Nie zadzwonił po swoich, nie wezwał śmigłowców, armii, kawalerii. A przecież mógł. Więc sam też nie miał pewności. A to znaczyło, że Kosiński zrobił źle. Że powinien był kryć Olgę jak najdłużej. Pieprzone komputery.

Tymczasem Imi wyrwał przewód mikrofonu. Nie będzie mu już potrzebny. I tak nie może niczego powiedzieć. Poza tym musiał teraz mówić do policjantki, a oni nie mogli tego usłyszeć.

– Wyciągnij ręce – rozkazał, a Olga posłuchała.

Sięgnął jeszcze raz po srebrną taśmę i skrępował jej dłonie w nadgarstkach.

– Mam nadzieję, że nie za mocno – powiedział.

Pokręciła głową. Nie musiała pytać, czy jest jeńcem, rozumiała, że tak właśnie trzeba, że to jej jedyna szansa, inaczej co powie swoim? Że zawarła sojusz z wielokrotnym mordercą tylko dlatego, że uratował jej życie? Tak było lepiej. Była w niewoli. Jeńcy mają inne prawa. Nie muszą podejmować decyzji, mogą zachować czyste sumienie.

Imi był pełen uznania. Naprawdę doceniał to, że nie zapytała.

Ale coś jej nie dawało spokoju.

– No? – Próbował ją zachęcić. – Jeśli chcesz zapytać, to teraz jest jedyny moment.

– Dlaczego nie pozwoliłeś, żeby ciało człowieka, którego nienawidzisz, nie upadło na ziemię byle jak?

– Nie ma w tym nienawiści – wyjaśnił. – Jest smutek. Tylko smutek. Jeśli musisz walczyć o życie, jeśli wiesz, ile jest warte, jeśli… wiem, że to nie jest teraz w twoim kraju modne, jeśli wierzysz w… jak wy mówcie, w Stworzyciela, to cenisz życie. To, które posiadasz. To, które chronisz, i to, które odbierasz, też cenisz. Nie szanowałem tego człowieka. Ale kiedy odbierasz życie…

– Jesteś sentymentalny?

– Nie – odparł z uśmiechem.

Pochylił się, zamknął oczy Śledzińskiemu i rozpiął jego kurtkę. Ściągnął ją, rozpiął pasek spodni i rozwiązał trupowi buty, a potem zaczął ściągać mu spodnie.

– Jeśli się wstydzisz, możesz się odwrócić – powiedział, a Olga nie wiedziała, czy to żart, czy nie.

– Czy mogę jeszcze o coś zapytać?

– Tak.

Imi zzuł swoje buty i zaczął ściągać spodnie.

– Co powiedziałeś, kiedy Śledziński umierał?

Imi zawahał się na moment. A może po prostu zachwiał. Kiedy zdjął spodnie, Olga zobaczyła wstrętną, fioletową bliznę, która jak wielka skolopendra oplatała lewą nogę mężczyzny.

– Wypowiedziałem nad nim imiona.

– Jakie imiona?

– Te, których nie wolno zapomnieć: Mosze Weinberg, Josef Romano, Dawid Berger, Jaakow Springer, Eliezer Chalfin, Josef Gutfreund, Kehat Szorr, Mark Slawin, Andre Spitzer, Amicur Szapira, Zeew Friedman.

– Ofiary z Monachium. – Olga poczuła odrobinę zawodowej satysfakcji, bo od początku miała przeczucie, że nie chodzi o Pegasusa.

– Ofiary z Monachium. – Pokiwał głową. – Domyśliłaś się… Byłabyś naprawdę dobrą studentką.

Spojrzała mu w oczy i się uśmiechnęła. Było w nim coś, co ją ujmowało. Jakiś dziwny spokój. Pogodzenie się z losem. Coś nienaturalnego, nieziemskiego, nie umiała powiedzieć, co to jest, ale była mu wdzięczna, że ją skrępował. Wdzięczna, że brał to wszystko, co musieli jeszcze zrobić na swoje sumienie.

– Ale Daoud umarł ze starości – powiedziała.

– Dziewczyno, on umarł, słysząc te same słowa, które usłyszał ten redaktor. Trzymałem go za rękę, kiedy umierał, choć była we mnie wściekłość, i wtedy myślałem o nim, że zdycha.

– Czytałam, że umarł ze starości.

– Ja wiem. – Imi wciągnął kurtkę Śledzińskiego. – Co mieli powiedzieć? Że obce służby na terenie Libanu dokonały zamachu na wybitnego pisarza i eksperta występującego w mediach? Nie mogli tego powiedzieć. I tak mamy piekło z sąsiadami. Rozumiesz? Poza tym to była moja decyzja. A nie Izraela.

Rozumiała.

Imi przełożył ze swoich spodni do kieszeni tych, które teraz miał na sobie, wszystkie przedmioty. Potem wciągnął kominiarkę.

– Musisz iść przede mną, inaczej on się nie da nabrać. Mam nadzieję, że nie strzeli. Naprawdę mam taką nadzieję.

Popatrzyła mu w oczy.

– Dziewczyno, jeśli on strzeli, to oboje nie żyjemy. Wiesz, jaka to broń? Widziałaś, jak kula przeszła przez drewno?

– Widziałam, jak trafił w nogę tego trzeciego. Na wylot.

– Dokładnie. – Pokiwał głową. – Jeśli wystrzeli, przejdzie na wylot przez ciebie i przejdzie na wylot przeze mnie. Umrzemy razem.

– Ja nie mogę – powiedziała Olga. – Mam córeczkę.

Zaszkliły jej się oczy.

– Tak?

– Ma na imię Kasia. Kasia, wiesz? Nie zrobiła nikomu nic złego. Umie sama myć zęby i umie mówić, i gdybyśmy kiedyś miały psa, toby o niego dbała. Na pewno by dbała. I jest bardzo ładna. Nigdy nie będzie potrzebowała botoksu, będzie mądra i na pewno ktoś ją kiedyś pokocha za to, kim jest.

Nie chciała tego, ale poczuła, że łzy płyną jej po policzkach.

Imi wyciągnął rękę i otarł jej twarz.

– Nie płacz, dziewczyno. – Przytulił ją. – Ja cię nie dam zabić, a ty mi przyślesz kiedyś zdjęcie z tą Kasią.

Pokiwała głową.

– Mamy czas na ostatnie pytanie i idziemy – powiedział.

– Jak to możliwe, że mówisz po polsku. Że tak dobrze mówisz po polsku.

– Ojciec był warszawiakiem.

– Polakiem?

– Chyba się nad tym nie zastanawiał, ale warszawiakiem był na pewno.
– Mam jeszcze jedno.
– Ale naprawdę ostatnie.
– Jak ich znalazłeś?
Imi wyjął z kieszeni zdjęcie. Poruszona odbitka fotografii, która wisiała w rodzinnym domu Szymona.
– Kiedy Polska kupowała Pegasusa, trzeba było sprawdzić tych pośredników. Obejrzeć wszystkie ich mejle, zdjęcia, nagrania, wszystko, co tam mają w komputerach. No i ktoś trafił na zdjęcie bardzo podobne do tego, tylko że wszyscy na tym drugim zdjęciu byli już starzy. Nie było oczywiście Daouda. To ten. – Wskazał palcem, choć przecież wiedziała. – Oni się każdego pierwszego sierpnia spotykali, żeby świętować.
– Świętować rocznicę powstania warszawskiego.
– Nie. Dzień, w którym uratowali Abu Daouda.
– Ale…
– Koniec pytań. Jestem z małego kraju. Ktoś wiedział, że chciałem o tym wiedzieć, więc się dowiedziałem. Ruszaj.
Olga poszła przodem, kulejąc i płacząc, bo naprawdę, naprawdę chciałaby widzieć, jak Kasia idzie do szkoły pierwszy raz. I jak się uczy grać na flecie. I jak ma koleżanki. I tego psa nawet niech ma. Albo kota. Może nawet być kot, teraz przecież robią te inteligentne odkurzacze.
Byli blisko drogi. Snajper musiał ich już widzieć.
Kijewski szedł powoli, wlokąc nogę za sobą i nasłuchując, co tam powie Malinowski, ale w eterze panowała cisza. Może snajper już nie żył? Wszedł do garażu i otworzył drzwi samochodu Śledzińskiego. Położył sztucer na siedzeniu pasażera, a pistolet wsunął do kabury pod pachą.
Musiał się spieszyć, zanim pożar wypełznie na zewnątrz domu. Nie miał czasu, żeby posprzątać, powycierać wszystkie swoje ślady, więc miejsce, w którym robił sobie opatrunek, oblał benzyną.
Potem wyjął z kieszeni zapalniczkę. Zippo. Niezniszczalna. Z inskrypcją na bocznej ściance. Zakręcił kółkiem i pojawił się płomień. Zapalił kawałek drewna wyjęty z kominka, rzucił za siebie i wyszedł.
Przekręcił klucz i suburban zagulgotał niskim dźwiękiem, a z włączonego nagle radia popłynęła piosenka Nirvany. Co jest grane? Po chwili usłyszał, że piosenka jest na liście przebojów Trójki i pokręcił głową z niedowierzaniem. Przecież nie było już Nirvany. Nie było już listy przebojów Trójki, co się do cholery działo w tym kraju?
Wrzucił wsteczny, a prezenter powiedział, że Nirvana promuje soundtrack do nowego *Batmana*, i zapowiedział, że po reklamach będą wiadomości, a Kijewski pomyślał, że takie wiadomości go nie interesują, ale szkoda mu było strzelać do radia, bo musiał uciekać, a to znaczyło też, że przyda mu się taki pakowny samochód.

Bielski cisnął jak oszalały. Nie raz i nie dwa szarpnęli poboczem. Kosińskiemu się to nie podobało, ale milczał. Konsekwentnie i nieodmiennie martwiąc się tylko o to, czy kiedy się rozbiją, to oberwie tak, że straci zęby, czy też może będzie mógł w trumnie wyglądać na uśmiechniętego.

Olga i Imi byli już przy drodze. Imi trzymał pistolet przy głowie kobiety.
Malinowski miał ich jak na dłoni.
– Widzę was – powiedział do mikrofonu. – Odbiór.
Imi chwycił w palce mikrofon i pokazał, że jest złamany, licząc na to, że snajper widzi wszystko dokładnie i to go uspokoi. Sam starał się trzymać nerwy na wodzy. Skoro widzi i skoro nie strzelił, to znaczy, że podstęp się udał, ale wciąż nie wiadomo, gdzie siedzi.
Kryjówki snajperskie potrafią być naprawdę doskonałe.
– Jak go znajdziemy? – zapytała Olga przez łzy.
– Nie mam pojęcia – odparł Imi. – Ale jesteśmy po stronie dobra i liczę na jakiś cud. Na dar od losu.
Minęli miejsce, w którym zarył samochód Olgi. Po całym zajściu pozostały tylko koleiny. Szli dalej niepewni, co się może stać, bo w słuchawce panowała już tylko cisza.
Przeszli jeszcze kilkanaście metrów wzdłuż drogi, kiedy Malinowski nie wytrzymał napięcia.
– Co ja mam robić? – zapytał.
Nic. Cisza. Śledziński nie miał mikrofonu, ale dlaczego Kijewski nic nie mówi? Przecież mają dziś jeszcze sporo do zrobienia. Malinowski zaczął się irytować. Nie spuszczał wzroku ze Śledzińskiego i tej baby, aż do momentu, kiedy byli zbyt blisko, żeby mógł skierować lufę w ich stronę.
Wtedy usłyszał dźwięk silnika. Wszyscy go usłyszeli. Nie od strony lasu, ale od domu. Malinowski podniósł karabin tak, żeby zobaczyć, dokąd wybiera się Kijewski, ale tamten przemknął zbyt szybko.
Kijewski dojrzał ich na skraju drogi w chwili, kiedy wypadł zza zakrętu. To był Śledziński i ta kobieta. Jak to? Zwolnił. Nie, to nie jest Śledziński. To ten chuj, zabójca, idzie po Malinowskiego. Co zrobić? Uderzyć?

Zmiażdżyć? Nie. Niech Maliniak zapłaci za zdradę. Na tego drugiego gnoja przyjdzie jeszcze czas. Teraz trzeba się zwinąć, zanim tu się zrobi piekło, pomyślał Kijewski i dodał gazu.

– Niedobrze – powiedział Imi. – Myślałem, że to się dzisiaj skończy.

Olga nie mówiła już nic. Nagle poczuła się zmęczona. Słaba. To pewnie spadek adrenaliny. Zaraz zrobi jej się słabo.

Nagle zobaczyli, że w trawie coś błyska. Imi popchnął ją w tamtą stronę. To był telefon. Ktoś dzwonił właśnie na tę komórkę. Pochyliła się. Na wyświetlaczu przeczytała: „Pani Ania".

– To tutaj. – Imi wskazał na pień, pod którym stali.

– Dlaczego? – zapytała szeptem.

– To telefon Malinowskiego, a on jest snajperem.

– Skąd wiesz.

– Znam jego akta.

– Skąd wiesz, że to jego telefon?

– Z odczytów Pegasusa. – Domyśliła się, że pod maską Imi się uśmiecha. – „Pani Ania" to jego żona.

Podniósł pistolet w górę i choć nie widział niczego prócz liści, wiedział, że snajper jest gdzieś nad nimi. Musi być. Upuścił telefon, bo jest ciamajdą. Ciamajdą, która ma dobre oko, ale dysponuje teraz karabinem z długą lufą. Zaprojektowanym tak, żeby strzelać z niego na odległość co najmniej kilkuset metrów. Drzewo to nie jest najwygodniejsza kryjówka dla snajpera. Nie daje możliwości zmiany pozycji. Jeśli ten gość dotąd nie strzelił, to przegrał. Teraz nie będzie w stanie tak ustawić broni, żeby strzelić wzdłuż pnia w tego, który stoi pod drzewem.

Te wszystkie myśli przeleciały Imiemu przez głowę w ułamku sekundy potrzebnym do tego, żeby unieść broń. Wpakował w górę cały magazynek. Dziewięć pocisków.

W słuchawce usłyszał tylko westchnięcie.

To niewiele.

Ale potem z góry zaczęła kapać krew.

Epilog

Krew zaczęła kapać znowu. Kasia wpatrywała się w czerwone kropelki jak urzeczona.

– Mamusiu, krew ci leci – powiedziała i Olga dopiero teraz spostrzegła, że opatrunek na ręce przesiąkł. A doktor mówił, żeby nie próbowała niczego podnosić lewą dłonią. Najlepiej, żeby w ogóle nią nie poruszać.

– Oj, pani Olga! Ja zaraz *szto nużno* zrobię. – Pani Nadieżda, matka Nastii, zerwała się, żeby szukać czegoś, ale przecież nie poznała jeszcze domu, jeszcze się tutaj nie czuła dobrze, wszystkiego się wstydziła, o wszystko pytała. Już nie było tak źle jak pierwszego dnia, już wychodziła z pokoju i powoli brała w posiadanie kuchnię. Pomagało to, że Olga chodziła z trudem, a do prac domowych też nadawała się słabo.

Pani Nadieżda próbowała rozerwać folię na opakowaniu papierowych ręczników, Olga śmiała się z jej niezbornych ruchów, Kasia przytulała się do niej jak mały króliczek. Było dobrze. Tak dobrze, że nagle zachciało jej się płakać.

Kasia zobaczyła łzy.

– Boli cię łapka?

Olga przytuliła Kasię.

– To ja podmucham – postanowiła dziewczynka.

– Pani Olga, zrobimy tak. – Nadieżda przyniosła rolkę papierowego ręcznika, folię, którą z niego zdjęła, nożyczki i kilka saszetek z nadrukiem Sorbalgon i bandaż.

Położyła na stole kilka warstw papieru, na tym folię.

– Pani Olgo, pani rękę położy, a ja zabandażuję – powiedziała.

– No, ale…

– Papier i folia, *sztoby* stół *czistyj*.

– Ale w szpitalu dobrze zabandażowali.

– Pani Olga, ja w domu miała szpital. Sorbalgon d*obryj*. *U niego takije nitoczki z alg*. Krew nie płynie, bo tu w *krowi* sól, a w sorbalgonie polisorbat, *eto* kwas. Ile ja *krowi uże ostanowiła. U nas wsie żeńszczyny teraz doktorki*.

Olga położyła rękę na folii.

Wtedy zadzwonił telefon. „Szymon” – odczytała na wyświetlaczu. Dzwonił teraz każdego dnia. Rozmawiali o Kasi i o pani Nadieżdzie, czasami nawet żartowali. On nie pytał, czy może wreszcie przyjechać, a ona nie zamierzała mu niczego ułatwiać. Nie pytał, czy tęskni, i była mu wdzięczna, bo co miałaby odpowiedzieć? Mogłaby kłamać, ale wolała, żeby było tak, jak jest.

– Mamo, boję się. – Nadieżda rozcięła bandaż, a Kasia natychmiast odwróciła oczy.

– E tam… to tylko krew. – Olga pogłaskała ją po włosach.

– Ale paluski ci odlosną?

– Gdybym była jaszczurką, toby odrosły, ale ludziom rosną tylko włosy i paznokcie.

– Szkoda, że nie jesteś jasculką.

Telefon zadzwonił znowu.

– Jestem – powiedziała.

– Dziękuję, że odebrałaś. Wszystko dobrze?

– Tak. I to mimo że nie jestem jaszczurką. – Uśmiechnęła się do słuchawki.

Następnego dnia rano Kosiński przyjechał pod dom, tak jak poprosiła. Wszedł na górę i pomógł jej zejść po schodach.

Właściwie nie powinna jechać do pałacu, bo kiedy masz zwolnienie i jesteś w pracy, ZUS zawsze może się przyczepić, ale to była odprawa kończąca jej dochodzenie i nie chciała odpuścić.

– Gniewasz się? – zapytał, kiedy ruszyli.

Słońce grzało jak oszalałe, kiedyś w Warszawie nie było takich upałów.

– Dlaczego?

– Że się dowiedział.

– Przecież mu nie powiedziałeś.

– Skąd wiesz?

– Przyznał się.

– Tak?

– Tak. Powiedział, że próbował cię szantażować, ale byłeś twardy.

– Twardy, ale głupi. – Kosiński się uśmiechnął, a ona potargała mu włosy tą zabandażowaną dłonią.

Kiedy weszli do gabinetu Leśmiana, Olga obrzuciła pomieszczenie wzrokiem. Okraski ani Bielskiego jeszcze nie było, ale prokurator Bałucka wstała, podeszła do Olgi i zwyczajnie ją przytuliła.

Migdały, jaśmin, kakao, pomyślała Olga. Tak, Bałucka pachniała idealnie.

– Czy ja ci już mówiłem, że się cieszę, że wszystko z tobą dobrze? – zapytał Leśmian.

– Tak, dzwonisz do mnie każdego dnia i to powtarzasz, szefie.

– Ano tak, rzeczywiście – zawstydził się trochę. – Nie wiedziałem, czy to się po prostu liczy.

– No jak ty się czujesz? – Bałucka zagarnęła Olgę do okna.

– Dobrze. – Olga pokazała jej wszystkie zęby. – Słabo chodzę, ale i tak piłka ręczna na razie odpada.

Pokazała jej zabandażowaną dłoń.

– Więc to jednak prawda…

– To niezbyt wysoka cena, jeśli przeżyjesz – powiedziała Olga, siląc się na beztroskę. – Wyobrażasz sobie minę jakiejś pani od paznokci?

– O! Znam taką panią Agnieszkę, dam ci adres, ona robi wszystkim, Dodzie, Nataszy Urbańskiej, profesorkom z uniwersytetu, jest normalnie najlepsza.

– Pewnie nie dostanę premii za Pegasusa, więc nie będzie mnie stać.

– To na Pradze, a nie na Mordorze. – Bałucka ściszyła głos, jakby zdradzała Serbii jakiś wyjątkowy sekret.

– Poza tym osiem paznokci to dwadzieścia procent taniej – powiedziała Olga.

– Bardzo się bałaś?

– Tak. Dwa razy. Kiedy ten Malinowski trafił w pień, za którym się skryliśmy, i kiedy musiałam iść pierwsza ze skrępowanymi rękami. Gdyby wtedy strzelił, moja córka byłaby sierotką… No, miałaby jeszcze tatę.

Uśmiechnęła się do tej myśli.

Tak. Miałaby tatę. Szymon bał się tego coraz mniej. Czuła to, chociaż wciąż nie umiał zapytać, czy może przyjechać.

– Przykro mi, że musiałaś przez to przejść. Naprawdę.

Drzwi otworzyły się nagle i weszli Okrasko z Bielskim. Obaj chmurni, skupieni, jakby dopiero co starli się na korytarzu.

– Hej! – Bielski podszedł i wyciągnął ramiona, a Olga nadstawiła policzek. – Jak się masz.

– Dobrze. – Posłała mu uśmiech. – Teraz już dobrze.

Bielski uścisnął jej ramię i poszedł przywitać się z Leśmianem.

– Ależ on jest przystojny, prawda? – szepnęła Bałucka. – Te jego niebieskie oczy to jakieś szaleństwo. I podobno z nikim się nie spotyka.

– Też słyszałam, że jest gejem. – Olga mrugnęła do niej.

Zajęła miejsce na końcu stołu. Bielski przyniósł jej kawę.

– Boli? – zapytał.

– Tylko kiedy oddycham. – Popatrzyła na niego ze wzruszeniem.

– Przykro mi, że nie zdążyłem.

– Zdążyłeś. Byłeś idealnie.

– Nie zdążyłem go złapać.

– Tego mordercy?

Pokiwał głową.

– Wierz mi, tak jest lepiej.

– Skrzywdził cię.

– Mówiłam ci już dwadzieścia razy: ocalił mi życie.

– To moje zadanie, nie jego. – Uśmiechnął się.

– Idź już, bo jeszcze Bałucka zacznie coś podejrzewać.

Kawa był dobra. Idealna. Czuła się bezpieczna, odprężona i zmęczona zarazem. Pomyślała o Imim. Tak, ocalił jej życie. Ocalił też jej sumienie. Jej dumę. Jej osobistą godność. Rzadko kto o tym myśli. Była mu wdzięczna. Był zabójcą, a ona policjantką. Powinna była zrobić wszystko, żeby go zatrzymać, ale czuła gdzieś w głębi duszy, że teraz wszystko jest na swoim miejscu.

No, może z wyjątkiem jej serca. Ale o tym potem, potem.

Wciągnęła zapach kawy i przypomniało jej się, jak zobaczyli krew kapiącą po liściach dębu. Poszli w kierunku domu Śledzińskiego, ona przodem, stary człowiek dwa kroki z tyłu. Gdyby Malinowski żył, zebrałby się do strzału i trafiłby go w plecy. Kula przeszłaby na wylot i trafiła też Olgę. Ale się nie zebrał. Szli kilka minut, aż poczuli swąd spalenizny. Nie było widać dymu, las gęsty, ale wiatr od rzeki.

– Jeden uciekł – powiedział Imi. – Podpalił dom i uciekł.

– Może to lepiej?

– Nie. – Pokręcił głową. – To znaczy, że muszę jeszcze trochę żyć. Robota nieskończona.

– Nie możesz po prostu odpuścić?

– Dałem słowo. Dałem słowo mojemu ojcu. Dałem słowo mojemu Stwórcy. Nie mogę. Ale nie wiem, czy zdążę. Nie wiem, czy zdążę.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Mam raka. Jak moja matka. Nie da się tego wyleczyć.

– Przykro mi.

– To mnie jest przykro – odparł. – Mam nadzieję, że nie musisz sikać, bo muszę cię już związać.

Pokiwała głową.

Ustawił ją przy pniu przydrożnej brzozy i obwiązał srebrną taśmą. Nie za mocno. Tak, żeby mogła oddychać.

Potem szedł dalej w stronę domu Śledzińskiego. W stronę rzeki.

– Szkoda, dziewczyno, że znam cię tylko pół godziny. – Odwrócił się nagle. – Gdybym mógł mieć córkę, chciałbym, żeby była taka jak ty.

Bielski z Kosińskim znaleźli ją dwadzieścia minut później.

– No! – Okrasko kaszlnął i to wyrwało Olgę z zamyślenia. – Nie wiem, na co czekamy. Pora zaczynać, mamy jeszcze mnóstwo innych obowiązków.

Leśmian westchnął.

Olga pomyślała, że pan podsekretarz stanu szybko odzyskał rezon.

– Nie wiem, od czego zacząć – odezwał się Leśmian i odchrząknął. – Dzień dobry wszystkim. Może ja powiem tak. Po wszystkim, co zaszło… uważam, że to pan Okrasko powinien wam powiedzieć, a nie ja. Ja uważam, że to podli, źli, okropni ludzie. Strzelać do policjantki? Jeśli o mnie chodzi, zostawiłbym ich tam, ażby zgnili. Jeden w tych krzakach, a drugi powieszony w tych swoich szelkach. Mógłby tak wisieć do usranego końca świata.

Olga słyszała od Kosińskiego, że technicy zdejmowali Malinowskiego z jego czatowni osiem godzin, do samej nocy. I że zdychał długo. Na pewno ponad godzinę, bo choć miał w sobie trzy trafienia, to żadne nie było śmiertelne. Po prostu się powolutku wykrwawił.

Śledziński za to umarł szybko. W sekundę. Pomyślała, że nawet nie usłyszał modlitwy Imiego.

Świat nie jest sprawiedliwy.

Okrasko wstał, szurając fotelem, i to przywróciło Olgę do rzeczywistości.

– Chciałem państwa powiadomić, zapadła decyzja, że pan redaktor Śledziński będzie pochowany na Powązkach Wojskowych i będzie miał wojskową asystę.

Wszyscy milczeli.

– No, mnie nie przeszło to przez gardło – odparł Leśmian.

– Jak to?! – Bałucka wstała. Na szpilkach wysokich jak noże była od niego wyższa o głowę.

Skulił się.

– To nie jest moja decyzja – powiedział, patrząc na blat stołu.

– Co się pan gapi w ten stół?! Pewnie wolałby pan prompter! Niedoczekanie.

Okrasko poniósł na nią wzrok i powtórzył, że to nie była jego decyzja.

– Na Powązkach!? Z asystą!?

– No, kurwa mać – zaklął Okrasko. – Przecież to nie Urban, tylko Śledziński!

– Dla mnie nie ma różnicy – mruknął Bielski.

Okrasko odczekał chwilę, a kiedy zrozumiał, że mu nie odpuszczą, usiadł, splótł dłonie przed sobą. Westchnął.

– Uznaliśmy w ministerstwie, że takie rozwiązanie leży w interesie polskiej racji stanu. Opozycja będzie zadowolona, bo uzna to za ukłon w stronę środowiska dziennikarskiego krytycznie nastawionego wobec obecnych władz. Media będą zadowolone, jego współpracownicy…

– Wy po prostu się boicie, że zaczną się pytania o Pegasusa, co nie!? – Bałucka nie zamierzała rezygnować.

– Pani prokurator, przypominam, że jest pani urzędnikiem tego samego państwa, które ja reprezentuję, i że państwo uznało, że panu Śledzińskiemu, mimo tajemnic ciążących na jego życiorysie, tajemnic zresztą niemożliwych dzisiaj do rozwikłania, należy się uroczysty pogrzeb. Decyzja zapadła, premier już to ogłosił na swoim Twitterze.

– Niektóre z tych tajemnic rozwiążemy, proszę się nie obawiać – powiedział Bielski. – Jego dom spłonął, ale kasa pancerna była ogniotrwała.

– Jaka kasa? – Okrasko poczuł pot na czole.

– Można powiedzieć nawet, że sejf, wykonany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku przez Specjalistyczną Spółdzielnię Pracy „Skarbiec” w Warszawie, ulica Strzelecka 30/32.

Okrasko zamilkł.

Zapadła cisza.

– Co będzie podane jako przyczyna zgonu? – zapytała Bałucka.

Nic. Cisza.

– No, niech pan mówi!

– Zaczadzenie. Redaktor zasnął z papierosem w ręku. Zaprószył ogień. Paliły się jakieś okładziny, plastiki czy coś. Zaczadził się, a potem spłonął. Trumna nie będzie otwierana.

– A co z tym Malinowskim? – chciał jeszcze wiedzieć Leśmian.

– No, on też się przecież zaczadził i spłonął.

– Był tam ktoś jeszcze? – zapytała Bałucka.

Okrasko wzruszył ramionami. Bielski milczał. To, co mogli sobie powiedzieć, powiedzieli sobie przed odprawą na korytarzu.

W dniu, w którym pięciu żołnierzy oddało salwę honorową nad trumną redaktora Śledzińskiego, a szósty zaczął grać na trąbce *Somewhere Over the Rainbow*, wszystkie trzy byłe żony zgodziły się, że to był ulubiony utwór zmarłego. Kazimierz Kijewski zdążył już wjechać na prom z Mersin na turecką część Cypru.

Trzy tygodnie później jechał rozpaloną do białości ulicą Chopina w Jerozolimie, zerkając co chwila na mapę w samochodzie, nigdy nie był w tym mieście, bał się pobłądzić, bo przecież wszystko miał wyliczone co do kilku minut. Skręcił w lewo, minął Muzeum Sztuki Islamu przy HaPalmach i wypatrywał sklepików po prawej stronie. Grill Plus. Malutkie miejsce, ale jego palestyńscy przyjaciele byli pewni, że Imi Friedman, jeśli tylko jest w domu, przychodzi tam w każdy czwartek punktualnie kwadrans po szesnastej, żeby spędzić dwie godziny ze swoim dawnym kolegą z wojska, jego też, gdyby nadarzyła się okazja, mógłby Kijewski wyeliminować, wielu ludzi byłoby szczęśliwych. Palestyńczycy nie byli mile widziani w podmiejskiej luksusowej dzielnicy dla bogatych Izraelczyków. W ogóle nikt obcy nie był tam mile widziany. Nie, nie ma patroli, to już nie te czasy, ale wszędzie jest elektroniczny monitoring, a w domach są strażnicy. Kazimierz nie obawiał się strażników.

Kijewski miał wszystkie potrzebne informacje, bo kiedy przypłynął z Cypru do Izraela i zastukał w Betlejem do drzwi pod adresem, którego nauczył się na pamięć jeszcze w zamierzchłych czasach, to mieszkaniec tego domu, zgarbiony stary nauczyciel matematyki, poznał go, jeszcze zanim Kazimierz otworzył usta.

Niektórych spraw się nie zapomina.

– Z czym przychodzisz, przyjacielu? – zapytał po polsku, w języku, w którym nie mówił od studiów.

– Przynoszę pokój, no i list. – Kijewski z uśmiechem wyjął z kieszeni zapalniczkę. Stare zippo. Wytarte na krawędziach, ale napis wciąż można było odczytać.

Podał staremu, a kiedy tamten sięgnął po okulary, Kijewski przypomniał sobie, jak Abu Daoud mówił im wszystkim, że to nie są zapalniczki, że to zobowiązanie, że każdy z jego braci, kiedy jedną zobaczy, zrobi dla okaziciela to, co konieczne.

– Wierz mi – mówił Daoud, kiedy pili razem wódkę na przełęczy Okraj w innym, sprawiedliwszym świecie – to więcej niż pieniądze. Pieniądze się kończą, a to jest zobowiązanie, które nie mija. Nie mija jak polityka. Nie mija jak wojna. Nie staje się jak proch, jak piach, któremu Allach, niech imię jego będzie błogosławione, każe zacierać nasze ślady. Ono, to zobowiązanie, jest na zawsze.

Teraz przyszedł czas, w którym Kazimierz powiedział „sprawdzam". Ale czy nie za późno? Abu Daoud nie żyje od lat, czy jego słowo jest jeszcze coś warte pośród jego ludu?

Stary człowiek długo wpatrywał się w inskrypcję. Wreszcie podniósł oczy.

– Czego potrzebujesz, przyjacielu? – zapytał.

– Wszystkiego, co konieczne, żeby zabić pewnego żydowskiego szczura.

– Szczura?

– Mordercę moich przyjaciół. Mordercę przyjaciół Abu Daouda.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Czy przychodziłbym do ciebie, przyjacielu, gdybym znał jego nazwisko? Czy przychodziłbym do ciebie, gdybym wiedział, jak wygląda? Czy przynosiłbym ci dowód naszej przyjaźni, gdybym nie szukał pomocy?

Stary człowiek uśmiechnął się na dźwięk polskiej mowy. Tyle lat minęło, a wciąż pamiętał.

– A więc mam u ciebie dług. – Popatrzył na zapalniczkę. – Zaparzę herbaty. Powiesz mi wszystko, co może pomóc. A potem odpoczniesz, a moi synowie znajdą tego, kogo szukasz.

I tak się stało. Wiedział wszystko, czego potrzebował. I miał to, co niezbędne. Adres, broń, samochód na fałszywych blachach. Nawet garnitur. Kijewski zdawał sobie sprawę, że w tej dzielnicy nie mógł wyglądać na Araba. W garniturze i wypastowanych butach mógł z powodzeniem uchodzić za adwokata albo za giełdowego inwestora. Tacy nikogo nie dziwili.

Zaparkował niedaleko miejsca, które wskazywała mu nawigacja. Sprawdził broń. Magazynek był pełen. Odetchnął głęboko, przyłożył dwa palce do tętnicy na dłoni, patrząc jednocześnie na zegarek. Puls był w porządku.

Kiedy otworzył drzwi samochodu, buchnął żar, ale Kijewski powitał go z radością. Nie lubił polskiej pogody. Lubił pustynię. Kiedy tylko była okazja, jeździł do Egiptu. Albo do Tunezji. Albo do Libii. Libijską lubił najbardziej. Przypomniała mu się opowieść, którą usłyszał w czasie jednego ze szkoleń w dawnych szczęśliwych czasach młodości.

Człowiek rozsądny nie może być jak pies, który idzie z karawaną przez środek pustyni. Taki pies, kiedy pewnego dnia dostaje kość, zamiast ją zjeść, zakopuje w piasku. Nie rozumie, że jutro będzie już przecież dziesięć mil stąd.

Kazimierz nie odkładał spraw na jutro. Nie cofał się przed pierwszą przeszkodą ani przed drugą, ani przed ostatnią. Dolarów, które wyjął z kasy w domu Śledzińskiego, z ich wspólnej kasy, bo redaktor był przecież skarbnikiem, a nie właścicielem tego funduszu, wystarczy mu do końca życia w jakimś przyjemnym, ciepłym miejscu, którego nie nawiedzają huragany.

Może nawet przygarnie sobie jakąś miejscową dziewczynę, przecież zasłużył, zapracował. Trynidad brzmi dobrze. Blisko Wenezueli, a w Wenezueli są najpiękniejsze dziewczyny świata; teraz tam bieda, któraś na pewno będzie szczęśliwa, mogąc mieć dzieci z takim przystojnym, bogatym Europejczykiem. Ale najpierw robota.

Pochyla się, bo nisko nad chodnikiem wisi markiza Grilla Plus, i popycha drzwi z ciemną szybą.

W środku panuje chłód, pachnie majerankiem i tamaryszkiem.

Pięć stolików. Przy jednym dziewczyny w mundurach, przy drugim trzej młodzi faceci w białych koszulach, czarnych kamizelkach, roześmiani tak, że pejsy trzęsą się im na policzkach, dwa kolejne puste, a przy ostatnim gruby facet w białej czapce właściciela lokalu i wysoki, siwy gość odwrócony plecami. Kazimierz podchodzi do stolika, wyciąga broń, ale kucharz jest szybki, Kijewski nawet nie zobaczył ruchu ręki, kiedy nóż do steka wbił mu się w ramię.

– Kurwa mać – mówi Kijewski i strzela tamtemu w czoło.

Słyszy za sobą krzyk dziewczyn i łoskot wywracanych krzeseł.

– Ręce do góry i wstajemy. Ja nie strzelam nikomu w plecy – mówi Kijewski po polsku do Friedmana, a Imi posłusznie wykonuje polecenie. Staje z rękami do góry, a potem odwraca się powoli i widzi leżącego Joela z dziurą w głowie, widzi trzech studentów wciśniętych w kąt, przerażonych jak pisklęta, kiedy kot dobiera się do gniazda, i widzi dziewczynę w mundurze, jak unosi swój karabin – każdy izraelski żołnierz zawsze nosi przy sobie broń – ale w jej oczach jest zwątpienie, bo przecież kiedy strzeli, może zabić i bandytę, i tego starszego pana.

Imi widzi to wszystko.

– Strzelaj – mówi do dziewczyny i dopiero teraz podnosi oczy tak, żeby skrzyżować je z Kijewskim.

Oczy Kijewskiego są zimne i szare.

Dziewczyna nie waha się dłużej i strzela.

Podziękowania

Autor pragnie złożyć wyrazy wdzięczności:
wydawcy, pani Soni Dradze, za szansę na napisanie tej książki;
mojej pani redaktor za to, że wzięła na siebie kawał roboty, kiedy zaginąłem w dżungli Gwatemali;
dr Katarzynie Maniszewskiej za pomysł;
Marcinowi Kędrynie za to, że zawsze wierzył, że umiem napisać więcej niż tylko reportaż;
no i mojej mamie, która na tę część zaczekać już nie umiała.
A wszystkim, którzy nie wierzyli, że Olga Suszczyńska da sobie radę sama, z dzieckiem, terrorystami i Pegasusem na karku, pragnę powiedzieć po prostu: walcie się!